

POWROTY



Bednarska Dobrowolski Gdela Gręda Iwaniak
Kajoch Loraj Luberda Marciński
Mikołajczyk Mohylowska Osiecka Pieczara
Pietrzyk Rezanowicz Serej Stykowska
Woźniak Zacharska Zwolińska



POWROTY

Korekta i redakcja:
DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA
PRZEMYSŁAW RYBA

Skład:
DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA

Okładka:
JOANNA WIDOMSKA

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań są własnością ich autorów

Gmork
www.gmork.pl
email: kontakt@gmork.pl

2022

ALEKSANDRA BEDNARSKA

TAMTEN RAZ W KENTINGU

—

Siedział na pustej plaży, wpatrując się w ocean. Bezchmurne niebo, lekko falująca woda i nic więcej aż po horyzont. Odwrócił głowę. Strzeliło w karku, krew zaszumiała w uszach. Od dziecka bał się otwartych przestrzeni. Za plecami dostrzegł kępy zarośli wyrastających z piasku, może jakąś szopę czy pokraczną daczę miejscowego bezguścia. Dokładnie tak zapamiętał ostatni raz w Kentingu, miejscu, w którym nie znalazł się przecież przypadkiem.

A-Yue rzadko robił coś bez powodu. Nie brał wolnego ot tak, żeby odespać i przejeść parę dni w kokonie z kołdry i przepoconych ubrań. Nie drażył ani nie dopytywał się, jeśli ta wiedza byłaby mu zbędna tutaj niewygodna. Nie wydawał pieniędzy na rzeczy, które mało pasowały do jego stylu króla targów nocnych i klubów karaoke. A-Yue wiedział jak dobrze żyć. Przynajmniej do zeszłego czwartku.

Był wtedy w taksówce, garbusie w stylu retro. Palił papierosa wbrew gniewnemu fukaniu kierowcy, strzepywał pył do kieszonkowej popielniczki. Z radia leciał przebój stary i suchy jak chleb dla konia. *Twój uśmiech to słodki sekret, otwiera się jak wiosenny pęk*. Znał skądś tę melodię, skąd dokładnie – nie pamiętał.

Jechał z Chungking Mansions do przystani, bo w Hong Kongu to tam załatwia się sprawy. Wujaszek Han czekał

na niego w restauracji Jumbo, a że była ona na statku, mieli pewnie stół z widokiem na przystań śmierdzącą suszoną rybą i smarem. Najedliby się do syta, potem poszli grzecznie poprosić o zaległą należność paru takich i owakich. Nic wielkiego, po prostu typowy czwartek.

Gdzieś na wysokości Causeway Bay telefon A-Yue zawibrował. Nieznany numer. Odrzucił. W radiu szansonistka z przebrzmiałej ery new romantic uderzała w coraz wyższe c. *Gdzie widziałam cię, no gdzie? Ten uśmiech we śnie prześladuje mnie.* Znowu nieznany numer. Tym razem odebrał.

– Do rzeczy – warknął zły, że musi wypuścić ścisaknego w zębach papierosa. Odpowiedziało łkanie i przyspieszony oddech. – Nie mam na to czasu, streszczaj się.

– On... Twój brat on... – Rozpoznał głos matki, była roztrzęsiona. – Hao nie żyje, synku.

– Rozumiem. Zajmę się tym.

Rozłączył się i odetchnął. Piosenka z ery trwałej ondulacji i tanich filmów gangsterskich zbliżała się do finału. *We śnie widziałam cię, to ty, to ty, to ty!* W którymś z lusterek mignęło coś, czego bardzo nie chciał widzieć. Zielonkawa mięsista masa, oczy szkliste jak u ryby, uśmiech od ucha do ucha pełen igiełkowatych zębów... A-Yue zaciągnął się powietrzem łapczywie, jakby tonął.

– Szefie, zmiana planów. – Klepnął kierowcę w ramię. – Jedziemy na lotnisko.

Taksówkarz burknął pod nosem, obliczając kąt zakrętu, który przyjdzie mu ściąć, by wyminąć kolumnę aut formującą się w korek. Muzyka przestała grać, z radia wydobywał się zduszony, jednostajny szum.

A-Yue stukał w ekran telefonu. *Sprawa rodzinna. Potrzebuję paru dni.* Na odpowiedź wujaszka nie czekał zbyt długo. *W porządku. Martwym i tak się nie spieszy.* Dobry żart, biorąc pod uwagę ich jakże owocną współpracę,

choć tego dnia niezbyt na miejscu. A-Yue zaśmiał się pod nosem tak, jak śmieje się dzieciak przyłapany na czymś poniżej wszelkiej krytyki. Po chwili nasunął na nos ciemne okulary i przestał. Trudno orzec, czy pocił się jak świnia, czy płakał.

A-Yue rzadko robił coś bez powodu. Ale ta podróż bez bagażu i pomysłu co dalej, miała sens. To, że kilka dni później siedział na plaży niedaleko znaku *zakaz pływania wplaw oraz na nartach wodnych i motorówkach*, też nie było bez znaczenia. Ani to, że przeglądał zdjęcia na starym telefonie z klapką. Liczył się każdy najmniejszy szczegół, zwłaszcza to, że zbierało się na deszcz.



Wszystko ma swój czas i miejsce. Życie, śmierć, pora deszczowa i sucha. Wiedzieli o tym wszyscy, nie wyłączając A-Yue, a jednocześnie mało kto robił z tej wiedzy użytek.

Zima zagościła w Kentingu na długo przed jego przyjazdem. Nostalgia za minionym latem pachniała sosem ostrygowym i tanim dezodorantem pod przepoconą koszulą. Przez lata niewiele się tu zmieniło. Te same stoiska z tandetnym rękodziełem, opustoszałe wysepki fastfoodów i sklepików z tym i owym, które w dużej mierze zdążyło się już przeterminować.

Czas stanął w miejscu, zmieniały się jedynie pory roku.

– Mówili, że to stało się szybko – powiedziała matka, kiedy pochylali się nad trumną. Ojciec chrząkał, lustrując układ białych pogrzebowych dekoracji, jakby sprawdzał, czy koniec końców okazały się sensownym wydatkiem. Wyciszał tak smutek i resztę emocji. – Mówili, że nie cierpiał za bardzo, a to rzadko się zdarza... Wiesz, on wracał tam co rok, bardzo lubił to miejsce.

A-Yue kiwnął głową trochę na znak, że pamięta, trochę dlatego, że nie miał ochoty dalej tego słuchać.

Kenting był ich azylem i kryjówką. Nie przyjeżdżali nigdy latem, wtedy domek po dziadkach wynajmowano turystom. Ale odkąd Hao wyrobił sobie prawo jazdy, spędzali tam okres pomiędzy chińskim nowym rokiem a powrotem na zajęcia. Dobry kompromis pomiędzy przegraniem miesiąca z padem konsoli w dłoni, a tułaniem się po domach ciotek i pociotków.

Ledwie dwie godziny jazdy górkami serpentynami, potem wolność. Z torbami pełnymi świątecznych resztek i nieprzeczytanych książek, jechali wąskim pasem jezdni wiszącym nad przepaścią. Plecaki i sprzęt do górskich wędrówek czekały na nich na miejscu. Czas między grudniem a lutym był w Kentingu sezonem ogórkowym, czasem idealnym dla każdego, kto nie przepadał za plażą i słońcem.

To był ich czas, ich miejsce.

– Zostawicie nas? – zapytał trochę rodziców, a trochę girlandę kwiatów na ścianie, której przyglądał się od dobrych kilku minut.

Matka pociągnęła ojca za mankiet. Mruknął coś półrozumiale i wyszli. Wreszcie! A-Yue, upewniwszy się, że jest już całkiem sam, pochylił się nad trumną.

– Kopę lat, stary – rzucił, delikatnie odwijając całun z ramion brata. Nie brakowało żadnego z palców, nikt nie zdarł skóry z opuszek. Czyli jednak nie zemsta chłopaków z Czterech Mórz czy Bambusowej Unii. Wizerunku tygrysa pod mostkiem, którego Hao się wstydził, jak na poważnego pana doktora przystało, też nie wypalono. Czyli żadna z kantońskich rodzin mających na pieńku z wujaszkiem Hanem. Samobójstwo, naprawdę? Chyba aż do tamtej chwili nie dawał temu wiary.

– Nieźle cię zrobili – docenił kunszt pracowników domu pogrzebowego, którzy grubą jak tynk warstwą

pudru doprowadzili do porządku twarz wisielca. A-Yue poprawił całun, by i reszta wyglądała bez zarzutu. Wyprostował na nowo prawą, potem lewą rękę brata. Zegarek, matka musiała mu go założyć. Złoty, raczej tandetny, choć bez bijącego po oczach logo. Na tarczy trzecia trzydzieści pięć.

Coś stało się kiedyś, właśnie o tej godzinie. Co dokładnie, nie potrafił powiedzieć.

A-Yue nie wierzył w przypadki. Wierzył za to w złe decyzje, które bywały brzemiennie w skutkach. Kończyły się pociętą twarzą, utratą kończyn, skokiem na dno zatoki w betonowych butach. Wiedziony przeczuciem, że i tym razem coś jest na rzeczy, ostrożnie zsunął zegarek ze sztywnej dłoni Hao. Wskazówka minutowa drgnęła. *Gdzie widziałam cię, no gdzie? Ten uśmiech we śnie prześladuje mnie. Przypomnieć sobie chcę...* Skąd ta piosenka? Telefon w kieszeni A-Yue zawibrował. Wyciągnął go i przyłożył do ucha. Ciszę po drugiej stronie przerwała melodia starego przeboju.

– Żarty sobie strugasza, dzbanie?! – wrzasnęła. – Jak cię dorwę, to inaczej pogadamy!

– Ależ proszę bardzo – odpowiedział kobiecy głos. Brzmiał wyraźnie i zarazem tak, jakby od słuchawki dzieliły go szeleszczące krzaki. – Chyba że to ja znajdę cię pierwsza.

Rozłączyła się, zanim zdążył wypluć kolejne groźby mniej lub bardziej karalne. A-Yue trzasnął telefonem o podłogę. Znał skądś ten głos, tę piosenkę i to ułożenie wskazówek. Ale kiedy próbował sobie przypomnieć jakikolwiek szczegół, widział tylko niespokojne fale oceanu ciągnące się po horyzont. Otwarta przestrzeń... Strach ścisnął gardło tak, że dopiero po paru haustach poczuł powietrze w płucach.

– Synku, mnisi przyszli. – Matka wychyliła się zza drzwi. Mówiła, jakby przepraszała, że żyje. Jej ruchy

spowalniała spora dawka środków uspokajających, które zażywała od rana.

Z pogrzebu A-Yue nie zapamiętał wiele. Do mantr i sutr nie miał zacięcia, a dawno niewidziani krewni ograniczali się do współczujących kiwnięć głowami. Plotkowali za to o jego błyszczącym cyrkonią zębie oraz symbolu triady, wytatuowanym na wierzchu dłoni, i o tym, że wiadomo, co to za interesy kręci w Hong Kongu i że szkoda, bo był takim miłym chłopcem. I co z tego? A-Yue nie przejmował się gadaniem, nie bardziej niż dziurami w pamięci i niespokojnymi dłońmi. Nie zapalił od rana. Postanowił, że skoro już go osądzono, równie dobrze może być tym gorszym z braci, kryminalistą z papierosem w zębach.

Za płot krematorium wyszedł spokojny na tyle, by nie wyszarpnąć jednej ze sztachet. Spokój to jednak rzecz ulotna.

– To ty! – Piskliwy głos kolił w uszy. A-Yue odwrócił się, aż strzyknęło mu w karku.

– No, a kto? – Zmarszczył czoło, rozglądając się za drogą ucieczki.

Duchów przeszłości lepiej unikać. Ying była szkolną miłością Hao. Kiedyś wyglądała jak dziewczyna sprzedająca przy drodze orzechy betelu i inne dobroci, ewentualnie sen rapera o muzie w spódniczce krótszej od majtek i niebotycznych nogach. Obecnie stała się nieco bardziej stonowana i luksusowa, jak hostessa z klubu karaoke, której klienci każą przebierać się za bibliotekarkę.

– Bardzo mi przykro. – Podeszła i złapała go za nadgarstek.

– No, smutna sprawa.

W twarzy Ying było coś tak nieznośnie pustego, że A-Yue znów przypomniał sobie o głębi.

– Wiesz, on pewnie ci tego nie mówił, ale tęsknił za tobą i za tamtym miejscem – ciągnęła, ściskając jego

rękę, jakby miała macki zamiast palców. – Tam go ponoć znaleźli... Nie radził sobie z tym.

– O czym ty gadasz?! – Odepchnął Ying delikatnie, żeby jakiś postronny obrońca kobiecej czci i wiary nie przyskoczył mu z pięścią pod nos. Dziewczyna zachwiała się, ale nie upadła.

– Nie nudzi cię udawanie, że nic nie pamiętasz?

W oczach tłustych od kredki błyszczał obłęd. Linie i opalizujący cień zlewały się z białkami oczu Ying w czarny kleks. Źrenice pożerały tęczę, połyskując niczym gładko oszlifowany obsydian. A-Yue wzdrygnął się i odsunął o krok.

– Daj spokój, wariatko. Po co tu w ogóle przyszedłeś?! – Wypluł żarzący się niedopałek. Nie czekał na odpowiedź, miał już naprawdę dość. – No, tak właśnie myślałem, że po nic.

Odwrócił się, nie roztrząsając żadnego z jej słów, i stopił w jedno z tłumem opuszczającym krematorium. Ying krzyczała, może nawet i za nim, ale krzyk ten blaknął na tle zachwyków nad kwiatami i ceremonią. Dla A-Yue była w końcu jedynie duchem przeszłości i to nawet nie tak do końca jego własnej. *Co on w niej widział?* I ponoć to Hao był tym lepszym bratem, tym który pilnie się uczył, słuchał rodziców i wszystko robił jak trzeba.

Ale zaraz, od tej reguły zdarzył się przecież wyjątek. Wracanie do niego pamięcią rozpraszało A-Yue, unikał go jak pytań obciążających balastem niepotrzebnej wiedzy. Zapomnieć to wymówka wygodniejsza od rozchodzonych butów, rozstanie z nią jest zresztą tak samo trudne jak wyrzucenie przydeptanych tramppek.

Ten sekret, jak wszystko w świecie, miał swój czas i miejsce. A-Yue obrócił w palcach tarczę złotego zegarka. Czas zatrzymał się na niej podobnie jak na sennych ulicach kurortu, gdzie stoiska naprawcze sprzętu surfingowego

przypominały o ewentualnym powrocie lata. Wracało zatem i miejsce i czas. To, czego A-Yue nie pamiętał, zdarzyło się zimą siedem lat temu, w jednym z przyczółków w Kentingu. I stawiało wiele faktów, pozorów, a nawet rodzinnych plotek, w nieco innym świetle.



– Daleko jeszcze? – Ying trzepotała rzesami jak opętana lalka, której moc kryła się pod trzema warstwami makijażu. Nie uzyskawszy odpowiedzi, szturchnęła Hao w ramię. Siedem lat temu była równie irytująca i spragniona uwagi.

– Już niedaleko. – Hao poprawił okulary na nosie.

Na tylnym siedzeniu, gdzieś w gąszczu toreb walcówki i reszty sprzętu okołopodróżniczego gnieździli się Toshi, jego kumpel z wymiany, i A-Yue. Miał być męski wyjazd, a wyszło, jak wyszło. Zamiast festiwalu ciętych żartów przy jednostajnych bitach kawałków o życiu chłopaka, który leci wyłącznie na panienki z Tajwanu, słuchali audiobooka o romansie gejszy z bogatym patronem.

– Dlaczego tu zjeżdżasz?! – Ying szarpnęła chłopaka za ramię, jakby nie słyszała, że można nieumyślnie spowodować wypadek. – Miałam wrzucić relację znad morza! Jak się ściemni...

– Wrzucisz jutro.

– No, tak, wszystko jest ważniejsze od tego, co ja chciałabym robić. Brat, koledzy... Wszystko!

Hao skwitował wybuch Ying milczeniem. Tak to z reguły między nimi wyglądało: ona wywrzaskiwała litanie pretensji, a on najpierw starał się uciąć, potem udawał, że nie ma już nic do powiedzenia. Z reguły dla świętego spokoju zrywali ze sobą po kolacji noworocznej, by przerwę świąteczną spędzić oddzielnie. Wracali do siebie, gdy ból jej złamanego serca ukończył zakupy, a jego wyciszyły górskie wędrowniki z bratem.

No, ale nie tym razem.

Stanęli na stacji benzynowej w momencie idealnym na parę romantycznych kadrów. Słońce staczało się po różowawym niebie, by wpaść w leniwie falującą toń. Ying od razu pociągnęła Hao nad krawędź urwiska, wdzięczyła się to na tle panoramy, to przy jego pstrokatej bluzie.

– Ej, oni tak zawsze? – zapytał Toshi. Przez japoński akcent wydawał się wszystkiemu dziwić, nawet jeśli już coś kategorycznie stwierdzał.

– Nie. – A-Yue poprawił przerzucone przez ramię słuchawki i sięgnął po sznur dystrybutora. – Ona tu nigdy nie była.

Toshi zbierał się w sobie, by zapytać o coś jeszcze. Ale wtedy pojawiła się kolejna dzika karta wyjazdu. Dziewczyna musiała od dłuższego czasu przyglądać się im, oparta o zardzewiałą budę stacji. Ubrana była trochę, jakby pomyliła kierunki świata i pory roku, bo szorty i sandały na platformach za nic nie nadawały się do chodzenia po górach w deszczu. Od plaży zaś dzieliło ją dobrych kilkanaście kilometrów.

– Nie jesteście stąd, prawda? – rzuciła bez zbędnych ceregieli. Mówiła, jakby żuła nieistniejącą gumę.

– Ty chyba też nie – stwierdził A-Yue, zamiast zapytać, z której choinki się urwała. Rozbawiło ją to na tyle, że uśmiechnęła się bez cienia złośliwości.

– Lato i zimę można mieć w sercu.

– To ja mam porę deszczową – parsknął i odwiesił sznur dyspozytora na hak.

– Podwieźlibyście mnie do miasteczka?

Oblizła usta pociągnięte błyszcznikiem. Do tej pory patrzyła pod nogi, może wstydziła się spojrzeć obcym w twarz. Spod grzywki zasłaniającej brwi świdrowały ich duże, czarne oczy. Zlewały się z tłustym cieniem do powiek tak, że wyglądała jak kosmitka z taniego horroru; to chyba przez nie A-Yue nie potrafił jej zaufać.

– Zapytaj pana kierowcy. – Kiwnął głową w stronę Hao, który z miną skazańca wracał do auta. Ying wciąż wdzięczyła

się do telefonu, składając usta w dzióbek i przykładając wygiętą dłoń do policzka.

– Podwieziesz mnie, piękny? – Dziewczyna wbiła wzrok w Hao. – Podwieziesz, czy mam zapytać kogoś jeszcze?

Zgodził się, chociaż okazało się to jednym z jego gorszych pomysłów. Ale wzorom do naśladowania zdarzają się momenty słabości, z których rozliczani są surowiej od innych. No, chyba że plama na honorze pójdzie w zapomnienie razem z resztą niewygodnych szczegółów.

四

Duchy, o ile w ogóle istnieją, składają się w trzech czwartych z gniewu. Reszta to mieszanka zagubienia i wspomnień, które ciągną je wciąż do tych samych miejsc. Z ludźmi bywa zresztą podobnie.

Do A-Yue wracały strzępy tego, co zdarzyło się siedem lat temu. Wracały w koszmarach, z których pamiętał niewiele ponad ciąg obrazów.

Twarz rozplaszczona na szybie jak naleśnik. *Wdech.* Krzaki szeleszczące przy świetle latarki. *Wydech.* Wzdęte ciało unoszące się na wodzie twarzą do dołu. *Wdech.* Ciemność duszna i słona jak woda, która powoli wlewa się do płuc.

I tak raz, czasem dwa razy w miesiącu.

Powrót do domu tylko pogorszył sprawę.

– Za dużo filmów o zabijaniu. – Wujaszek Han postawił jednoznaczny diagnozę, gdy sprawdzali utarg z zeszłego tygodnia. Wrzucając banknoty do liczarki, przemieniał się w inkarnację Konfucjusza z nieco mniej spektakularną brodą. – Komedie byś obejrzał. A tak serio, mam takiego specja od pięciu przemian i reszty tego hokus-pokus... – Rzucił pomietłą wizytówką. – Jakby co to dzwoń.

Kartonik wylądował w koszu jeszcze tego samego dnia.

A-Yue nie lubił zwierzać się obcym, rodzinie i bliskim zresztą też. Z przyzwyczajenia tkwił w gniewie, gubił się we wspomnieniach, a przecież wyjście z labiryntu myśli to początek drogi.

Jak duch, którego twarz straciła ostrość rysów i wyraz, krążył wytyczoną we śnie trasą pomiędzy strzępami przeszłości. Korytarz był duszny i zaciskał się jak gardło na samą myśl o głębi. I tak, A-Yue nie różnił się tym specjalnie od potępieńca, trzymanego w kieracie przez kłatwę.

五

Do domu po dziadkach dotarli po zmroku. Było zimno, Ying narzekała, że śmierdzi wilgocią, a po wszystkim łągą robaki. Znajdowała kolejne powody do narzekania szybciej niż nowy styl czesania przedziałka. Nie bez znaczenia okazało się to, że Hao całą drogę ze stacji do miasteczka śmiał się z żartów dziewczyny, którą zabrali ze stacji. W dodatku, zanim wysiadła gdzieś niedaleko plaży, narzucił jej na ramiona starą wiatrówkę.

– Czyli to na wieśniary tu jeździsz, tak? – prychnęła Ying. Hao jak zwykle nie odpowiedział. A-Yue zasłuchany w to, co akurat leciało mu w słuchawkach, przegapił zajście. Z kolei Toshi po cichu zgodził się z dziadkiem, który za czasów kolonialnych służył na Tajwanie: ci ludzie przesadzali z okazywaniem emocji.

Burza zbliżała się z oddali, wiatr szeleścił w koronach palm. Ale trzeba było coś zjeść, wypić tym bardziej, rozłożyli więc piwo i przekąski na werandzie. Chłód i siąpiący deszcz temu nie sprzyjały, za to Ying przestała na moment kręcić nosem. Robiła Hao sesję zdjęciową przy grillu, którą z pewnością opatrzyła tagiem „przyszły mąż”.

– Stary, powiedz, że ona nie chodzi po górach, błagam – szepnął konspiracyjnie Toshi.

– A widziałeś tam ruchome schody? – A-Yue odpalił papierosa.

Nie dodał, że dziewczyny takie jak Ying żyją w mikroklimacie centrów handlowych, gdzie dostawy mrożonych napojów i klimatyzacja chronią je przed stępieniem paznokci oraz spłynięciem makijażu.

Zabrali się z werandy, kiedy huknęło już całkiem blisko. Ying nalegała, żeby włączyli przenośny sprzęt do karaoke, nawet jeśli nie bawiło to nikogo poza nią, a w dodatku nie było rzeczą zbyt mądrą w czasie burzy. Niedługo śpiewała o tym, że księżyc będzie mówił zamiast serca, gdy tylko ktoś zapyta, jak bardzo potrafi kochać oraz o tym, że w bajkach kłamią, bo książąt wcale nie ma.

– Zaśpiewasz ze mną? – Ying wyciągnęła rękę do Hao, który z miną męczennika za cześć i wiarę wstał i chwycił za mikrofon. Toshi i A-Yue pokusili się o złośliwy aplauz.

Hao nie zdążył jednak zaśpiewać, że stanie się jej aniołem. Zgasło światło, w tamtej chwili widział w tym uśmiech szczęścia.

– Koniec występów. – A-Yue wygrzebał spod kanapy latarkę. Podstawił ją pod brodę i skrzywił się, siląc na przerażający grymas. Efekt był mocno taki sobie, nie przstraszył nawet Ying. – Chyba że znacie jakieś dobre historie o duchach.

– Dawaj to. – Toshi wyrwał mu latarkę gestem rapera pewnego swoich rymów. – Opowiem wam o długoszym demonie, który wypijał olej z lamp...

– Nuda!

– O dziewczynie, która pod maską chirurgiczną kryła szpetny sekret?

– Było!

– Demon kradnący podróżnym twarze?

– Oklepane, ale da radę.

Toshi rozsiadł się zupełnie, jakby pewność siebie rozdęła jego patyczakowate ciało, sprawiając, że nagle zajmował ponad połowę kanapy.

Za oknem błysnęło. Liście drzew, gnących się pod wichurą, smagały bezlitośnie szyby, kształtem przypominały łapy potworów. Kolejny błysk. Ying pisnęła jak gumowa zabawka,

którą ściśnięto za mocno, i wtuliła się w ramię Hao. On sam wpatrzony bezmyślnie w telefon, niewiele sobie robił z tej scenerii słabego filmu grozy.

– Dawno temu, tak dawno, że nikt nie pamięta... – Zakrzywione w szpony palce Toshiego odgrywały teatrzyk cieni. – Pewnej deszczowej nocy samotny oddział żołnierzy przemierzał górską przełęcz...

Nie dokończył. Uwagę wszystkich przyciągnęło rozpaczliwe walenie w drzwi. Ying, gdyby mogła, z wielką chęcią schowałaby się w przepastnej kieszeni bluzy swojego chłopaka.

– No, i tak się zmęczyli, że do nas przyszli – prychnął A-Yue i wstał. Drzwi drżały pod uderzeniami nocnego gościa.

Szarpnął za klamkę i wpuścił wiatr za próg. Walczył z przeciżgiem, który o mały włos a zatrzasnąłby drzwi na nowo, rzucając A-Yue o ścianę jak workiem szmat. Przemokniętej postaci przyjrzał się dopiero, gdy złapał równowagę. Tuż za progiem stała dziewczyna ze stacji. Mokry ortalion oblepiał jej sylwetkę, wiszące w węzowatych strząkach włosy zasłaniały twarz. Tak jak podczas pierwszego spotkania, wzrok miała wbity w skrzyżowane paski sandałów na platformie.

– Mogę wejść? – Przechyliła głowę na bok, nadal patrząc w dół. Coś strzeliło jej w karku, cicho, jakby zepsuł się drobny, ale w miarę ważny mechanizm.

A-Yue, choć wcześniej wcale się nie bał, poczuł dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa. Chęć szarpnięcia za trójkątny podbródek i zajrzenia w oczy dziewczyny mieszała się z próbą przypomnienia sobie, jak właściwie miała na imię.

– Wpuszczasz przeciżg, młody! – skarcił go Hao. Patrzył na przemoczoną do suchej nitki dziewczynę życzliwiej od brata. – Wejdz, Linwa, nie stój tak na deszczu.

Przekroczyła próg, wnosząc piasek na butach. Szła korytarem pewnie, jakby była u siebie. Usiadła na brzeżku kanapy: głowa wciąż spuszczone, woda ściekająca z włosów na podłogę. Na jej widok Ying podskoczyła i, omiótłszy pokój nienawistnym

wzrokiem, pobiegła zamknąć się w sypialni. Hao zwlekał, choć w końcu poszedł za nią. Czyżby cierpliwość wyleciała za drzwi wraz z przeciągiem?

– Napijesz się wrzątku czy w ogóle czegoś? – A-Yue zagadnęła Linwę.

Pokiwała głową, jakby do karku miała przymocowany sznurek pociągany cudzą ręką. Burza przechodziła dalej. Grzmoty ucichły, tylko deszcz zacinał po szybie.

– Toshi, zrób jej herbatę, czy co tam chce. Sprawdzę bezpieczniki.

Zszedł do piwnicy, świecąc pod nogi telefonem. Panel na ścianie znalazł po omacku, opuścił dźwignię. Gdy wdrapywał się po drabinie, oślepiło go światło żarówek. Przetarł oczy i szedł wzdłuż korytarza, uważnie, by nie wdepnąć w kałuże mokrych śladów. Zza drzwi sypialni usłyszał piskliwy głosik Ying, która krzyczała i łkała na przemian, coraz ciszej, jakby wyczerpywały się jej baterie. Hao tak dla odmiany nic nie mówił.

Pokój wypełniała melodia wydobywająca się z maszyny do karaoke. Na ekranie telewizora mignęła pierwsza linijka tekstu: Twój uśmiech to słodki sekret, otwiera się jak wiosenny pąk.

Toshi nie śpiewał, zaciskał palce na krwawiącym nosie. Pewnie znowu próbował szczęścia tam, gdzie nie miał szans. Zdarzało mu się za to oberwać w niejednym barze, niekoniecznie lekko i od dziewczyn. A-Yue przyjrzał się Linwie. Siedziała wyprostowana, spomiędzy oblepiających jej twarz włosów patrzyły oczy czarne jak noc i głębia. Rozlewały się po twarzy dziewczyny podobne do kształtnych plam atramentu, nieproporcjonalnie duże w porównaniu do dziecięcych rysów twarzy.

– Macie tu łazienkę, prawda? – zapytała. A-Yue przechylił głowę, wskazując kierunek. Poczłapała przez korytarz z gracją manekina, który dopiero nauczył się ruszać jak człowiek.

– Ty, dała ci po ryju? Chyba nie jesteś w jej typie. – A-Yue pochylił się nad Toshim. – Dziwna jest. Widziałeś jakie ma oczy?

Toshi niezdolny wydukać artykułowaną odpowiedź, zmarsz-

czył się i pokiwał głową. Krew, której nie tamowały już splecione w koszyczek palce, spływała mu po podbródku.

A-Yue mógł to drążyć, ale odpuścił. W liceum sporo eksperymentował z cudami chemii i fizyki. Nie zawsze wierzył więc w to, co widzi, nie jeśli nie miał tego z kim skonfrontować. A widział mackę lepłą i czarną jak świeża smoła. Ciągnęła się przez korytarz, wspinała po ścianie, oplatała kanapę swoim gibkim, prawie że gadzim ciałem. Przez szparę pomiędzy splecionymi palcami Toshiego wpęzła mu do nosa.

Nie, prawda nie mogłaby tak wyglądać. A-Yue wcisnęła kumpłowi paczkę chusteczek i poszedł się położyć. Melodia piosenki mieszała się z pluskiem morskich fal i dzwonieniem deszczu o szybę.

六

Dziury w pamięci trudno załatać. Czasem wystarczy krok po kroku prześledzić wcześniejsze poczynania, czasem to za mało. To zadanie dość żmudne w swojej dokładności, zupełnie jak rytuał odczyniania klątwy.

A-Yue przespał poranek na tylnym siedzeniu taksówki. Obudził go dźwięk kół podskakujących na wybojach. Górskie serpentyny, pokryte niepierwszej młodości asfaltem, spływały spiralą w dół. Dopiero po chwili dotarło do niego, że jest w drodze do Kentingu.

Jak się tam znalazł? Pamiętał przez mgłę, że obudził się z kluczem do domu po dziadkach na poduszce. Poznał go po breloczku w kształcie wiosła.

Zniszcz moje nowe ciało.

Na tle szafy zamajaczyła znajoma sylwetka, wyraźna o tyle, o ile wyraźne bywają półsennie mary tuż przed świtem. To była dziewczyna, której imienia zdążył dawno zapomnieć.

Zima to moja słabość, a ty nosisz ją w sercu.

Macka musnęła poduszkę w komiksowe nadruki i zadzwoniła kluczem. Zaroilo się od cieni, które obsiadły łóżko, wspinały się po ścianach krokiem kulawej jaszczurki, zwisały z sufitu jak półtuszkki dogorywające na targowych hakach.

Spal moje kości.

Odnóża rozrywały widmowy brzuch dziewczyny, łapiąc kolejne cienie, które kleiły się do nich z naiwnością much zaplątanych w pajęczynę.

Spal i uwolnij ich wszystkich.

A-Yue przetarł sklezione snem oczy. A potem wstał, schował klucz do kieszeni i wyszedł, zgarniając stojącą w przedpokoju torbę. Szedł, jakby go ktoś prowadził lub pociągał za sznurki.

Wytrzęsiony na wertepach żołądek dawał się we znaki. A-Yue rzucił okiem na strzaskany telefon. Czternaście nieodebranych połączeń od matki, jedno od ojca, wiadomość od wujaszka Hana. *Jak tam? Napchałeś się już śmierdzącym tofu? Z radia przestał wydobywać się usypiający szum. Jeszcze parę dni. Sprawa ma drugie dno.*

Drogowskaz szumnie zapowiadał stację benzynową, którą A-Yue pamiętał z dawnych lat. Mała rodzinna buda na totalnym zadupiu, ta sama gdzie siedem lat temu spotkali dziewczynę. Zatrzymywali się tam zawsze, żeby uzupełnić zapasy piwa i papierosów, pogapić się na panoramę doliny.

A było na co popatrzeć. Wyzwolona spod zalewu turystów przyroda cieszyła się z trwającej zimy. Korony drzew i krzewy na skalistych zboczach eksplodowały zielenią skąpaną w deszczu i rosie. Powietrze pachniało świeżością przyjemniejszą od letniej duchoty.

Gdzie widziałam cię, no gdzie? Znajoma melodia płynęła z rozstrojonego radia, głosik Teresy Teng co rusz zakłócał metaliczny szum. Przypadek? A-Yue przestał już w to

wierzyć.

– Szefie, wyrzuć mnie na stacji – rzucił do kierowcy, wciskając mu plik banknotów. Znacznie więcej niż trzeba, bo brak pytań kosztuje.

W miarę jak zbliżali się do zjazdu, wracały obrazy. Upiorna twarz, ciało unoszące się na wodzie i głębia. Może rzeczywiście miał dziury w pamięci? W miarę jak zbliżał się do Kentingu, wszystko coraz bardziej sklejało się w całość.

七

– Gdzie są wszyscy?

Pytanie odbiłoby się echem, gdyby nie to, że siedzieli na werandzie. Hao dopijał właśnie mrożoną kawę, A-Yue próbował się obudzić, ziewał, strzelając raz po raz karkiem. Dziwiło go, że mimo pogody, która od paru dni nie rozpieszczała, siedzą tam sami.

– Wiesz, gdzie poszli? – Wzruszenie ramion i siorbnięcie. *Zupełnie jakby Hao przełykał żabę, której od paru dni nie umiał wypluć.*

Wyjazd z wielu względów się nie udał. I nie, nie chodziło wyłącznie o pogodę, choć mogła być lepsza, a przynajmniej taka, by dało się wyjść z domu. Chodziło o atmosferę taką, że gdyby ciąć ją nożem, utkwilby po rękojeść.

Ying narzekała na komary, niewygodne buty, zasnute chmurami niebo, ale tak naprawdę na to, że nie była w centrum uwagi. Toshi mówił mało, a jeśli już, słowa cedził niczym przepowiednię z kości i zgniecionych puszek o tym, jak bardzo się tu jeszcze wynudzi. No i Hao i Linwa. Uśmiechali się do siebie, jak uśmiechać się nie powinni, w ciężkim od pretensji powietrzu leciały między nimi iskry. Pożar, który mógł z tego wszystkiego wyniknąć, gasiła chyba tylko trwająca bez przerwy ulewa.

Linwa... Ciekawe, że nikomu innemu nie przeszkadzały jej

oczy.

– Ej, ale pojechali do miasta czy...?

– Nie truj, młody – uciął i zgniótł w dłoni plastikowy kubek, resztki napoju spłynęły po palcach.

A-Yue sypiał ostatnio źle, z trudem łączył ze sobą przyczyny i skutki. W rzadkich chwilach, kiedy pomagało mu liczenie baranów i wciśnięcie głowy w poduszkę, męczył go ten obraz. Rozpłaszczona na mokrej szybie twarz, tknięta rozkładem na tyle, by skóra policzków przypominała zzieleniały śluz... Stroiła miny jak niesforne dziecko. Z każdym grymasem odpadał kawałek nosa lub brwi, płatami odklejały się policzki. Na koniec oczy rozptyływały się po twarzy w lej czarny jak bezgwiezdna noc.

Budził się wraz z łapczywym wdechem, takim, którym zdarza się zachłysnąć. Co noc to samo. Linwa siedziała na łóżku, wyprostowana jak robot obciążony podróbką skóry. Głowę przechylała na bok, z jej półotwartych ust wydobywał się stłumiony pomruk. A-Yue nie wstawał ani nie próbował jej budzić. Co, jeśli lunatykowała? A co jeśli to kolejne przewidywanie? Nikt inny się przecież nie skarżył.

I jeszcze macki. Wyrastały jej z pleców, mnożyły się niczym odnóża zmutowanego owada, wspinały po nogach łóżek. Niektóre wędrowały szparą w drzwiach przez korytarz do sypialni Ying i Hao. Znikały tuż przed świtem. Pełzły po nogach Linwy, płącząc się jak kabel zwijany niechłujnie i w pośpiechu.

– Ale co? Wyszli, zanim wstałeś? – A-Yue wiercił bratu dziurę w brzuchu. Chciał wiedzieć, czemu siedzieli na werandzie sami.

Powietrze pachniało deszczem, a niebo pierwszy raz od tygodnia nie straszyło szarością. Hao milczał. Przyglądał się szeleszczącym na wietrze zaroślom, które dzieliły ich od plaży. Bryza muskała liście ciężkie od deszczówki, kropla po kropki strącając wodę na piaszczyste podłoże.

– Mam to gdzieś – powiedział w końcu. – Myślisz, że to

takie proste, być tym odpowiedzialnym? Zawsze troszczyć się o to, co powiedzą inni? Niektórym po prostu nie wolno błądzić, szukać siebie... Niektórzy muszą po tym zamiatać.

– Nie chrzań. Mogłeś tu po prostu nikogo nie zapraszać – uciął A-Yue. Te słowa cisnęły się mu na usta od początku wyjazdu.

Znowu cisza, ale na krótko. Spomiędzy karłowatych palm wypełził drobny, pokryty szarym ortalionem kształt. Wystającą z rękawa dłoń rozpoznał od razu, mimo że była oblepiona piaskiem i wodorostami. Należała do Ying.

A-Yue w dwóch podskokach zbiegł z werandy. Przykleknął przy dziewczynie, która drżała jak przestraszone zwierzę. Hao stał za nim, nie pokazując po sobie zmartwienia ani troski.

– Co się stało, gdzie reszta?!

– To nie on... – wykrztusiła przez szczękające zęby. Jej źrenice powoli rozszerzały się, aż pochłonęły tygrysią tęczę i białko oka. A-Yue poczuł, jak dziewczyna sztywnieje, przyjmując pozę podobną do tej, w jakiej widywał co noc Linwę. Macki pełzły za Ying niezrażone mdłymi promieniami słońca. Ścisnęły dziewczynę za kostki, pozostawiały po sobie sine ślady.

– Jasne, że nie ja – prychnął Hao, wymijając ich. Szedł w stronę plaży. – Sama to sobie zrobiła.

Nic nie dzieje się bez przyczyny... A-Yue popędził za nim. W zaroślach zostawił Ying siedzącą w pozycji zepsutej lalki. Minęli dróżkę prowadzącą do najbliższej im działki, minęli też znak zakazu pływania motorówką. Zniknęły kępy traw kiełkujące w zimowym deszczu, ustępując miejsca rozrzuconym po piasku kępom wodorostów. Toshiego nigdzie nie było. Za to ciało Linwy dryfowało na płyciźnie twarzy w dół. Poznał po pokracznych jak kopyta butach.

– Widziałeś to? – Hao przykucnął obok topielicy i jednym szarpnięciem uniósł jej głowę. – Przyznaj się, widziałeś?

A-Yue wciągnął powietrze, jakby wiedział, że zaraz zacznie tonąć. Zerknął na przerażający go od zawsze punkt spotkania fal z niebem, potem na twarz obdartą ze skóry zwisającej

w płatach z czoła i policzków, tę samą, którą widywał nocami. Zatrzymał wzrok na oczach; miały w sobie coś, czego wcześniej nie dostrzegął. Co tak naprawdę trudno powiedzieć.

Zapatrzony w nie jak w wahadélko hipnotyzera myślał o głębi i o tym, że może wcale nie jest taka straszna. Czuł, że zapada się w nią na wdechu, a bąble powietrza wymykają się z ust i nozdrzy. Na języku rozpływał się słony smak wody, wraz z nią pustka wlewała się w umysł, napełniając go niesłusznym spokojem.

I tyle, nic więcej nie pamiętał.

八

– Tak było, stary, mówię ci – przekonywał go Toshi.

To, że spotkali się na dogorywającej stacji benzynowej, zdziwiło A-Yue nie mniej niż reszta niedawnych zbiegów okoliczności. Szli wzdłuż wąskiego pobocza, nad którym górowały pnie klonów i drzew gumowych.

– Gdybym nie podciął mu nóg, skończyłbyś jak tamta, no, jak jej tam... Nieważne. Po co tu właściwie przyjechałeś? I nie obraż się, ale nie pora na plażowanie. No, chyba że wyszedłeś w piżamie.

A-Yue zmarszczył brwi ukryte pod grubą oprawką ciemnych okularów. Czyli taka była prawda? Dlatego rodzice kazali mu wyjechać, dlatego kupił bratu ten tandetny zegarek, co uchodziło za niezbyt pomyślną wróżbę. Wskazówki odmierzają przecież czas do rozstania lub śmierci, jeśli wierzyć ludowemu porzekadłu.

Szli w ciszy. To jest, nie licząc szumu drzew i samochodów brzęczących jak skrzydła napędzanych paliwem owadów. Przemykały tuż za ich plecami, pozostawiając w wilgotnym powietrzu kolorowe smugi. Słońce spowite w caun deszczowych chmur dogorywało, tocząc się ku powierzchni wody.

– Pójdziemy na skróty? – A-Yue wskazał na szczelinę

między barierkami. Miał szczerą nadzieję, że odkryta lata temu ścieżka nie zarosła.

– Czemu nie, ostatnim razem coś nie wyszło z tym chodzeniem po górach. – Toshi poprawił ramiączka plecaka.

Droga wydeptana najprawdopodobniej przez spragnione widoku asfaltu małpy prowadziła stromym zboczem w dół. Pod nogami plątały się przygodnie porzucane śmieci oraz zdrewniałe pędy bambusa. A-Yue zamajaczył gdzieś z tyłu głowy przesąd o tym, by ich nie przekraczać, a obejść. Było w tym coś z dziecięcej wiary w to, że nadeptanie na linię pomiędzy płytami chodnikowymi przynosi nieszczęście. W legendach to duchy samobójców rozrzucały bambus po bezdrożach jako przestrożę dla tych, którzy podzielą ich los.

Tylko że losu nie ma. Są za to konsekwencje czynów, które wcześniej czy później odgryzą się z nawiązką, za każdą rzecz z osobna i wszystkie po kolei.

– Nie zapytasz, po co tu przyjechałem? – zagadnął Toshi.

– Pewnie miałeś swój powód – A-Yue uśmiechnął się, w kącikach ust czaił mu się sekret. – Zatrzymaj się u nas. Hao by tego chciał.

Ślizgając się na wilgotnym podłożu, dotarli do miasteczka szybciej, niż gdyby podążali za jezdnią. Proporce z ręczników plażowych i koszul w hawajskie kwiaty powitały ich na głównej ulicy. Ściemniało się, nieliczni sprzedawcy rozkładali stoiska z przekąskami. Zapach sosu ostrygowego mieszał się z wieczorną bryzą, świeżą jak prysznic po upalnym dniu.

– Czemu nie? – zgodził się Toshi.

Uśmiech A-Yue był zbyt szeroki, by nie wyglądać podejrzanie. Cyrkonia na siekaczu błysnęła w świetle ulicznych latarni. Pamięć wracała. By załatać ostatnią

dokuczliwą lukę, brakowało naprawdę niewiele.

九

Siedział na plaży tak długo, aż poczuł, że marznie. Złoty zegarek wcisnął do kieszeni, w ręce ścisnął stary telefon z klapką. A-Yue nie robił nic bez powodu. Wbrew pozorom, nawet w sprawach beznadziejnych miał swoją logikę i metodę. Powrót do Kentingu nie był wyjątkiem.

– Stary, co ci odbiło?! – Toshi brnął przez zarośla, liście palm szeleściły na wietrze.

Jakiś czas wcześniej siedzieli przy piwie, gadając w dużej mierze o niczym. Poza niezbyt fortunnym wypadem siedem lat temu i paroma historiami z rozbijania się po barach nie łączyło ich wiele. Zamilkli, kiedy temat zaczął niebezpiecznie zbaczać w kierunku tego, czym A-Yue zarabia na życie i czemu Toshi siedzi z nim na kanapie, zamiast badać rzadkie szczepy bakterii w uniwersyteckim laboratorium.

– Opowiesz mi o demonie kradnącym ludzkie twarze? – A-Yue przerwał ciszę. – Wtedy nie skończyłeś.

Toshi westchnął, jakby robił tym łaskę co najmniej czterem światom równoległym.

I opowiedział o dziewczynie z wytatuowaną twarzą, która zgubiła się w zimowej ulewie. Spotkała żołnierzy, którzy zamiast odprowadzić do wioski, zgwałcili ją i zabili. Skórę z twarzy ofiary zdarli, by, jak robili już zresztą nie raz, przechwalać się nią jak trofeum. I uszłoby im na sucho, gdyby nie duch dziewczyny. Gdy spali, zdjęła im z czaszek twarze, których potrafiła używać jak masek. Nosila je na przemian tak długo, aż nie natknęła się na kolejnych zbłąkanych wędrowców.

– Na łów wychodzi wraz z pierwszą zimową ulewą. –

Toshi pociągnął łyk piwa, za plecami przemknęła mu macka. – Wśród mgły górskich szlaków czai się na tych mniej i bardziej naiwnych. Zmienia ciała jak rękawiczki, bywała więc też chłopcem i siwą babuleńką. Najbardziej jednak lubi wcielać się w tych, których nikt nigdy o nic by nie podejrzewał. Co roku próbuje ściągnąć kłutwę. Zima to czas jej narodzin i łowów, ale i największej słabości. Szuka śmiałka, który zobaczy ją taką, jaka była, zanim straciła twarz, ściągnie maski jedna po drugiej, do rany przyłoży krwawą ofiarę. Ten, kto nie sprost wyzwaniu, popadnie w szaleństwo, zadynda na sznurze jak twój brat.

Po tych słowach przed oczami A-Yue wszystko rozmyło się w kalejdoskop barwnych plam. Kiedy się ocknął, siedział na plaży na tyle długo, że trzęsły nim zimne dreszcze. Musiał wyjść, choć nie pamiętał drogi.

Pamiętał za to, przejeżdżając po opuszkach palców nieco stępionym ostrzem, że scyzoryk nie raz ocalił mu skórę. Niedaleko był ocean, fale, ich języki zimne i toczące pianę zjadały po troszku horyzont. Granica między wodą a niebem zacierała się, w oddali stapiając je w jedno. W ciemną maź głębi, miejsce bez ucieczki.

Głębia, to ona była prawdziwa. I jej się bał, a nie jakichś duchów, macek i wspomnień, które nie trzymały się kupy.

– Pokaż kotku, co masz w środku. – Ścisnął scyzoryk i popchnął Toshiego na piasek.

Ciął szybko i sprawnie, bo w końcu nie pierwszy raz. Trochę krwi, trochę wrzasku, nic do czego nie przyzwyczaiłby się lata temu. Kolejne twarze zdzierał gładko niczym papierowe maski. Mignęła mu Ying, Hao i nawet ta dziewczyna, której imienia zdążył już zapomnieć. Wreszcie zobaczył mięśnie ledwo trzymające się kości i oślizgłe, zzieleniałe płaty policzków i czoła.

– A wiesz, że ładniejszą cię zapamiętałem – wysapał

i ciął dalej.

Czuł macki wspinające się po plecach, machnął więc nożem jeszcze raz i drugi. Oczy czarne jak noc i głębia spłynęły po trupich policzkach dwiema smolistymi strużkami. A-Yue otarł pot z czoła i odetchnął. Klęczał nad ciałem rozpływającym się wśród piasku w galaretowatą breję. Dopiero wtedy poczuł, jak opada z sił.

Wiadomość od wujaszka Hana przeczytał na werandzie. *Po sprawie już? Mam paru takich, których wypadałoby o coś skrócić.* A-Yue parsknął śmiechem. *Przyjmuję zapisy od środy.*

Szczątki zebrał do wiadra i polał płynem do zapalniczki. Rzuciwszy między nie zapałkę, poczuł ulgę. *Spalić twoje kości? Mówisz i masz.* Zbierał się na ostatni nocny autobus do Taipei, kiedy dotarło do niego, że to przecież zima i nie trafi się żaden przed świtem. Zastłuchany w szum morza, usiadł na werandzie. Mimo wszystko lubił to miejsce, gdzie powietrze pachniało deszczem. I to nawet jeśli smród palonych kości psuł nieco wrażenie.

Telefon zawibrował, wygrywając znajomą melodię. A-Yue wygrzebał go z kieszeni, trochę zły, że zaczyna lubić piosenki w stylu new romantic. Palce trafiły na skrawek papieru. Dziękuję. Charakter pisma Hao poznałby wszędzie. Składał bilecik ostrożnie, jakby bał się, że pomnie go w palcach.

Nagle syknął. Macka rozciągnięta na papierze w zawiąsy znaków smagneła go w oko. Gdyby przejrzał się w aparacie, zauważyłby, jak jego źrenica rozplywa się czarnym kleksem aż po białko. Nie miał natury ofiary, wiedział, że sam sobie to zrobił. Mrok głębi, której tak bardzo się bał, był w nim zawsze, tym razem jednak, zamiast gnić w zakamarkach duszy, wypłynął na powierzchnię. Unosił się na niej pewnie, z dumną, której nabierał latami, pojąc się mieszanką cudzego strachu,

krwi i chrzęstu łamanych kości. Rósł, pęczniał, wreszcie wyrwał się na wolność. Wrócił do korzeni w miejscu, które go stworzyło.

Klątwa czy nie, czyny mają konsekwencje. Grunt, żeby nie rzucać się w oczy, to przeszkadza w życiu. Dobrze, że A-Yue nie musiał się tym martwić, bo rzadko ściągał ciemne okulary.

JAROSŁAW DOBROWOLSKI

APOKALIPSA WEDŁUG ŚWIĘTEGO BOROWEGO

Drewniane powieki zamrugały, przysłaniając zdziwione spojrzenie oczu lśniących upiornym zielonym blaskiem. Borowy podrapał się po stwardniałej skórze głowy, przepłaszając spomiędzy porastających ją ciernistych dredów gnieźdzące się tam pająki. W porannej mgłę rozlewającej się szronem pod betonowym mostem ledwo dostrzegając sardoniczny uśmiech wodnego demona bawiącego się nabrzmiętym ciałem wyłowionego z rzeki topielca.

– Nie może być – wychrypiął, zaskoczenie kryjąc pod toporną warstwą irytacji. – Nie ma takiego miejsca.

– A jednak. – Wodnik czule przeczesał mokre włosy sinego trupa. – Tam dokąd płyną rzeki, daleko poza mgłami znajdziesz lasy porastające dzikie zbocza gór. Pierwotny ląd, gdzie żaden człowiek nie postawił jeszcze stopy.

Borowy pokręcił sękatą głową i strzepnął swędzący mech wspinający się na jego ramię. Warknął w irytacji, kiedy kolejna metalowa bestia przejechała z łoskotem wysoko nad ich głowami.

– Po co mi to mówisz? – mruknął przeciągle.

– Bo widzę, że się męczysz, stary dziadu. – Wodnik rozczapierzył połączone błoną palce, rozwierając szczęki topielca. Wyciągnął czerwonego raka moszczącego się w gardle trupa i pomachał nim sobie przed nosem. – Ty i twoje córki nie możecie znaleźć sobie miejsca. Ile wam tego lasu zostało w okolicy? Parę spłachetków, pomiędzy którymi ludzie rozlali czarną maź swoich dróg. Przyznaj

to, że boisz się nawet zbliżyć do nich. Stary już jesteś, ślepy i przygłuchy. Nigdy nie wiesz, kiedy te ich huczące potwory nie wyskoczą zza zakrętu, żeby cię ubić, tak jak to robią z dzikami i sarnami.

– Musisz to robić? – Borowy odwrócił wzrok od wodnego demona, nie chcąc patrzeć na jego zabawy z martwym ciałem.

– Niby co? – Wodnik wykrzywił pomarszczoną twarz, udając zdziwienie. Gmerał właśnie nieco głębiej w gardle topielca, zastanawiając się, którym otworem wydostaną się gazy zgromadzone w jego brzuchu.

– Ten człowiek. – Borowy przeszedł kilka kroków i kopnął plastikową butelkę, którą rzeka wyrzuciła na kamienisty brzeg. – Po co to robisz? Ludzie pewnie go szukają...

– I jeszcze trochę poszukają. – Wodnik wyszczerzył rzędy szarych zębów, jednocześnie przekręcając głowę topielca i rozciągając jego usta w upiornej parodii uśmiechu. – Odstawię go... jak z nim skończę. Podrzucę gdzieś w zarośla, żeby wędkarze go znaleźli.

– Utopiłeś go?

– W sumie to nie. Widziałem, jak po pijaku wszedł na lód. Nawet chciałem go złapać za nogę i wciągnąć, ale lód sam pękł, a on dał się porwać nurtowi. Płynąłem razem z nim i patrzyłem w te jego przerażone oczy. Machał tak śmiesznie rękoma, jak głupi. Ale nie wiedział już, gdzie góra, a gdzie dół. Dusił się. Serce najpierw łomotało mu jak ogon leszcza wyrzuconego na plażę, ale zaczęło zwalniać. Kiedy w płucach było więcej wody niż powietrza, zaczął... odpływać. Życie uciekło z niego niczym przestraszona ważka ulatująca z tataraku.

Borowy przykucnął na brzegu rzeki i pozwolił splotom korzeni porastających mu stopy przebić cienką warstwę lodu i wnikać w wodę. Jego rozbiegany wzrok szukał czegokolwiek, na czym mógłby się zatrzymać.

– Nie chcesz na niego patrzeć? – zdziwił się Wodnik.

– To człowiek. Ludzie są... groźni.

– Przesadzasz.

– Rozplenili się jak grzyb w zmurszałym lesie! Pożarli ziemię. Zabrali nam braci i siostry. Przekabacili, biorąc ich za bogów, a w końcu zabili, kiedy przyszła nowa wiara, która nie znosi konkurencji. Są jak szarańcza. Wycinają las i sadzą własne drzewa. Płoszą zwierzynę i wszędzie stawiają te swoje legowiska i stalowe wieże połączone linami, w których ujarzmili burzę.

Wodnik pokręcił głową i nachylił się nad topielcem. Szponiastymi paluchami zaczął ugniatać nabrzmiały brzuch, badawczo pociągając przy tym nosem.

– Sam widzisz. Zabieraj córki i wynoś się, byle dalej. Znajdź to miejsce. Osiedź tam i go strzeż. Nie można żyć w strachu.

– Bzdury! – Borowy wstał gwałtownie i pożałował tego, czując chrupnięcie próchniejących kolan. – Co ty możesz wiedzieć? Taplasz się w ludzkim gównie i śmieciach, a dla zabawy gwałcisz ich trupy...

Wodny demon miał już na końcu pomarszczonego języka kilka szczerych słów odnoszących się do głupiego uporu rozmówcy. Lecz niespodziewanie od betonowych ścian odbił się ryk metalowej bestii. Sztuczne światło rzucone przez oczy stworzonego przez ludzi monstra omiotły nabrzeże pod mostem. Spłoszony Wodnik chwycił ciało topielca i skoczył do wody. Borowy zaś skrył się za betonową podporą. Jego na wpół drewniane serce waliło w rytm fal strachu rozlewających się po prastarym ciełe.

Warkot metalowego tworu ludzkiej inwencji zbliżał się nieubłaganie. Niósł ze sobą niewypowiedzianą groźbę. Ucieleśniał wszystkie strachy, jakie nie pozwalały leśnemu demonowi zaznać spokoju.

– Nie ma wytchnienia – Borowy warknął do siebie.

Napędzana iskrą i ogniem maskara bez ostrzeżenia przestała warczeć, a światła jej oczu znikły niespodziewanie. Leśny demon odczekał chwilę, po czym wyrzwał zza zasłony. W ciszy zaczął wzywać mgłę znad rzeki, aby umknąć przed ludzkim wzrokiem.

Kiedy zimny opar podniósł się wysoko i stał się gęsty, Borowy zaczął cicho przemykać w kierunku lasu. Ukradkiem tylko spoglądał w stronę ludzkiego pojazdu, lecz nie widział, aby jakiś człowiek wysiadł z jego wnętrza. Mimo wszystko pragnął czym prędzej zniknąć. Byle dalej od ludzkich oczu.

Początkowo przemieszczał się brzegiem rzeki. Jego sękaty stopy kruszyły lód i brodziły w brudnym mule, co chwila gniotąc pozostawione przez ludzi wytwory ich cywilizacji. Szklane lub plastikowe butelki, stare torby oraz wszelkiej maści śmieci, jakie można by sobie wyobrazić.

Spoglądając w górę, demon nie mógł nadziwić się, jak niewiele gwiazd mógł zobaczyć. Wszędobylska luna bijąca od skupisk ludzkich skutecznie przesłaniała niebo, nie pozwalając nacieszyć się widokiem bezkresu.

Unikał ludzi. Kiedyś lubował się w obserwowaniu ich. A był przecież czas, kiedy myślał, a nawet miał nadzieję na współistnienie. Pomagał. Naganiał im zwierzynę, odpędzał drapieżniki i czasem prowadził ich bezpiecznie do domu lub tylko dla zabawy mieszał im ścieżki. Ale ludzie nie szukali kontaktu. Nie szanowali tego co naturalne. Brali, co im się spodobało. Wycinali lasy, zakładali pola i pożerali zwierzynę. Ich osady rosły jak grzyby po deszczu. Drewniane, murowane, a teraz łączące ze sobą wydobytą z ziemi stal, przetopiony kwarc i coś, co nazywali betonem.

Pałące gardło powietrze nadal niosło ze sobą szum wytyczonej przez ludzi czarnej drogi przecinającej pola i lasy. Łoskot wydawany przez toczące się po niej

blaszane monstra drażnił uszy i wywoływał cierpkie dreszcze, przebiegające po twardych plecach demona.

Nie potrafił zrozumieć, gdzie podziały się ścieżki, które wytyczał, zanim pojawił się tutaj pierwszy człowiek. Jak to się stało, że ta wątła rasa chorowitych i krótko żyjących istot rozmnożyła się niczym zaraza, a następnie pochłonięła wszystko i przemieniła na własną modłę.

W zamyśleniu wszedł w las. Kroczył nim śmiało, lubując się w skrzypieniu śniegu pod sękatymi stopami. Z pogardą spoglądał na pogrążone we śnie, spolegliwe drzewa. Już dawno pogodziły się ze swoim losem. Żyły w przekonaniu, że prędzej czy później przyjdzie człowiek i zetnie je, żeby zrobić z nich deski. Nie buntowały się. W ciszy czekały na kres swych dni.

Zwierzyna w lesie była równie nieporadna. Choć sarny czy jelenie łatwo dawały się spłoszyć i unikały ludzi, to Borowy potrafił zastać je grzebiące nosami w stertach ściemi usypywanych przez nich byle gdzie.

– Nie ma dla nas miejsca – warczał niezadowolony.

Słowa Wodnika nadal chodziły mu po pożeranej przez korniki głowie. Czy to możliwe, żeby gdzieś tam były pierwotne lasy? Ziemię bez człowieka? Nawet jeżeli, to wyprawa w ich poszukiwaniu zdawała się Borowemu niemożliwa. Bo jak przemierzyć przestrzenie, na których co i rusz trafiało się na ludzkie osady? Jak wędrować, kiedy co chwila nachodziło się na czarną wstęgę drogi i niesioną przez nią śmierć?

Rozmyślając, nawet nie zwrócił uwagi na to, kiedy dotarł do znajomej sobie polany. Pamiętał to miejsce doskonale. Jego córka, Mamuna, lubiła tutaj spędzać czas, plotąc babie lato i czekając na zbłąkane ludzkie dzieci. Kiedyś rosły tu dzikie kwiaty, a wysokie trawy dawały schronienie zającom i polnym myszom. Dzisiaj stał tutaj ogromny słup ze splecionej w geometryczne

kształty stali. Unosił on na sobie ujarzmiające burzę przewody, mknące w dal jak okiem sięgnąć przez przecinkę wysypaną głównie piachem.

Nad głową Borowego, gdzieś wysoko z rykiem przecieciał kolejny wytwór ludzkich rąk. Ważka z metalu o skrzydłach wirujących wokół własnej osi.

– Nawet niebo sobie przywłaszczyli – wycodził przez zaciśnięte zęby.

– Co powiedziałaś, ojcze? – Cichy głos dobiegł go od strony podnóża metalowej konstrukcji. Borowy spojrzał w tamtą stronę i postąpił parę kroków.

Tuż pod ujarzmiającym burzę słupem leżała Mamuna. Jej widok sprawił, że na wpół zdrewniałe serce demona niemal pękło na dwoje. Wychudzone ciało boginki skręcało się w nienaturalny sposób. Długie, chude łapy oplatały się wokół jej zabiedzonego torsu. Spoglądała w górę wielkimi, szklistymi oczyma.

– Córko... – demon wychrypiał żałośnie, stając nad Mamuną. – Powstań. Nie przystoi ci tak leżeć w tym miejscu.

– Kiedy ja nie mogę – odparła cicho.

Borowy kucnął obok niej i przeczesał sękatą dłonią jej cienkie niczym pajęcza nić włosy. Dotknął jej czoła i wzdrygnął się. Było zimne i twarde niczym kamień. Pozbawione życia.

– Co się z tobą stało, dziecko?

– Dziecko... – wychrypiała. – Dzieci... Ludzkie dzieci.

W jej oczach zalśniły wielkie, zielone łzy. Skuliła się mocniej i zadrżała.

– Ludzkie dzieci – mówiła coraz słabiej. – Próbowalam...

Leśny demon przeraził się. Jęknął żałośnie i położył obie dłonie na wychudzonej bogince.

– Nie mów, córko, że próbowałaś uprowadzić ludzkie dziecko.

Wielkie oczy Mamuny zamknęły się na chwilę. Ponowne uniesienie cienkich powiek wydawało się trwać wieczność i kosztować ją ostatki sił.

– Oczywiście – szepnęła.

– Zabroniłem ci przecież...

– Zakazy... nakazy... – jęknęła. – To ludzkie wymysły. Ja jestem Mamuną. Podmieniam ludzkie dzieci. Biorę i nie oddaję.

– Ludzie są zawistni, córko. Chronią swoje młode. Wiesz przecież.

– Wiem... – odparła prawie niedosłyszalnie. – I płacę za to... z radością.

Jej powieki opadły ciężko, by się już nigdy nie otworzyć. Pojedyncza łza pociekła po jej pomarszczonym obliczu. Długie łapy, którymi się oplotła, opadły na ziemię, wypuszczając z mocnego uścisku ubrudzoną w piasku i krwi plastikową podobiznę małego dziecka, jakimi ludzie zabawiali swoje młode.

Borowy pochylił głowę. Smutek i żałość zapanowały w jego twardniejącym sercu. Ponad głową słyszał trzaski burzy ujarzmionej w tej dziwnej konstrukcji postawionej tu ludzką ręką. Pod dłońmi zaś czuł, jak ciało Mamuny rozplywa się w mgłę i rozwiewa, by nie zostawić nic po sobie.

Z gardła leśnego demona wydobył się jęk pełen żałości. Samotność wyciągała po niego swoje lepkie łapska.

Tam, dokąd płyną rzeki – w jego głowie zabrzmiał głos Wodnika. – ...daleko poza mgłami znajdziesz lasy porastające dzikie zbocza gór. Pierwotny łąd, gdzie żaden człowiek nie postawił jeszcze stopy.

Serce Borowego schwyciła jakaś niewidzialna siła, która próbowała z niego wycisnąć wszelką chęć do życia. Jego trawiony przez korniki umysł szalał i miotał się niczym lis złapany w sidła. Im więcej walczył ze sobą, tym bardziej rozumiał, że nie ma już nic. Nic poza

ostatnią córką, która mogła podzielić los Mamuny lub u jego boku spróbować przeżyć ludzki świat i poszukać krainy z opowieści Wodnika.

Wlokąc za sobą sękatę łapska, ruszył przed siebie. Uprosił leśne ścieżki, by po raz ostatni poniosły go bezpiecznie do jego dziecięcia. Te zaś odpowiedziały. Układały się pod jego stopami, prowadząc go bezpiecznie między ludzkimi osiedlami, z dala od czarnych wstęg przemierzanych przez stalowe potwory.

– Córko! – wołał. – Gdzie jesteś?

Nikt mu nie odpowiadał. Choć przemierzał przyjazne ścieżki i zaglądał za najstarsze drzewa, nigdzie nie widział swojego ostatniego dziecięcia. Strach coraz mocniej zacieśniał uścisk na jego starym sercu. Czyżby było za późno?

Zmęczony, zatrzymał się na brzegu leśnego bajora, które przechodziło w bagniste zarośla. Podniósł kamień i cisnął nim, krusząc zamarznąętą tafel brunatnej wody.

– Wodnik! – zawołał całą siłą swoich prastarych płuc.

Przez chwilę nic się nie działo. Las szumiał na wietrze. Stare drzewa jęczały i trzaskały poruszającymi się konarami. W końcu nieruchoma tafla bajora drgnęła. Na jej powierzchnię wypłynął bąbel, a potem drugi i następne. Po chwili z bulgoczącej plamy piany wynurzyła się pomarszczona głowa, pokryta szlamem i glonami.

– Borowy... wiesz, że nienawidzę bagnisk. – Wodnik strzepnął zielone porosty z czaszki.

– Mamuny już nie ma... – leśny demon wyjęczał żałośnie.

– Współczuję, bracie.

– Moje ostatnie dziecię... nie mogę jej znaleźć. – Oczy Borowego błagały o pomoc.

Wodnik wyczołgał się na brzeg. Jego połamane, cienkie niczym patyki nogi ciągnęły się za nim bezwładnie.

– Twoja córka... – zastanowił się. – Lubiła śpiewać na skraju rzeki i uwodzić młodzieńców błędzących po lesie, prawda?

Borowy przytaknął tak energicznie, że aż kora odpadła mu z karku.

– Idź zatem na skraj czarnej wstęgi, bracie. Podążaj wzdłuż niej.

Leśny demon cofnął się o krok i z przerażeniem spojrział na Wodnika.

– Jak to?

– Ano tak... Tam... tam są ludzkie kobiety, które uwodzą... innych ludzi. Może twoja córka postanowiła się... przystosować. Tam jej szukaj.

– Pośród... ludzi?

Wodnik jedynie wzruszył kościstymi ramionami.

– A masz lepszy pomysł?

Wyrzygana niegdyś przez potworną machinę, zrobiona z zastygłej mazi czarna wstęga biegła przez pola i lasy, łącząc ze sobą wiele ludzkich osiedli. Długimi godzinami Borowy podążał wzdłuż niej, wypatrując jakiegokolwiek znaku obecności ludzkich istot. Jednak poza zaśmieconym poboczem nie dostrzegał żywej duszy. Od czasu do czasu mijał odnogi wstęgi rozchodzące się na boki. Za każdym razem walczył ze sobą, aby zmusić się do przemknięcia na ich drugi kraniec.

Na skraju mglistego poranka dostrzegł w końcu ludzką kobietę na poboczu. Przechadzała się w tę i z powrotem. Jej pusty wzrok spozierał gdzieś w dal, jakby tęskniąc za czymś bardzo ulotnym. Trzęsła się z zimna, a z jej ust wydobywały się obłoki pary.

Borowy przycupnął w osłonie gęstwiny lasu. Dla

pewności oblekł się w mgłę, licząc, że nie zostanie zauważony. Znużenie dawało mu się już we znaki. Obawiał się jednak, że jeżeli gdzieś zaśnie, może obudzić się w jeszcze gorszych czasach.

Zastanawiał się, jak podejść do tej istoty ludzkiej? Jak do niej przemówić? Czy go zrozumie? Choć w jego próchniejącej głowie pojawiały się różne pomysły, jakaś wewnętrzna siła nie pozwalała mu się ruszyć. Siedząc tak, myślał, czy jednak się nie wycofać? Zwyczajnie odejść, by szczerząc gdzieś w spokoju, zupełnie jak umęczona Mamuna? Byłoby to o wiele łatwiejsze niż stawienie czoła człowiekowi.

Po jakimś czasie zobaczył, że kobieta zaczyna nerwowo się przemieszczać. Krążyła w tę i z powrotem, przestępując z nogi na nogę. W końcu zatrzymała się, westchnęła i ruszyła w stronę lasu. Borowy skulił się jeszcze bardziej i w przerażeniu obserwował zbliżającą się istotę, która ucieleśniała sobą wszystko, co mu zagrażało.

Kobieta o pustym wzroku przeszła tuż obok niego, jakby go wcale nie widziała. Podążyła nieco dalej, po czym przykucnęła gdzieś w krzakach, wypróżniając się na leśne runo. Skończywszy, wstała, wytarła się i z przewieszanej przez ramię sakwy wyciągnęła suchy tytoń. Za pomocą urządzenia krzesającego ogień zapaliła zwitek liści i zaczęła przechadzać się po lesie, wypuszczając z siebie śmierdzące opary.

Gniew i zgorzenie zawrzały we wnętrzu demona. Oczywiście, zwierzęta też wypróżniały się w lesie, ale przechadzanie się po nim z przenośnym źródłem ognia wydawało się mu niezwykle niebezpieczne. Zupełnie jakby kobieta wiedziała, że może być otoczona przez duchy i pokazywała im, że się nie boi, ponieważ potrafiła ujarzmić płomień.

Nie poruszając nawet gałązką, Borowy obserwował kobietę o pustym spojrzeniu. To, jak kluczyła po ścieżce

oraz jak bez najmniejszego oporu strzepywała popiół dookoła siebie. W końcu wyrzuciła wciąż tłący się ogarek i zupełnie jakby chciała zaśmiać się leśnym duchom w twarz, zdeptała go stopą.

Uznając, że oto jest moment na działanie, Borowy poprosił ścieżki, aby splątały swe biegi. Dzięki temu kobieta, chcąc wrócić na swoje miejsce przy pasie czarnej wstęgi, zaczęła kluczyć po leśnym dukcie, nie mogąc dojść do tego, w którą stronę właściwie powinna iść. Kiedy zaczęła ją otaczać mgła, przystanęła na chwilę, trzęsąc się z zimna i strachu.

– Nie obawiaj się – Borowy mruknął, stając tuż przed nią.

Nie wiedział, jak kobieta zareaguje. Nawet pomimo tego, że oblekł się we mgłę i skulił, bacznie obserwował jej reakcję. Władzała przecież ogniem. Jakie było jego zaskoczenie, kiedy jej paniczny wrzask odbił się echem po lesie. Piszcząca, jakby obdzierano ją ze skóry.

Wyprostował się i wyciągnął do niej sękatą rękę. Chciał przeproszać, uspokoić ją, pokazać, że nie ma złych zamiarów. Ujawnienie się odniosło odwrotny skutek. Ludzka kobieta zaczęła krzyczeć jeszcze głośniej, po czym odwróciła się, by uciec. Jej bieg nie trwał długo, ponieważ splątane przez demona ścieżki niemal natychmiast doprowadziły ją ponownie przed jego oblicze.

Nie chcąc, by jej wrzask sprowadził do nich kolejnych ludzi, złapał kobietę w pokryte sękami ramiona. Jego palce wydłużyły się i oplótły wokół jej głowy, zasłaniając nos i usta.

Szarpała się jeszcze przez chwilę, co sprawiło, że jedynie zacieśnił uścisk. Nigdy by się nie spodziewał, że te krwiożercze, władające nienaturalnymi żywiołami istoty będą tak delikatne. Bardzo szybko poczuł na gałęziach swych palców ciepłą krew kobiety. Usłyszał, jak trzaska chrząstka jej nosa i pękają kości czaszki. Przyglądał się jej,

kiedy coraz słabiej wierzgała, oczy zrobiły się czerwone, a lico sine niczym u topielca. W końcu zwiotczała w jego uścisku i już się nie poruszyła.

Rzucił truchło na ziemię, wykrzywiając porastającą mchem i drewnem maskę swojej twarzy. Przykucnął nad ciałem, miarkując przez chwilę, co właściwie powinien zrobić. W końcu, nie mając lepszego pomysłu, położył dłonie na ziemi. Jego palce wniknęły w glebę, sięgając do okolicznych drzew i krzewów, roślin oraz grzybów. Zawezwał je, by oplotły zewłok człowieka, wniknęły węń i tchnęły w niego odrobinę swojego życia.

Jak na zawołanie z ziemi wystrzeliły giętkie i ostre korzenie, by wbić się we wciąż miękkie i soczyste mięso. Dalej drążyły w środku ciało, rozprzestrzeniając się i łącząc z systemem nerwowym ludzkiej istoty. Mchy zaczęły porastać jej skórę, a unosząca się w powietrzu grzybnia przedostawać do jej ust i nosa.

Po chwili ulotna poświata zawisła nad ciałem. Przerażone oczy sinego trupa zamrugały i zabłyśły zielonym światłem. Usta kobiety drgnęły i poruszyły się bezgłośnie.

– Nnn... nic nie widzę... – wydusiła w końcu z siebie, kiedy powietrze na powrót zagościło w jej płucach. – Co... się dzieje?

– Nie żyjesz – Borowy odparł spokojnie. Choć wciąż czuł lęk przed ludzką istotą, teraz przynajmniej miał ją w swojej mocy. Brzydził się tego, lecz potrzeba odnalezienia swego ostatniego dziecka okazała się silniejsza niż wszystko inne.

– Jak to się stało?

– Chyba cię zabiłem – mruknął, pochylając się nad nią. – Nie jest mi przykro, jeżeli się nad tym zastanawiasz.

– Ale dlaczego... Co ja zrobiłam? Jak to możliwe... że nie żyję, ale ze mną rozmawiasz?

Leśny demon pokręcił głową ze skrzypieniem wyginanej kory.

– Uwolnię cię – obiecał. – Ale musisz odpowiedzieć mi na pytanie.

Kobieta jęknęła, bezskutecznie próbując potaknąć martwym karkiem.

– Moja córka – Borowy kontynuował niewzruszony. – Widziałas ją?

– Ale ja... nie wiem...

Demon westchnął ciężko. Przywołał w myślach obraz swego dziecięcia. Jej uśmiech, taki smutny i radosny zarazem. Ciepłe i nostalgiczne spojrzenie. Oliwkową skórę pokrytą pełnymi życia tatuażami.

– Tak! – Kobieta szarpnęła się oświecona. – Widzę ją. Znam ją. Znałam ją!

Borowy odetchnął z ulgą. Nadzieja zawitała w jego starym sercu.

– Mów – polecił niemal uradowany.

– Rozmawiałam z nią. Dziwna taka była, ale miła. Odjechała.

Fala strachu, która uderzyła w Borowego, rozbiła jego rosnące nadzieje. Udzieliła się również martwej kobiecie. Błyszczące na zielono oczy rozszerzyły się i pociekły z nich ostatnie w jej życiu łzy.

– Współczuję ci... – kobieta wycodziła przez zaciśnięte gardło. – Czuję twoją samotność i twój strach. Nie rozumiem ich... ale współczuję.

– Na co mi współczucie człowieka?

– To też czuję. Jesteś samotny... Znam się na samotności. Dlatego powiem ci, gdzie ją znajdziesz...

Przed oczami duszy Borowego ukazał się obraz jego największego strachu. Stworzonego przez ludzi gąszczu monolitów z betonu, stali i kwarcu. Poprzecinane czarnymi wstęgami arterie metropolii, po której poruszały

się stalowe bestie wszelkiej maści. Ludzi przemyskających między niebotycznymi wieżami. Ujarzmiających burzę, ogień i wodę. A pomiędzy tym pozbawione duszy drzewa i krzewy wyrastające z betonowych chodników. Pośrodku tego zaś zobaczył niewysoki, rzeźbiony monolit. I wiedział, że znajdzie tam córkę. W samym środku swojego najgorszego koszmaru.

Dębowe drzwi w zastraszającym tempie pokryły się wykwi-tami mchu. Odpadająca od nich biała farba wypychana była przez wyrastające spomiędzy desek poskręcane gałęzie i pnąca. Cuchnące dymem, alkoholem i perfumami, ciemne wnętrza mieszkania w kamienicy na chwilę rozświetliła zielona aura. Wielkie drzwi zadrżały, skrzypiąc i jęcząc, by po chwili eksplodować w mrowiu drzazg.

Z jednego z licznych pomieszczeń wypadł zasko-czony mężczyzna. Po jego łysej czaszce tańczyły refleksy kolorowych lamp oświetlających przedpokój. Wście-łość w jego oczach na chwilę przygasła, kiedy zobaczył niezrozumiały dla siebie widok stwora stojącego w wejściu do mieszkania. Przegryzł kwitnącą w gardle kulę strachu, zacisnął wytatuowaną dłoń na trzonku gumowego młotka i ruszył przed siebie.

Kurz i pył opadały powoli. Stojący ponad szcząt-kami drzwi stwór z obrzydzeniem patrzył na połysku-jące sztucznym światłem wnętrza i szarżującego nań draba ściskającego w dłoni dziwne narzędzie zrodzone z plugawej unii drewna i chemikaliów. Nie zważając na zagrożenie, schylił głowę, by zmieścić się w przejściu, i wkroczył do środka mieszkania.

Pierwszy cios, który spadł na jego bark, odbił się od skóry gęsto pokrytej splotami drewnianych mięśni.

Kolejny wysadził ze stawów masywną zuchwę, czemu towarzyszyło nieprzyjemne chrupnięcie.

– Córuś... – stwór wychrypiał, patrząc w dal ponad ramionami napierającego nań draba.

Jeszcze jedno uderzenie...

Pełny irytacji warkot wydobył się z masywnej piersi, brzmiąc niczym chrzęst trących o siebie zmurszałych gałęzi. Nie mógł przecież pozwolić, by coś go powstrzymało. Żaden człowiek go nie powstrzyma. Już nie. Nie teraz. Nie po tym, co przeszedł, aby dostać się w to piekielne, pozbawione życia miejsce.

Rozejrzał się, szukając czegoś, co mogło mu pomóc. Widział wewnątrz korytarza udekorowane obrazami nagich ludzi, oprawionymi w plastikowe ramy. Drzwi do licznych pomieszczeń zrobione ze sprasowanych wiórów utopionych w sztucznym kleju. W żyłach budynku płynęła woda, ale zanieczyszczono ją chemikaliami oraz uwięziono w okowach metalu i plastiku. Lecz tuż pod stopami znajdowało się drewno. Stare, martwe i przykryte warstwami lakieru.

– Cóóórrrrkoooo!!! – żalosne wycie rozlało się po całym budynku. Odpowiedziały mu piski przerażenia dobywające się zza otaczających go zamkniętych drzwi.

Łysy mężczyzna zwątpił w swoje siły. To co widział przed sobą, przerastało jego mizerną wyobraźnię i wykraczało poza jakiegokolwiek zrozumienie. Kiedy stwór postąpił kolejny krok do przodu i smagnął go swoimi chrzęszczącymi łapami, upadł na podłogę, z trudem łapiąc oddech. Twarz i klatka piersiowa piekły go, jakby ktoś właśnie wychłostał go wierzbowymi witkami, lecz cios okazał się mocny niczym uderzenie młotem.

Działał odruchowo. Ponieważ delikatny środek perswazji nie zdał egzaminu, sięgnął po śmiercionośną broń. Odrzucił więc młotek i wcisnął rękę za pazuchę

skórzanej kurtki, by wyciągnąć pistolet. Wymierzył go w intruza i nacisnął spust.

Huk wystrzału rozerwał powietrze. Potem następny i jeszcze jeden. Zza drzwi pomieszczeń odezwały się kolejne piski oraz wrzaski pełne skrajnego przerażenia. Mężczyzna widział, jak kule rozrywają dziwne ubranie intruza, a brązowa krew bucha z ran na jego klatce piersiowej i brzuchu.

Ugodzony przez pałace pociski stwór jęknął przeciągle i zachwiał się na grubych nogach. Był ogromny i wściekły. Jego zmierzwiona fryzura z przypominających rogi patykowatych włosów sięgała wysokiego sufitu, a długimi ramionami opierał się o ściany korytarza.

Przez łysą czaszkę draba przebiegło pytanie, na które nie potrafił sobie odpowiedzieć. Bo jak to jest możliwe, żeby krew tego czegoś topiła podłogę? Wzerała się w nią, a tam gdzie upadła, wyrastał mech i gałęzie? Po chwili nie miał już szans się zastanawiać, ponieważ podłoga dookoła niego ożyła. Gałęzie, pnącza i wici zaczęły wystrzeliwać ze szpar między deskami. Oplatały się wokół jego rąk, nóg i torsu niczym węże.

Prawie natychmiast stracił oddech, czując, jak oczy wychodzą mu z orbit. Nie mógł krzyczeć, choć słyszał trzask łamanych kości, a pękająca skóra na jego ciele broczyła krwią. Ciśnienie było nie do zniesienia. Czuł, jak wszystko w nim jest miażdżone. Jak ściskane przez napierające wnętrzości serce przestaje pompować krew, a do jego gardła, nosa i odbytu wdzierają się kolczaste gałęzie, by rozrywać go od środka. Ostatnie co widział, to cień stwora stąpającego tuż nad nim.

– Cóóórkoooo... – rozległ się bolesny jęk.

Borowy podszedł do pierwszych drzwi i wysadził je z zawiasów kopnięciem sękaty nogi. W środku pomieszczenia panował półmrok. Za szerokim łóżkiem skrywała

się drobniutka, naga dziewczyna. Za nią zaś cował się opasły mężczyzna bezskutecznie próbujący naciągnąć na siebie spodnie. Sapał ciężko. Na jego czole i trzęsącym się jak galareta podgardlu perlił się śmierdzący pot.

Kolejny pokój i kolejne przerażone dziecko o długich, czerwonych włosach.

Następny, a w nim kobieta, wciąż przywiązana do łóżka, oświetlana przez wiszącą na ścianie taflę emitującą ruchome obrazy pełne perwersji i cierpienia. Obok niej zaś dwóch podstarzałych mężczyzn próbujących wyswobodzić się ze skórzanych masek.

Szukał dalej. Wkroczył do ostatniego pomieszczenia. Tam, na skórzanej kanapie pół siedziała, pół leżała ona. Jej zielono-niebieskie loki spływały kaskadami na smukłe ciało pokryte tatuażami zrobionymi ze światła księżycy i liści paproci. Zmęczona twarzyczka kryła nieprzytomne oczy patrzące bez wyrazu gdzieś w przestrzeń.

– Córzuś – chrząszczący jęk demona rozlał po pomieszczeniu żal i ból. – Kalinko. Rusalko ty moja – mruknął i delikatnie wziął dziewczynę w sękaty ramiona. – Wracamy do domu.

Kalina uniosła nieprzytomny wzrok i pogładziła stwora po szorstkim policzku. Jej uśmiech był smutny i przemiął tak szybko, jak babie lato na wietrze.

– Nie ma już domu, Borowy...

Leśny demon wyprostował się i skierował do wyjścia. Tulił mocno dziewczynę do krwawiącej piersi. Każdy chrapliwy oddech wydobywający się z niego brzmiał jak chrząst upadającego drzewa. Każdy ruch sprawiał mu trudność. W pobliżu nie było nic na tyle żywego, by mogłoby mu pomóc.

Postawił długi krok ponad zmasakrowanymi zwłokami łysego człowieka i skulił się, wychodząc poprzez rozsądzone przez gałęzie drzwi mieszkania. Łoskot jego

ciężkich kroków na schodach odbijał się echem między ścianami starej kamienicy.

Na zewnątrz panowała biała noc. Śnieg przysłaniał zasypane ulice miasta, ukrywając pod grubą warstwą puchu brud, który pokrywał martwe ulice metropolii.

Ciężko kroczył, kierując się ku płynącej niedaleko rzece. Każdy krok sprawiał mu ból. Każdy oddech chrypiał coraz mocniej, kiedy przestrzelona pierś broczyła brązowo-zieloną krwią. Brudne, pełne pyłu i smrodu powietrze dusiło. Sękaty stopy ślizgały się, nie znajdując oparcia w ziemi, a natrafiając jedynie na asfalt i beton. Nawet rosnące wzdłuż ulic samotne drzewa stały ciche, w zimowym śnie marząc jedynie o blasku słońca i wolności dla swych korzeni szukających życia w tej odrobinie gleby, jaką ofiarowało im ludzkie siedlisko stworzone z betonowych monolitów. Były takie ciche. Smutne i cywilizowane. Pozbawione duszy.

Krew demona spływała wprost z ran na delikatne ciało Kaliny, a dalej skapywała na śnieg. Każda jej kropla sprawiała, że tatuaże na skórze dziewczyny nabierały blasku, a to co spadło na ziemię, pozostawiało za nimi ścieżkę z kwiecistych krzewów wyrastających na śniegu.

Nieliczni ludzie przemykali ulicami miasta, podążając do swoich betonowych kryjówek. Kiedy widzieli niezwykłą parę, nie pytali czy pomóc. Borowy nawet na nich nie patrzył. Wyciągali jedynie swoje małe, świecące zabawki, by uwiecznić tę chwilę w statycznym lub ruchomym obrazie.

– Po co przyszedłeś? – szepnęła dziewczyna. – Czemu to robisz?

Borowy nie odpowiedział, tylko podążał przed siebie. Co chwila spoglądał w górę na kołujące ponad nim ciekawskie kruki. Rozglądał się, z grozą patrząc na stalowe bestie ustawione przy czarnych wstęgach ludzkich dróg.

Aby dotrzeć do rzeki, zeszli po wielkich, betonowych schodach. Każdy krok Borowego był coraz cięższy. Jego opiekuńczy uścisk stawał się słabszy. Jeden po drugim, oddechy robiły się płytsze.

– Wrócisz do domu, dziecko – jęknął, wchodząc do zimnej rzeki.

Kiedy to robił, czuł, jak zanieczyszczona woda pali jego skórę zimnym ogniem chemikaliów, śmieci i ludzkich ekskrementów.

– Nie ma już domu – Kalina szepnęła, wtulając się w skórę pokrytą korą. – Nie ma lasów, ni polan. Nie ma cnych młodzieńców do uwodzenia, ani pięknych pieśni do śpiewania. Powietrze pali niczym ogień. Pory roku oszalały. Spłachetki drzew pozostałe po potężnych głuszach przecinane są przez blizny z asfaltu, po których jeżdżą stalowe monstra chlapiące dookoła olejem i smrodzące spalinami. Jedyne co rusałka może zrobić w tym świecie, to stanąć na poboczu i sprzedawać swoje ciało śmierdzącym i zgnuśniałym degeneratom. Dać się porwać i zamknąć w domu publicznym, gdzie jej światło przeminie jako mgła o poranku.

Borowy stał już po pas w rzece. Jego krew spływała z ciała dziewczyny i rozpuszczała się z sykiem w brudnej wodzie. Głębokie, zielone oczy osadzone w jego czaszce traciły powoli blask, lecz ciągle tliła się w nich iskierka nadziei.

– Dziecino... – mruknął słabo. – Rusałko, córeczko ty moja. Ja nic już nie poradzę... Ale ty możesz. – Kiedy to mówił, jego ramiona zaczęły oplatać Kalinę. Owijały ją w szczelny kokon z gałęzi, pnączy i mchu. W końcu osłonił ją całą i delikatnie położył na wodzie.

– Płyń, dziecino. Szukaj dzikich lasów, czystych jezior, zielonych łąk i świeżego powietrza. A kiedy je znajdziesz, nie daj ich sobie zabrać. Nie pozwól. Będziesz

uwodziła każdego, kto postawi stopę na twojej ziemi. A kiedy wysłucha on twych pieśni i ulegnie twoim wdziękom... masz moje przyzwolenie, by pogruchotać jego ciało i pożreć jego życie. Niczym wilk zapędzony w pułapkę gryź, szarp i walcz o to, co twoje. Bo człowiek ci nie odpuści. Nigdy.

Borowy pchnął obleczoną w żywą trumnę Kalinę, by popłynęła z biegiem rzeki. Patrzył, jak oddala się od niego, płynąc pod stalowymi mostami, niesiona przez wodę odbijającą nienaturalne światło betonowego miasta.

Brudna ciecz przenikała jego ciało i zatruchiwała je od środka. Przestrzelony tors krwawił zieloną posoką, a z dziur na klatce piersiowej wydostawały się bąbelki skażonego powietrza. Najpierw ugięło się pod nim jedno kolano, a po chwili następne. Kiedy pokryta gałęziami głowa zanurzyła się pod wodą, spokojnie zamknął oczy, skulił się i dał ponieść martwej rzece. W tym ostatnim śnie przywoływał przed oczy obrazy z dawnych czasów. Życiodajny blask słońca. Śpiew ptaków w gęstwinach drzew. Leśne duchy przemykające tuż na krawędzi wzroku. Świat bez człowieka i jego wynalazków. Świat pełen cudów.

SYLWESTER GDELA

WIECZNE WSPOMNIENIE

Smród spalenizny powoli wgryzał się w jego nozdrza, obrzydliwy, kaustyczny, raniący. Już to wystarczyło, by przywołać najgorsze wspomnienia i by broń trzymana w okrytej rękawicą dłoni lekko zadrżała.

Przeciwnik dopiero miał nadejść, lecz Haroun przeczuwał, kim będzie. Albo raczej czym.

Mrok areny rozświetlała tylko blada łuna energetyczna na ostrzu wojownika. W ciemnościach ponad kamiennym murem wyznaczającym pole dla starcia błyskały ślepie obserwatorów. Wydawały się odległe, niby oddzielone niewidzialną barierą. Mimo to Haroun czuł, że spojrzenia wręcz ociekają złośliwością i pragnieniem krwawej jatki.

Zacisnął zęby, poprawił ułożenie ciała, podniósł miecz nieco wyżej. Wziął głęboki oddech i skupił myśli. Walka tak naprawdę rozgrywała się w głowie, wszystko dookoła było wyłącznie tego przedłużeniem. Wrzasnął, żeby dodać sobie otuchy. Zabrzmiały dzwony. Czas na pojedynek.

Potwór tym razem nie przyszedł, a powstał z prochu pokrywającego arenę. Istota ulepiła się z niewielkich drobin i zajaśniała żywym ogniem. Przypominała wychudzonego człowieka o karykaturalnie długich kończynach. Człowieka, którego skóra skwierczała od żaru, który wciąż płonął, ale jednak nie spalał się na popiół.

Serce Harouna przyspieszyło, jakby chciało rozerwać żebra. Czas nagle wyhamował. Pomarańczowy blask

rozświetlał ciemności, na trybunach niosły się okrzyki zachwytu. Uosobiona Pożoga ruszyła do ataku.

Wojownik nawet nie drgnął, lecz nie wynikało to z opanowania. Ogarnął go stupor, mięśnie zeszywniały na głaz w irracjonalnym odruchu. Głównym – i w zasadzie jedynym – przeciwnikiem w tym starciu był jego własny umysł.

Požoga wykonała zamach, płonące ramię sunęło ku Harounowi niczym kosa kładąca łan zboża. Poczul piekący żar, ale nie uderzenie; w ostatniej chwili udało mu się wyrwać z osłupienia i przetoczyć na bok.

Sędziowie wiedzieli, że lęka się ognia. Dlatego do walki wybrali takiego, a nie innego potwora. Pożar rodzinnego domu wypalił bolesne piętno w pamięci Harouna. Piętno, z którym nie mógł poradzić sobie do tej pory. Nie potrafił skupić się na walce, śledzenie ruchów przeciwnika przychodziło mu z trudem. Płomienie tańczące na ciele potwora hipnotyzowały go, bez słów rozkazywały: *Usiądź i rozplącz się, bo nie możesz nic zrobić z cierpieniem, które cię czeka. Tak samo jak wtedy, kiedy miałeś kilka lat i patrzyłeś na gasnące pogorzeliśko.*

Mimo wszystko się nie poddawał. W końcu stanął na tej arenie z własnej woli, chcąc zmierzyć się z własnymi słabościami i wygrać to, co najcenniejsze. Wolność.

Požoga wiła się po Arenie niczym wąż. Próbowwała kąsać ze wszystkich stron, sycząc jęzorami płomieni. Każde machnięcie ramieniem czy kopnięcie sprawiało, że Haroun stawał oko w oko ze śmiercią, lecz wojownik powoli łapał wreszcie rytm do bitki, wydobył gdzieś z głębi jaźni dodatkowe siły na stłumienie strachu. Kolejne uniki nie były już tak niezgrabne. Jego ciosy mijały cel z daleka – zachowywał dystans, żeby nie ryzykować – ale każdy następny w coraz mniejszym stopniu.

Po chwili morderczego tańca odskoczył od Pożogi i wycofał się o kilkanaście kroków, by choć trochę

odsapnąć. Omiótł wzrokiem okolice. Sędziowie stali na platformie nad bramą, okutani w czarne szaty, z obliczami skrytymi za połyskującymi maskami. Pozornie zimnie obojętni, lecz Haroun przypuszczał, że w tym starciu faworyzują bestię. Tłum widzów się nie krył. Treść okrzyków jawnie zdradzała, komu kibicują.

Wszyscy pragnęli porażki Harouna. Nawet jego umysł w spaczonych odruchach strachu próbował poddać walkę na przekór świadomym wysiłkom. Lecz on musiał wytrwać. Musiał odmienić swój los.

Požoga znów ruszyła na niego, stawiając ogromne kroki na szcudłowatych nogach. Znów płonące ramię sunęło szerokim zamachem, cios wymierzony w głowę wojownika. Ten nie drgnął, jednak tym razem nie ze strachu...

W ostatniej chwili wyciągnął miecz przed siebie. Siła uderzenia poniosła się falą po kościach, ale w dłoni nadal czuł rękojeść. Nie wypuścił broni, czego najbardziej się obawiał. Ostrze rozplątało nadgarstek Pożogi. Potwór zachwiał się i skłonił prawie do ziemi, rycząc z bólu. Haroun wykorzystał ten moment: przykucnął i ciął nisko, tuż ponad chudą kostką. Pożoga obaliła się na brzuch, a wtedy wbił czubek ostrza pod jej łopatkę. Płomienie powoli gasły, na Arenę powracał mrok.

Wojownik nie poprzestał na tym, rąbał po nogach, dłoniach, głowie, dopóki ciało nie zmieniło się w krwawą papkę. Wrzeszczał, wrzeszczał na znak swego tryumfu, wrzeszczał na przekór buczącemu tłumowi i niewzruszonym Sędziom.

Ale to nie był koniec. Chwilę euforii zgasiło bicie dzwonów, wrogowie na nowo powstali i zapłonęli żywym ogniem. Rozpoczynała się kolejna runda starcia. Tym razem Haroun musiał zmierzyć się z dwiema Pożogami, wcale nie mniejszymi od poprzedniej.

Ruszyły na niego. Wewnętrzny głos podpowiadał, że nie ma szans, lecz Haroun starał się nie zważać na niego. Musiał działać szybko. Pobiegł w kierunku stworów. W ostatniej chwili odbił w bok, tak żeby jedna Pożoga zasłoniła go przed drugą. Zyskał kilka cennych sekund, w trakcie których mógł mierzyć się tylko z jednym potworem. Ciął szybko, najpierw po przekątnej, potem w poziomie, na wysokości kolan Pożogi, ale żaden z ciosów nawet nie drasnął płonącej istoty. Drugi potwór już zaczynał go okręzać...

Haroun chciał odskoczyć, żeby nie zostać złapanym w kleszcze, lecz w tym momencie jego uszy przeszył okrutny hałas, znacznie potworniejszy od wcześniejszych jęków zranionej Pożogi. Wysoki, przeraźliwy pisk ociekający bólem. Taki sam, jaki wydawała jego młodsza siostra, kiedy zaczęła się palić.

I to było na tyle. Kompletny paraliż, dopóki stojąca przed nim Pożoga nie powaliła go machnięciem ręki. Czuł żar pełnący po ciele i kolejne ciosy gruchoczące kości, czuł, jak ból powoli zżera jego jestestwo, aż nie zostało już nic prócz ciemności.

Znowu.

Ocknął się w tym samym miejscu, co zwykle. Pod plecami twarde łóżce, nad głową sklepienie pokryte freskiem przedstawiającym demony o setkach rogów i kłów. W powietrzu zapach krwi. Serce trzepotało w piersi, płytki oddech umykał z ust.

– Przegrałeś.

Nie pamiętał, ile razy słyszał to słowo tuż po przebudzeniu. Za każdym razem wypowiedane tym gorzkim, pełnym rozczarowania tonem.

Obrócił się i ujrzał Railoka. Chłodny blask jego esencji jaśniał pomiędzy żeber i oczodołów, omiatał nagi szkielet niewielkiego dwunożnego smoka, który służył mu za ciało. Nazywanie go mentorem zakrawało na lekką przesadę, lecz był jedną z niewielu istot, jeśli nie jedyną, które nie żywiły absolutnej pogardy w stosunku do Harouna.

Wojownik uniósł się z trudem. Nie miał choćby śladu po ciosach i poparzeniach, ale echa bólu nadal pozostawały wyraźne. Umierał tutaj setki razy i setki razy ponownie budził się do życia; nurkował w pustkę, by znów wypłynąć do piekła Areny. W każdym przypadku było to tak samo dotkliwe brzemię. Zdążył już pogodzić się z tym, że nigdy się do tego nie przyzwyczai.

– W tym starciu nie da się wygrać – powiedział z wyrzutem. – W ten sposób zaprojektowano mechanizm walki. Fale wrogów pojawiają się w nieskończoność. To tylko kwestia tego, jak długo możesz wytrzymać, nie popełniając błędu.

– Nie. Ty po prostu poniosłeś sromotną porażkę. – Szczęki martwego smoka kłapnęły ze zgrzytem, gdy Railok przemówił. – Nie dotrwałeś nawet do trzeciej rundy.

– Miałem tylko jednoręczny miecz i gównianą zbroję, która nie chroniła przed ogniem. – Haroun zacisnął pięści i wbił je w uda. – Nie mogłem zrobić wiele więcej!

– Mogłeś. Walczysz przecież wyłącznie przeciwko własnemu umysłowi. Sam to powtarzałeś. Sam chciałeś stanąć w tych zawodach.

Tak, powtarzał to. Ale tylko i wyłącznie dlatego, żeby nie zwariować. Pełen obraz jawił się w znacznie bardziej skomplikowany sposób...

Haroun wstał i okrył się płaszczem, który wisiał obok pryczy. Zaczął chodzić w tę i z powrotem, kręcąc głową. Chłód kamiennej posadzki smagał jego stopy.

– Tak. Ale ja pragnąłem tylko wyzwolić się od lęku. Nie chciałem, żeby to trwało wieki, kurwa! – wrzasnął wojownik, uderzając otwartą dłońią w ścianę. – Nie mogę stąd wyjść, nie mogę opuścić jebanej Areny, do chuja! A powinienem móc to zrobić w każdej chwili! Straciłem kontakt z tymi, którzy mnie tu przysłali. Jesteś w stanie pojąć to w tych swoich tępych liniijkach kodu, czy dalej będziesz zgrywał mistyczną istotę i pieprzył farmazoni?

– Krzycz sobie, ile chcesz. – Railok zadarł pysk do góry. Błade ogniki w jego oczodołach zatańczyły złowieszczo. – Nikogo tutaj nie obchodzą płacze i rozterki. Albo sam zrozumiesz, którą ścieżką powinieneś kroczyć, albo nadal będziesz tkwił na dnie. Porozmawiamy później. Oby następnym razem poszło ci lepiej.

Demon odwrócił się i odszedł, zaraz znikając za przejściem prowadzącym na korytarz. Z oczu Harouna pociekły łzy.

Wiedział, że nic z tego, co się tutaj dzieje, nie jest prawdziwe, ale ta świadomość wcale nie dawała ulgi. Każde spojrzenie rzucane przez istoty kryjące się w zakamarkach podziemi przyprawiało go o dreszcze. Każda sylwetka zdeformowanego potwora napawała niezmiernym obrzydzeniem. Każdy cios bolał tak samo jak w rzeczywistości, jeśli nie gorzej. Jak w niekończącym się hiperrealistycznym koszmarze.

Haroun walnął jeszcze trzy razy w ścianę na znak bezsilnego protestu. Wyciągnął spod pryczy wysokie buty i wsunął je na nogi, założył też skórzane rękawice i wziął swój miecz. Opuścił swoją zatechłą komorę i ruszył w kierunku Wielkiej Sali.

Korytarze w podziemiach Areny wiodły po okręgach, skomunikowane ze sobą rozchodzącymi się promieniście łącznikami. Haroun świetnie znał ich rozkład, zdążył zwiedzić niemal każdy zakamarek, jednak splątanie

utrzymujące się pewien czas po śmierci i odrodzeniu sprawiło, że dwa razy skręcił w złą stronę.

Spędził tutaj... Nawet nie wiedział ile. Kompletnie stracił rachubę. W Wielkiej Sali znajdował się dziwny mosiężny mechanizm, który według Railoka był zegarem, lecz robił to w bezsensowny sposób, wyświetlając szeregi zdawałoby się przypadkowych cyfr nieopatrzonych żadną jednostką. Los raczył wiedzieć, jak wiele dni czy nawet lat upłynęło w rzeczywistym świecie...

Tam Haroun nazywał się Aaron Rastmack i był rysownikiem. Jego ciało leżało teraz zapewne w jednej z sal laboratoryjnych w siedzibie Hornfield Neuromedics na Staten Island w Nowym Jorku. Jego umysł znajdował się tutaj, w eksperymentalnej wirtualnej symulacji zwanej Areną, która miała na celu wspomoczenie leczenia zespołu stresu pourazowego i towarzyszących mu fobii poprzez terapię ekspozycyjną.

Aaron uwielbiał gry komputerowe. Stanowiły dla niego odskocznnię od naznaczonego cierpieniem życia. W większości z nich jako nick ustawiał różne wariacje „Haroun”, czyli arabskiej wersji swojego imienia – jakoś bardziej mu się podobała. Dlatego też wszyscy tutaj wołali na niego w ten sposób.

Arena w istocie była właśnie grą VR, ale tą nowej generacji, w których bodźce były podawane bezpośrednio do ośrodkowego układu nerwowego przy pomocy wszczepów, by zagwarantować pełną immersję. Aaron miał przyjąć postać Harouna, początkującego wojownika, i mierzyć się z własnymi traumami uosobionymi przez potwory. Według planu powinien był stawiać czoła coraz trudniejszym wyzwaniom, ciągle pozostając w kontakcie z zespołem terapeutów. Posiadał też możliwość przerwania symulacji w każdej chwili.

Ale w pewnym momencie plan szlag trafił. Awaryjne wyjście zniknęło, podobnie jak cały interfejs służący do wybierania opcji i komunikowania się z zewnętrznym światem. Aaron utknął tutaj na dobre jako swoje alter ego.

Dotarł do schodów. Wielką Salę umiejscowiono niżej niż pozostałe pomieszczenia. Strop zawieszono na tyle wysoko, że w zasadzie oprócz Sali Treningowej była jedynym miejscem pod Areną nie przygotowującym o uczucie klaustrofobii, lecz Harounowi towarzyszył tutaj inny lęk, którego tak bardzo nie cierpiał i którego pragnął uniknąć za wszelką cenę.

Skopofobia. Strach przed byciem obserwowanym.

Gdy Haroun zszedł z ostatniego stopnia, jego oczom ukazało się mrowie innych wojowników. Część była ludźmi lub należała do jakiejś quasi-ludzkiej rasy. Niektórzy potężni, barczyści, okutani w wypolerowane zbroje, inni niepozorni, skrywający oblicza pod luźnymi kapturami, zwinnie obracający zdobione sztylety w palcach. Nie brakowało i takich przypominających mityczne stwory – minotaury, wilkołaki, ogry albo niepodobne do niczego okropieństwa. Fantastyczna klisza, niczym żywcem wyjęta z RPG-a.

Lecz Arena nie stanowiła tylko niewinnej rozrywki. Haroun czuł, jak złowieszcze spojrzenia prześlizgują się po nim, z uwagą śledzą każdy jego krok. Czuł nienawiść, pogardę, złośliwość. Tak samo jak wtedy, kiedy był chudym, przyszczatym nastolatkiem Aaronem, który przemykał pomiędzy szafkami na szkolnych korytarzach w asyście rehotów i wyzwisk ze strony fajniejszych dzieciaków.

Wiedział, że wszystkie napakowane mięśniaki i paskudne monstra to tylko programy, sprawiające wrażenie inteligentnych, ale nawet nie samoświadome. Jednak tu znów pojawiał się problem – wiedza o nierzeeczywistości tego świata nie przynosiła ulgi, a cyfrowi

gladiatorzy potrafili skrzywdzić. Haroun nieraz się o tym przekonał, kiedy zdarzało mu się znaleźć w niewłaściwym zaułku podziemi o niewłaściwej porze.

Próbował wszystkiego, żeby opuścić Arenę. Rozmowy z komputerowymi postaciami nie przynosiły żadnego rezultatu. Sprawdził każdy zakamarek sieci korytarzy, licząc na to, że gdzieś znajdzie coś w rodzaju pokoju deweloperskiego, lecz na próżno. Samobójstwo też nie przyniosło oczekiwanego rezultatu – ocknął się na pryczy tak samo jak po śmierciach w trakcie starć. Szukał błędów w symulacji, nawet próbował wbiec w podejrzanie wyglądającą ścianę na Sali Treningowej, lecz bez skutku. Na nic mantry, medytacje, naginanie umysłu. Czerwona pigułka nie działała lub nie istniała.

Haroun często zastanawiał się, dlaczego spotkał go taki los. Myślał, że może interfejs mózg-komputer zaczął szwankować i przez to lekarze z Hornfield nie są w stanie odłączyć go od aparatury bez szkody dla zdrowia. Może terapeuci próbowali komunikować się z nim poprzez Railoka, zostawiali jakieś wskazówki... Jednak z każdą śmiercią ponoszoną podczas walk coraz mniej wierzył w to, że to tylko nieszczęśliwy wypadek, a coraz częściej przypuszczał, że źle zrozumiał coś w umowie uczestnictwa w eksperymencie – lub umowa po prostu była wydmuszką – i skończył jako ofiara współczesnej wersji MK-ULTRA.

Nie mógł uciec od cierpienia. Często nie dawał już rady, próbował skryć się gdzieś w jakimś ciemnym kącie, łkając nad swoją niedolą, lecz zawsze ktoś przychodził i siłą wywlekał go na płytę Areny.

Podszedł do stoiska zbrojmistrza, starając się nie zwracać uwagi na kąśliwe uwagi gladiatorów żrących jakieś paskudztwo przy dużej ławie obok. W Wielkiej Sali działało się praktycznie wszystko: tutaj jedzono, pito,

ustawiano się na starcia, prano po pyskach, czasami nawet rżnięto. Mniejsze komory służyły wyłącznie jako sypialnie albo pomieszczenia gospodarcze i wyglądały, jakby wygenerowano je proceduralnie. Projektanci Areny byli chyba dość leniwi albo gonił ich termin i nie mieli czasu na detale.

Stojący przed Harounem minotaur odszedł od stanowiska z lśniącym zweihanderem. Teraz nadeszła jego kolej.

– Czego chcesz? – burknął zbrojmistrz, grubas o szarej cerze, długiej brodzie i szpiczastych uszach.

– Się głupio pytasz – odparł Haroun. – Lepszego sprzętu. Dajcie mi tarczę do drugiej ręki. Albo dłuższy miecz, taki jak wziął tamten koleś.

– Niedoczekanie. – Zbrojmistrz wziął ze stołu jeden ze sztyletów i zaczął go polerować uwalanym smarem fartuchem. – Jesteś beznadziejnym wojownikiem. Nie pokazujesz niczego ciekawego podczas starć, padasz jak mucha. Dlaczego mielibyśmy marnować dobrą broń na ciebie?

Miał już dość. Dość bycia poniżanym i krzywdzonym przez te kurewskie bity i bajty w blaszanej puszcze za jego głową...

Świst powietrza. Energetyczna luna błyskała tuż przy tchawicy zbrojmistrza, zablokowana przez jego dwa tłuste palce.

– Myślałeś, że jestem tylko nieporadnym grubaskiem, tak? – zakpił, uśmiechając się złośliwie. – Tak czy inaczej, zrobiłeś na mnie wrażenie. Prawie udało ci się rozharatać mi gardło. Niech ci będzie, wybierz sobie coś z tamtego stołu. – Wskazał dłonią na lewo. – Tylko pamiętaj: lepsza broń równa się trudniejszym przeciwnikom w walkach. Już ja o to zadbam...

Haroun cofnął miecz i spojrzał na ekwipunek wystawiony na przykrytym suknie blacie. Nadziak z glifami pulsującymi jasnym światłem, krótki toporek z czegoś,

co wyglądało na stal damasceńską... I coś znacznie ciekawszego. Dwie żelazne kule wielkości pięści, połączone długim sznurem.

Po chwili Haroun przypomniał sobie nazwę tego wynalazku: *dai chui*, czyli młot meteorytowy. Od razu wpadł mu też do głowy pomysł na to, jak wykorzystać go w następnym starciu.

– Wezmę to. – Podniósł jedną z kul do ręki. – Miecz też sobie zostawiam.

– Myślisz, że dasz sobie z tym radę, hę? – Zbrojmistrz zmarszczył czoło. – To nie broń dla byle chłoptasi, wymaga sporej wprawy...

– Spokojnie – odparł Haroun. – Mam mnóstwo czasu, żeby się nauczyć.

Zabrał *dai chui* i pognął w kierunku Sali Treningowej.

Znowu tu wrócił.

Kołowroty zapiszczały i masywna krata uniosła się, otwierając drogę na pokrytą popiołem płytę Areny. Haroun wkroczył powoli, w towarzystwie niezadowolonych ryków widowni. Zadrżał nieco w odruchu. Strach przed otwartą przestrzenią znów się odzywał. Czuł się tak samo jak wtedy, kiedy cudem udało mu się wybiec płonącego domu i jego rodzina została bez dachu nad głową.

Spółeczny wyrzutek, który przez całe życie bał się być obserwowanym, bał się być osądzanym, teraz stał przed setkami tysięcy nienawistnych ślepi, które życzyły mu tylko bolesnej śmierci. Z całych sił walczył o to, by odsunąć od siebie lęk.

Tym razem było jasno, choć atmosfera wciąż ponura; wysoko nad głowami świeciło purpurowe słońce zawieszane gdzieś w bezkresnej przestrzeni symulacji.

Wojownik dzierżył w dłoniach żłobione żelazne kule, łączący je sznur owinał na ramionach i barkach. Stał na środku wrytego okręgu oznaczającego pozycję startową.

Poluźnił nieco sznur i zaczął kręcić lewą głownią, wznosząc bojowe okrzyki. Przeciwnik zaraz wypełził z portalu po przeciwległej stronie areny: pokraczna Chimera z ludzkim torsem, końskimi kopytami zamiast stóp i głową grzechotnika. Niemiłe pamiątki z wizyty na ranchu ich wujka w Arizonie, gdzie młody Aaron najpierw cudem uniknął stratowania, a potem został ukąszony. Potwór posługiwał się dwuręcznym toporem, który nawet nie wyglądał na zakłęty...

I to miał być ten trudniejszy przeciwnik?

Rozbrzmiały dzwony, Sędziowie stali obojętni i niewzruszeni niczym marmurowe posągi.

Wojownik i potwór zaczęli się do siebie zbliżać, powoli stawiając kroki.

– Ty idioto. – Wąż rozwarł szczęki.

Lewa ręka Harouna delikatnie zadrżała, nieomal nie wypuścił sznura z dłoni. Znał ten głos bardzo dobrze... Należał do jego matki.

– Jesteś bezużyteczny. Ciągłe tylko gnijesz przed tym komputerem.

Każde słowo zatruwało go niczym jad, przywoływało falę wspomnień gaszącą ducha walki. Ruch, musiał się ruszać, nie mógł dać się sparaliżować. Przyspieszył kroku i jeszcze skrócił dystans do przeciwnika.

– Znalazłbyś sobie wreszcie kogoś, bo ześwirujesz od tego siedzenia w pokoju! Zresztą, co ja mówię, przecież jesteś taki sam jak twój ojciec. Zostawiłbyś kobietę, gdy tylko coś ułożyłoby się nie po twojej myśli!

Chimera była już w zasięgu sznura. Wyrzucił z impetem lewą głownię w jej kierunku, lecz chybił.

Zaraz spróbował znowu, tym razem prawą, ale też bez skutku, potwór zwinnie unikał pędzącej kuli.

– Wiesz, czasem sobie myślę, że żałuję, że to Elizabeth wtedy zginęła, a nie ty...

Ruszaj się, kurwa, ruszaj – powtarzał w myślach. Byleby tylko się nie zatrzymywał. Krok, wyrzut głowni z kolana, obrót, wyrzut głowni z barku. Pudło za pudłem, ale przynajmniej udało mu się utrzymywać Chimereę na dystans, to było najważniejsze. Rozejrzał się dookoła. Był w odpowiednim miejscu...

– Nienawidzę cię!

– Ja ciebie też! – odkrzyknął Haroun. – Przestań wreszcie pierdolić i walcz! Zadasz mi w końcu jakiś cios?!

Zaczął wycofywać się w stronę muru. Chimera podążała za nim, lecz nadal nie miała sposobności do ataku. Gdyby tylko podeszła zbyt blisko, zaraz oberwałaby prawą głownią, która wirowała po dużym okręgu. Prawie dotarła pod ścianę, jeszcze tylko kilka kroków...

Haroun obrócił się i wypuścił kulę wysoko w górę; zakręciła się wokół cienkiego masztu na platformie Sędziów. Podskoczył i podciągnął się na sznurze, wdrapując się na platformę. Tłum zawył z zaskoczenia. Zamaskowane postaci zaczęły pierzchać, lecz zdążył dopaść do jednej z nich i przystawić pod gardło miecz wyciągnięty z pochwy z zawrotną prędkością.

Sędzia rozłożył dłonie w geście poddania.

Wojownikowi wreszcie się udało. Wykiwał ich, markując, że walczy zaciekle, choć w rzeczywistości od samego początku myślał tylko o tym, żeby dotrzeć tutaj i dorwać jednego z Sędziów.

To oni mogli stanowić klucz do ucieczki. Wedle słów innych gladiatorów zarządzali całą Areną. Nigdy nie pojawiali się w podziemiach, wychodzili na Arenę tylko podczas starć, a potem znikali nie wiadomo gdzie.

Teraz miał ich przedstawiciela na ostrzu miecza.

– Gadaj, jak mam wyjść z tego przeklętego programu, albo zaraz cię zabiję – zagroził.

– Myślisz, że wygrałeś? – rozbrzmiała odpowiedź metalicznym głosem.

Haroun podciągnął nieco miecz do góry, by zrzucić maskę, ta jednak nadal została na swoim miejscu. Sędzia zadarł tylko głowę, a z jego podbródka popłynęły krople czarnej krwi. To nie była jego maska, tylko twarz.

– Istnienie jest grą o sumie zerowej – kontynuował. – Grą, w której tak naprawdę nikt nigdy nie wygrywa.

– Nie pierdol! – warknął Haroun. – Dlaczego nie chcecie wypuścić mnie z tego miejsca? Dlaczego mnie torturujecie?!

– To ty torturujesz siebie sam, malutki – odparł Sędzia. – Wszystko to dookoła, Arena, potwory, gladiatorzy, to tylko twoje myśli. Twoje wspomnienia. Ja jestem ich strażnikiem.

– Co? – Szczęka Harouna zadrżała, chwyt na rękojeści miecza się poluźnił. – O czym ty mówisz?

– Co było ostatnią rzeczą, jaką pamiętasz, zanim tutaj trafiłeś? – zapytał Sędzia.

Haroun zamilkł na chwilę. Tłum na trybunach umilkł, Arena zatonąła w głuchej ciszy.

– Sterylne sale, roboty operacyjne, ludzie w białych fartuchach – odezwał się, gdy wreszcie sięgnął do właściwego zakamarka umysłu. – Siedziba Hornfield Neuro-medics.

– Na pewno? – Sędzia zasiał w nim ziarno wątpliwości. – Leczyłeś się w Hornfield, to prawda, lecz program ich terapii wyglądał zupełnie inaczej niż to, co widzisz teraz. Pomieszalesz fakty. Czy te sale, o których wspominasz, to nie był po prostu zwykły szpital? Czy ty wtedy nie umierałeś?

– Co? Nie... Ja... – Słowa więzły w krtani Harouna.

– Zapomniałeś o tym, że umarłeś – dokończył za niego Sędzia. – Wspomnienia są wieczne, ale czasem się degenerują. Pozwól, że ci przypomnę. W całym procesie życia każda chwila, którą rejestrujesz w swym umyśle, jest odciskana na płaszczyźnie egzystencji, skąd wywodzi się wszelka energia; świecie tak małym, że niedostępnym do zbadania nawet przez najdoskonalniejszy ludzki instrument, jaki kiedykolwiek powstanie. Gdy odchodzisz z materialnego świata, twoje jestwo zapada się w odrębny wymiar, gdzie przeżywasz w nieskończoność wszystkie swe doświadczenia, lecz miłe chwile szybko się zniekształcają i przechodzą w cierpienie; są zbyt kruche, zbyt skomplikowane, zbyt niekorzystne energetycznie. Uniwersum jest zdefektowane. Nie ma w nim miejsca na odkupienie. Wiecznie istnieją tylko strach, ból i śmierć.

– Kłamiesz... Kłamiesz! – krzyknął Haroun.

Chciał pchnąć miecz do przodu, by przedziurawić Sędziemu gardło, lecz nim zdążył to zrobić, w masce-twarzy otworzyły się usta i buchnął z nich strumień ognia.

Haroun poczuł żar, piekielnie bolesny żar, a potem spadł w pustkę.

Znów twarda prycza pod plecami, znów zapach krwi, znów demony na sklepieniu. Znów płytki oddech i szalejące serce.

To się nigdy nie skończy.

– Przegrałeś...

Znajomy głos Railoka wybrzmiał w komorze.

– ...ale tylko w teorii. W rzeczywistości udało ci się coś wygrać. Odzyskałeś prawdę, którą sam sobie zabrałeś.

– Nie chciałem tego – załkał Haroun. Nie miał siły się podnieść, obrócił tylko głowę w stronę demona. – Nie chcę tego wiedzieć. To najgorszy ból. Wołałem mieć chociaż cień nadziei, chociaż była tylko oszustwem, czymś, co sobie wmówiłem.

– Chciałeś. Gdzieś w głębi duszy naprawdę tego chciałeś, inaczej nie wziąłbyś *dai chui* i nie stoczył tej walki – stwierdził Railok. – Wiem to, bo w istocie rzeczy jestem częścią ciebie. Cierpienia nie można uniknąć. Trzeba stawić mu czoła.

– Tak, ale... – szepnął Haroun. Z ledwością przełknął ślinę, po jego policzkach spłynęły łzy.

– To trudna sprawa, nie ulega wątpliwości – powiedział Railok. – Wszechświatem rządzą siły znacznie potężniejsze od nas. Nie da się ich zmienić. Można jedynie się do nich dostosować. I walczyć według reguł, nieustannie walczyć. Istniejąc, już rzucasz wyzwanie rzeczywistości. Musisz więc chwycić za miecz, powrócić na Arenę i zadawać kolejne ciosy... Porozmawiamy jeszcze później. Powodzenia w następnym starciu.

Railok odszedł, zostawiając wojownika samego. A Haroun płakał, ryczał jeszcze długo, zaciskając pięści do siności.

Aż w końcu wstał, założył na siebie ubrania, zabrał miecz i *dai chui*, po czym powłókł się śmierzdzącymi korytarzami do Sali Treningowej.

LIDIA GREŃDA

TEATR ŻYCIA, MUZEUM POWROTÓW

– Jak poszło?

– Powiedzieli, że zadzwonią – wyznałem cicho.

Ojciec ukrył twarz w dłoniach. Potem jednak zreflektował się, wstał i położył mi dłoń na ramieniu.

– Nie łam się, synu. Trzeba próbować.

Poszedłem do zimnego, szarego pokoju, który przecież był mój, a jednak wciąż zdawał się obcy jak sypialnia hotelowa.

Usiadłem przy biurku i otworzyłem laptop. Trzeba próbować. Malutka porcelanowa maska leżąca na parapecie kolejny raz przyciągnęła mój wzrok. Tylko ona zdawała się znajoma. Mój ojciec opowiadał, że podarowała mi ją nauczycielka, która prowadziła kółko teatralne w podstawówce. „Będziesz wspaniałym aktorem” – powtarzała mi. Ponoć gdy dorosłem, okazało się, że miała rację.

Sprawdziłem pocztę. Nic. Zacząłem przeglądać oferty pracy. Minuty mijały powoli. Podskoczyłem, gdy telefon zawibrował i szybko po niego sięgnąłem, ale to tylko rozładowująca się bateria dała o sobie znać. Westchnąłem. Wróciłem do przeglądania ofert.

Odpowiedziałem na siedem ogłoszeń. Przetarłem zmęczone oczy i zerknąłem na milczący telefon. *Koniec na dzisiaj* – stwierdziłem. Już wstawałem, kiedy nagle jedna oferta rzuciła mi się w oczy.

– Praca na recepcji w Muzeum Powrotów... – przeczytałem na głos.

Ogłoszenie mówiło o spokojnej pracy w niezwyklej atmosferze. Zarobki zdały mi się zadowalające, nie wymagano wielkich kwalifikacji. W zakres obowiązków wchodziło tylko wydawanie biletów. „Na rozmowę kwalifikacyjną zaprosimy wyłącznie wybranych kandydatów”.

Próbowałem znaleźć w wyszukiwarce owo „Muzeum Powrotów”, bo nigdy o nim nie słyszałem albo go nie pamiętałem, lecz okazało się, że nie mają strony internetowej. Nie wiedziałem także, o co im chodzi z tą „niezwykłą atmosferą”, ale zadzwoniłem pod wskazany numer.

Po kilku sygnałach odezwał się miły głos:

– Dzień dobry, tu Klementyna, przewodniczka w Muzeum Powrotów. Czym mogę służyć?

– Dzień dobry, Sebastian Wolski. Ja w sprawie ogłoszenia o pracę... Czy jest ono nadal aktualne?

– Tak, tak, jak najbardziej. – Chwila ciszy. – A więc, panie Sebastianie, czy lubi pan wracać do przeszłości?

– Ja... – zamilkłem.

Co to było w ogóle za pytanie? Jak miałem na nie odpowiedzieć, skoro przeszłość pamiętałem jedynie ze zdjęć i mnie o niej zapewniano, ale nie czułem jej w sercu, w głowie?

– Ja nie mam przeszłości – odpowiedziałem w końcu.

Nastąpiła długa chwila ciszy. W końcu, kiedy już myślałem, że połączenie zostało przerwane, rozmówczyni się odezwała:

– Rozumiem. Zapraszam pana na rozmowę kwalifikacyjną. Jutro o ósmej. Księży Młyn trzydzieści cztery. Będę czekać.

I rozłączyła się, zanim zdążyłem coś odpowiedzieć.

Nazajutrz mimo wczesnej pory lał się z nieba skwar. Wszystko wydawało się jakieś jaśniejsze niż zwykle, a od

starych, odrapanych kamienic i pofabrycznych budowli z czerwonej cegły biło gorąco, jakby dopiero co wyjęto je z pieca.

Dotarłem na miejsce i stwierdziłem, że pod adresem, który podała mi Klementyna, nie ma żadnego Muzeum Powrotów, a tylko jakaś niezbyt ładna kamienica. Zajrzałem w uliczkę obok, ale tam również nie ujrzałem niczego, co by choć trochę przypominało jakiegokolwiek muzeum. Okna ceglanych budynków zdawały się obserwować mnie ponuro, kiedy z konsternacją rozglądałem się na wszystkie strony. Czyli to był żart?

Sięgnąłem do kieszeni, by zadzwonić do Klementyny.

– Pan Sebastian? – Zza drzwi wychylała się jakaś kobieta.

Pokiwałem głową.

– Klementyna. – Podeszedłem i wymieniliśmy uścisk dłoni. – Tutaj, proszę.

Wszedłem za nią do chłodnego wnętrza kamienicy. Otworzyła drzwi, za którymi ujrzałem brudne schody prowadzące chyba do piwnicy. Puściła mnie przodem.

Nic nie powiedziałem, kiedy nagle zgasło światło. Liczyłem schody, ale w końcu odpuściłem – zdawały się przybywać w nieskończoność. Które piwnice robią tak głębokie? Schodziliśmy i schodziliśmy w zupełnej ciemności. Ogarnął mnie chłód, poczułem dziwne odrealnienie, jakby mój umysł szybował sobie gdzieś między Księżycem a gwiazdami.

To było podobne do zasypiania. Jak zwykle w takich półświadomych chwilach przed moimi oczami pojawił się obraz pięknej czarnowłosej kobiety o perłowobladej cerze. Stała przede mną roześmiana i wyciągała ręce, jakby chciała porwać mnie do tańca. Obraz ten z jednej strony miał w sobie coś obezwładniająco radosnego, z drugiej strony coś niesamowicie smutnego, lecz nieuchwytnego.

Nie wiedziałem, kim ona jest. Wcześniej zdawało mi się, że kimś z mojego zapomnianego życia, lecz gdy pytałem ojca, mówił, że nie ma pojęcia, kogo mam na myśli, nie znalazłem jej też na żadnym ze zdjęć. W końcu doszedłem do wniosku, że po prostu ją wyśniłem.

Wędrowaliśmy po ciemnych schodach. A ja odpływałem coraz bardziej.

Wreszcie, kiedy już prawie zapomniałem, co tu robię, stwierdziłem, że stoję w szerokim, jasnym pomieszczeniu, a Klementyna obserwuje mnie badawczo.

– Witam w Muzeum Powrotów – powiedziała po chwili. – Proszę sobie usiąść.

Usiedliśmy na pobliskich fotelach. Rozejrzałem się. Hall pomalowany był jasną kremową farbą. Pośrodku zobaczyłem ladę z wypolerowanego drewna. Podłogę wyłożono prostym linoleum, w kątach stały paprotki i fotele. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające różne stadia rozkoszy.

Zapach zimnych murów mieszał się z zapachem ziemi. Czulem tę szczególną atmosferę podziemnej ciszy i ulotnego światła, które może zamienić się w ciemność, gdy tylko będzie miało taki kaprys.

– Zapewne zastanawia się pan, co oferuje moje muzeum – zaczęła Klementyna. – Otóż oferuje ono powroty do przeszłości. Hm, w zasadzie można to powiedzieć o każdym muzeum. Moje jest jednak w pewnym sensie wyjątkowe. Pozwala ludziom na nieco bardziej namacalne i dosłowne powroty. I co najważniejsze, spersonalizowane.

Nic z tego nie rozumiałem.

Dopiero teraz uważniej przyjrzałem się Klementynie. Wyglądała dość nadzwyczajnie. Miała na sobie jedwabny szal i turkusową suknię do samej ziemi, a jej oczy były tak niemożliwie zielone, że zastanowiłem się, czy nie

nosi szkieł kontaktowych. Z pewnym zaskoczeniem zauważyłem, że nie boi się na mnie patrzeć, a nawet się do mnie uśmiecha.

– By zwiedzać, potrzebny jest bilet i wydawanie takich biletów jest zadaniem recepcjonisty. No dobrze, teraz zadam panu kilka pytań. – Klementyna położyła ręce na kolanach. – A zatem, panie Sebastianie, niech mi pan powie, czy kiedykolwiek czuł pan, że stworzył pan coś pięknego, lecz rozsypało się to w pył?

Otworzyłem usta, ale po krótkiej chwili je zamknąłem. Kobieta wpatrywała się we mnie tak intensywnie, iż miałem wrażenie, że od odpowiedzi zależy całe moje dalsze życie. Zamyśliłem się. Jak miałem odpowiedzieć, skoro niczego nie pamiętałem? Nie pamiętałem... no właśnie.

– W zasadzie większość mojego życia rozsypała się w pył. W pył niepamięci – odpowiedziałem. – Po co właściwie przeżywałem to wszystko, skoro teraz już jest nic niewarte, bo o tym zapomniałem?

Klementyna pokiwała powoli głową niczym terapeutka, która wysłuchiwała pacjenta.

– Czy zakochał się pan kiedyś tak mocno, że cokolwiek by się wydarzyło, nie było powrotu?

Natychmiast przez mój umysł przepłynął obraz czarnowłosej kobiety. Ale przecież...

– Myślę, że nie – wyznałem cicho.

Klementyna założyła nogę na nogę. Miałem wrażenie, że zaraz wyciągnie notesik i zacznie zapisywać to, co mówię.

– Czy gdyby miał pan możliwość, chciałby pan poznać odpowiedź na pytanie, czy będzie pan kiedyś w życiu szczęśliwy? Proszę uzasadnić.

To była najdziwniejsza rozmowa kwalifikacyjna, jaką miałem do tej pory.

– Nie. – Zacisnąłem pięści. – Jeśli wiedziałbym, że będę szczęśliwy, nie miałbym do czego dążyć, bo wiedziałbym, że i tak to się stanie. A jeśli wiedziałbym, że nie... To nic już bym w życiu nie robił, bo wiedziałbym, że wszystkie moje starania są na nic. Nie chcę wiedzieć, czy będę szczęśliwy. Chcę próbować i się łudzić, że kiedyś się uda, nawet jeśli się uda.

– Dobrze. – Klementyna chwilę milczała, jakby zapisywała sobie w głowie to, co jej powiedziałem. – Zatem ostatnie pytanie... Lubi pan czekoladki?

Zamrugalem.

– Eee... – Przez chwilę zapomniałem języka w gębie. – No... tak – odpowiedziałem wreszcie zdziwiony.

Klementyna podetknęła mi pod nos wyciągniętą nie wiadomo skąd bombonierkę.

– To proszę się poczęstować. – Na jej twarz powrócił uśmiech. – Śmiało!

Niepewnym ruchem wziąłem czekoladkę.

Przewodniczka Muzeum Powrotów również jedną wzięła. Zauważyłem, że na paznokciach ma intensywnie zielony lakier, a jego kolor niemal idealnie pokrywa się z kolorem jej oczu.

Siedzieliśmy w milczeniu. Zastanawiałem się, jak wypadłem. Nie potrafiłem wyczytać odpowiedzi z twarzy Klementyny.

– No dobrze – powiedziała w końcu. – Poprzednia recepcjonistka... nie jest już w stanie dłużej pracować. – Wyprostowała się, mierzząc mnie wzrokiem. – Zatrudniam pana. Proszę przyjść jutro wpół do dziewiątej.

Kiedy szedłem następnego dnia do pracy, wciąż byłem pełen zdziwienia. Z jednej strony się cieszyłem, z drugiej

męczyły mnie wątpliwości. I nie chodziło o nietypowe pytania przewodniczki, o dziwaczną drogę do muzeum czy nawet o to, że ojciec nigdy nie słyszał o żadnym Muzeum Powrotów, a mieszkał w Łodzi od urodzenia – uznałem bowiem, że Klementyna to po prostu ekscentryczna kobieta, na schodach poczułem zwyczajną senność, bo byłem niewyspany, a samo muzeum musiało powstać niedawno, dlatego ojciec o nim nie słyszał.

To, co najbardziej budziło moje podejrzenia, to łatwość, z jaką dostałem tę pracę. Klementyna potraktowała mnie jak całkowicie normalnego człowieka, który nie odstraszy jej klientów, i od razu zostałem zatrudniony. Dlaczego?

Dotarłem na miejsce i przed drzwiami prowadzącymi pod ziemię się zawahałem. A jeśli to wszystko naprawdę jest głupim żartem? Potrząsnąłem głową. Nie. Trzeba próbować. I tak nie mam nic do stracenia, bo straciłem już wszystko.

Zacząłem schodzić po schodach i znów ogarnęło mnie to dziwne uczucie odrealnienia. Czarnowłosa kobieta śmiała się, wyciągała rękę... Tym razem zauważyłem także coś czerwonego, poruszającego się chaotycznie... Ale potem widziałem w umyśle już tylko ciemność. Byłem coraz bardziej senny. Moje powieki się zamknęły...

– Dzień dobry, panie Sebastianie. Gotowy?

Wzdrygnąłem się, kiedy nagle ujrzałem przed sobą Klementynę. Dziś była w równie długiej, lecz fioletowej, sukni, a zamiast szala miała kolorową chustę.

– Dzień dobry. Oczywiście – powiedziałem.

Usiedliśmy na fotelach i podała mi umowę. Nie zauważyłem w dokumencie niczego niezwykłego, więc podpisałem go, a Klementyna wstała i oznajmiła:

– Najpierw oprowadzę pana po muzeum.

Podeszliśmy do białych drzwi na lewo od recepcji i Klementyna otworzyła je małym srebrnym kluczem. Przeszliśmy do niewielkiego, ale jasnego pomieszczenia.

– To pierwsza sala. W Muzeum Powrotów jest sześć sal z eksponatami.

Uniosłem brwi. Sala była całkiem pusta, nie licząc kilku lamp naściennych i dwóch par drzwi. Przeszliśmy do następnego pomieszczenia, ale w nim również nie stał ani jeden eksponat. Tak samo wyglądały trzecia i czwarta sala. Czując się coraz dziwniej, przeszedłem z Klementyną do piątego pomieszczenia.

– Tutaj większość zwykle kończy zwiedzanie. Na wejście do ostatniej sali decydują się nieliczni.

Weszliśmy do ostatniego pokoju. Również ział pustką. Nawet bardziej niż poprzednie, bo nie było tu drugich drzwi. Wróciliśmy przez rząd sal do recepcji.

– Zatem myślę, że może pan już zacząć – oznajmiła Klementyna.

Usadziła mnie na recepcji, poinstruowała, co mówić i pokazała, jak drukować bilety zwyczajną drukarką połączoną kablem USB ze zwyczajnym komputerem. Powiedziała, że gdy nie będę zajmował się klientami, mogę z niego korzystać. Potem zniknęła za drzwiami za recepcją.

Westchnąłem i usadowiłem się wygodniej na krześle. Widok zwykłego sprzętu elektronicznego po tych wszystkich dziwactwach mnie skonsternował, ale też uspokoił. Zresztą, czego się spodziewałem? Krasnoludków?

Minuty mijały, ale żaden klient się nie zjawiał. Niestety nie było tu internetu. Szkoda, że nie zabrałem ze sobą żadnej książki. Rozejrzałem się niepewnie, po czym włączyłem jedną z mini-gier.

Zbliżała się jedenasta, kiedy nagle przed ladą wyrósł wysoki błady mężczyzna ubrany na czarno. Pod oczami miał ciemne cienie, jego wzrok błędniał po suficie.

– Witam w Muzeum Powrotów – powiedziałem natychmiast, zamykając grę i uśmiechając się niezgrabnie. – Życzy pan sobie zwiedzanie z przewodniczką czy bez?

– Hmm... – mruknął mężczyzna.

Nieco mnie przerażał, ale podpowiedziałem uprzejmie:

– Jeśli jest pan tu pierwszy raz, sugeruję wziąć przewodniczkę.

– Niech będzie.

Zapłacił i wydrukowałem bilet. Wyglądał, jakby był ze zwyczajnego papieru kredowego, ale zdawał się dziwnie ciężki. Zdziwiłem się, widząc na nim nazwisko klienta: Tomasz Januszewski. Skąd...? Podałem go mężczyźnie.

– Życzę przyjemnego zwiedzania.

Jak na zawołanie, zza drzwi za recepcją wychynęła Klementyna i zajęła się gościem.

– Dzień dobry. Jestem Klementyna i będę pana przewodniczką. Zapraszam.

Gdy zniknęli za drzwiami prowadzącymi do pustych sal, wpatrywałem się w nie przez dłuższą chwilę.

Może klienci rejestrowali się do muzeum wcześniej i dlatego czekały na nich bilety z ich nazwiskami? Ale jak, skoro żadna strona Muzeum Powrotów nie istniała w internecie? Pokręciłem głową, nie dowierzając.

Nie było ich niemal równą godzinę. Pod koniec bębniłem niecierpliwie palcami po blacie i prawie wyłąziłem ze skóry z ciekawości, co oni tak długo robią w tych pustych salach. Gdy wreszcie wrócili, dostrzegłem, że oczy mężczyzny, które i teraz błędziły po suficie, są dziwnie puste i zamglone, przez co wygląda jeszcze bardziej przerażająco. Opuścił hall, a Klementyna podeszła do mnie.

– Zamawiam obiad, chcesz coś? – zapytała.

Skierowałem na nią szeroko otwarte oczy.

Drugi gość przyszedł, kiedy zjedliśmy. Był niski i tęgi, a policzki miał zaczerwienione, jednak w jakiś niewytłumaczalny sposób przypominał poprzedniego klienta. Od razu zażyczył sobie zwiedzania z przewodniczką. Klementyna zaprowadziła go do sal.

Siedziałem i wpatrywałem się w ścianę otępiały. W głowie powstawały mi różne dzikie scenariusze na temat tego, co oni tam robią, a od niektórych robiło mi się wstyd. Minęło pół godziny i drzwi się otworzyły.

Wyszła Klementyna. Sama. Skierowała się za recepcję i po chwili usłyszałem, jak zamykają się za nią drzwi. Przez jakiś czas myślałem, że po coś poszła i zaraz wróci do gościa, ale czas mijał, a ona nie wychodziła. Dlaczego zostawiła go samego? Po dwóch godzinach, kiedy zacząłem się zastanawiać, czy go tam zamordowała, pojawiła się klientka.

To była młoda dziewczyna, na oko dziewiętnastoletnia. Ona też chciała zwiedzać z przewodniczką. Klementyna weszła z nią do sal. Były tam najkrócej. Wróciły po zaledwie kilkunastu minutach. Dziewczyna miała ten sam wzrok, co pierwszy gość po zakończeniu zwiedzania, jakby w tych pustych salach zobaczyła coś potwornego, o czym nigdy nie zapomni.

Gdy obie zniknęły, wróciłem do zastanawiania się nad tym, co się stało z drugim gościem. Stamtąd nie było innego wyjścia, więc musiał nadal tam siedzieć. Chyba, że nie zauważyłem, jak wychodził...

Nie wyszedł do końca mojej pracy. Nie przyszedł już też żaden inny klient. Klementyna pożegnała mnie i wszedłem na tajemnicze schody, a potem do rozgrzanego popołudniem miasta.

Kolejne tygodnie były do siebie podobne. Przez jasny hall Muzeum Powrotów zwiedzający przewijali się rzadko. Siedziałem na recepcji i wydawałem nieliczne bilety, grałem w stare mini-gry, czytałem, rozmawiałem z Klementyną i czułem się, jakbym zapadł w jakiś długi, nudny, a jednocześnie barwny sen.

Niektórzy nie wracali z sal do zwiedzania, reszta wracała z pustym wzrokiem. Starsi zwiedzający przebywali w salach dłużej niż młodszy. Zauważyłem z pewnym zdziwieniem, ale też radością, że żaden klient nie patrzy na mnie z tą denerwującą mieszaniną strachu i współczucia.

– Przeszłość to dziwaczny twór – mówiła Klementyna. – Nie da się jej dotknąć i zmienić. Nie istnieje w fizycznej postaci, a tylko we wspomnieniach bądź na elektronicznych nośnikach. Przez to wszystko wydaje się czymś ulotnym i nie wiadomo, czy istnieje naprawdę.

Przymykałem oczy i zalewały mnie ponure myśli. Gdyby wsadzić ludziom do głów obce wspomnienia, ich przeszłość by się dla nich nie zmieniła, a jednak byłiby zupełnie innymi osobami. Postrzegaliby własną rzeczywistość całkiem inaczej, mimo że pozostałaby niezmienną. Czym więc jestem ja, człowiek pozbawiony wspomnień? Jestem niczym? Nie istnieję?

Siedzieliśmy na fotelach i piliśmy herbatę. Przesiadanie w Muzeum Powrotów budziło coraz dziwniejsze refleksje. Dopijałem bursztynowy płyn i wracałem na recepcję. Dni mijały wolno, a ja wydawałem ciężkie bilety kolejnym zagubionym i sentymentalnym zwiedzającym.

Jednak wraz z upływem czasu pojawiało się coraz więcej pytań i kłuły mnie one coraz bardziej. Dlaczego klienci przychodzą, by zwiedzać puste sale? Dlaczego

niektórzy stamtąd nie wracają? Co właściwie stało się z poprzednią recepcjonistką? I dlaczego zwiedzający mieli tak puste oczy, kiedy wracali z sal?

Oczywiście próbowałem wypytywać Klementynę.

– Ludzie, którzy do nas trafiają, mają zawsze ważny powód, a ich serca pałają ogromną chęcią poznania tego, czego nie zdążyli poznać, gdy była okazja. – Tak i w podobny sposób odpowiadała na wszelkie pytania, a ja nic z tego nie rozumiałem.

Próbowałem też podsłuchiwać pod drzwiami, ale słyszałem zawsze tylko to samo krótkie zdanie wypowiedziane przez Klementynę: „Proszę dotknąć, a gdy zechce pan skończyć, proszę zrobić tak, jakby próbował pan wybudzić się ze snu”. Niczego więcej nie mówili, dopóki Klementyna nie poinformowała: „A zatem pora na przejście do drugiej sali”. Gdy przewodniczka siedziała u siebie, nie mogłem zajrzeć do sal, ponieważ po zakończeniu każdego zwiedzania zamykała drzwi na klucz.

Wydrukowałem bilet i zanim podałem go staruszkowi w niebieskim kapeluszu, przyjrzałem się papierkowi z namysłem. Otoczony był ozdobną ramką, na środku miał napis: „Muzeum Powrotów. Jeremiasz Zagrodny. Bilet upoważnia do oglądania wszystkich eksponatów”. Zważyłem go w dłoniach.

– Synu, dajesz mi ten bilet czy nie? – zniecierpliwił się pan Jeremiasz.

Podąłem mu wydruk, życząc przyjemnego zwiedzania.

A więc jednak były jakieś eksponaty. Może wbudowane w ściany? Może pojawiały się one w wersji cyfrowej? A może...

Uznałem, że kluczem jest tu ten bilet z imieniem i nazwiskiem. Chyba musiałem sam taki kupić, żeby zobaczyć eksponaty. Postanowiłem, że zapytam Klementynę.

Zaczekałem, aż skończy oprowadzać pana Jeremiasza, po czym zawołałem ją, gdy szła do swojego pomieszczenia.

– Pani Klementyno!

– Tak?

– Bo ja tak sobie myślałem... Może... może ja też mógłbym pozwiedzać?

Po raz pierwszy zobaczyłem, jak posmutniała. Zazwyczaj widziałem na jej twarzy uśmiech bądź głębokie zadumanie.

– Jest pan ciekawy... – stwierdziła.

– No... tak.

– Sądziłam, że akurat pan nie... Pan jest taki... trochę jak niezapisana karta. Dlatego pana zatrudniłam.

Przestraszyłem się, że mogłem ją tym pytaniem zdenerwować.

– Ja... – zacząłem niepewnie, ale Klementyna mi przerwała:

– Och, spokojnie, to naturalne, że pan również chciałby pozwiedzać, skoro całymi dniami patrzy pan, jak inni tam wchodzi – powiedziała. – Ale przykro mi. Postanowiłam, że tym razem nie pozwolę zwiedzać osobie zasiadającej na recepcji.

Zamrugalem, chciałem już nic nie mówić, ale jednak pytanie mimowolnie wypłynęło z moich ust.

– Dlaczego?

Klementyna spojrzała na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Jest pan moim najlepszym recepcjonistą.

Tego dnia nie powiedziała do mnie już ani słowa. Siedziała u siebie, a gdy przyszedł koniec pracy, po prostu wyszła.

Rozmowa z Klementyną nie zaspokoila mojej ciekawości, a tylko jeszcze bardziej ją rozпалиła. Byłem tak zaintrygowany, że nie mogłem już dłużej siedzieć bezczynnie.

Czułem się nieco dziwnie, idąc nocą po mieście. I nie dlatego, że przerażali mnie zataczający się na ulicach łachmaniarze czy grupki pijanej młodzieży. To, co zamierzałem zrobić, z jakiegoś powodu przerażało mnie o wiele bardziej. Po prostu czułem, że tej nocy wydarzy się coś, co na zawsze zmieni moje serce, coś całkiem nieodwołalnego. Ale nie wiedziałem, czy to dobrze.

Wszedłem do kamienicy, w której mieściło się muzeum. Miałem zamiar wydrukować sobie bilet i zabrać klucz do sal z pokoju Klementyny. Na szczęście drzwi do kamienicy oraz te następne były otwarte. Zacząłem schodzić, czekając na to szczególne uczucie senności, które zawsze mnie tu nawiedzało. Oczy mi się zamknęły...

LUP!

Z całej siły uderzyłem w coś twardego. Zdezorientowany, pomacałem przed sobą i wyczułem zimną ścianę z cegieł. Poświeciłem telefonem.

Byłem w zwyczajnej piwnicy, z wąskim korytarzykiem i rzędem komórek. Czyżbym pomylił budynki? Wróciłem na górę i wyszedłem na ulicę. Nie... na pewno wszedłem do właściwej kamienicy.

Próbowałem ułożyć sobie w głowie to, co się właśnie stało. Może Muzeum Powrotów nigdy nie istniało, a ja sobie je uroiłem? Jedyne inne wytłumaczenie, jakie przychodziło mi na myśl, było zbyt nieprawdopodobne... Klementyna używała jakiejś nadprzyrodzonej mocy, żeby umożliwić wejście do muzeum. A w nocy, gdy przewodniczki nie było, nie dało się wejść. Muzeum wisiało w nieistnieniu... albo po prostu było zamknięte.

W każdym razie postanowiłem poczekać do jutra. Skoro nie udało się w ten sposób... Miałem inny plan.

Następnego dnia rozglądałem się po recepcji i bezmyślnie dotykałem wszystkiego, co było pod ręką. Zdawało się takie prawdziwe, takie namacalne... To nie mógł być sen ani żadne urojenie. Zresztą dostałem już wypłatę za pierwszy miesiąc – jeśli muzeum by nie istniało, skąd wzięłaby się na moim koncie?

A jednak rozsądek podpowiadał mi, że nadprzyrodzone moce Klementyny to kompletna bzdura.

W napięciu czekałem na pierwszego klienta, żeby wdrożyć mój plan w życie. Wiedziałem, że mogę stracić tak długo wyczekiwaną pracę, ale nie mogłem już dłużej powstrzymać ciekawości. Miałem też wrażenie, że za białymi drzwiami znajdę nie tylko odpowiedzi na pytania dotyczące muzeum, ale też odpowiedzi na pytania o mnie samego, o moje zapomniane życie.

Bo w końcu było to Muzeum Powrotów. Spersonalizowane powroty, o których mówiła Klementyna... Gdzie miałem dowiedzieć się czegoś o moim poprzednim życiu, jak nie właśnie tu?

Przyszedł zwiedzający. Tym razem była to młoda kobieta o szczupłej twarzy z zapadniętymi policzkami. Wydrukowałem bilet, ale gdy znikła za drzwiami wraz z Klementyną, nie ruszyłem się z miejsca. Musiałem poczekać, aż przyjdzie ktoś dużo starszy, kto spędzi w salach więcej czasu. Byłem jednak pełen optymizmu, ponieważ przychodziło tu całkiem wielu starszych ludzi.

Kobieta wyszła po czterdziestu minutach. Ze zniecierpliwieniem bębniłem palcami o ladę, czekając na kolejnego klienta. W końcu przyszedł jakiś starszy pan.

Niestety, już go widywałem kilka razy w tym muzeum. Chciał zwiedzać bez przewodniczki. Klementyna otworzyła mu drzwi i wróciła do siebie, ale nie

mogłem ryzykować, że w pewnym momencie wyjdzie ze swojego pokoju i zobaczy, że nie ma mnie na recepcji.

Okazja pojawiła się dopiero godzinę po obiedzie. Emerytka, którą widziałem tu pierwszy raz, poszła zwiedzać z Klementyną. Odczekałem chwilę, po czym wyciągnąłem portfel i zapłaciłem za bilet, jakbym sam był klientem.

Nacisnąłem przycisk drukowania i wstrzymałem oddech.

Po kilku długich chwilach trzymałem w ręku mój własny bilet. „Muzeum Powrotów. Sebastian Wolski. Bilet upoważnia do oglądania wszystkich eksponatów”.

Z gardłem ściśniętym ze strachu i ekscytacji podszedłem do białych drzwi i nasłuchiwałem.

Trochę to trwało. Przez długi czas dochodziły do mnie tylko dźwięki szurania stopami i pochrząkiwania. W końcu usłyszałem, jak Klementyna zaprasza staruszkę do kolejnej sali. Wziąłem głęboki wdech i wszedłem.

Z początku pomyślałem, że sala dalej jest pusta, lecz po chwili coś dostrzegłem na samym środku. Była to maleńka porcelanowa maska. Taka sama, jak ta leżąca w moim pokoju.

Uklęknąłem i przypominając sobie to, co mówiła zwiedzającym Klementyna, dotknąłem ozdoby.

Poczułem jakiś dziwny szum w głowie. Niemal wrzasnąłem, kiedy nagle sala rozplynęła się w barwne plamy. Wirowałem wraz z nimi. Potem wszystko pojaśniało. Unosiłem się w bieli.

Nagle uderzyły mnie kolory, szare, białe i błękitne. Wraz z nimi pojawiło się jakieś nieodgadnione uczucie. Jakby tęsknota połączona z silnym przeżywaniem jakiegoś czasu w swoim życiu. Znałem to uczucie, ale nie zwróciłem na nie wcześniej uwagi, bo takie uczucia stają się widoczne dopiero we wspomnieniach.

Wrażenie było niesamowite. Na początku widziałem tylko urywki obrazów, słów i dźwięków, ale i tak miałem wrażenie, że dopiero teraz tak naprawdę przeżywam ten czas, ten klimat.

Wróciłem do czasu, kiedy wszystko było akurat w takiej konfiguracji, a nie innej – pogoda za oknem, muzyka płynąca do uszu, uczucie zagubienia, przytłumione światło lampki, ogłoszenia, które przeglądałem...

A potem ujrzałem jeden z wieczorów, tak wyraźnie, jakby wpłynął mi do głowy. Deszcz za oknem uderzał miarowo o parapet, budynki pokryte były jego lekką mgiełką, a ja stałem przed lustrem i wpatrywałem się z pustym wyrazem twarzy w swoje odbicie.

Większą część twarzy pokrywała seria paskudnych blizn po oparzeniu, ciągnąca się od tyłu głowy, przez nos i lewy policzek aż do szyi. Wiedziałem, co w tamtej chwili myślałem. Że wyglądam jak morderca. Że po wypadku nikt mnie nie zatrudni.

Nagle uczucia z przeszłości i terażniejszości nałożyły się na siebie i w mojej głowie zapanował taki chaos, że natychmiast zapragnąłem wrócić do muzeum. Przypomniałem sobie słowa Klementyny i spróbowałem się wybudzić tak jak w snach.

Po chwili mi się udało. Klęczałem na drewnianej podłodze.

Nie dowiedziałem się niczego nowego o swojej przeszłości, bo wspomnienie pochodziło z czasów po wypadku, ale i tak uderzył mnie sposób, w jaki je przeżyłem.

W kolejnych salach muszą się kryć moje wspomnienia z wcześniejszych czasów...

Czułem się trochę dziwnie. Jakby coś mi umknęło, jakbym czegoś nie zauważył albo o czymś zapomniał, tak bezpowrotnie. Jakbym... coś stracił. Jakaś część siebie. Co właściwie było zabawne, bo tak naprawdę straciłem niemal całe moje życie, więc co jeszcze mógłbym stracić?

Podszedłem do drzwi i nasłuchiwałem. Klementyna ze starsuszką najwyraźniej wciąż znajdowały się w sali numer dwa, bo po chwili usłyszałem ciche kasznięcie. Starsza pani pewnie nadal błędziła po swoim wspomnieniu. A Klementyna? Co teraz robiła? Po co właściwie oprowadzała gości, skoro cała rzecz polegała na dotknięciu jakiegoś przedmiotu? Czekałem w napięciu, aż wyjdą. Bałem się, że może z jakiegoś powodu wrócą do pierwszej sali, ale po dziesięciu minutach usłyszałem oddalające się kroki i trzaśnięcie drzwiami.

Odczekałem chwilę i wszedłem do drugiej sali. Na samym środku ujrzałem gaśnicę. Spersonalizowane... W poprzednim pomieszczeniu była maska, moja maska, więc zrozumiałem, że każdy widzi w salach coś innego. Ale nie kojarzyłem tej gaśnicy. Coś jednak ukłuło mnie w serce na jej widok.

Potrząsnąłem głową, podszedłem i ją chwyciłem.

Znowu znalazłem się w wirującej kolorowej przestrzeni, która po chwili pojaśniała, by wrzucić mnie... w sam środek piekła. Otworzyłem usta, widząc wokół siebie gorącą czerwień, która powoli nabierała konkretnych kształtów. Ujrzałem rzędy foteli – widownia – i drewniany kawałek czegoś, co kiedyś zapewne było sceną teatralną, a teraz zmieniło się w górę desek i strzaskanych elementów scenografii. Wszędzie było pełno ciemnego dymu, a w rogu sceny ujrzałem płomienie.

Ale nie patrzyłem na nie. Patrzyłem na człowieka, który próbował uwolnić się spod wielkiej ramy przyciskającej go do podłogi. Tym razem widok samego siebie zdał mi się nadzwyczajny, bo on był mi znany, ale nieznanie mi było wydarzenie, w którym brałem udział. Nagle gdzieś z boku usłyszałem kobiecy głos i serce mi zamarło.

– Sebastian!

Krzyczała kobieta, która znajdowała się pod stertą desek w rogu sali. Coś na suficie zadrżało i osypało się trochę tynku. Podszedłem. To była kobieta, którą wyśniłem. Gdy dostrzegłem jej twarz, bladą i przerażoną, nagle wszystko się pomieszało i zmieniło, poraził mnie krótki błysk, który nagle rozwinął się w wyraźny obraz.

Ból był nie do zniesienia. Wbiłem paznokcie w podłogę i próbowałem się przesunąć. Luiza... muszę jej pomóc! Jeszcze trochę... Udało się! Stanąłem na nogach i ruszyłem w kierunku kobiety, która kiedyś sprawiła, że zacząłem znosić samego siebie, a która teraz błagała mnie o pomoc, krzyżąc coraz bardziej przenikliwie.

Dym gryzł w oczy. Widziałem niewiele, więc biegłem ostrożnie i gdy byłem prawie przy Luizie, nagle poczułem, jak moja stopa się blokuje, a potem runąłem jak długi na podłogę.

Zacząłem się podnosić. W tym momencie coś huknęło. Uniosłem głowę i ujrzałem, jak wielki kawał sufitu spada prosto na miejsce, w którym uwięziona jest Luiza. Nie krzyknęła. Nie zdążyła.

Dopiero po kilku minutach dotarło do mnie, co się stało. Zerknąłem za siebie. Ja po prostu... potknąłem się o deskę. Ludzie czasami się o coś potykają. Ja potknąłem się o wystającą z podłogi deskę.

Płomienie. Podniosłem się jak automat i powolnym krokiem ruszyłem w ich stronę. A potem się w nich położyłem.

Poczułem, jak mnie pożerają. Czulem też, że takie ścierwo jak ja nie powinno żyć. Nigdy. Ucieszyłem się, widząc, jak w stronę mojej twarzy pędzi duży kawał gruzu z sufitu.

Obraz się urwał, ale nadal czułem palące mnie żywcem płomienie. W głowie miałem chaos, wszystko zaczęło wirować, próbowałem się „obudzić”. Tym razem udało mi się to z pewnym trudem. Gdy ponownie ujrzałem salę,

miałem mokre policzki, a w głowie panowała pustka. Pustka, w której chciałbym pozostać już na zawsze. Lecz tuż za jej granicami czułem gmatwaninę przerażających uczuć i myśli, która próbowała się do mnie dobić i miałem wrażenie, że udałoby się jej, gdybym tylko wykonał jakiś gwałtowniejszy ruch.

Znowu poczułem, jakbym stracił coś z siebie, lecz tym razem ledwie zwróciłem na to uwagę.

Usłyszałem trzaśnięcie drzwi w sąsiedniej sali, więc powoli wstałem i do niej wszedłem. Na środku leżała niebieska szmaciana torba. Powinienem chyba coś poczuć na jej widok, bo zdała mi się boleśnie znajoma, ale mój umysł nadal był przeraźliwie pusty.

Ukucnąłem i położyłem na niej dłonie, a ona zabrała mnie do ciasnej kabiny w toalecie, gdzie siedziałem nękany – teraz pamiętałem – mdłościami i beznadziejnymi myślami.

Usłyszałem, że ktoś wchodzi do łazienki.

– Sebastian, wylaż.

Głos Luizy.

– Luiza? To męska toaleta...

– Domyślam się, że nie sprawdziłeś.

– Nie... Nie chcę. – Mój odpowiednik z przeszłości wyszedł z kabiny.

– Co ty, płakałeś? – Luiza wytrzeszczyła oczy.

Miała ze sobą tę niebieską torbę, którą – pamiętam! – nosiła przez całe studia.

– Ja... nie zasługuję na to, żeby mnie przyjęli – burknęła młodsza wersja mnie. – Nie zasługuję na nic dobrego.

– Przestań. Daj to.

Zobaczyłem, jak z ociąganiem wyjmuję z torby kopertę i podaję Luizie. Dziewczyna wyrwała mi ją z ręki, po czym natychmiast rozerwała. Po chwili jej oczy zrobiły się okrągłe.

– I co, dostałem się?

– Niestety... – Luiza westchnęła z rozczarowaniem.

Mój odpowiednik ukrył twarz w dłoniach.

– ...niestety jesteś głupi, że tego od razu nie otworzyłeś! – wykrzyknęła Luiza, trzaskając mnie kopertą w głowę. – Oczywiście, że się dostałeś! Witam na aktorstwie!

Zobaczyłem, jak biorę od niej list i z niedowierzaniem się w niego wpatruję.

– Dziękuję.

– Za co? – zdziwiła się.

– Nie pozwoliłaś mi się poddać.

Wpadliśmy sobie w objęcia. Coś mnie zakłuło w sercu, nie byłem w stanie na nas patrzeć, zapragnąłem się wyrwać, lecz nie mogłem. Stałem w miejscu i się rzucałem, próbując się obudzić i w końcu przyszło mi to z wielkim wysiłkiem.

Spojrzałem na błyszczące deski i poczułem, jak kolejny fragment mnie oderwał się i uleciał gdzieś w nieistnienie. Z pustym sercem podniosłem głowę. Przede mną stała Klementyna.

– Co ty tu robisz? – zapytała rozdygotanym głosem.

Milczałem, podnosząc się powoli. Wargi Klementyny zadrżały. Wyciągnęła rękę.

– Oddaj mi bilet.

Wygrzebałem go z kieszeni i jej podałem.

– Jak mogłeś... – mruzczała, przyglądając się biletowi. – Teraz i tak będziesz musiał dokończyć... Zaczekaj tu. Nigdzie się nie ruszaj. Poczekaj, aż wrócę.

Kiwnąłem głową. Było mi wszystko jedno. Klementyna wróciła do staruszki, a ja usiadłem na podłodze pod ścianą, czując, jak kłębowisko myśli próbuje przedostać się przez pustkę.

W końcu pustka mu ustąpiła. Myśli chaotycznie rozbiegły się po całym umyśle, zderzając się ze sobą

i rozsypując. Dlaczego... dlaczego ojciec nie powiedział mi o Luizie? Chciał mnie chronić? Uznał, że lepiej dla mnie będzie, jeśli o niej zapomnę? O niej... i o tym, co jej zrobiłem przez cholerną niezdarność.

Miał rację. Wolałbym nie pamiętać.

Siedziałem i czekałem. Po dłuższym czasie Klementyna wraz z emerytką przeszły przez salę, a po kilku chwilach przewodniczka wróciła sama. Spodziewałem się, że zacznie mnie besztać, więc byłem zdumiony, gdy usiadła obok na podłodze i westchnęła.

– Pierwsze zwiedzanie powinno się odbywać z przewodniczką – oświadczyła zmęczonym głosem. – Klienci, którzy zwiedzają pierwszy raz, czasem nie potrafią sami się obudzić. – Spojrzała na sufit. – No i przez ciebie będę stratna – dodała.

– Zapłaciłem za bilet.

– Tych strat nie pokryjesz pieniędzmi. – Klementyna uśmiechnęła się ponuro.

Spojrzałem na nią. Tego dnia ubrana była w ciemną spódnicę do ziemi, na głowie miała chustę, a w uszach wielkie złote koła, przez co wyglądała jak cyganka. Przyzwyczailem się już do jej ekscentrycznego sposobu bycia i mówienia zagadkami, ale to ostatnie nadal było męczące.

– I ty również będziesz stratny. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Ciebie prawie nie było. A teraz... straciłeś prawie wszystkie marne resztki siebie. Kiedy dojdiesz do ostatniej sali, będziesz rośliną.

– Nie rozumiem.

Spojrzałem na swoje ręce i zacisnąłem pięści. Przecież nadal cały istniałem.

– Widzisz... Niektórzy utracili swoją przeszłość. Czasami dosłownie, jak ty, a czasami w inny sposób. Przychodzą tu, by ją odzyskać. Ale gdy chcesz coś odzyskać, musisz oddać coś w zamian. Takie są prawa

świata. – Klementyna zamilkła. – I tak, jak niektórzy utracili swą przeszłość, tak niektórzy utracili swoją terażniejszość. Jak ja.

– Utraciłaś swoją terażniejszość?

– Tak. Oferuję zwiedzającym ich przeszłość, a oni... oddają mi za to swoją terażniejszość. A ty... najprawdopodobniej nie uda ci się odzyskać przeszłości tylko dzięki obejrzeniu kilku obrazów z niej w Muzeum Powrotów. Bo nie dość, że mechanicznie straciłaś pamięć, to przy okazji też sam wyparłaś bolesne wspomnienia, żeby się bronić.

– Skąd to wiesz?

– Widzę. Jesteś pustą kartą należącą do pisarza, który stracił węgę i nigdy jej nie odzyska. Straciłaś przeszłość i dosłownie, i wypierając ją. A terażniejszości nie masz prawie żadnej. Dlatego nie przyniesiesz mi zysku, a muzeum zabierze ci wszystkie te marne kawałki terażniejszości, które teraz masz i zupełnie ciebie już nie będzie.

Pokiwałem głową, jakby właśnie wytłumaczyła mi zadanie z matematyki.

– Ale dlaczego ty będziesz stratna? – zapytałem.

– Bo cena zdobycia terażniejszości innych jest wysoka. Te bilety – wyjęła mój – zawierają części mnie. Kiedy zostają ze mnie wydarte, ból jest potworny. Ale zawsze mi się to opłaca, bo wracają do mnie obficie nasączone terażniejszością innych, która mnie wypełni... i nie będę już miała w sobie takiej pustki. A ty? Co ty mi możesz dać? Prawie nic. Więc na darmo wyrzywałam część siebie, żeby zdobyć jakieś śmieszne okruszki twojej terażniejszości.

Nie byłem w szoku. Niczego nie czułem.

– Ale musisz dokończyć zwiedzanie. Żeby część mnie ukryta w twoim bilecie do mnie wróciła. Inaczej zostaniesz tu na zawsze. Nie przejmuj się... Może... może jednak odzyskasz przeszłość.

Pokiwałem głową i powoli się podniosłem.

Poszliśmy razem do czwartej sali. Na środku leżało małe pudełeczko. Nie pamiętałem go. Chciałem je otworzyć i zobaczyć, co w nim jest, ale gdy tylko go dotknąłem, znalazłem się w dziwnej zielonej przestrzeni, która po chwili skryzalizowała się w niewielkie podwórko.

Dziesięcioletnia Luiza stała obok dziesięcioletniego mnie, wymachując patykiem.

– Ty głupku! – Oczy dziewczynki płonęły taką wściekłością, że mój dziecięcy odpowiednik się cofnął. – Jak mogłeś dać sygnał do ataku, nie czekając na mój rozkaz?

Chłopiec otworzył usta, ale nie wydobyło się z nich nic.

– Nooo...? – zniecierpliwiła się Luiza.

Nadal milczał. Dziewczynka westchnęła.

– Miałeś odpowiedzieć trzy słowa. Trzy słowa – powtórzyła dobitnie. – „Nie miałem wyboru!”.

Chłopiec zrobił zbolaną minę.

– Ech, ja się do tego nie nadaję. Nigdy nie uda mi się zostać aktorem!

– To twoje marzenie. Jeśli się poddasz, jesteś słabiakiem. Trzeba próbować, dopóki się nie uda.

Luiza wyciągnęła z kieszeni małe pudełeczko i podała je chłopcu. Było w nim trochę trawy oraz mały ślimak.

– Znalazłam go pewnego dnia w ogródku babci. Próbował się wspiąć na wielki kamień na naszym skalniaku, ale za każdym razem spadał. Czasami gdy był już prawie na górze. Obserwowałam go przez kilka godzin. Powinnam mu pomóc, ale... podziwiałam, że cały czas powoli lecz nieustannie próbował.

– I co, udało mu się?

Luiza spuściła wzrok.

– Zainteresowała się nim Ruda. – Skrzywiła się. – Musiałam zabrać ślimaka, żeby to kocisko go nie sponiewierało. Ale dziś odłożę go w tym samym miejscu. Jestem pewna, że znowu spróbuje. On wie, że trzeba próbować.

Trzeba próbować. Klementyna powiedziała, że może mi się jednak uda odzyskać moją przeszłość. Zacisnąłem powieki. Próbowałem poczuć to wspomnienie tak, jakbym je sam przeżywał, tak jak udało mi się to w drugiej sali... Próbowałem przypomnieć sobie wszystko... Całe życie...

Co się wydarzyło przed tą rozmową z Luizą? Dlaczego chciałem zostać aktorem? Nie pamiętałem... Nic. Zupełnie nic.

Tym razem obudzenie się było jeszcze trudniejsze. Kiedy w końcu znalazłem się z powrotem w muzeum, leżałem na podłodze przez kilka minut, próbując dojść do siebie. Czułem się już niemal kompletnie pusty. Jakby ktoś mnie wydrążył.

Ledwo zwracałem uwagę na Klementynę, która pomogła mi wstać i poprowadziła mnie do piątej sali. Na środku leżało zwykłe kurze jajko, ale nie miałem siły zastanawiać się, co oznacza.

– Dajesz radę? – zapytała z troską Klementyna. – Teraz będziesz miał chwilę wytchnienia. Wrócisz do czasu, w którym nie istniały żadne problemy ani nieprzyjemności.

Osunąłem się na kolana i po raz kolejny zostałem przeniesiony do przeszłości. Uderzyły mnie ciepłe barwy, po chwili też poczułem to ciepło. I senność. Było mi niesamowicie przyjemnie. Unosiłem się w czerwonej przestrzeni i czułem, jakbym dryfował w samym spokoju. Było tak ciepło... Chciałem zostać tu na zawsze.

Nie wiem, ile tam wisiałem. W końcu jednak poczułem dziwne ciągnięcie, jakby ktoś szarpał mnie za rękę, której nie miałem. Została zamknięta w lodowatym uścisku, który był tak sprzeczny z tym przyjemnym ciepłem, że próbowałem wrzasnąć, ale przecież nie miałem ust...

Uścisk się nasilił. Próbowałem się wyrwać, obudzić, szamotałem się przez kilka dłuższych chwil, a potem

wylądowałem na podłodze muzeum, czując, jakbym wynurzył się z wody. Uniosłem na chwilę powieki i zobaczyłem, że Klementyna trzyma mnie za rękę. Usłyszałem jej cichnący głos:

– Podobało się w brzuchu matki?

Potem straciłem przytomność.

Klementyna wpatrywała się bez wyrazu w leżącego na podłodze recepcjonistę. Ciekawość... To ona popchnęła Joannę, poprzednią recepcjonistkę, do zwiedzania. Ale Joanna miała przeszłość. I miała całkiem sporo terazniejszości. Zgubiła ją zwykła ciekawość, chęć zobaczenia, co jest w ostatniej sali.

A z ostatniej sali się nie wracało.

Klementyna przykleknęła przy Sebastianie. Bilet wysłał już z niego wszystko. Klienci nie musieli zwiedzać ostatniej sali, by oddać Klementynie część niej. Ta sala stanowiła pewien rodzaj zwieńczenia wszystkich powrotów przeżytych w muzeum. Prowadziła do czasu, który był przed początkiem. Zwiedzający nie byli w stanie stamtąd wrócić, Klementyna też nie umiała ich wyciągnąć.

Zawsze decyzja o pójściu do ostatniej sali należała do zwiedzających. Niektórzy byli ciekawi, inni zdawali się właśnie tego potrzebować, inni nie chcieli nawet tam zaglądać. Ale Sebastian... Weźmie go. Człowiek, który stracił i przeszłość i terazniejszość, nie ma też przyszłości. Nie ma niczego. Więc nic innego mu nie pozostało.

Schowała bilet za spódnicę, a potem z trudem przeciągnęła bezwładnego Sebastiana do ostatniej sali. W niej nie było niczego. Zawsze była pusta. Klementyna położyła mężczyznę na środku, a potem patrzyła, jak znika.

ADRIAN IWANIAK

KREW ZA KREW

Na ten dzień czekałem długie osiem lat.

Z chwilą, gdy drzwi budynku otworzyły się, poczułem złość ogarniającą całe moje ciało. Mimowolnie zacisnąłem dłonie na kierownicy i wlepiłem wzrok w wychodzącego mężczyznę. Powstrzymałem się od wyjścia z auta i przywalenia mu w ryj. Kutas zasłużył na to. Zasłużył na to, aby zgnić w pierdłu! Lecz na tym świecie nie ma sprawiedliwości... Sąd po rozpoznaniu sprawy wymierzył mu karę zaledwie ośmiu lat. Ośmiu pieprzonych lat!

Ten skurwiel odebrał mi sens życia. Zbeczczył cnotę mojej siedmioletniej córki, mojej małej, kochanej Ani...

Jebany kutas...

Policja stwierdziła, że musiał ją obserwować od dawna, dzięki czemu dokładnie wiedział, kiedy kończy lekcje. Pewnego dnia przyjechał do szkoły i wmówił Ani oraz nauczycielom, że ma ją odebrać w moim imieniu. O dziwo nikogo to nie zdziwiło... A mówiłem jej, cholera jasna, żeby nie była tak ufna wobec nieznanym! Ech, teraz już za późno na rozżalenie się, trzeba działać.

W każdym razie wsiadła z nim do samochodu, po czym udali się w jakieś opuszczone miejsce. Nie trudno się domyślić, co dalej nastąpiło. I nie, skurwiel nie obszedł się z nią delikatnie. I nie zgwałcił jej tylko raz.

Na szczęście Ania przeżyła, choć jej stan był tragiczny. Następnego dnia rano znalazł ją staruszek podczas

spaceru z psem. Nie miałem okazji go poznać, ale jestem mu dozgonnie wdzięczny. Jemu, a raczej zwierzakowi, który zmusił właściciela do wyjścia z domu wczesną porą. Gdyby nie to, moja córka mogłaby nie dożyć południa...

A teraz, siedząc w samochodzie, obserwuję, jak pedofil korzysta z wolności. Rzygać mi się chce, kiedy na niego patrzę! Pocieszam się jednak myślą, że niedługo role się odwrócą i to on stanie się ofiarą. Moją ofiarą.

Zapomniałem chyba wspomnieć o najważniejszym... Ja sobie poradziłem z tą tragedią. Ania nie. Mimo że okazywałem jej tyle miłości i wsparcia, ile się dało, to nie wystarczyło. Może historia potoczyłaby się zupełnie inaczej, gdyby Marlena, moja żona, wciąż z nami była. A tak pozostałem z tym sam, dosłownie i w przenośni. Sam od trzynastego lipca dwa tysiące drugiego. Od dnia, kiedy moja córka popełniła samobójstwo.

Dni mijały, a ja niczym cień podążałem za skurwielem. Tomasz Bogulski, bo tak się nazywał, zamieszkał na jakimś zadupiu – Rejowiec czy coś takiego – w domu po zmarłej matce. Kupa cegieł, kawałek ogródka, garaż oraz piwniczka. Skromnie, ale na więcej nie zasługiwał, choć i tak powinien teraz gnąć za kratami bądź najlepiej trzy metry pod ziemią.

O jedno mogłem być spokojny – ten kutas nigdy mnie nie rozpozna, nie po tak długim czasie. Zresztą widział mnie chyba tylko dwa razy w życiu, a więc miałem zielone światło, by działać. W ciągu ośmiu długich lat oczekiwania, aż pedofil wyjdzie z więzienia, zmieniłem się diametralnie. Schudłem, zapuściłem brodę, a moje włosy w znacznym stopniu posiwiały. Aby odpędzić myśli o zmarłej córce, w wolnych chwilach biegałem lub

ćwiczyłem w domu, co także wpłynęło na moją sylwetkę. Teraz jestem innym człowiekiem.

Zapuszczałem się w rejony domu Bogulskiego, kiedy tylko mogłem. Głównie po pracy, ale zdarzało się, że brałem wolne, aby obserwować zwyrodnialca przez cały dzień. Za każdym razem, gdy widziałem, że robi zakupy, gotuje obiad czy chodzi spać, czułem narastającą we mnie chęć zemsty. Chęć wymierzenia sprawiedliwości na własną rękę. Ale nie zamierzałem go zabić. Nie jestem takim potworem jak on. Chciałem jedynie uprzykrzyć mu życie tak, aby już nigdy nie przyszła mu do głowy choćby myśl o jakimkolwiek dziecku. Do tego potrzebowalem jednak czasu i odpowiedniego planu, a przede wszystkim cierpliwości.

I wiedziałem, że kiedyś nadejdzie taki dzień, gdy spotkam się z nim twarzą w twarz. Pytanie tylko, czy dam radę opanować emocje i nie rozkwaszę mu tej parszywej mordy.

Po dłuższej obserwacji wiedziałem, że w każdy piątek i niedzielę o szesnastej wychodzi do kościoła. Może się nawrócić, a może chodził podglądać młodych ministrantów, aby po mszy w samotności dać upust nieczystym żądzom... Co mnie to zresztą obchodzi? Nawet gdyby codziennie uczęszczał do spowiedzi i modlił się o łaskę, nie zmaże tym grzechów, nie zwróci życia mojej córce. Pedofil zawsze pozostanie pedofilem.

Gdy zamknął za sobą furtkę, czekałem już w samochodzie zaparkowanym jakieś trzydzieści metrów od jego posesji. Nie mogłem się doczekać tego momentu. Na tę okazję przygotowałem kilka drobiazgów, które pozwolą mi przynajmniej w małym stopniu zrekompensować ból po śmierci Ani.

Po cichu wyszedłem z auta i upewniwszy się, że w okolicy nie ma żadnych sąsiadów, przeskoczyłem przez płot. Bałem się, że ktoś mnie nakryje lub Bogulski zawróci po coś do domu, a wtedy nici z planu. Nie potrafiłem jednak odpuścić. Nie teraz...

Nie bacząc na okoliczności, zakradłem się pod drzwi. Drżały mi dłonie, a po karku spływały kropelki potu. W końcu przez to, co zamierzałem zrobić, mogłem nabawić się nie lada problemów z prawem. Nie miało to jednak dla mnie w tej chwili znaczenia. Trzeba wymierzyć sprawiedliwość.

Z oddali rozbrzmiewały szумы drzew i melodyjny śpiew ptaków, lecz nawet one nie mogły zagłuszyć bicia mojego serca. Choć krew buzowała mi w żyłach, a nogi ciągnęły mnie do przodu, wiedziałem, że muszę działać rozważnie.

Skup się, Robert! Pamiętaj, co ten skurwysyn zrobił z Anią!

To wystarczyło. Przed oczami zamajaczyła mi wizja, jak Bogulski zabawia się z córką, jak dyszy i sapie, jak rozpina rozporek i wchodzi w moją Kruszynekę... Ta myśl, krótka i niewyraźna, zadziałała na mnie niczym płachta na byka, a spowolniony oddech tylko utwierdził w przekonaniu, że byłem gotowy wcielić swój plan w życie.

Powoli wróciłem do rzeczywistości. Oczyściłem umysł ze zbędnych emocji i wyciągnąłem z plecaka pluszowego misia. Niegdyś była to ulubiona zabawka Ani, jednakże przez ostatnie lata stała się przekleństwem, które nie dawało mi zapomnieć o jej śmierci... O śmierci tragicznej, o wiele przedwczesnej. Zmieniłem się – stałem się żalospasną karykaturą człowieka, ludzkim wrakiem pełnym rozpacz i tęsknoty za rodziną, napędzanym jedynie niepohamowaną żądzą odwetu.

Czas się pożegnać z przeszłością.

Z chwilą, gdy położyłem pluszaka pod drzwiami, poczułem nieopisaną satysfakcję, a moje usta rozwarły się w niemym grymasie. Miałem wrażenie, że kamień spadł mi z serca, taki wielki, przepełniony cierpieniem i żalem. Ciekaw jestem, jak zareaguje ten kutas, kiedy znajdzie wymowny prezent. Czy będzie wiedział, do kogo miś należał? Co poczuje? Złość, irytację lub może nieopisaną potrzebę skrzywdzenia innego dziecka?

Zemsta właśnie się rozpoczęła, a to dopiero przedsmak prawdziwej zabawy. Teraz kolej na ciąg dalszy. Z większą odwagą, ale wciąż ostrożnie udałem się na przód posesji, tak aby wszyscy w okolicy mogli podziwiać rezultat mojej pracy. Wiedziałem, że nie mam za wiele czasu i w każdej chwili ktoś może mnie zauważyć. Wbrew pozorom ta nutka ryzyka dodawała mi sił, popychała do przodu i niczym taran przebijała się przez masywne ściany lęku.

Szybciej! Nie zatrzymuj się!

Przykucnąłem pod ścianą, założyłem maseczkę ochronną i wygrzebałem z plecaka pistolet do malowania sprayem.

Teraz wszyscy sąsiedzi dowiedzą się, kim naprawdę jesteś, skurwielu.

Niewiele myśląc, zabrałem się do roboty. Choć trzęsły mi się dłonie, z każdym ruchem kolejne litery tworzyły wyraźne, półmetrowe słowo „PEDOFIL”. Z jakiegoś powodu sprawiło mi to dziką przyjemność. Nie mogłem się doczekać, aż Bogulski wróci do domu i odkryje moje arcydzieło. Tak długo czekałem, aby wreszcie wziąć sprawę w swoje ręce.

Radość trwała jednak krótko – w oddali rozniosło się głośne warczenie psów, które po chwili przekształciło się w zaciekle ujadanie. To mogło oznaczać, że ktoś zbliża się w moją stronę: listonosz, sąsiad, a może po prostu kot. Postanowiłem nie ryzykować. Pospiesznie spakowałem

rzeczy i zarzuciłem plecak na ramię. Liczyła się każda sekunda; jeszcze za wcześnie, aby stanąć z oprawcą twarzą w twarz.

Kiedy ruszyłem ku bramie, kątem oka zlustrowałem napis ociekający farbą, po czym spojrzałem przez okno do środka. Zadrżałem, lecz nie miałem czasu sprawdzić, czy mi się nie przywidziało. Czy to możliwe? Prawdopodobnie nie, ale przecież poznałbym ją wszędzie, o każdej porze dnia i nocy.

Na ścianie w salonie mignęło mi bowiem zdjęcie niskiej, uśmiechniętej dziewczynki. Zdjęcie mojej zmarłej córki...

Ania przyszła na świat, gdy miałem zaledwie dwadzieścia dwa lata, a Marlena osiemnaście. Jak nietrudno się domyślić, nie planowaliśmy tego. Joint, romantyczna muzyka, butelka wina i chwila zapomnienia sprawiły, że dziewięć miesięcy później życie obdarowało mnie najpiękniejszym prezentem, jaki mogłem sobie tylko wymarzyć. Od dnia jej narodzin wiedziałem, że kocham ją całym sercem. Mój mały skarb, moją Kruszynekę... Choć Marlena z początku chciała dokonać aborcji, cieszę się, że na szczęście zdecydowała się urodzić. Marlena i Ania, dwie najcudowniejsze osoby w moim życiu, moje miłości, moje muzy.

A teraz zostałem sam... Sam jak palec, pogrążony w cierpieniu i brudzie szarej codzienności. Każdego ranka czułem, jakbym tonął w rozpacz, dławiąc się tęsknotą za bliskimi. Niejednokrotnie myślałem o popełnieniu samobójstwa, lecz zawsze brakowało mi odwagi, tego ostatniego kroku ku przepaści. Być może zabrzmiałoby to kuriozalnie, ale przy życiu podtrzymywały mnie myśli o gwałcieliu córki, o pieprzonym Bogulskim. Myśli,

w których rozszarpuję go na strzępy, kastruję tasakiem i duszę gołymi rękoma. Myśli, które każą mi wymierzyć sprawiedliwość, zabić gnoja, aby cierpiał tak, jak Ania, a nawet gorzej.

Jednakże nie jestem takim człowiekiem... Niezależnie od skali tragedii, która mnie spotkała, daleko mi do mordercy. Gardzę przemocą i wyrządzaniem krzywdy drugiej osobie. Nie jestem potworem, lecz wiem, że gdzieś głęboko w moim umyśle istnieje uśpiona częśćka osobowości, która pragnie brutalnej zemsty i widoku flaków tego skurwiela. Krew za krew... I co najgorsze, boję się, że kiedyś ta częśćka przejmie nade mną kontrolę, a wtedy nie będzie już odwrotu.

Nie wiem tylko, czy Marlena by tego chciała. Chociaż nie ma jej już od kilku lat, wciąż nie mogę pogodzić się z tą stratą. Codziennie o poranku mówię jej „Dzień dobry”, a tuż przed snem wyobrażam sobie, że leży obok mnie. Tak bardzo za nią tęsknię. Tak bardzo, że powoli zaczynam wariować.

Dlaczego spotyka mnie tyle cierpienia? Czym zawiniłem, że los pozbawił mnie tak wspaniałego życia? Czy to kara za grzechy przeszłości, których nawet nie pamiętam? A może to wszystko jest częścią pierdolonego boskiego planu? Nie wiem i chyba nigdy się nie dowiem...

Liczyłem, że moje działania przyniosą jakikolwiek efekt, że Bogulski wścieknie się czy wezwie policję, czym skupi na sobie uwagę sąsiadów. Lecz nic takiego się nie stało... Wrócił do domu, bez słowa położył pluszaka w salonie, a napis zamalował farbą. I tyle. Zero emocji, żadnego przejęcia się, czy choć namiastki strachu. Zupełnie jakby była to dla niego codzienność, coś, do czego się przyzwyczaił.

Nie mogłem tego tak zostawić. Musiałem zdobyć się na coś mocniejszego, co naprawdę nim wstrząśnie. Proste działania, jak malowanie napisów na ścianie, nie przyniosą spodziewanego rezultatu. Musiałem przełamać swój opór – czas na rozlew krwi.

Po kilku dniach rozwiązanie pojawiło się samo – Bogulski przygarnął psa ze schroniska. Zapewne dla ochrony, raczej wykluczam opcję, że z miłości do zwierząt. Tacy jak on nie mają dobrego serca, są pozbawieni pozytywnych uczuć, a ich umysły spowija mrok. Zło to ich drugie imię.

Musiałem być twardy, aby wyzbyć się strachu i litości. Miałem do wyboru zemstę bądź życie w ciągłym cierpieniu, z żalem, że zabrakło mi odwagi. Decyzja okazała się prosta.

Po pracy udałem się pod dom tego śmiecia. Słońce powoli ustępowało miejsca ciemności, chowając się za horyzontem. Wystarczyło jedynie poczekać, aż kutas wyjdzie, a wtedy przystąpię do działania.

Zazwyczaj dla zabicia czasu rozwiązywałem krzyżówki lub grałem na telefonie, a gdy pęcherz robił się pełny, wypróżniałem się do butelki, a jej zawartość wylewałem podczas powrotu do domu. Powoli ogarniała mnie obsesja. Chciałem wiedzieć, co ten skurwiol robi w każdej chwili. Kiedy śpi, kiedy je, kiedy bierze prysznic... Wszystkie te czynności skrupulatnie zapisywałem w notesie z dokładnością co do minuty. Stałem się prześladowcą, cieniem człowieka, który zniszczył mi życie. Z jakiegoś powodu zacząłem go obwiniać również za stratę Marleny i każdą krzywdę, której doświadczyłem w życiu. Za wszystkie niepowodzenia i chwile słabości, za całe zło tego świata. Choć ten skurwiol nie miał pojęcia, że codziennie go obser-

wuję, zemsta na nim stała się moim życiowym celem. Lecz najgorsze było to, że żył z dnia na dzień, nieświadomy rosnącej we mnie nienawiści.

Zegar wskazywał dwudziestą pierwszą. Mimo że siedziałem w samochodzie już dobre dwie godziny, wciąż czułem na skórze ciepło letniego wieczoru.

I w końcu wyszedł.

On też się zestarzał. Jego twarz, zmęczoną życiem, okalały ciemne włosy sięgające do ramion i gęsta, zmierzwiona broda. Zanim trafił do pierdła, był wysokim, postawnym mężczyzną, a dziś wyglądał jak przygarbiony, bezbronny grubas, na którego żal nawet splunąć.

Jebać go!

Ze schowka wyciągnąłem kawałek soczystego schabu, zawinięty w papierową torbę; moją przepustkę do pojednania z psiskiem. Przynajmniej taką miałem nadzieję. Poczekalem chwilę, aż Bogulski oddali się na bezpieczną odległość, i wysiadłem po cichu z auta. Z bagażnika zabrałem zestaw narzędzi i powoli przeskoczyłem przez płot. Staralem się nie zwracać na siebie uwagi, w czym pomagała mi ciemność letniej nocy, więc tylko ktoś bardzo uważny mógłby dostrzec, że wkradłem się na posesję. Problem stanowił natomiast czteronogi ochroniarz.

Podobnie jak ostatnim razem, serce waliło mi jak młot. Próbowałem opanować emocje, lecz przychodziło mi to z trudem. Nogi zrobiły się miękkie, co utrudniało poruszanie się, a kark zeszywniał z nerwów. Jednak teraz, mimo początkowych problemów, uspokoilem się o wiele szybciej niż poprzednio.

Kiedy znalazłem się na środku podwórka, spodziewałem się, że za chwilę napotkam psa, ale ku mojemu zdziwieniu nic takiego się nie wydarzyło. Zacząłem rozglądać się dookoła, próbując dostrzec jakikolwiek ruch.

Cisza.

Nagle poczułem się samotny, opuszczony przez bliskich i zapomniany. Nawet zwierzęta omijały mnie szerokim łukiem...

Trwałem w tym stanie kilka sekund, a czas uciekał niczym piasek przez palce. Wtem z transu wyrwało mnie ciche warczenie dochodzące z oddali. Wyteżyłem wzrok, próbując zlokalizować bestię, ale było zbyt ciemno, abym mógł dostrzec jakikolwiek zarys. Wiedziałem jednak, że jestem obserwowany. Czułem, jak ociekające agresją ślepią wpatrują się we mnie i oceniają, z której strony najlepiej zaatakować. Niewiele myśląc, wyciągnąłem z torby kawał mięsa i rzuciłem przed siebie.

Krew buzowała mi w żyłach, a myśli przysłoniły mroczne obrazy.

Po chwili jednak z ciemności wyłoniła się niewyraźna sylwetka przestraszonego owczarka niemieckiego, którego wzrok zdradzał oznaki ufności.

– Spokojnie, piesku, nie chcę ci zrobić krzywdy – skłamałem.

Powolnym krokiem, z wyciągniętą przed siebie dłonią, ruszyłem w stronę zwierzaka. Stworzenie zaczęło łpać wzrokiem to na mnie, to na mięso, jakby nie mogło się zdecydować, na czym skupić uwagę. Wystarczyła jednak zaledwie chwila, żeby instynkt wziął górę nad strachem. To był odpowiedni moment, aby zadziałać.

Podczas gdy zwierzak pałaszował posiłek, drżącą ręką sięgnąłem do skrzynki z narzędziami, z której wyciągnąłem młotek.

Wybacz mi...

Westchnąłem ciężko, zamknąłem oczy i silnym ruchem rozłupałem psu czaszkę. Trzask pękającej kości, przeplatany z pełnym bólu skomleniem zwierzęcia, poniósł się echem po okolicy. Poczułem, że mój żołądek wywraca się do góry nogami, a serce pęka z rozpacz. Żal mi było

biedaka, ale musiałem być twardy; współczucie jest dla słabych.

Lecz jeden cios nie pozbawił owczarka oddechu... Musiałem wymierzyć kolejny, a po nim jeszcze dwa następne, aby mieć pewność, że zwierzak wyzionął ducha. Katując psa, wyobrażałem sobie, jak twardy obuch uderza w twarz Bogulskiego, wybijając zęby i łamiąc kości jarzmore. Widziałem krew rozbryzganą po ścianach, a uszy przeszył mi rozpaczliwy jęk tego skurwiela, błagającego o litość. Na tę myśl uśmiech zagóścił na mojej twarzy.

Ach, jakie to piękne uczucie...

Po wszystkim spojrziałem na dłonie, szkarłatne od posoki tryskającej z ofiary, co niemal przyprawiło mnie o nudności. Jeszcze kilka lat temu nie byłbym w stanie zamordować psa, i to w tak bestialski sposób, a dziś zrobiłem to bez skrpułów. Poniekąd sprawiło mi to radość, ale wyłącznie dlatego, że oczami wyobraźni widziałem pedofila, który odebrał mi sens życia. W zamian ja odebrałem mu namiastkę bezpieczeństwa. Tego nie będzie w stanie zignorować.

Skończyły się żarty, pora rozegrać partię na moich zasadach. Bardzo brutalnych zasadach...

Po kilku godzinach zjawił się patrol policji. Funkcjonariusze zabezpieczyli miejsce zbrodni, zebrali dowody i przepytali świadków. Jednak nie wyglądało na to, aby znaleźli cokolwiek, co mogłoby powiązać mnie z tą sprawą.

Bogulski był wściekły. Wcale mu się nie dziwię. Ktoś ponownie wtargnął na teren jego posesji, ale dokonał czegoś znacznie gorszego niż poprzednio – dopuścił się krwawej jatki na bezbronnym zwierzaku. Nawet policjanci

byli zszokowani, nie mówiąc o sąsiadach. Ostatni raz podobne zdarzenie miało miejsce zapewne... nigdy.

Jak tak sobie o tym wszystkim myślę, to w sumie mogłem upozorować włamanie, aby policja nabrała podejrzeń, że pies w heroiczny sposób obronił dorobek gospodarza, poświęcając życie. Temat na pierwsze strony gazet, o ile jakkolwiek wychodzi na tym zadupiu.

Teraz wystarczyło poczekać, aż sprawa ucichnie. Ludzie zapomną o tym, co się stało, a śledztwo z pewnością zostanie umorzone. Pora uzbroić się w cierpliwość. Stwierdziłem, że dwa tygodnie w zupełności wystarczą.

Czas mijał, a z każdym dniem zachowanie Bogulskiego stawało się dla mnie coraz trudniejsze do rozszyfrowania. Byłem przekonany, że zaszyje się gdzieś na kilka dni, stanie ostrożniejszy lub nawet zamontuje kamery. Tymczasem wolne chwile poświęcił na spacer, czytanie książek i przygotowywanie przetworów, które trzymał w piwnicy. Taka mała odskocznia od codzienności pedofila.

Nie dopuszczałem do siebie myśli, że pobyt w więzieniu naprawdę na niego wpłynął. Tacy jak on nigdy przecież się nie zmieniają. Na pewno coś knuł; nie wierzyłem, że nagle stał się dobrym człowiekiem. Cokolwiek by zrobił, ja i tak wiedziałem, że cały czas tli się w nim iskierka grzechu, że kutas mu staje na samą myśl o małych dziewczynkach. Dlatego ten spokój i udawana przemiana działały mi na nerwy. A może odkrył, że go śledzę, i próbował oszukać nie siebie samego, lecz mnie? Nie... To niemożliwe. Nie byłby takim ignorantem, aby z pokorą czekać na moje działania. A może właśnie o to mu chodziło? Może tak naprawdę czekał, aż odkryję karty lub popełnię błąd?

Istniał tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć – musiałem stanąć z nim twarzą w twarz, spojrzeć w te diabelskie, naznaczone złem oczy...

W teorii planbył dość prosty – skonfrontować się z Bogulskim, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. W praktyce okazało się, że nie będzie to takie łatwe. Myślałem, żeby zaczepić go na ulicy, zapytać o godzinę lub drogę, aczkolwiek niewiele by mi to dało. Potrzebowałem prawdziwej konfrontacji. Musiałem stanąć z nim sam na sam, bez świadków, na neutralnym gruncie, aby czuł się bezpiecznie.

Po kilku dniach wpadłem na ciekawy pomysł. Od znajomego pożyczyłem uniform kuriera, wynajmłem samochód dostawczy i spakowałem kilka desek w wielkie pudełko, żeby paczka wyglądała na ciężką. Teraz wystarczyło podjechać pod jego dom i dostarczyć mu rzekomą przesyłkę.

Wiedziałem, że mnie nie pozna, nie po tak długim czasie. Zresztą widział mnie chyba tylko dwa razy w życiu, a więc miałem zielone światło, by przystąpić do działania.

Długie cienie krzewów i drzew kładły się na ogrodowych trawnikach, a słońce w zenicie rozaczało swój blask przez stare, zniszczone okna, delikatnie oświetlając ponure wnętrza drewnianych domów. Dochodziła trzynasta piętnaście. Choć powietrze tego dnia było dość ciepłe, powoli zanosilo się na deszcz.

Gówny mnie jednak to obchodziło. W pełnym skupieniu podjechałem pod chatę Bogulskiego, po czym wysiadłem z auta. Otworzyłem klapę bagażnika

i wyciągnąłem ze środka wielką, zapakowaną paczkę, która ważyła chyba ze trzydzieści kilogramów. To był ten moment, to była ta chwila...

Z wielkim trudem zaciągnąłem przesyłkę pod bramę i zatrąbiłem dwa razy klaksonem. Nie musiałem długo czekać, aż Tomasz zareaguje. Doskonale wiedziałem, że był w domu. Po zaledwie piętnastu sekundach się zjawił, ten jebany skurwiel, który zniszczył mi rodzinę, pozbawił wszystkiego, co kochałem. Główna przyczyna mojego cierpienia. Miałem ochotę go zabić, tu i teraz. Musiałem jednak być rozważny – on tylko czekał, aż popełnię błąd, zrobię jakiś fałszywy ruch.

– Pan Tomasz Bogulski? – zawołałem. – Przesyłka do pana.

– Przesyłka? Przecież nic nie zamawiałem.

– Panie, ja mam to tylko dostarczyć. No dalej, to waży chyba z tonę. Pomoże pan to wnieść czy nie?

Kutas chwilę się wahał, pewnie miał mętlik w głowie.

– Ehm, no dobrze. Wnieśmy to do środka.

Doskonale...

Chwyciliśmy paczkę jednocześnie; ja z tyłu, on z przodu. Przez moment wpatrywałem się w jego żalodne oczy, przepelnione beznadzieją, wyobrażając sobie, jak podcinam mu gardło. Biedak nie był świadom, że w myślach zabijałem go już tysiące razy.

Powolnym krokiem weszliśmy do salonu, po czym położyliśmy przesyłkę pod ścianą, obok drewnianego stolika, na którym znajdował się talerz z niedokończonym obiadem.

– Ciężkie to jak cholera – wycedził Bogulski. – Wie pan, co jest w środku?

– Nie mam pojęcia. Płacą mi za dostarczanie paczek, a nie otwieranie.

– Rozumiem... A można wiedzieć od kogo ten prezent?

Coś ty taki ciekawski nagle?

– Dane nadawcy są z boku paczki. Tam wszystko jest napisane, wystarczy zerknąć. Firma Maxpol czy coś takiego.

Po tych słowach nastąpiła chwila ciszy. Musiałem jakoś podtrzymać rozmowę, aby móc w spokoju napawać się tą wiekopomną chwilą. Wiedziałem, że raczej nie uda mi się ponownie tu dostać, no chyba że się włamię

– Strasznie dziś gorąco, mógłbym prosić o szklanek wody? – zapytałem, wycierając spocone czoło chusteczką.

Bogulski w odpowiedzi uśmiechnął się nieznacznie, skinął głową i ruszył w stronę kuchni. Gdy zniknął mi z pola widzenia, rzuciłem szybko:

– Papiery do podpisania zostawiłem w samochodzie. Za chwilę po nie pójde, tylko muszę się napić! Gorąco tu jak w piekarniku.

Miałem zaledwie kilka, może kilkanaście sekund, aby dokładnie rozejrzeć się po mieszkaniu. Szukałem jednej, konkretnej rzeczy – zdjęcia mojej zmarłej córki. Byłem pewien, że widziałem je podczas pierwszego pobytu na działce Bogulskiego. Przecież nie mogłem się mylić!

Pospiesznie zlustrowałem każdy kąt salonu. Pozwoliłem sobie również na krótki spacer po sypialni i korytarzu. Z każdym krokiem zalewała mnie coraz silniejsza fala podniecenia oraz strachu, przez co trudno mi było złapać oddech, a serce biło jak rozszalałe.

Nie minęło wiele czasu, aż znalazłem to, czego szukałem – oprawione w złotą, inkrustowaną kryształkami ramkę, wewnątrz której znajdowało się zdjęcie Ani. Mojej cudownej, małej Kruszynki.

Boże, jak ja za nią tęsknię!

Przycisnąłem ramkę do piersi i zamknąłem powieki. Nawet nie zauważyłem, kiedy po moich policzkach zaczęły spływać łzy.

– Córeczko, dlaczego on ci to zrobił? Dlaczego mi cię odebrał?

Nie kryłem się z płaczem. Ryczałem niczym małe dziecko. Nie obchodziło mnie, że Bogulski lada chwila się tu pojawi. Zastanawiało mnie tylko, skąd miał zdjęcie Ani w swoim domu? I po co?

Oczami wyobraźni widziałem najwspanialsze chwile mojego życia – narodziny córki, jej pierwsze słowa i naukę jazdy na rowerze. Cholera, szło jej tak bez nadziejnie, a mimo to nie chciała się poddać. Moja mała, dzielna wojowniczką... Dlaczego musiałaś tak cierpieć?

Wzdychając głęboko, zacisnąłem pięści i rozchyliłem powieki. Nie ma co płakać. Straciłem ją na zawsze, smutek nie przywróci jej do życia. Mogę jedynie dokonać zemsty, pomścić Anię, przelewając krew tego zwyrodnialca.

Już miałem wrócić do salonu, gdy ukradkiem dostrzegłem inne zdjęcie, ukryte wewnątrz szklanej gabloty. Podeszedłem bliżej, aby mu się przyjrzeć, i oniemiałem. Przeszył mnie lodowaty dreszcz, wijący się od karku po tydki.

Przetarłem oczy, gdyż wydawało mi się to niemożliwe. Zdjęcie przedstawiało Marlenę...

– Co pan tu robi, do cholery? – Podniosły głos wytrącił mnie z osłupienia.

Chciałem coś odpowiedzieć, znaleźć wymówkę, lecz słowa uwieźły mi w gardle. Zdałem sobie sprawę, że ten skurwiel ma obsesję na punkcie mojej rodziny.

I wtedy coś we mnie pękło.

Nie zastanawiając się ani chwili, chwyciłem stojącą na kredensie lampę i roztrzaskałem o głowę Bogulskiego z taką siłą, że skurwiel zwałił się na podłogę niczym zrąbane drzewo i stracił przytomność.

Nadszedł dzień wymierzenia kary.

Przytłaczającą ciemność nieznacznie oświetlała żarówka zwisająca z sufitu, rzucając blask na ściany obskurnej piwnicy. Westchnąłem ciężko i odpaliłem papierosa, rozkoszując się gryzącą w gardło tytoniową trucizną. Jak dobrze, że Bogulski miał akurat paczkę w kieszeni. Rzuciłem niemal dziesięć lat temu, jednak dziś mogłem sobie pozwolić na chwilę przyjemności.

Oparty o regał, patrzyłem na jego nagie, drżące ze strachu ciało. Na mięśnie napięte do granic możliwości, nadgarstki obtarte od więzów, zakneblowane usta i przerażone oczy. Żenujący obraz bezradności i upokorzenia...

Pedofil w końcu dostanie to, na co zasłużył.

Zaciągnąłem się po raz ostatni, po czym zgasilem peta podeszwą buta. Na początek chciałem tylko nastraszyć skurwiela, delikatnie się z nim pobawić, tak aby narobił ze strachu pod siebie. Już samo miejsce przyprawiało o gęsią skórkę, choć pewnie efekt byłby lepszy bez poutykanych wszędzie słoików.

Podszedłem bliżej, aby ściągnąć Bogulskiemu knebel. Byłem ciekaw, co ma do powiedzenia w tej jakże ekscytującej dla mnie chwili. Zamierzał przeprosić? Błagać o litość? Prosić Boga o pomoc?

– Czego chcesz?! – wrzasnął, z trudem łapiąc powietrze. – Dam ci wszystko! Pieniądze, karty kredytowe, tylko, na miłość boską, wypuść mnie!

Żałosne.

Uśmiechnąłem się w duchu, złapałem jego parszywy pysk i splunąłem mu w twarz. Gęsta ślina ściekała mu po nosie, by dostać się następnie do splekanych ust. Skurwieli nie był nawet wart rozmowy, więc zamiast słów posłałem mu soczysty prawy sierpowy, tak na początek jakże

owocnej współpracy. Na wszelki wypadek dowaliłem mu też w brzuch, czym pozbawiłem go na moment tchu. Widok jego bezsilności napawał mnie coraz większą satysfakcją, prowokował do dalszej agresji.

– K-kim jesteś?! Czego chcesz, d-do cholery?!

Za chwilę się dowiesz, cierpliwości...

– Jestem twoim najgorszym koszmarem, urzeczywistnieniem najskrytszych lęków. Oto kim jestem.

– Kurwa, wypuść mnie, pojebie!

– Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić. Jeszcze za wcześnie na myślenie o wolności. O ile w ogóle stąd wyjdiesz...

Po tych słowach Bogulski zaczął wierzgać jak rażony prądem, próbując oswobodzić się z więzów. Na jego nieszczęście sznury trzymały dość mocno. Aby go uspokoić, posłałem mu mocny sierpowy. Cios zdruzgotał kości nosa, a echo uderzenia, wirując między ścianami, przeszywało mi uszy niczym uderzenie w dzwon.

– Bądź grzeczny, to może pozwolę ci umrzeć szybko, choć niestety boleśnie.

– Dla... dlaczego...? – wydukał Bogulski ledwie słyszalnym głosem, wydmuchawszy krew z nosa. – Dlaczego mnie tu zamknąłeś?

– Co ty tam pierdolisz? Chcesz więcej? Proszę bardzo!

Dynamicznym ruchem rozchyliłem mu nogi, nabrałem rozpędu i z całej siły kopnąłem go twardą podeszwą buta w przyrodzenie. Skurwiel aż posiniał z bólu, wydając stłamszony ryk, a dłonie zacisnął kurczowo w pięści. Nie musiałem nawet patrzeć mu w oczy, by wiedzieć, że malowało się w nich cierpienie.

Najlepsze było to, że dopiero się rozkręcałem.

– Dla takich jak ty powinni przywrócić karę śmierci. Jesteś potworem, rozumiesz? Brzydzą się tobą!

– O-o czym t-ty mówisz?

Ten kutas beczelnie udawał, że nie wie, o co chodzi... Chyba byłem dla niego zbyt łagodny, a on próbował to wykorzystać. Pora zatem przejść do konkretów.

– Jesteś pieprzonym pedofilem! Zgwałciłeś moją córkę! Mój największy skarb!

– Człowieku! Nie mam pojęcia, o czym mówisz!

– Kłamiesz, skurwysynu!

– Przysięgam, w życiu nie tknąłem żadnego dziecka!

– Hmm... Zatem przekonamy się, czy mówisz prawdę.

Nawet w obliczu nadchodzącej śmierci Bogulski trwał w kłamstwie, wypierając się popełnionej zbrodni. Może gdyby potwierdził zarzuty i okazał skruchę, potraktowałbym go łagodniej. A tak, czy tego chciałem, czy nie, musiałem wyrządzić mu krzywdę, zranić tak bardzo, aby pożałował, że kiedykolwiek postawił nogę na tym świecie.

Zabić go od razu czy może pozwolić, aby skonał w najgorszych męczarniach, przedłużając cierpienie do granic możliwości? A może warto pokazać mu, jak to jest być gwałconym? Kusząca wizja.

W poszukiwaniu odpowiednich narzędzi zacząłem rozglądać się po zatęchłej piwnicy. Choć wewnątrz oświetlała jedynie migocząca żarówka, w rogu pomieszczenia, na starej drewnianej półce dostrzegłem skrzynkę, a w niej dwa śrubokręty. Nie musiałem długo się zastanawiać, aby zdecydować, jakim sposobem wyduszę z Bogulskiego prawdę. W gruncie rzeczy ją znałem – co do popełnionej zbrodni nie było wątpliwości. Musiałem jedynie usłyszeć z jego ust potwierdzenie, usłyszeć przyznanie się do winy i żal za grzechy. A potem zapamiętać do końca życia krzyk, który rozlegnie się po piwnicy, kiedy wyrwę mu serce gołymi rękoma.

W głowie kłębiły mi się tysiące myśli, jak ukarać gwałciciela. Tak długo czekałem na ten moment, gdy sprawca mojej życiowej tragedii będzie siedział przede mną,

całkowicie bezbronny i zdany na łaskę swojego kata. Na łaskę, na którą nie zasłużył.

– Po co ci to? Co zamierzasz z tym zrobić?! – Głos Bogulskiego łamał się pod naporem strachu.

W milczeniu nachyliłem się nad skurwielem, chwyciłem jego lewą dłoń i uniosłem śrubokręt.

– Zapytam krótko: zgwałciłeś ją?

– Nie, przysięgam, ja nigdy...

Zanim dokończył zdanie, ostrze narzędzia wbiło się w nadgarstek, przebiło mięśnie i kruche kości na wylot. W ułamku sekundy ciasne pomieszczenie wypełniło się charakterystycznym trzaskiem, zastąpionym po chwili przez głośny, przeciągły ryk cierpiącego człowieka. Ryk pełen bólu i niedowierzania, urzeczywistnienie strachu i bezradności.

Nie zważając na okropieństwo sytuacji, wziąłem kolejny śrubokręt i złapałem drugą dłoń.

– Zapytam ponownie. Zgwałciłeś moją córkę czy nie?

– Kurwa mać, ja naprawdę nie wiem, o co...

Szybki ruch i narzędzie przebiło prawy nadgarstek. Uodporniłem się na krzyk, jednak widok tryskającej krwi niemal przyprawił mnie o mdłości. A biła ona niczym górskie źródło, zalewała nagie ciało Tomasza i dekorowała podłogę czerwienią. Przez moment myślałem, że ofiara wykrwawi się, przedwcześnie kończąc zabawę. Lecz z drugiej strony może to i lepiej... Dla niego oczywiście, bowiem ja miałem ochotę na długą i brutalną zemstę.

– Jak długo zamierzasz jeszcze kłamać?! – wrzasnąłem.

– Ja naprawdę... nigdy...

– Łżesz, skurwysynu! Siedziałeś w więzieniu przez osiem pieprzonych lat! Tak mocno cię tam przeruchali, że zapomniałeś, co stało się z Anią?

– Anią? – Bogulski nagle spowaźniał – Jesteś...

– Tak. Jestem jej ojcem, a ty sprawiłeś, że ją straciłem.

Straciłem na zawsze! Przez fiuta, którego nie potrafięś utrzymać w spodniach!

W tym momencie wściekłość zawładnęła moim ciałem, ignorując rozum i trzeźwe myślenie.

Koniec pierdolenia!

Już miałem obić mu mordę po raz kolejny, kiedy niespodziewanie rozbrzmiał telefon znajdujący się w kieszeni rzuconych w kąć spodni. Dźwięk połączenia sprawił, że mężczyzna zaczął nerwowo przewracać oczami, a jego mięśnie napięły się, przybierając niejako pozycję obronną. To oznaczało, że rozmówcą był ktoś ważny dla niego, być może matka, brat lub chuj wie kto inny. Tak czy inaczej, musiałem to sprawdzić.

Nim jednak spojrzałem na ekran telefonu, zwróciłem się do Tomasza:

– A teraz grzecznie powiesz „Dzień dobry”, zapytasz, w czym rzecz, i kulturalnie się rozłączysz. Tylko bez wygłupów! Jedno złe słowo, a przysięgam, że utnę ci język!

Bogulski jedynie skinął głową na znak potwierdzenia. W tym samym momencie załała mnie fala jednocześnie podniecenia i strachu, gdyż osobą dzwoniącą okazała się „Żona”.

– Była żona – sprostował Bogulski, widząc moje zmieszanie.

Odebrałem telefon i włączyłem tryb głośnomówiący.

– Tomasz? Halo... – Ze słuchawki wydobył się gniewny, acz dziwnie znajomy głos.

– T-tak, jestem.

– Czemu, do cholery, nie odbierasz? Dzwoniłam chyba z pięć razy! I co ty taki zaspany?

– Wybacz, biegalem i nie słyszałem telefonu... Coś się stało?

– Mam nadzieję, że pamiętasz o tym, co masz jutro do zrobienia?

– Ehm... – Mężczyzna wyglądał na szczerze zakłopotanego.

– No tak, oczywiście, jak zwykle... Masz odebrać córkę z treningu! W ten weekend twoja kolej, nie będę znów jej okłamywać.

– Tak, tak, pamiętam. Będę punktualnie, nie martw się.

– No, mam nadzieję! Dobrze, muszę wracać do obowiązków, chciałam ci tylko o tym przypomnieć.

– Jasne, rozumiem – wycedził niechętnie Tomasz. – Proszę, ucałuj ode mnie Anię i przekaz, że bardzo mocno ją kocham. I tęsknię z całego serca... Cześć.

Czy ja dobrze słyszałem? Czy ten skurwiel nazwał swoje dziecko imieniem mojej córki? Mojej zmarłej córki, którą zgwałcił?!

Nagle zaczęło kręcić mi się w głowie, a nogi stały się miękkie jak z waty. Z wrażenia aż osunąłem się na podłogę. Bogulski natomiast uśmiechnął się nieznacznie, widząc moją chwilową słabość, i oznajmił:

– A więc to ty. Wypuścili cię wcześniej...

– Co? O czym ty mówisz?

– Mówię o tym, że leczenie najwyraźniej nie przyniosło zakładanych rezultatów. Cóż, mogłem się tego spodziewać.

– Co ty pierdolisz?!

– Ech... Wcześniej tylko podejrzewałem, a teraz mam już pewność. Nazywasz się Robert Mazurek, czyż nie? Nie musisz odpowiadać, znam odpowiedź. Co więcej, mam nawet wiadomość dla ciebie.

– Że co, kurwa?

– Cóż... Twoja żona i córka żyją, i mają się całkiem dobrze.

Nie, nie, nie, nie i jeszcze raz, kurwa, nie! Co on bredzi? Chyba całkiem go pojebało! Albo próbuje mnie omamić, by zyskać na czasie.

- Masz mnie za debila czy co?
- Bałem się, że kiedyś ten dzień nadejdzie, że w końcu cię wypuszczą. Nie sądziłem jednak, że stanie się to tak szybko.
- Co ty pierdolisz za głupoty? Rozum ci odjęło? A może chcesz znowu dostać po pysku?
- Powiedz mi, co stało się z twoją żoną? – wypalił Bogulski, ignorując moje groźby.
- Marlena? Zniknęła.
- Zniknęła, tak? Po prostu wyparowała?
- Tak, kurwa, po prostu wyparowała! Czego tu nie rozumiesz?
- A nie było przypadkiem tak, że odeszła do innego mężczyzny?
- Zamknij się!
- Przypomnij sobie dokładnie. Odeszła do kochanka wraz z twoją córką...
- Zamknij mordę, skurwysynu! Kłamiesz!
- Odeszła, zostawiła cię samego. Straciłeś je obie, straciłeś to, co kochałeś najbardziej na świecie.
- NIE! TO NIEPRAWDA!
- To szczerą prawdą, wiesz o tym doskonale. A mówię ci to tylko dlatego, że i tak mnie zabijesz... Zrobisz to dlatego, że jesteś psychicznie chory, że przez osiem jebanych lat faszzerowali cię lekami, które nie przyniosły żadnego rezultatu. I w głębi duszy pamiętasz, że to ja odbiłem ci rodzinę, że to ja zgwałciłem twoje marzenia o córce i dymałem na boku żonkę! No dalej, zrób to, jebany psycholu! Nie wytrzymałem.
- Bez chwili wahania chwyciłem leżący na półce młotek i przytrzymałem szczękę Bogulskiemu. Chciałem, żeby przestał. Nie mogłem dłużej słuchać tego pierdolenia.
- Odetchnąłem głęboko, policzyłem w myślach do trzech i silnym ruchem wybiłem skurwielowi górne siekacze. Bogulski ryknął z bólu niczym dzikie zwierzę,

a jego oczy zapłonęły gniewem. Mimo iż trząśł się, jakby obdzierano go żywcem ze skóry, nie poluzowałem uścisku. Przeciwnie – przytrzymałem go mocniej, aby kolejne uderzenia trafiały z większą dokładnością.

– Nie krzycz, to nie potrwa długo – wyszeptalem mu do ucha i uniosłem młotek.

Trzask kruszonego uzębienia zagrał mi w uszach niczym piękna melodia, a zapach krwi nasunął skojarzenia z „pinot noir”, którym upijaliśmy się z Marleną zwykle w trakcie romantycznych kolacji. Ach... Oddałbym wszystko, aby móc ją ponownie ujrzyć, dotknąć jej skóry, pocałować...

Krzyk Bogulskiego stał się nagle cichy i niewyraźny, a przy tym tak nieistotny, że przestałem zwracać na niego uwagę. Liczyły się dla mnie już tylko jedynie dwie rzeczy: mgliste wspomnienie ukochanej rodziny oraz twardy młotek, który wylądował z impetem na twarzy pedofila.

Widząc rozbryzgany mózg po ceglanych ścianach, poczułem, że zemsta się dokonała – odpłaciłem krwią za krew. Do wykonania pozostał ostatni element planu. Najtrudniejszy, ale i najprzyjemniejszy.

Ukradkiem spojrzałem na kanister z benzyną stojący w rogu, po czym wygrzebałem z kieszeni szluga, by po raz ostatni nacieszyć się zabójczym nałogiem. Lecz nie tytoń zabierze mnie do lepszego miejsca, tylko mała, gorąca iskierka, która sprawi, że znowu ujrzę moje Kruszyнки. Moje miłości, moje oczka w głowie. Mój największy skarb.

I już na zawsze będziemy razem...

PAULINA KAJOCH

FESTYWAŁ SŁONECZYCH ŻAGLI

Staliśmy na skraju klifu porośniętego pozółkłymi trawami. Prawą rękę chowałem w kieszeni, trzymając wyrytą w cynie podobiznę matki. Za nami stała pryzmatowa wieża. Promienie Gwiazdy wyłaniającej się znad oceanu rozszczepiały się w jej bryle. Kolorowy dom, tęcza na szkle, taniec fotonów. Gdy mieszkaliśmy na Ziemi, poznałem świetliki. Tańczyły tak samo.

– Splincienie. – Ojciec wskazał sunące po niebie ptaki.

Któryś wrzasnął. To takie dziwne, że mary mogły krzyczeć. Największy ze splincieni przeleciał tuż przy linii brzegowej. Zachwiałem się. Ojciec mnie złapał.

– Trzymaj się, Max. – Puścił upewniony, że odzyskałem równowagę. – To nasz nowy dom.

SŁONECZNY ŻAGIEL

Zaledwie pół wieku temu człowiek postawił stopę na tej gorącej ziemi. Pomarańczowe skały, fauna i flora czerpały życie z pustynnych piasków. Naukowcy nadal głowili się, jakimi prawami fizyki rządziła się ta planeta. Dotychczasowa wiedza była tu bezużyteczna. Einstein mógłby się wstydzić. Krople tego, co nazywaliśmy rosą, uwięzione w skorupach motyle, bąble przyssane do korzeni dziwacznych roślin, zwierzęta przypominające mary. Przywykliśmy.

Nasza wieża stała na klifie z dala od miasta. Ojciec każdej nocy bezskutecznie wypatrywał jasných punktów

na ciemnym niebie. Rodinia zdawała się szczerze otulać grubą pierzyną. A ja lubiłem wymykać się spod klosza.

– Chodź, Miko! – przywołałem psa.

Włochaty olbrzym ociężałe podniósł się z legowiska. Udaliśmy się na pobliskie wzgórze, skąd chętnie obserwowałem odległą osadę. Napędzana polem energetycznym planety mamała wzrok. Iskrzące wieżowce na tle nieba. Błękit pruski, głęboka noc. Czas z pewnością płynął tu inaczej.

Ze wzgórza, na którym stałem, obserwowałem niekończące się morze. Jak zazwyczaj, palcami cesałem trawy, paznokciami skrobałem zrogowaciałą glebę, szukałem tych dziwnych stworzeń, których szkice ożywały w moich snach. I tego dnia również mi się poszczęściło. Znalazłem zimnego motyla. Wieczorem przypiąłem go do tablicy obok innych dziwacznych stworzeń.

Następnego ranka przeglądałem czwarte wydanie „Ilustrowanego podręcznika rodińskiej fauny i flory”. Ojciec zdobył go dla mnie jeszcze na ziemskiej uczelni. Dostać go było trudno, musiał dowieść, że zostanie wysłany na Rodinię. Zgodzili się, uznając to za teoretyczne wprowadzenie dzieci do Nowego Świata. Zafascynowany dziwacznością tutejszych zwierząt odstawiłem na bok inne przyteczne książki. Zanurzony w lekturze poczułem ciepłą ślinę przepływającą pomiędzy palcami.

– Błeee, Miko! – Skrzywiłem się, wstałem, by sięgnąć chusteczkę.

Coś za oknem przykuło mój wzrok. *To nie jest splincień. Za cienki na splincienia.* Płaska, symetryczna figura niechlujnie wiła się nad skałami. Zgubiła trajektorię lotu? Zapomniałem o obślinionej stopie. Wsunąłem trampki i wybiegłem z domu.

Biegając, pokonywałem wydeptaną już ścieżkę. Ostre krawędzie traw raniły nagie łydki. Zatrzymałem się dopiero pod ulubionym wzgórzem.

Z daleka dostrzegłem drobną istotę sterującą zabawką. Miała na sobie niebieską sukienkę w białe kwiaty. *Odwagi* – pomyślałem, zaciskając pięści. I kiedy tylko postawiłem krok, ona zniknęła.

Przetarłem oczy i ruszyłem jeszcze szybciej. Zdyszany stanąłem w miejscu, gdzie przed chwilą bawiła się dziewczynka. Ukląknęłam, wychyliłem głowę. Rozbryzgujące o skały fale dosięgły mojej twarzy. Jak kubek zimnej wody.

Kiedy wróciłem, ojciec przygotowywał glony wyhodowane na Rodinii. Podświadomie obróciłem amulet ukryty w kieszeni wytartych džinsów.

– Gdzie byłeś? – zapytał ojciec, wciąż skupiony na zielsku.

– Widziałem coś – wyznałem bezmyślnie.

– Co takiego?

– Jakieś dziecko bawiło się żaglem.

– Żaglem? Takim jakby latawcem? – Odwrócił się w moją stronę.

– Latawcem? Co to takiego? – Nie miałem pojęcia.

– Starodawna zabawka – tłumaczył. – Kształtem podobna do żagla słonecznego. Mało tu dzieci, a te które są, bardzo się nudzą. Znam pewnego starca, który sprzedaje takie żaglo-latawce.

Pomyślałem o rozpływającej się w powietrzu dziewczynce. Nie chciałem, by ojciec się dowiedział. Pragnąłem wyjaśnić tajemnicze zniknięcie sam.

– Ja... – zacząłem nieśmiało. – Ja chciałbym taki żagiel.

Ojciec milczał, jednak po chwili dostrzegłem delikatne skinienie.

– Cieszysz się, Miko? – Szturchnąłem leżącego pod stołem włochacza. – Jedziemy do miasta.

Jeszcze tego samego dnia wsiedliśmy do kapsulaka, my z przodu, Miko niezgrabnie wgramolił się na tylne

siedzenie. Z wywieszonym jęzorem położył łeb na moim ramieniu. Odbijało mu się, chyba ze strachu.

– Nie bój się. – Poklepałem go po pysku. – Jesteś jak duże dziecko.

Ojciec przekręcił śrubkę, inicjując ruch turbiny. Sunęliśmy nad łamiącymi się od napięcia trawami. Wciąż byłem młody, ale na tyle bystry, by rozmyślać o następstwach zasiedlenia. Rozległe równiny, czyste niebo, cienie rzucane przez splincienie. Wynieśliśmy z ziemskiego życia naukę, by wszystkie żywe, nieszkodliwe istoty zostawić w spokoju.

Miasto było coraz bliżej. Miko między czknięciami ślinił fotel, lizał mnie po twarzy, ojciec milczał. Wiedziałem od razu, że myślał o mamie. Minął zaledwie kwadrans, gdy zatrzymaliśmy się przed murem. Nie przypominał on jednak betonowej konstrukcji, jakie zwykliśmy widywać na Ziemi. Ledwo widzialna siatka pola rozciągała się wokół nowoczesnej osady. Palato było jednym z niewielu miejsc, które najbardziej przypominało miasto. Po raz pierwszy zobaczyłem je tuż po przylocie, z końcem wiosny. Na Ziemi szalał wtedy lodowaty wiatr.

Pojazd zostawiliśmy przed Ścianą. Robot o prowizorycznej budowie, wyglądający raczej jak prototyp – brzydko pospawany i ze skoliozą – zeskanował z nas dane. Miko był jednym z niewielu zwierząt przywiezionych z Ziemi. Strażnik nawet nie zarejestrował jego obecności. Gdy teraz o tym myślę, przy takiej straży do Palato mógłby prześliznąć się każdy. Ale wtedy na Rodinii nikt nie spodziewał się obcych. Wtedy to my byliśmy tam obcy.

W mieście nie odczuwałem upału. Centrum przypominało bardziej uniwersytecki kampus niż starówkę. Przez zakurzone szyby mogliśmy zobaczyć miniaturowe plantacje rodińskich roślin, hodowle alg oraz sztuczne baseny.

Rozglądałem się zaciekawiony. Największą uwagę przykuwał neonowy szyld z napisem „Hodowla miotczaków – być może jadalnych. Wciąż to badamy”. W ogromnych szklarniach latały okrągłe jak piłka, porośnięte szpilkowatymi skrzydełkami żyjątka. Postanowiłem, że kiedyś jedno złapię i przyrządzę na kolację. Byłem pewny, że Miko bardzo by się ucieszył.

Szliśmy już kilka minut. Ojciec po drodze witał się z ludźmi, pozdrawiali go, pytali, co słyhać, chwaili mnie, podziwiali mój wzrost, głaskali psa. Tata był ważny, a ja dumny. *Gdyby mama...* Urwałem myśl.

Patrzyłem pod nogi, licząc kroki stawiane na kaflach. Zajęty rachunkami nie zauważyłem, kiedy otoczenie się zmieniło.

Gdzieś na uboczu wielkiej naukowej społeczności znaleźli się ludzie handlujący różnaitościami. Ręcznie malowane kubki, wazoniki i kolorowe tkaniny. Kobieta o siwych włosach dziergała na szydełku dziecięce zabawki o kształtach niepodobnych do zwierząt, które znałem. Nad platformą, przy której siedziała, unosił się hologram stworzenia z długimi do stóp uszami, trzema nogami i rozlanym tułowiem. Za nią, w pudle z kartonu, leżały kłębki srebrzystych nici, kształtem przypominające dojrzałe brzoskwinie.

W końcu znaleźliśmy starca. Skupiony, laserowym haftem ozdabiał żagiel.

– Dzień dobry! – przywitał go ojciec.

– A, dzień dobry! – Ukłonił się.

– Chciałbym kupić latawiec dla synka – zaczął tata. – Co ma pan do zaoferowania?

– Polecam Hokito. Mój najnowszy model. – Wskazał leżący na wierzchu romboidalny kawałek tworzywa.

Nie znałem tego materiału. Był delikatny w dotyku, gładki jak skóra mamy, a jednocześnie pachniał sztucznością.

– Nowy wynalazek – tłumaczył starzec. – Kilkoro dzieciaków już próbowało.

Miko powąchał przedmiot, a po chwili zaczął go lizać.

– Proszę wziąć kudłacza – zaperzył się sprzedawca.

– Chcę go – oznajmiłem, przeciągając opuszkami po jedwabistej powierzchni.

Ojciec się zgodził.

Następnego dnia wstałem wcześniej niż zwykle. Gwiazda ziewała, tato czuwał na szczycie wieży, Miko spał przy misce z wodą, Hokito czekał oparty o nogi biurka.

Przygotowałem proste śniadanie – pastę z alg z wodą magnezową. Ohyda. Obok pięknie ułożonej zastawy zostawiłem liścik.

– Chodź, kudłaczu! – przywołałem psa.

Gdy wyszliśmy na zewnątrz, suchy wiatr zmierzwił moje włosy i kudły Miko. Hokito był gotowy, a ja spoglądałem na wzgórze, z którego zniknęła tajemnicza dziewczynka.

Kudłacz biegł za mną ociężale z dyndającym jęzorem. Do celu dotarłem pierwszy.

– Pokaż, co potrafisz – szepnąłem do żagla.

Nie miałem pojęcia, jak działa. Rozwinąłem linę, jedną ręką mocno trzymałem uchwyt, drugą ustawiałem żagiel pod, jak sądziłem, odpowiednim kątem. Wiatr prawie wyrwał mi go z rąk. Potknąłem się, otrząsałem, biegłem za nim, a wiało mocniej niż zwykle.

Nad linią brzegową latały splincienie. Zaciekawione latawcem krążyły wokół. Zatrzymałem się, by lepiej im się przyjrzeć. Miały szare, półprzezroczyste pióra, wyłupiaste, czarne jak węgle oczy, krótkie czarne dzioby. Posiadały kształt, ale jakby rozmyty. Każde machnięcie skrzydeł pozostawiało w powietrzu srebrzystą smugę. Jakby się rozpadały, gubiły spadającą z opierzenia mgłę, rozmywały się w locie i odradzały na nowo.

Usłyszałem nerwowe szczekanie Miko zagłuszone wyciem wiatru i szumem rozbryzgujących się o skały fal. Hokito krążył wśród splincieni. Miałem wrażenie, że mnie nie słucha, że bawi się z ptakami, igra ze mną, mija się z wiatrem. Nim się obejrzałem, stanąłem na linii klifu bliżej niż kiedykolwiek.

Nagle żagiel się zatrzymał. Z falującą klatką piersiową wpatrywałem się w bezchmurne niebo, w Gwiazdę-Matkę połyskującą w oddali. Zrobiło się tak cicho.

– Lecimy!

Pociągnąłem za sznurek i zrobiłem krok w tył. Włosy wpadły mi do oczu, wiatr kierowany niezemskimi prawami natury pchnął mnie w stronę Solnego Morza. Poślizgnąłem się na skale. Spadałem.

Miałem dwanaście lat, kiedy uratował mnie po raz pierwszy.

DZIEWCZYŃKA Z PĘKNIĘTĄ TWARZĄ

Gdy wkroczyliśmy w atmosferę Rodinii, kazano nam czekać w kapsułach, przypiąć się pasami, więc nie widzieliśmy niczego prócz wnętrza własnych sypialnych komór. Teraz mogłem z lotu ptaka podziwiać zróżnicowaną faunę i florę Solnego Morza. Dostrzegłem zwierzęta o dziwacznych kształtach, góry piasku usypane na dnie, luminescencyjne atole. Fale wyplukiwały morskie szczyty, a ich drobinki spokojnie opadały z powrotem. Nieznane ludziom siły wypiętrzały kolejne warstwy podwodnych łańcuchów górskich. Między nimi wiły się maleńkie stworzenia, karaluchowate olbrzymy i cienie.

Zahipnotyzowany widokiem zapomniałem o lądzie. Hokito nie współpracował z wiatrem, za to skutecznie uciekał przed Gwiazdą. Przyspieszał ku ciemności.

Zacząłem się bać. Trzymając rączkę żagla, spojrzałem za siebie. Dziś błyszcząca Matka kładła się po drugiej stronie.

Witaliśmy noc. Łąd przepadał. Za plecami widziałem już tylko tańczące w strzelistej wieży świetliki.

Morze Solne zdawało się nie kończyć. Ucichło, zasnęło. I ja byłem znużony. Zmieniałem ręce, próbowałem szarpać z obawą, że jakiegokolwiek próby nawigowania skończą się upadkiem. Hokito został moim przewodnikiem. Nie umiałem nim sterować, musiałem mu się poddać.

Mój żagiel żył lub był inteligentnym tworem. Gwiazda zgasała, a on niósł mnie przez gęstwinę ciemności. Czułem dziwny, chemiczny zapach. Podobnie pachniało w laboratorium mamy.

Miałem wrażenie, że zmieniliśmy kąt nachylenia. Spadaliśmy lub Hokito przygotowywał się do lądowania. Nic nie widziałem. Nie potrafiłem odróżnić morza od nieba, snu od rzeczywistości. Trząsałem się z zimna lub strachu. Rodinia omamiła mi zmysły.

Hokito wytracał prędkość, aż w końcu zatrzymał się. Wzrok mnie zawiódł. Słuch był do niczego w takiej ciszy, postawiłem na dotyk. Na oślep szukałem piachu, wody, alg. Czegoś namacalnego, cięższego niż powietrze. Opuszki palców na moment ugrzęzły w gęstym mule. Potarłem o siebie oblepione palce. Znaleźliśmy łąd.

Zeskoczyłem, aż chlupnęło. Zapadłem się na kilka centymetrów w grząski grunt. Fale obmywały moje kostki. Syknąłem, gdy sól wdarła się w płytkie rany na łydkach.

– Idziemy – zwróciłem się do Hokito, ale sam nie wiedziałem, dokąd mógłbym pójść.

Gwiazda powoli wstawała. Przed sobą miałem szeroką, piaszczystą plażę, a za nią las. Marchewkowy las. Wyłaniające się z ciemności zarysy drzew przypominały grube korzenie marchwi lewitujących nad ziemią. Przełknąłem ślinę. Odczuwałem pragnienie, jakiego dotąd nie znałem. Zastygłem. Z otępienia wyrwała mnie bijąca w plecy fala.

Gdy spojrzałem w dół, ujrzałem przysane do mojego obuwia, iskrzące fioletową poświatą maleńkie rybki. *Auć!* Zabolało jak podczas ukłucia igłą. Wystraszony, wziąłem głęboki wdech i wybiegłem z wody. Otrzepałem trampki z resztek żarłocznych stworzeń, czołgałem się w stronę lasu, a Hokito wirował nade mną. Żarłokielki goniły mnie, pozostawiając bruzdy w wilgotnym piasku. Zwalniały, powoli wygasaly, aż w końcu zamaryły. Usiadłem oparty o gęstwinę marchewkowych korzonków. Oddech miałem płytki, szybki, przestałem widzieć wyraźnie. W ustach poczułem smak soli.

Hokito położył się na gruncie i najwyraźniej czekał, aż przestanę płakać. Nie wiedziałem, ile czasu minęło, ale Gwiazda stała już wysoko na niebie. Usłyszałem dobiegające z daleka znajome krzyki splincieni. Woda odparowała z powierzchni skóry, pozostawiając białe plamy i zaognione rany. Na paluchu prawej stopy powstał strup.

Pić.

Hokito wzbił się na wysokość moich ramion. Chwyliłem go i z trudem wstałem, zaciskając zęby. Kropelki krwi pokryły biały piasek. W świetle Gwiazdy widziałem wyraźniej korony marchewkowych drzew. Nie mogłem przypomnieć sobie ich nazwy. Możliwe, że to wciąż nieodkryty rodiński gatunek, którego nikt wcześniej nie widział. Tym gorzej. Nie miałem zamiaru wchodzić do morza, nie miałem zamiaru wracać. Jeszcze. Jedyne, czego potrzebowałem, to czystej, pitnej wody. Poczulem pociągnięcie sznurka. Hokito ruszył bez ostrzeżenia, wprowadzając mnie w labirynt korzonków. Grunt pod stopami był idealnie płaski i równy. Podążyłem za żaglem, który znów przewodził. Mimo, że zaprowadził mnie tutaj, ufałem mu.

Im dalej szedłem, tym widziałem mniej. Mój towarzysz bezszelestnie przedzierał się między pniami. Wydawało

się, że potrafił zmieniać wielkość. A może to omamy. Wyczerpany, ze spierzchniętymi ustami, na klęczkach pokonywałem kolejne metry. Ciemniało przed oczami, choć wciąż czułem na plecach ciepłe promienie Gwiazdy przedzierające się przez wiszące nacie. Czołgałem się, aż w końcu upadłem.

Wody.

Mrużyłem oczy, mlaskałem językiem, chcąc zmusić ślinianki do pracy. Prawie puściłem uchwyt, który łączył mnie z Hokito, ale poczułem, że mnie ciągnie. Gdy leżałem twarzą zwróconą ku koronkom marchewkowych drzew, mógł swobodnie wlec moje ciało po gładkiej powierzchni.

Zacisnąłem powieki. Chciałem płakać, na nic. Poczujęm, że moja głowa przechyla się w dół, a za nią tułów i nogi. Bezwładnie zjeżdżałem, jak na dziecięcej ślizgawce.

Zatrzymałem się w dolinie. Nade mną bezchmurne, szare niebo. Gwiazda gasła. Hokito latał w kółko, migotał jaskrawymi plamkami. Po chwili nad moją głowę pojawił się drugi latawiec. Przekręciłem się na brzuch, przetarłem przekrwione oczy. Zobaczyłem dziewczynkę w niebieskiej sukience. Szła w moją stronę, niosąc coś w ułożonych w koszyчек dłoniach.

– Pij – wyszeptwała słodko.

Woda z jej rąk smakowała jak miód. Dwa łyki ugasiły pragnienie. Usiadłem, przyjrzałem się jej.

– To ciebie widziałem – wyznałem.

– Szukałeś mnie?

– Ja... – Piekły mnie policzki. – Byłem ciekawy, kim jesteś i dlaczego zniknęłaś.

– Tak samo, jak ty – odpowiedziała. – Spadłam.

– Nie widziałem tego.

– Nikt nie widział.

Kiedy wstała, zauważyłem okrągłe jezioro położone w środku lejkowatej doliny.

Dziewczynka przyniosła kolejną porcję wody. Była taka słodka.

– Jak masz na imię? – spytałem, grzbietem dłoni wycierając usta.

– Sanja. A ty?

Nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy. Nie mieliśmy pojęcia, co dalej. Byliśmy dwójką zagubionych ziemskich dzieci na obcej planecie, którą kazali nam nazywać domem. Chcieliśmy wracać, lecz jednocześnie jakaś siła trzymała nas w miejscu.

Kiedy poczułem przypływ energii, stanąłem na brzegu jeziora. Odetchnąłem z ulgą, ujrawszy znane mi z podręczników zwierzęta. Kudełki pływały tuż pod powierzchnią.

– Wchodzę – postanowiłem.

– Co ty robisz? – Sanja drżała.

– Musimy coś zjeść – odpowiedziałem, szykując się do ataku.

Złapanie kudełków nie było trudne. W kilka chwil, gołymi rękami schwytałem osiem. Wiły się na płaskiej powierzchni, jednak glutowata maź pokrywająca ich owłosione ciała szybko wysychała i przyklejała je do podłoża.

– To okropne! – Sanja odwróciła wzrok.

Zdjąłem dziurawe obuwie. Kilka razy gruchnęło, aż ostatnie stworzonko znieruchomiało. Odkleiłem łykowane ciało, chwyciłem je na wysokości oczu. Ich gumowata skóra była bardzo gruba, aż plułem kłakami. Sanja nerwowo obgryzała paznokcie. Wtedy coś do mnie dotarło.

– Jak długo tu jesteś? – spytałem.

Odsłoniła usta.

- Jeden dzień dłużej.
- Nic nie jadłaś?
- Tylko piłam.
- Musiała być głodna. Podałem jej kudełka.
- To teraz zacznij wrywać mu kłaki.

Pierwszego dnia dała z zaciśniętymi powiekami. Cztery wschodzące Gwiazdy później robiła to w milczeniu. Surowe mięso z pewnością smakowało lepiej niż rodińskie algi.

Nie rozumiałem, dlaczego zostaliśmy tam tak długo. Hokito i Hole, żagiel Sanji, leżały tuż obok, gotowe do lotu w każdej chwili. My, para nastolatków, dzieci jeszcze, łapaliśmy kudełki, brodziliśmy w płytkiej wodzie, spaliliśmy obok siebie. Noce na Marchewkowej Wyspie były ciepłe, mimo to Sanja nieśmiało wtulała się we mnie.

- Kim jest ta kobieta? – spytała piątego dnia.
- Moja mama – wyjaśniłem.
- Piękna – przyznała, wpatrując się w cynowy krążek. – Umarła?

Wyciągnąłem dłoń po swoją własność.

- Tak.
- Przykro mi.

Sanja objęła mnie mocno.

- Chcę wrócić do domu – przyznała, rumieniąc się.
- Wrócimy – obiecałem.

Mógłbym patrzeć z nią razem w gwiazdy, gdyby istniały.

- Och! Zobacz! Światło! – Sanja poderwała się.
- Może kometa?
- A może obcy?
- Pfff... Obcy nie istnieją – stwierdziłem.

Zamyślony, położyłem się z dłońmi splecionymi pod głową. Nie widziałem twarzy Sanji, noc była zbyt gęsta, ale mogłem wyczuć jej ruch, słyszeć spokojny oddech, rozko-

szować się jej zapachem. Gdy ogon światła zniknął, dziewczyna nieśmiało położyła drobną główkę na mojej piersi.

– Zabierzesz mnie do domu?

Spojrzałem na nią. Była krucha jak suche źdźbło. Potargana wiatrem, pęknięta od łez.

– Gdzie jest twój dom? – zapytałem.

– Tam, gdzie twój.

Obudziłem się z Sanją w swoich ramionach. Przez całą noc ani drgnąłem z obawy, że kiedy tylko się poruszę, kruszyna wypadnie mi z rąk, poturla się do jeziora, utopi się i zniknie.

Kraaa... Kraaaaaaa...

– Splincienie...

Przez kilka dni zdążyłem zapomnieć, że istnieją, jednak teraz, choć ich nie widziałem, witałem ich wrzask z radością.

Ułożyłem Sanję w pozycji embrionalnej.

– Pilnujcie, żeby nie spadła – poprosiłem leżące leniwie, lekko już wypłowiałe żagle.

Wszedłem do wody, a gdy dziewczyna obudziła się, czekały na nią tyse kudełki. Po posiłku zamierzałem zabrać Sanję do domu. Tata i Miko na pewno mnie szukali.

Jednak gdybym miał podjąć decyzję teraz, bogatszy w doświadczenia i wiedzę, nie poleciałbym. Trzymałem rączkę żagla bardzo mocno, ale jeszcze mocniej splotłem palce z drobnymi palcami Sanji.

– Trzymaj się! – krzyknąłem.

Żagle, byłem przekonany, porozumiewały się ze sobą. Ruszyły na sygnał, w tym samym momencie. Wisieliśmy nad malejącą w oczach wyspą otoczoną Solnym Morzem. Jezioro Lejkowate stało się białą kropką, a Marchewkowy Las lewitującym mchem. Parzyło, a my wciąż wisieliśmy w miejscu.

– Hokito, leć!

Szarpnęło. Wciąż mocno trzymałem dłoń Sanji. Jej rumianą twarz zdobiły poszarpane kreski, ściągające skórę od kącików oczu po linię brody. *Dziewczyzna z pękniętą twarzą* – pomyślałem.

– Nie bój się!

Dudniło w uszach, skóra piekła, martwiłem się o Hokito i Hole, że usmażą się w promieniach Gwiazdy. Znajomy krzyk splincieni gonił nas od strony Wyspy. Jak długo krążyły nad nami niczym sępy, nie wiedziałem.

Żagle przyspieszały równomiernie, uciekając przed żarem, obniżały lot. Parująca znad Solnego Morza woda lizała ledwo zagojony paluch stopy.

– Hokito, wyżej!

Nie słuchał. Sanja otworzyła oczy. Widziałem, że nie mogła złapać oddechu, a krzyk ugrzązł gdzieś w gardle. Te małe skurwysynki, żarłokielki, kłębiły się tuż pod powierzchnią. Zapewne wyczuły zapach mojej zaognionej rany.

Puściłem dłoń Sanji.

– Hokito, co ty wyprawiasz?!

Obiema rękami szarpałem się z niesfornym żaglem.

Kraaaaaa... Kraaaaa...

– Sanja! Wyżej! Musimy lecieć wyżej! Hole!

Podkurczyłem nogi.

– Proszę, Pani Hole! Leć! – kwiliła dziewczynka.

Żagiel Sanji posłuchał. Wzbiła się, jednak otoczona stadem splincieni, otulona kokonem mglistych piór, znikła mi z oczu.

Nadal walczyłem z żaglem, a paskudne żarłokielki nachalnie kasały moje pośladki.

– Hokitooooo!

W końcu się poderwał. Gwiazda zamarła w zenicie, Sanja odpłynęła z szarym obłokiem, ze mnie kapwały pot i krew.

– Musimy wracać! Hokito, musimy wracać! – wrzeszczałem, patrząc, jak tańcząca ze stadem splincieni Hole stawała się coraz mniejsza.

POTWÓR Z JEZIORA ŁEZ

Morze wciąż było niespokojne, gorący wiatr uderzał w policzki, Gwiazda biegła na zachód, a my w przeciwną stronę. Nim zapadł zmierzch, ujrzałem wyspę usypaną ze złotego piasku. Jej strome zbocze mieniło się jak Droga Mleczna widziana ze sterowca. Hokito przyspieszył, w locie przebierałem nogami, przygotowany do szybkiego lądowania. Puściłem rączkę, upadłem twarzą w zimny piasek. Szorstkie drobinki dostały się do oczu. Bolało. Trzeszczało między zębami. Zamglonym wzrokiem ledwo widziałem żagiel. Otrzeptałem się z lepkiego pyłu, usiadłem i zacząłem płakać.

Sanja przepadła, nie słyszałem już krzyku splincieni. Z przekrwionych oczu łzami wypłukiwałem złotą materię, aż zapadła noc. Położyłem się obok Hokito i patrzyłem w czarne niebo.

Na Ziemi lubiłem obserwować gwiazdy, szukać ukrytych kształtów wyrytych na powierzchni Księżyca. Rodińskie noce były ciemne, bezgwiazdne, martwe. Ze wspomnieniem tajemniczej komety i popękanej twarzy Sanji, z podkulonymi nogami, zasnąłem.

Obudził mnie kwiatowy zapach. Oparty na łokciach, zadarłem głowę. Ze szczytu góry unosił się perłowy dym.

– Hokito, zabierz mnie tam!

Po chwili wisiałem nad dziwnym geologicznym tworem. Strome zbocza porastały drobne białe kwiaty. W dole szerokiej doliny wyżłobionej we wnętrzu góry ujrzałem jezioro w kolorze indygo. *Kudłatki!* – pomyślałem przepełniony nadzieją. Uwolniłem Hokito i bez namysłu zacząłem biec.

– Auć!

Kwiecista mgła kąsała nagie łydki. Przywołałem latawiec, który bezpiecznie zniósł mnie i postawił na nienaturalnie symetrycznym gładzie.

Na klęczkach wypatrywałem kudłatych rybek. Tafla była ciemna i spokojna. Delikatnie szturchnąłem ją opuszką. Nic. Jakbym zanurzył palec w kisielu. Załamany, nie spodziewałem się znaleźć tu żywych istot. Ułożony na brzuchu stukałem palcami w martwą galaretę. Pomyślałem o Sanji, tacie i Miko. Czy ktoś mnie szuka? Pociągnąłem nosem, z czubka którego spadła mokra kropla. I wtedy tafla drgnęła. Wybrzuszyła się na środku, a wybrzuszenie to rosło i zbliżało się do mnie. Wstałem w pośpiechu.

– Hokitooooooooo!

Cofałem się nieostrożnie, aż wpadłem na trującą łąkę.

– Hokitooooo! – Zdzierałem głos. – Ty głupi żaglu! Gdzie jesteś?!

Krzyczałem o pomoc, jakby ktoś mógł mnie usłyszeć. To takie naiwne, ale liczyłem, że zjawią się splincienie.

– Hokitooooooooo!

Nie przyleciał.

Ujrzałem czubek okrągłej głowy porośnięty zlepionymi, siwymi włosami. Stwór posturę miał ludzką, o opływowym kształcie, pokrytą łuskami.

– Wzywałeś mnie? – zapytał.

Oniemiałem.

– Kim jesteś, chłopcze?

– Ja... – odzyskałem mowę. – Mam na imię Max.

– Hmm... – zamruczał dziwny stwór. – Płakałeś.

Postawiłem dwa kroki w przód. W jego wystającej nad głazem twarzy błyszczały smutne oczy. Podczołgałem się.

– Kim ty jesteś? – zapytałem, widząc w lustrzanych oczach własne odbicie.

– Potworem z Jeziora Łez.

– Czy to łyzy?

– Owszem – odrzekł potwór chropowatym głosem. – Karmię się nimi, pływam we łzach. Każda ich kropla to perła na moim ciele. Widzisz? – Obrócił się dookoła.

Usiadłem ze skrzyżowanymi nogami.

– Sanja też płakała. Dlaczego poleciała w inną stronę? – Mimowolnie zerknąłem na niebo.

– Splincienie odprowadziły ją do domu.

– Splincienie? – Zdziwiłem się. – Sądziłem raczej, że ją porwały.

– Yymm... – zamruczał.

– A te kwiaty? – Rozglądałem się po zboczach.

– Myśloczujki – wyjaśnił potwór. – Zbierają wspomnienia. Każdy, kto tu dotarł, sadzi nowy kwiat. Jednak najpierw musi zapłakać.

Wsunąłem dłoń w kieszeń. Wciąż tam był, cynowy krążek z najpiękniejszą po Sanji kobietą na świecie. Właśnie wtedy uświadomiłem sobie, że już nie jestem dzieckiem, a czas na Rodinii przyspieszył.

Wiatr pachniał chemią, drażnił nozdrza, pobudzał zmysły. Moja zraniona stopa rozgrzała się. W ustach poczułem smak prażonych alg i wody magnezowej. A w oczach wodnego stwora ujrzałem popękana twarz.

Potwór z Jeziora Łez przysunął się na wyciągnięcie dłoni. Spadające z podbródka krople uformowały się w piękną perlę.

– Ładna – stwierdziłem, koszulką osuszając twarz.

Stwór znalazł miejsce na swoim ciele i przyczepił do niego białą kuleczkę.

– Dziękuję.

Uśmiechnięty spojrzałem w niebo.

Wrócił.

– Hokitooooooooo! Hokitooooooooo!

Wyglądało na to, że nie chciał do nas zlecieć.

– To nie jest miejsce dla żagla – powiedział wodny starzec. – Musisz tam pójść, wśród białych kwiatów. Zdobądź szczyt, zasadź nową myślóczyjkę.

– Jak? – zapytałem.

– Myślami.

Ostrożnie, przygotowany na ostry ból postawiłem stopę w gąszczu maleńkich białych kwiatów. Dzwoneczki rozkwitły, a z otwartych kielichów parowała ciepła mgiełka. Tym razem nie kłuła. Jej cząsteczki zawisły w powietrzu, by po chwili opaść na grunt pod postacią ciężkich kropel. Powoli turlały się w stronę jeziora, gęste jak rtęć, lepkie niczym kisiel. Stąpałem po stromym zboczu otoczony duchami istot przybyłych tu przede mną. Widziałem złamane serca, śmierć bliskich, chore dusze. Ponownie zapłakałem. W miejscu, w którym spadła moja łza, wyrósł kwiat.

Kiedy dotarłem na szczyt, poczułem się lżejszy.

– Dziękuję! – krzyknąłem z góry, machając do Potwora z Jeziora Łez.

Stałem zbyt daleko, by to dostrzec, ale czułem, że miał wesołe oczy. Jezioro wypełniło się po brzegi, a kamienny blok pokryła gęsta ciecz. Stwór zanurzał się, a ciemna tafla zapadła się wraz z nim. Po chwili zbiornik w kolorze indygo ponownie stał się martwym naczyniem.

OBÓZ PORZUCONYCH DZIECI

Lecieliśmy dalej. Tym razem zaskoczył nas deszcz pachnący cytrusami, rodzący się znikąd. Na niebie nie dostrzegałem ani jednej chmurki. Hokito był dzielny, a ja z trudem łapiąc oddech, zaciskałem powieki. Mokre bicze smagały moją twarz. Dyndałem w locie jak drewniana kukła. Chciałem zobaczyć świetlikową wieżę, ale wciąż nie widziałem celu naszej podróży. Gdy wiatr

i deszcz ustały, Gwiazda wybuchła z całą mocą. Paliła skórę, niszczyła płaszcz żagla. Przed nami wyłoniła się kolejna wyspa. Powoli miałem dość przygód. Chciałem odnaleźć Sanję i wrócić do domu.

Hokito postawił mnie bezpiecznie na ziemi porośniętej zgniłą trawą, a sam zatrzymał się na czymś przypominającym kretowisko. Jego płaszcz był nadpalony, wesołe diody zgasty.

– Nie martw się, naprawimy to. – Pogłaskałem cierpiący żagiel.

Rozejrzałem się. Ktoś musiał zapomnieć o tym miejscu. Kolorowe wiaderka stały odwrócone do góry dnem, a spod nich, jak żywa, wypływała czarna ziemia. Stoiska ze zgniłymi przekąskami oblepione mackami grafitowych roślin. Zatkaną nos, zbierało mi się na wymioty. Hokito leżał w martwej trawie, prawie tak samo martwy. Przekląłem.

Przeszukałem porośnięte mchami i bluszczem obozowisko. Między trawami wiły się glizdowate stworzenia. Żarłoczne owady atakowały moje uszy. Jakby chciały wejść we mnie, przetrzebić mój mózg niczym zimową spiżarnię. Podarłem koszulkę, z której zrobiłem prowizoryczną maskę. Nie mogłem krzyczeć i szukać pomocy. Brudny, mokry i zmarznięty, podżerany od stóp przez drobne stworzenia wróciłem do żagla. Nie wyglądał dobrze. Niegdyś gładki materiał łuszczył się jak skóra węża. Rozpadał się na moich oczach, mimo to z wysiłkiem mrugał światełkami.

Gdy ochłonałem, zacząłem zbierać wszystko, co mogło się przydać. Klejowatą maź spod toksycznych bluszczy, nicie pajęczaków, a nawet błoto. W płytkim wiaderku wymieszałem składniki. Powstała papką zalepiałem dziury w płaszczu żagla. Szukałem folii, która mogłaby uchronić niby-plasty przed Gwiazdą i wilgocią. Ostatecznie na wierzchu ułożyłem kwaśne mchy.

– Wyglądasz jak nieszczęście – podsumowałem swoją pracę. – Musimy lecieć, Hokito, inaczej tu umrę.

Spojrzałem na czerwone dłonie. Kwas wyżarł skórę, palił ją, gorące bąble porastały mnie. Tak bardzo chciało mi się jeść i pić. Nie sądziłem, by cokolwiek na tej wyspie nadawało się do spożycia. Hokito nadal był zbyt słaby, by lecieć.

Umrę tu.

W pewnym momencie uznałem, że to nieprawda. Jakiś zły sen lub owady wlażyły mi do głowy. Po co i dlaczego człowiek osiedlił się tu nieproszony? Ile dusz przede mną nakarmiło Potwora z Jeziora Łez? Ile pięknych twarzy pękło od nieszczęścia? Rodinia... Nowy dom czy cmentarz niewiniątek? Brudne myśli, brudna wyspa, spalony żagiel.

Umieram.

Miałem dwanaście lat, kiedy uratował mnie po raz pierwszy. Nie wiem, ile miałem lat, kiedy uratował mnie po raz kolejny.

SŁOIK PEŁNY MUCH

Kraaaa... Kraaaa...

Jak znalazłem się nad Solnym Morzem, do dziś nie wiem. Hokito leciał nisko, otoczony kłębem dymu. Nie, to nie był dym. To były splincienie. Krążyły, gubiąc pióra. Przez rozplywającą się mgłę mogłem dostrzec stojącą nad przepaścią wieżę. *W końcu!* – pomyślałem. Gwiazda gasła, a ja z utęsknieniem czekałem na taniec świetlików.

– Hokito, jeszcze troszkę!

Kraaaa... Kraaaa...

Żagiel leciał resztkami sił. Opadające skrzydła splincieni formowały chmurkę, na której moje nogi mogły odpocząć.

– Dziękuję! – szepnąłem.

Za wcześnie! Poduszka z piór rozplynęła się w powietrzu, mgielne ptaki darły się, aż pękały mi uszy. Hokito zwariował. Modliłem się, by nie umarł. By nie zrzucił mnie w przepaść, lecz ostatecznie moje życzenie nie miało prawa się spełnić. Opadał. Opadał i zbliżał się do skał. Fale sięgały już moich kostek. Nie miałem wyjścia, musiałem go puścić. Rodińskie skały były piekielnie ostre.

Nie wiedziałem, czy to morze, czy moje łzy. Jakimś cudem udało mi się wspiąć na skałę. Na wyżłobionych przez wiatr schodkach dostrzegłem kępki kłaków. Z klifu, z którego wtedy spadłem, ujrzałem wyraźniej nie świetlikową wieżę, a *Słoił pełny much*.

Miałem nadzieję, że Miko mnie wyczuje i wybiegnie na przywitanie. Cisza. Trawy bezszelestnie kołysały się na wietrze. Biegłem, wysychając. Tupot moich stóp tłumiły martwe chwasty. Gdy zbliżyłem się do domu, usłyszałem krzyki.

Powoli uchyliłem drzwi. Rozbite butelki pokryte warstwą kurzu, zapach zepsucia unoszący się w powietrzu zamiast fruujących kłaków. Ojciec leżał obok kanapy, zupełnie jak w dniu śmierci mamy.

– Lejn! Lejn! Miałeś pilnować nieba! Mamy nalot! – Obcy mężczyzna kopniakami cucił tatę.

– Zostaw go! – krzyknąłem.

Nikt nie odpowiadał. Ani obcy mężczyzna, ani płacząca w kącie obca kobieta.

– Nie ja zabiłem starca! – mamrotał ojciec. – To on zabił mi dziecko! Jego głupi żagiel!

Patrzyłem na ukryte w dłoniach oblicze ojca.

Utoniesz! Tato! Opuść ręce, bo utoniesz!

Powinienem to wykrzyczeć, ale czułem, że nie należę już do tego świata. Nikt nie dostrzegł chłopca, który był powodem rozpacz. Zabrakło merdającego ogonem psa. Kępki kłaków na skale... Zaczynałem rozumieć.

Opuściłem ojca i wszedłem na górę po gnijących stopniach. Pod moją nieobecność wieżę zamieszkały chochliki. Zjadały ją od środka, pluły na nią, plugawiły. Miałem wrażenie, że patrzą na mnie z każdej strony ukryte w rysach na szkle, śmiały się ze mnie i wytykały palcami.

Gdy dotarłem na szczyt, zastałem mężczyznę obserwującego upstrzone kolorowymi światełkami niebo. Dźwięki syren docierały aż tutaj. Nieznajomy przeklął, opuścił stanowisko i wybiegł z obserwatorium. A ja, cóż, byłem wzruszony.

Oni nie rozumieją...

Biegłem po schodach, przedzierając się przez śmiech chochlików. Prawie pośliznąłem się na lepkiej mazi.

– Nie rozumiecie! – krzyczałem. – To nie są obcy! To żagle!

Nikt mnie nie słyszał. Kobieta przemyciała ojcu twarz, obcy mężczyzna zniknął.

Wybiegłem na zewnątrz. Po chwili stanąłem na wzgórzu, na którym po raz pierwszy ujrzałem dziewczynkę w niebieskiej sukience. Syreny wyły za moimi plecami, a światełka mrugały przede mną. W końcu zbliżyła się na tyle, że mogłem ją usłyszeć.

– Maaaax! – krzyczała Sanja.

Jedną ręką trzymała Hole, drugą machała do mnie. Jej włosy falowały na wietrze, a twarz zdobiły słone krople.

Dźwięk alarmu narastał stopniowo. Obejrzałem się i zobaczyłem sunące nad trawami wojskowe kapsułki.

Zestrzelą ją!

– Max! – krzyczała Sanja. – Łap swój żagiel i leć z nami!

Jakby to była zabawa.

Stałem pomiędzy ojcem a dziewczyną. Między moją wieżą a Lasem Marchewkowych Drzew, Potworem z Jeziora Łez i obozem opuszczonych dzieci.

Kiedy mrowie słonecznych żagli znalazło się nade

mną, Hokito obniżył lot. W biegu złapałem rączkę i oderwałem stopy od ziemi.

– Twój tata zrozumie! – Sanja pocieszała mnie w locie. Chwyciłem jej dłoń.

– Nigdy więcej cię nie puszczę!

Kapsulaki zbliżały się szybko. Ludzie krzyczeli, wymachiwali rękami. Gwiazda-Matka obudzona przez niesforne dzieci raziała po oczach. Ojciec szarpał się z mundurowym.

– Hokito! Niżej! – poleciłem.

Obniżyliśmy lot, zbliżaliśmy się do ludzi z bronią.

Byliśmy tak blisko. Wyjąłem z kieszeni cynowy krążek. Gdy przelatywałem obok ojca, upuściłem go. Wiedziałem, że go rozpozna. I zrozumie, że żyję po drugiej stronie.

Lecieliśmy na przedzie klucza. Sanja śmiała się głośno, Morze Solne ponownie cieszyło oczy. Gdzieś w oddali skrzeczały splincienie, a na wodzie unosiła się wyspa kwiatów. Gdy Sanja puściła rączkę i opadła na kwiecistą kołderkę, drobne płatki wzbiły się w powietrze. Jej sukienka, falujące włosy, blada cera. W życiu nie widziałem piękniejszej. Puściłem żagiel i upadłem obok niej. Śmiała się głośno, łapała wirujące płatki. Gdy się uspokoiła, zapytałem:

– Gdzie my jesteśmy?

– Na Rodinii. – Dłońmi objęła moją twarz.

– Kiedy umarliśmy?

– Nikt nie wie.

– Czym się staliśmy?

– Trudno powiedzieć.

Ojciec spacerował wzdłuż klifu. Gwiazda ziewała, a on w objęciach młodej kobiety ścisnął w dłoni cynowy krążek. Kiedy zapadła noc, miasto zgasło. Przez gęstwinę ciemności przedzierał się korowód przymglonych świateł. Tłum rodnińców stał z lampionami w rękach przy świetlikowej wieży. Czekali. Gwiazda zasnęła, przykryta pierzynką z piór splincieni. My również byliśmy gotowi.

– Hokito! Zamrugaj do nich!

Mój żagiel, żagiel Sanji, żagle kilkoro innych, którzy zginęli, rozświetlaliśmy rodnińskie niebo niczym spadające gwiazdy. Dziewczyna z pękniętą twarzą śmiała się słodko. Powietrze wibrowało, pachniało eterem. Niemożliwe, by żywi nie czuli tego samego. Rozpoczął się coroczny Festiwal Słonecznych Żagli.

ADAM LORAJ

ODWIEDZINY

W zeszłym miesiącu skończyłem osiemdziesiąt siedem lat. Nigdy nie sądziłem, że dożyję tego wieku; w młodości, zdającej się teraz należeć do kogoś innego, zakładałem, że umrę krótko po trzydziestce w wyniku jakiegoś wypadku. Z czasem zacząłem się jednak obawiać przedwczesnej śmierci. Wyobrażałem sobie, że mój organizm trawiony jest przez chorobę. Członkowie mojej rodziny mieli różnego rodzaju nowotwory. Dlatego też przypuszczałem, że podobnie będzie w moim przypadku. Trwałem jednak w zdrowiu.

Jutro jest szósty października. Dzień urodzin mojej żony, Urszuli. Skończyłaby osiemdziesiąt pięć lat. Umarła ponad pół wieku temu. Chociaż doskonale pamiętam, jak wyglądała w chwili, kiedy się poznaliśmy, to we wspomnieniach wciąż przytaczam jej starczy wygląd. Widziałem się z nią bowiem po raz ostatni zaledwie dwie dekady temu. Była w świetnej kondycji – przynajmniej tak wówczas sądziłem – i snuliśmy plany na temat przyszłości, która ostatecznie nigdy miała nie nadejść. Dlaczego tak na mnie patrzysz? A, tak. Trochę wyprzedziłem wydarzenia w mojej opowieści i nic nie rozumiesz. Wybacz.

Poznaliśmy się przypadkiem – jak to zazwyczaj bywa – podczas wesela naszego wspólnego znajomego. Akurat wyszedłem zapalić, kiedy ona stała, wpatrzona w burzowe chmury gromadzące się nad polami. Ubrana była w czerwoną sukienkę, blond włosy miała spięte w kok, z dwoma kosmykami po bokach opadającymi jej na skronie. Podeszedłem do niej i już miałem

się odezwać, gdy niebo przeszła potężna błyskawica, rodząc tym samym potworny grzmot. Zobaczyłem, jak Ula podskakuje, a potem odwraca się i spogląda na mnie. Zaraz oblał ją rumieniec. Uśmiechnąłem się przyjaźnie, przedstawiliśmy się sobie, a potem zaczęliśmy niezobowiązującą rozmowę. Widziałem jednak, że ze względu na nadciągającą burzę czuje się niepewnie, zaproponowałem więc, abyśmy wrócili do budynku. Tamtej nocy nie wypaliłem już żadnego papierosa. Zresztą, to Ula sprawiła, że całkiem je rzuciłem. Co tu dużo mówić. Oboje nie mieliśmy osób towarzyszących, dzięki czemu mogliśmy wspólnie rozmawiać i tańczyć. Pod koniec zapytałem, czy chciałyby się ze mną zobaczyć. Odpowiedziała, że jeżeli miałyby to być randka, to bardzo chętnie.

Tak właśnie rozpoczął się nasz związek. Skończyłem studia i udało mi się zdobyć pracę jako architekt. Dwa lata później zostaliśmy małżeństwem. Wtedy też zrozumiałem, że pragnę żyć jak najdłużej.

Mając dwadzieścia sześć lat, zostałem ojcem. Urodził nam się syn – Rafał. Rok później Ula znów była w ciąży. Tym razem bliźniaczej. Cieszyłem się jak nigdy wcześniej, ale jednocześnie wiedziałem, co to oznacza. Musiałem albo przyjmować dużo więcej projektów, albo zgadzać się na te o większej skali. Przeprowadziliśmy się do większego mieszkania. Tego na Zamkowej. Chociaż nie mieszkamy w nim już... pięćdziesiąt lat, to dopiero pięć lat temu zdecydowałem się je sprzedać. Wcześniej nie było ono wynajmowane ani dostępne dla nikogo prócz mnie. Dlaczego? Zaraz się dowiesz. Spokojnie. Jeżeli masz zrozumieć tę opowieść, musisz znać jej początek. Może lekko przydługawy, przyznaję, ale obiecuję, że zaraz przejdę do meritum.

Z perspektywy czasu te kilkanaście miesięcy wydają mi się być jednym z najszczęśliwszych chwil w moim życiu, chociaż wtedy wcale tak o nich nie myślałem. Wiadomo, bolączki bycia młodym rodzicem. W dodatku z jednej strony chciałem być aktywnym ojcem: wstawać do dzieci, odciążać Ulę, ale z drugiej

czułem nieustającą presję związaną z koniecznością utrzymania rodziny. Pracowała, ile mogła, ale źle znosiła tę ciężę. Często skarżyła się na bóle, a z czasem nie była w stanie podnieść się z łóżka. Bałem się, że coś stanie się jej bądź córkom. Na szczęście przyszły na świat w pełnym zdrowiu: Anastazja i Wiktoria.

A trzy lata później Ula umarła.

Twarz miał skrytą w dłoniach. Nie chciał, by dzieci widziały go w takim stanie, dlatego gdy tylko poczuł, że już dłużej nie wytrzyma, wyszedł z salonu, pozostawiając je same. Przeszedł do sypialni, zakluczył drzwi, siadł na skraju łóżka i zaczął płakać. Łzy spływały mu rzewnie, zalewając otaczający go świat. Nie mógł już przebywać w tym mieszkaniu. Każdy jego zakamarek przypominał mu o Urszuli; masa zdjęć, których nigdy przecież się nie pozbędzie, wspólnie wybierane meble oraz pamiątki z wyjazdów – wcześniej nie zwracał na nie uwagi, lecz teraz aż nazbyt przyciągały jego wzrok.

Minął dopiero tydzień od pogrzebu. Najstarszy syn rozumiał, co takiego stało się z jego matką i znosił to dzielnie jak na pięciolatka. Trzyletnie córki patrzyły za to na niego pełne zdezorientowania. Chociaż wydawały się przyswoić pojęcie śmierci jako odejścia i braku powrotu, wciąż wyczekiwały Urszuli. Tego, że ta zajdzie do nich w nocy, utuli do snu bądź zrobi rano śniadanie. Kiedy tak się nie działo, mieszkanie wypełniał płacz dziewczynek, a on czuł, jak rozpoławia mu się serce.

Wszelkie siły opuściły jego ciało. Był pustą skorupą niezdolną do jakiegokolwiek ruchu. Trwając w jednej pozycji, czekał. Nie miał pojęcia na co, lecz patrzył ślepo na ścianę naprzeciw, a czas wydawał się go omijać. Łzy wciąż spływały po policzkach, a oczy szczypały.

W momencie, kiedy nabrał do płuc większy oddech, zdawało mu się, że coś słyszy. Kobięcy głos, który rozpoznalby zawsze. Urszula wołała kogoś. Wołała jego, tak jak robiła to wcześniej setki razy. Iluzoryczny dźwięk wydawał się dobiegać z boku. Odwrócił głowę w tamtą stronę. Jego wzrok przeszedł po znajdującej się tam szafie, regale z książkami i zatrzymał na oprawionej fotografii.

Już miał się odezwać. Zapytać o coś – nie licząc na odpowiedź – portretu swojej ukochanej, lecz zrezygnował. Z salonu doszedł do niego wrzask Wiktorii, a do drzwi zaczął dobijać się Rafał, prosząc, by tata wyszedł.

Spojrzał jeszcze raz na zdjęcie, a potem zmusił się do wstania i powrotu do swojego życia, w którym brakowało jego najważniejszego elementu.

Z początku poczuł delikatne muśnięcie na policzku. Uznał je za podmuch wiosennego wiatru, który wdarł się przez uchylone okno. Następny dotyk był jednak mocniejszy. Wbił się w skórę nieprzyjemnie, prowadząc dryfującą po sennych krainach świadomość z powrotem do ciała. Uniósł powieki. W pokoju panowała ciemność. Nie zdążył spojrzeć na ustawiony obok łóżka budzik, wcześniej dostrzegł swojego syna stojącego naprzeciw. Chłopiec trząsł się, a dłoń trzymał na skraju poduszki. Swymi szklanymi oczyma patrzył z wyczekiwaniem na ojca.

– Co się stało? – spytał mężczyzna.

– Nie mogę spać – odpowiedział.

Ojciec skinął, podniósł się, przesunął i delikatnie chwycił rękę Rafała. Pociągnął go do siebie. Dziecko zajęło miejsce obok rodzica, przytuliło się do niego.

– Śniło ci się coś straszego?

- Nie. Mama. Tato... boję się.
- Czego?
- Co jeżeli zapomnę, jak wyglądała?
- Spokojnie. Nigdy o niej nie zapomnisz. A wiesz dlaczego?

Chłopiec pokręcił głową.

– Ponieważ mieszka ona teraz w twoim serduszkku. Będzie tam zawsze.

- Wolałbym, żeby mieszkała dalej z nami wszystkimi.
- Wiem, skarbie. Wiem.

Objął syna i zaczął mu nucić melodię, która zawsze go uspokajała, kiedy był mały. Jego głos był jednak dużo bardziej szorstki niż Uli. Mimo to chłopiec zasnął zaledwie po kilku minutach. On nie mógł już zmrużyć oczu. Zaczął zdawać sobie sprawę, że został ze wszystkim sam. Wcześniej, chociaż przychodziło mu już zmierzyć się z trudnościami dnia codziennego, to świadomość pozostania samemu jeszcze do niego nie docierała. Teraz jednak, widząc płaczącego Rafała, wszystko stało się aż nazbyt jasne. Zastanawiał się, ile jeszcze przerwanych snów doświadczą jego dzieci. Jak często będzie musiał walczyć z własnym żalem, aby nie pokazać go córkom i synowi?

Postanowiłem, że się przeprowadzimy. Nie chodziło wyłącznie o mnie. Co prawda każdy milimetr mieszkania przypominał mi o Uli, ale widziałem, że również dzieci są tym przytłoczone. Parę osób mówiło mi, że nie jest to najlepsza decyzja. Że żaloba im minie i przyzwyczają się do życia w miejscu, w którym już więcej nie zobaczą swojej matki. Słuchałem i może nawet zgadzałem się z tymi słowami, ale to nie miało żadnego znaczenia. Jeżeli tylko mogłem jakkolwiek uśmierzyć ich ból, musiałem to zrobić.

Nasz nowy dom znajdował się na drugim końcu miasta. Wreszcie mieliśmy mały ogródek. Postawiłem w nim zjeżdżalnię, zrobiłem małą piaskownicę. Pamiętam, jak bardzo lubiła bawić się tam Anastazja. Wiktoria bardziej interesowała się kwiatkami. Sadziła masę roślin i dbała o nie. Dziewczynki z miejsca pokochały dom. Rafał... Z Rafałem było nieco trudniej. Znacznie bardziej przeżywał stratę. Przez pierwsze kilka dni nie mógł znaleźć dla siebie miejsca. Cały czas chodził po pokojach, kładł się na podłodze w salonie. Rzadko wychodził na podwórko. Nie wyciągałem go na siłę. Wiedziałem, że potrzebuje czasu. Często jednak rozmawialiśmy. Oczywiście na tyle, ile da się z pięciolatkiem. Chociaż nie. Dzieci rozumieją dużo więcej, niż nam się zdaje... Wreszcie jednak się zaadaptował. Wtedy pomyślałem, że to koniec naszych problemów.

Niestety wciąż zdarzały się noce, kiedy Rafał przychodził do mnie zapłakany. Dziewczynki parokrotnie też. Mnie również one dotyczyły. Płakałem, lecz tylko wtedy, kiedy miałem pewność, że nikt mnie nie zobaczy i nie usłyszy. Sam rozumiesz...

Ponad miesiąc po przeprowadzce zdecydowałem się wreszcie uporządkować sprawę ze starym mieszkaniem. Chciałem je sprzedać. Najpierw musiałem jednak ponownie je odwiedzić. Przepatrzeć szafy, szuflady. Zabrać pamiątki i tak dalej. Dużo rzeczy generalnie pozostawiliśmy na swoich miejscach, nie ruszając ich kompletnie. Wiedziałem, że ponowna wizyta będzie trudna, ale...

Na korytarzu znajdowało się pięć kartonów. Zmieściłby się do trzech, ale postanowił uważać na każdą z rzeczy i niepotrzebnie nie ryzykować ich uszkodzeniem. Przeszukał już całe mieszkanie i robił obecnie ponowny obchód, gdyby przypadkowo coś przeoczył. Nie chciał niepotrzebnie tu wracać. Każda dodatkowa minuta kosz-

towała go zbyt wiele. Znajdował się w sypialni. Stał na środku pomieszczenia, rozejrzał się wokół, a potem usiadł na fotelu. Meble postanowił zostawić. Niech służą przysłemu właścicielowi.

W powietrzu unosił się kurz. Wiercił mu w nozdrzach, wywołując ochotę na kichnięcie, które jednak nie nadchodziło. Oczy zaczęły mu łzawić. Spróbował sobie wmówić, że to przez podrażniające drobinki. Sprawdził w pośpiechu szafki i biurko. Na koniec otworzył szafę i kucnął. Na dole pozostawił kilka koców, poszwę i jakieś prześcieradła. Postanowił je zabrać. Wziął część rzeczy i przeniósł na korytarz. Położył je delikatnie na ułożonych w kartonie książkach. Następnie wrócił do ich dawnej sypialni.

Nie miał pojęcia, co takiego się wydarzyło. Szedł sztywno, kiedy nagle poczuł, że noga dziwnie mu się osuwa. Jakby potknął się o coś, ale przecież miał przed sobą pustą podłogę. Wykonał niezgrabnie krok do przodu, a potem kolejny i wtedy też jego lewa kostka odezwała się dojmującym bólem. Zobaczył mroczki, a pomiędzy nich dostrzegł, jak leci prosto do wnętrza szafy. Ratuując się wyciągniętymi rękoma i próbą obrotu poprzez ruch bioder, wpadł ciężko do mebla. Na szczęście nie uderzył się głową, więc manewr, który wykonał – chociaż ociężały i pozbawiony finezji – zadziałał. Mimo to do wcześniejszych odczuć dołączyło miarowe mrowienie w prawym barku.

Znajdował się w ciemności. Siedział w szafie, opierając się o jej jedną ścianę i mając podkulone pod brodę nogi. Drzwiczki samoistnie przymknęły się, odcinając go od zewnętrznego świata.

Był tylko on wewnątrz mroku. Nie miał sił się poruszyć. Przynajmniej póki co. Postanowił dać chwilę swoim obolałym kończynom i dopiero za jakiś czas spróbować wstać. Teraz pragnął tylko zamknąć oczy i odetchnąć.

Nie musiał o niczym myśleć ani niczym się przejmować. Pochłoneła go czerń. Zapewniła mu ona poczucie bezpieczeństwa. Składała obietnicę na ucieczkę przed życiem, którego nie tyle nie chciał, co się bał. Jak miał wychowywać syna i dwie córki? Jak zrekompensować im brak matki? Co zrobić, kiedy nie uda mu się spełnić wszystkich oczekiwań? Przecież był sam. Co prawda mógł liczyć na pomoc siostry, ta nieraz ratowała go przed małymi katastrofami, lecz nie chciał jej wiecznie wykorzystywać. Podobnie matki i teściów.

Ciężar bycia samotnym rodzicem był stanowczo zbyt duży, aby sobie z nim poradził. Strach rósł w jego umyśle, aż w pewnej chwili zniknął. To był moment, kiedy uświadomił sobie, że nieważne ile by się użalał nad sobą, to i tak nic nie zmienia.

Uchylił drzwiczki.

Jego ukochana nie żyła – powtórzył sobie w myślach.

Musiał się zbierać, jeżeli miał dotrzeć na czas do przedszkola.

Jego ukochana siedziała na łóżku. Była pochylona, lekko zgarbiona. Włosy opadały, zakrywając jej twarz. Dłonie miała ułożone na złączonych kolanach. Ubrana w proste, niebieskie jeansy i czerwoną koszulkę, trwała, nie zdając sobie sprawy, że ktoś ją obserwuje.

– Ula?

Kobieta wyprostowała się, wydając się nie dowierzać własnym uszom. Zerknęła najpierw w prawo, w stronę drzwi, a potem odwróciła głowę – powoli, jakby obawiając się tego, co zobaczy. Wtedy też ich spojrzenia się spotkały. Patrzyli na siebie szeroko rozwartymi oczyma.

– Oskar?

Dreszcz ekscytacji zmieszanej ze strachem przeszedł mu przez całe ciało. Zastygł w bezruchu, bojąc się, że choćby najmniejszy dyg może zburzyć kruchą iluzję.

Dwójka kochanków trwała wpatrzona w siebie. Ona oddychała przez lekko uchylone usta. On wstrzymał powietrze w płucach, aż poczuł, że robi mu się słabo – nie wiedział, czy ze względu na niedotlenienie, czy nerwy.

– To ty? – spytał.

Dziewczyna wstała. Oskar poszedł w jej ślady.

– Przecież nie żyjesz – powiedziała.

– Co? Nie... Przecież to... ty umarłaś.

Wykonali krok ku sobie.

– Nie wiem, o czym mówisz. Ale to przecież ty. Prawda?

– Tak – odpowiedział. – A ty to Ula...

– Tak.

– W takim razie... Co się stało?

Nie uzyskał odpowiedzi. Przynajmniej nie od razu. Oboje stanęli naprzeciw siebie. Po ich policzkach zaczęły spływać łzy wzruszenia. W tej samej chwili, jakby bojąc się, że znajdująca się przed nimi osoba to wyłącznie widmo, które zaraz może zniknąć, rzucili się ku sobie, pragnąc po raz ostatni przytulić się do kogoś, kogo kochali.

Po czasie, zdającym się wyłącznie sekundą, a w rzeczywistości będącym długimi minutami, kochankowie się rozłączyli. Oboje z trudem utrzymywali się na nogach. Ula wróciła na wcześniejsze miejsce na łóżku. Oskar podrapał się po potylicy, rozglądając się po sypialni. Następnie ruszył ku drzwiom. Szybko przebiegł oczyma po reszcie pomieszczeń.

– Czego szukasz?

– To nie jest nasze mieszkanie. To znaczy moje. Znaczy... Ogólny układ się zgadza, ale szczegóły już nie.

Chłopak zbliżył się do dziewczyny. Usiadł obok niej.

– Co to wszystko znaczy?

– Chciałam o to samo zapytać.

Oskar wyprostował się, wypuszczając ze świstem powietrze. Pokrótce opowiedział o sobie, o śmierci żony, dzieciach, chwilach słabości, sprzątanu w mieszkaniu i trafieniu do tego dziwnego, tak dobrze znanego, ale obcego miejsca. Dziewczyna wysłuchiwała go z uwagą. Nie przerwała mu ani razu. Kiedy skończył mówić, sama przystąpiła do własnej opowieści. O poznaniu Oskara, o wspólnym zamieszkaniu, planach na przyszłość. I wreszcie ciąży. Do tego momentu obie historie były takie same. Ula zająknęła się nagle, co nie uszło uwadze chłopaka. Potem zamilkła.

– Coś się stało?

– Poroniłam – przyznała, zamykając powieki i skrywając swoją twarz w dłoniach.

– Przepraszam... To znaczy...

– Nic się nie stało. Pogodziłam się już z tym. Próbo-
wałam później zająć w ciążę, ale nie udało się. A potem ty... mój Oskar zmarł. Ale jesteś tutaj.

Skinął, przysuwając się do dziewczyny. W połowie ruchu uświadomił sobie, że ma zamiar objąć ją, zapewniając, że jest przy niej – jakby całkiem ignorując fakt, że to nie jego Ula. Nie ta, w której się zakochał. Jednak wygląd, jak również jej charakter i zachowanie zdawały się zaprzeczać temu, co podpowiadał mu umysł.

– Może pójdziemy do kuchni? Zrobię herbatę i porozmawiamy... normalnie.

– Chętnie, tylko czekają na mnie dzieci. Muszę je odebrać. Ale wrócę. Obiecuję.

– Będę czekać.

Oskar wstał niechętnie. Nie spuszczać z Uli oczu, cofnął się i wszedł do szafy, z której przed kilkunastoma minutami wypadł. Działał automatycznie, wierząc, że wystarczy powtórzyć wszystko to, co zrobił wcześniej. Zamknął drzwiczki, usiadł na chwilę, a potem, kiedy

wydawało mu się, że minęło wystarczająco dużo czasu, wyszedł z wnętrza mebla.

Był u siebie.

Zaczął się zbierać, kiedy dostrzegł coś, co nie dało mu spokoju. Za oknem panował już mrok. Spojrzał na zegarek. Wskazówki ustawiły się na osiemnastą dwadzieścia. Wybiegając z mieszkania, wyciągnął telefon. Dwadzieścia trzy nieodebrane połączenia i szesnaście wiadomości. Wszystkie od jego siostry. Jadąc już samochodem, zadzwonił do niej. Nie chciała z nim rozmawiać. Przynajmniej nie przez telefon. Powiedziała tylko, że jego dzieci są u niej i żeby się pośpieszył.

– Gdzie byłeś?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie mógł przecież wyznaczyć prawdy. Zaraz uznałaby go za wariata.

– Przepraszam.

– Przepraszasz? A, to wszystko jest już okej. Oskar! Nie dość, że nie odebrałeś Rafałka i dziewczynek z przedszkola, to nie odbierałeś telefonu i nie dało się z tobą w ogóle skontaktować!

Stali przy oknie w kuchni. Chociaż oboje szeptali, nie chcąc zwrócić uwagi dzieci, to czuł się, jakby dostawał największy opieprz w swoim życiu. Zdawał sobie jednak sprawę, że na to zasłużył.

– Trochę mnie to wszystko przerosło. Poczułem, że to bez sensu i chciałem się poddać.

– O czym mówisz? – Głos dziewczyny złagodniał. Nagle z twarzy Alicji zniknął gniew, a pojawił się strach i współczucie. – Masz dla kogo żyć. Dla kogo walczyć.

Złapała jego dłonie i uniosła je na wysokość klatki piersiowej.

– Jeżeli będziesz potrzebował pomocy – napisz, zadzwoń. Daj znać. Tylko proszę, nie rób tego co dzisiaj.
– Dobrze – obiecał jej. – Dziękuję za wszystko.

Następnego dnia, zaraz po tym jak odwiozłem dzieci do przedszkola, zjawiłem się w starym mieszkaniu. Nie miałem pewności, że ponownie uda mi się trafić do dziwnego świata, gdzie Ula wciąż żyła, ale musiałem spróbować. Wiedziałem, że nie była to ta sama kobieta, którą pokochałem, lecz zbyt ją przypominała. Ona także patrzyła na mnie jak na swojego męża. Poza tym obiecałem jej przecież, że się jeszcze zjawię. Wszedłem do szafy, usiadłem na chwilę i wychodząc, znalazłem się po drugiej stronie.

Nasze pierwsze spotkania były pełne niepewności – wciąż nie wierzyliśmy, że to prawda, a nie zwykłe omamy. Rozmowy ciągnęły się niezręcznie. Chociaż wiedzieliśmy o sobie w zasadzie wszystko, to ciężko było przełamać pewną barierę irracjonalnego wrażenia, że mówi się mimo wszystko do samego siebie. Z czasem jednak przestaliśmy przejmować się wcześniejszymi niepewnościami.

Ula mieszkała sama. Pracowała w domu jako graficzka. Dzięki temu nie musieliśmy przejmować się, że na kogoś przypadkiem wpadnę podczas wychodzenia z szafy. Nie opuszczaliśmy też mieszkania. Oficjalnie bowiem nie żyłem dla ludzi z tamtego świata. Zaobserwowałem również dziwne anomalie czasowe, które zachodziły podczas przebywania u Uli, a które rzutowały na moje powroty. Chociaż dzień oraz godzina przybycia zgadzały się po obu stronach, to czas, który spędzałem w nie swoim mieszkaniu, był sześciokrotnie krótszy niż u mnie – chociaż przy kolejnej wizycie godziny po obu stronach ponownie się zgadzały. Przez to też nasze spotkania trwały nie więcej niż godzinę. Miały miejsce prawie codziennie z wyłączeniem weekendów.

Szybko staliśmy się sobie bliscy. Widać to było po tematach, które poruszaliśmy, braku jakiegokolwiek tabu w naszych rozmowach. Rozumieliśmy się, zanim jeszcze któreś z nas zaczęło opowiadać o własnych odczuciach. Zналиśmy się w końcu od lat, a te kilka epizodów różniących nasze życiorysy niczego nie zmieniało. To znaczy prawie niczego. Ula nie lubiła bowiem, kiedy poruszałem temat moich dzieci. Widać było, że jest dla niej drażliwy. Przynajmniej do momentu, kiedy ustaliliśmy, że...

Ula prezentowała się zjawiskowo i po raz pierwszy od dawna sama się tak czuła. Miała na sobie zieloną sukienkę, włosy spięte w kok, lekki makijaż. Z szyi spływał jej delikatny, mieniący się w świetle palących się świeczek, srebrny naszyjnik. Założyła również obrączkę – ostatni raz miała ją na palcu trzy lata temu, kiedy jej mąż zmarł. Teraz jednak czuła, że go w pełni odzyskała. Siedzieli razem przy niewielkim stoliku, obchodząc swoją kolejną rocznicę ślubu. To był jej Oskar i pomimo drobnych różnic nic tego nie mogło zmienić. On zresztą też wyglądał świetnie. Ubrany w garnitur, z ładnie wystylizowaną fryzurą zaczesaną na bok, ogolony na gładko. Roztaczał wokół siebie przyjemny zapach męskich perfum. W dodatku nosił na serdecznym palcu obrączkę. Taką samą jak ona.

– Za nas. – Wzniósł toast, unosząc kieliszek z winem.

– Za nas – odpowiedziała mu.

Następne dwie godziny spędzili na rozmowie. Nie widzieli się przez ostatni miesiąc, przez co mieli sobie wiele do powiedzenia. Chwalili się, opowiadali liczne anegdoty, powtarzali, jak bardzo się kochają i jak za sobą tęsknili. W pewnym momencie Oskar przeszedł na temat swoich dzieci. Zrobił to nieświadomie, nawet przez

chwilę nie zdając sobie sprawy, że może tym skrzywdzić Ulę. Jak zwykle mężczyzna najpierw zaczął chwalić Rafała, potem Anastazję i Wiktorię, by wreszcie stwierdzić, że jak tylko osiągną oni odpowiedni wiek, będzie mógł zostawiać ich samych na dłużej. A to oznaczać miało częstsze i dłuższe wizyty.

Uśmiechnęła się. Trochę wymuszenie, co nie umknęło jego uwadze, lecz nic nie powiedział. Jakiś czas później zaczęli tańczyć; objęci stąpali powoli w kółko przy dźwiękach kolejnych spokojnych piosenek. Pocałowali się, a potem dali się ponieść namiętności.

Obudziła się pierwsza. Obróciła się na bok, żeby móc spojrzeć na spokojną twarz swojego męża. Po eleganckiej fryzurze nie było śladu. Na policzkach pojawiły się również czarne, pojedyncze włoski. Położyła dłoń na jego twarzy. Uniósł powoli powieki.

– Przepraszam, nie chciałam cię budzić – powiedziała.

– Nic nie szkodzi. Która jest? O dziesiątej muszę iść.

– Masz jeszcze trochę czasu. Nie mogę się doczekać, kiedy będziesz mógł zostawać na dłużej.

– Ja również.

– Tak myślałam... – zaczęła niepewnie, by po chwili się rozmyślić. Nie mogła przecież tego od niego wymagać.

– No?

– Chcesz ze mną być?

– Przecież wiesz. Tak.

– Teraz masz dzieci. Musisz się nimi zajmować i to w pełni rozumiem. Nie chciałabym stawać między wami. Ale one za kilka lat dorosną. Nie mówię o ich pełnoletności, tylko wiesz, skończą studia, znajdą pracę. Będą dorosłe.

– Do czego dążysz?

– Może, kiedy to się stanie, kiedy przestaną cię potrzebować w takim stopniu jak teraz, przeniesiesz się tutaj?

Moglibyśmy zamieszkać razem i spędzić resztę życia we dwoje. Tak, jak sobie obiecaliśmy.

– Dobrze – odpowiedział po kilku sekundach ciszy, jaka między nimi zapanowała. – Gdy tylko moje dzieci przestaną mnie potrzebować, zamieszkamy razem.

Zmęczenie uderzyło w niego podwójnie, gdy tylko przekroczył próg domu. Odetchnął ciężko, ściągając z ramienia torbę podróżną, którą zabierał wyłącznie dla pozorów. Ściągnął buty, zdjął marynarkę i rzucił ją niedbale na ławkę w przedpokoju. Idąc w głąb budynku, poczuł unoszący się w powietrzu zapach smażonych naleśników. Uśmiechnął się mimowolnie i zaglądnął do kuchni. Piętnastoletni Rafał trzymał w dłoni patelnię. Po prawej od niego stała Anastazja.

– Hej, kochani.

– Tata! – krzyknęła dziewczynka, przestając zwracać uwagę na pojawiające się w cieście bąbelki i rzuciła się w stronę ojca. Przytuliła się do niego, a on podniósł ją, co przyszło z większą trudnością, niż przewidywał. Miała w końcu dwanaście lat.

– A gdzie Wiki?

– Na górze – odpowiedział mu syn. – Wiki! Tata wrócił!

Z pietra dało się posłyszeć, jak druga z sióstr wychodzi z pokoju, a potem schodzi po schodach.

– Cześć!

Oskar zajął miejsce przy ladzie tuż obok chłopca. Popatrzył na jego ruchy zdradzające, że nie pierwszy już raz ma do czynienia z patelnią.

– Dobrze ci idzie.

– Dzięki.

– Mogłeś coś zamówić.

– Lubię gotować. Robić obiady.

– Cieszę się. Z pewnością wyjdą pyszne.

Bliźniaczki szeptały o czymś przez chwilę, a potem Wiktoria postąpiła naprzód i oparła się o ojca.

– A wiesz, że Rafał ma dziewczynę? Zaprosił ją wczoraj i przez całe popołudnie siedzieli u niego w pokoju.

Na twarzy chłopca pojawiły się dwa intensywne rumieńce.

– Tak? A jak jej na imię? – spytał Oskar.

– Kasia... – odpowiedział zawstydzony Rafał. Ściągnął patelnię, przekładając naleśnik na przygotowany uprzednio talerz. – Tato... Spotykamy się już od jakiegoś czasu. W zasadzie od czterech miesięcy...

– Wow. Gratulacje. Może zaprosisz ją znowu. Z chęcią ją poznam.

– Dobrze. A wam utnę języki, bo zdecydowanie są zbyt długie – zwrócił się do sióstr.

Wieczorem pożegnał się z dziećmi, które zostały w salonie, oglądając wspólnie film. Życzył im dobrej nocy i udał się do swojej sypialni. Nie rozpakowując torby, wrzucił ją do szafy – wkrótce znowu ją wyciągnie, mówiąc, że ma ważne zlecenie i musi wyjechać na kilka dni. W rzeczywistości uda się do mieszkania na Zamkowej, wejdzie do szafy – wciąż nie dowiedział się, czy możliwość przejścia do innego świata sprzężona jest z meblem, czy też miejscem i chociaż trochę go to ciekawiło, wolał niczego nie zmieniać. Bał się, że przypadkowo zamknie sobie drogę powrotu. A wciąż było zbyt wcześnie, żeby opuścić dzieci...

Myśl, że kiedyś pożegna się z Rafałem, Anastazją i Wiktoria na dobre tknęła go dogłębnie. Nie mógł wyobrazić sobie tej chwili. Za każdym razem, gdy o niej myślał, okazywała się niezwykle przerażająca. Z drugiej strony pragnął spędzić życie w objęciach Uli. Jedynej

kobiety, którą w życiu kochał. Czy naprawdę było to złe?

Chociaż byłem niezwykle szczęśliwy; miałem wspaniałe dzieciaki, które z każdym rokiem pozytywnie mnie zaskakiwały, moja firma prosperowała coraz lepiej i w zasadzie stawiałem się w niej zbędny, w dodatku kochałem kobietę mojego życia, to odczuwałem jakiś ciężar na sobie. Czuję, że dzieje się coś złego, czego nie jestem w stanie dostrzec. Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy dlaczego. Patrzyłem na wszystko powierzchownie, będąc w zasadzie z doskoku w domu lub u Uli. Między dwoma światami.

Pamiętałem, że było to zaraz po tym, gdy Rafał skończył dziewiętnaście lat. Wciąż się uczył. Planował pójść na studia i zostać księgowym. Wiem, że brzmi to dziwnie, ale chłopak zawsze stąpał mocno po ziemi i wiedział, że ten zawód pozwoli mu zarobić. W dodatku lubił bawić się w różne zestawienia, analizować koszty i tego typu rzeczy. Wciąż chodził również z Kasią – diabelnie ambitną dziewczyną, dla której nie istniało pojęcie, że coś jest niemożliwe. Miałem szczerą nadzieję, że wytrwają razem i stworzą tak szczęśliwy związek jak ja i Ula. Widzisz więc, że nie musiałem się martwić o Rafała. Podobnie było z Anastazją. Chodziła wtedy do liceum, uczyła się dobrze. Była niezwykle uzdolniona artystycznie. Myślała nad zostaniem projektantką wnętrz.

Gorzej było niestety z Wiktorią. Z perspektywy czasu widzę, że to moja wina. Nie było mnie przy nich, więc nie zobaczyłem pierwszych sygnałów. Dziewczyna się zagubiła. Może zabrzmie staroświecko, ale wpadła w złe towarzystwo. Chociaż podejrzewam, że to ona mogła być sprawczynią wszystkiego. Zaczęła wychodzić z domu późno, nie mówiąc, gdzie będzie i o której wróci – czasem mnie nie było i dowiadywałem się o tym po wszystkim. Opuściła się w nauce do tego stopnia, że

nie przeszła klasy. Zaczęła pić, na co przymknąłem ze dwa razy oko, bo dobrze pamiętałem, jak to jest być w jej wieku. Jednakże problem zaczął narastać. Kiedy Wiki skończyła osiemnastkę, musiałem wysłać ją na odwyk.

Rzecz jasna mówiłem o tym Uli. Z początku przejmowała się wraz ze mną, lecz z czasem zaczęła zdradzać oznaki irytacji. Czowała, że dzieci zbyt mocno odciągają mnie od niej. Skarżyła się, że odwiedzam ją coraz rzadziej, a jak już jestem, myślami błędzę i nie jestem skupiony. Z jednej strony przyznawałem jej rację, lecz jak mógłbym zapomnieć o Wiktorii? Jak mogłem nie przejmować się również Rafałem i Anastazją?

Po kolejnych dwóch latach wydarzyły się jednak dwie rzeczy, które całkowicie odmieniły moją sytuację. Rozwiały ciemne chmury, zaczynające się kłębić nad rodziną. Po pierwsze, Wiki skończyła odwyk. Wydawała się całkowicie odmieniona. Kiedy wróciła do domu, postanowiłem spędzić z nią jak najwięcej czasu – kosztem odwiedzin Uli. Zaraz później, w dniu ich dwudziestych urodzin, Anastazja poinformowała mnie, że wychodzi za mąż. Jej ówczesny chłopak, Bartek, oświadczył jej się, a ona się zgodziła. Chociaż poczułem wielką radość, to perspektywa, że wszystko, co spotyka moje dzieci, dzieje się już w zasadzie tuż obok, wprowadziła mnie w dziwny stan.

Wydawało mi się, że to już ten czas. Powoli zacząłem wszystko przygotowywać. Napisałem testament, uporządkowałem sprawy związane z firmą, spędziłem trochę dodatkowego czasu z rodziną. Ciągle jednak zastanawiałem się, jak ma wyglądać pożegnanie. Czy w ogóle powinno nastąpić? Coraz bardziej skłaniałem się ku odejściu w sposób niezapowiedziany. Ku nagłemu zniknięciu, nie pozostawiając po sobie niczego. Czuję jednak, że to nie fair w stosunku do moich dzieci. Zaslugiwały na wyjaśnienie lub chociaż pozorne zapewnienie, że nic się ze mną nie dzieje i moje odejście stanowi naturalny bieg życia.

Powiedziałem o moich planach Uli. Cieszyła się jak nigdy.

Ekscytowała ją wizja wspólnego zamieszkania. Ustalając szczegóły, podjęliśmy decyzję, że przeprowadzimy się do innego miasta. Chociaż mój wygląd przez ostatnie kilka lat zmienił się i raczej mało kto rozpoznałby we mnie młodego Oskara, woleliśmy nie ryzykować. Staliśmy jednak w rozkroku między górami a morzem. Wreszcie, po wielu godzinach dyskusji, zdecydowaliśmy się na to drugie.

Wszystko było już gotowe, kiedy okazało się, że jeszcze nie mogę, nie chcę opuszczać moich dzieci.

Wesele trwało w najlepsze. Wielu młodych tańczyło na parkiecie. Kilku starszusków siedziało przy stolikach, patrząc na bawiących się i wspominając, jak sami byli w ich wieku. Dzieci chodziły między stolikami, porywały butelki coli i piły z gwinta, szukając czegoś do zrobienia. Oskar zaliczał się do drugiej z grup – bardziej z własnego wyboru niż z racji na wiek, gdyż wciąż nie przekroczył pięćdziesiątki. Uśmiechał się szeroko, będąc bez przerwy wzruszonym.

– Tato...

Anastazja wraz z Bartkiem pojawili się tuż obok niego.

– Tak?

– Mógłbyś z nami na chwilę pójść?

– Stało się coś? – spytał, podnosząc się z krzesła i idąc za państwem młodym.

– Nie... to znaczy... zaraz ci powiemy.

We trójkę wyszli z domu weselnego. Noc była ciepła, a niebo bezchmurne, przepelnione setkami migoczących gwiazd. Na podjeździe stało kilku palących papierosy gości. Anastazja pociągnęła ojca nieco dalej.

– Musimy ci coś powiedzieć, a chyba nie będzie lepszej okazji – zaczęła dziewczyna.

– Tato – przerwał jej Bartek. – Chcemy powiedzieć...

– Zostaniesz dziadkiem.

Wpierw z kącików oczu wypłynęły Oskarowi łzy radości. Dopiero po chwili dotarło do niego znaczenie tego, co powiedziała mu córka. Nie przypuszczał, że mógłby tej nocy stać się jeszcze szczęśliwszym człowiekiem, a jednak właśnie to się stało.

– Cieszę się, dzieci.

Następnego dnia zrozumiał, że będzie musiał odsunąć w czasie zamiar opuszczenia rodziny. Pragnął zobaczyć wnuka, uczestniczyć w jego życiu. Przynajmniej przez kilka lat. Przecież ani on, ani Ula nie byli jeszcze na tyle starzy, aby nie móc zaczekać.

Wydaje mi się, że dla Uli stało się oczywiste, że nigdy nie zrealizujemy wspólnych planów. Zawsze bowiem pojawiało się coś na przeszkodzie. Mnie zawsze się pojawiało. Mówiła o tym wprost, prosiła, że jeżeli nie mam zamiaru zrezygnować z tamtego życia i przenieść się do niej, to abym po prostu to powiedział. Przestał ją zwodzić i dał przeżyć resztę lat w spokoju.

Za każdym razem jednak zarzekałem się, że wkrótce do niej dołączę. Że jeszcze tylko chwila. Do wesela Anastazji. Do jej porodu, bym mógł zobaczyć wnuka. Potem Rafał się żenił, a Wiktoria została zdradzona przez swojego chłopaka i była o krok od powrotu do nałogu. We wszystkich tych przypadkach musiałem wspomóc moje dzieci. Inaczej mogłyby sobie nie poradzić. Przynajmniej tak sądziłem.

Dlaczego Ula nie przeniosła się do mojego świata? Cóż, rozmawiałem z nią o tym nie raz. Tłumaczyła, że w przeciwieństwie do niej, ja mam tu rodzinę i zawsze, tak jak wtedy, znajdowałbym się w rozkroku między nią a nimi. Poza tym wciąż utrzymywałem kontakt z rodzicami mojej zmarłej żony,

co stanowiło pewien problem. Gdyby spotkali ją, mogliby rozpoznać w niej ich – nie ich córkę. Znajdowała jeszcze kilka argumentów, lecz te dwa powtarzały się najczęściej. Chociaż wydawały mi się przesadzone, to akceptowałem je. Nie pasowało mi tylko, że wymagają one wyłącznie ode mnie poświęcenia czegoś, co było mi drogie. Teraz jednak patrzę na to trochę inaczej.

Pamiętam, że kiedyś musiałem zabrać moją wnuczkę, Julkę, do tamtego świata. Miała wtedy dwa latka. Opiekowałem się nią, bo Rafał wyjechał w delegację, a jego żona miała ważną konferencję. Kiedy przeszedłem na drugą stronę, Ula była zaskoczona widokiem małej dziewczynki, która nagle zaczęła płakać. Próbowiałem ją uspokoić, lecz bezskutecznie. Nosilem ją, śpiewałem piosenki. Już myślałem, że będę musiał wracać, lecz moja ukochana powiedziała, abym dał jej dziecko. Zaskoczyła mnie, gdyż jak już wcześniej wspominałem, nie chciała mieć nic wspólnego z moją rodziną.

Ula delikatnie zabrała ode mnie Julkę i zaledwie po paru chwilach w mieszkaniu zapanował spokój. Na twarzy kobiety, którą znałem już ponad trzydzieści lat, zobaczyłem dojmujące wzruszenie. Szklane oczy, rumieńce na policzkach, zagryzane wargi. Obraz uzupełniały trzęsące się dłonie i niezmacona już niczym twarzyczka dziecka. Gdybyś tylko widział ją wtedy. Nagle zrozumiałem, skąd wywodziła się ta cała niechęć do słuchania o moich dzieciach i wnukach. Dlaczego tak bardzo przeszkadzało jej, że wciąż wybieram ich, a nie ją.

Ula także pragnęła mieć rodzinę.

Śmiali się, widząc jego wzruszenie. Mijali go, ściskali dłoń, przytulali i robili miejsce kolejnym. Oskar stał, próbując ogarnąć wzrokiem zgromadzonych: dorosłe dzieci, dorastające wnuczęta, równie starych co on znajomych, kuzynów, kuzynki i starszych o kilkadziesiąt lat wujków

i ciotki. Byli wszyscy, o których pamiętał. Wiedział, że szykują mu urodzinową niespodziankę. Przygotowywał się na kolejny wieczór pełen śpiewów, tańców i jedzenia. Spodziewał się jednak kameralnej zabawy. Zamiast tego miał przed sobą ponad pięćdziesiąt osób.

A wśród nich brakowało tylko Uli. Ta myśl zmąciła mu na moment uśmiech na twarzy. Nie widział się z nią już od dawna. Pokłócili się. Postanowił, że dopóki emocje w nich nie przygasną, nie odwiedzi jej. Teraz jednak poczuł, że przyszedł na to najwyższy czas.

– Dziękuję wam. Naprawdę, nie spodziewałem się... was wszystkich – mówił, stojąc na górze stołu wyniesionego do ogrodu za dom. Na szczęście pogoda im dopisywała. W innych okolicznościach zaproszeni członkowie rodziny nie mieliby się gdzie podziąć.

Zacząła się zabawa. Muzyka popłynęła z głośników – z początku cicha, stanowiąca tło, by później odezwać się głośniejsze, pozwalając na tańce. Oskar, korzystając z okazji, podszedł do Wiktorii, której towarzyszyła jej dziewczyna, i spytał, czy może poprosić córkę.

– Nie pamiętam, byśmy kiedykolwiek tańczyli razem – powiedziała, kładąc dłoń na chudym ramieniu ojca.

– Na weselu Rafała. Przez chwilę, bo poślizgnęłaś się i naciągnęłaś sobie coś w kostce. A wcześniej to jak miałaś cztery lata.

– Pamiętasz wszystko, prawda?

– Tak. Cieszę się, że wreszcie jesteś szczęśliwa. – Skinięciem wskazał na siedzącą przy stole Klaudię.

– W końcu się chyba udało i już nie musisz przejmować się swoją niesforną córką.

– E tam. Nigdy tak o tobie nie myślałem. Przynajmniej nigdy nie było z tobą nudno. Ale czy to znaczy, że mnie już nie potrzebujesz?

– Nie, tato. Chyba jestem za słaba, żeby mogła sama..

no wiesz... żyć.

Po skończonej piosence Oskar usiadł na swoim miejscu. Porozmawiał chwilę z synem, gdy w pół zdania przerwał mu wypowiedź wpraszkający się na kościste kolana wnuk.

– Dziadku, dziadku. Wczoraj byłem...

Słuchał niewyraźnych słów chłopca, patrząc na niego z czułością. Dopiero wtedy zrozumiał tę prostą rzecz, z którą nie pogodził się przez tyle lat. Chociaż pragnął tego ponad wszystko, nigdy nie będzie mógł powrócić do Uli. Nie opuści swoich dzieci i wnucząt, nie tylko dlatego, że będą go potrzebować. To on potrzebował ich najbardziej. Przebywać z nimi, czuć, że wcześniejszy ból przekształcił się w rodzinną miłość nie do pokonania.

Dwa dni później znalazł się w starym mieszkaniu. Zdawało się ono wyrwane ze strumienia czasu i odstawione na bok, by trwało bez początku i końca. Oskar przeszedł do sypialni, wszedł do szafy, zamknął drzwiczki i przeniósł się na drugą stronę, gdzie nikt na niego już nie czekał.

Odeszła.

Jak się dowiedziałem, od kilku lat była chora, co skrupulatnie przede mną ukrywała. Na chwilę przed moimi urodzinami miała mieć operację. Wiedząc o tym teraz, wydaje mi się, że specjalnie rozdmuchała naszą kłótnię. Chciała nas oddalić przynajmniej na kilka dni, abym o niczym się nie dowiedział. Jednak coś poszło nie tak. Podobno nie było w tym niczyjej winy. Lekarz robił, co mógł, lecz zwyczajnie przyszedł na nią czas.

W tamtym świecie spędziłem kolejne trzy dni, czekając na pogrzeb, w którym uczestniczył zaledwie tuzin osób. Trzymałem się z boku, a po ceremonii zostałem na cmentarzu aż

do wieczora. Straciłem ją po raz drugi. Żal, jaki mnie wtedy przepelniał, nie mógł się równać z żadnym innym. Najgorsze było jednak poczucie winy.

To przeze mnie Ula umarła samotnie. Bez przyjaciół, bez rodziny. Wtedy już zdawałem sobie sprawę, że moją winą była jej samotność. Moje ciągle obietnice rychłego porzucenia dotychczasowego życia i przeniesienia się do niej sprawiały, że nie była w stanie normalnie funkcjonować. Wciąż mnie oczekiwała, przez co nikogo nie poznała, nie zakochała się raz jeszcze. Nie założyła rodziny... I zapewne nie zaznała prawdziwego szczęścia.

Mój egoizm, brak odwagi, aby przyznać się sam przed sobą, że nigdy nie zrezygnuję z dzieci, spowodował rzecz najgorszą, z którą przyjdzie mi żyć do końca. Odebrałem perspektywę szczęścia najbliższej mi osobie. Mógłbym sobie próbować wmówić, że przecież sama zapraszała mnie do siebie. Gdyby coś jej nie pasowało, pragnęła skończyć ten dziwny związek, powiedziała by mi. To jednak byłoby kłamstwo. Wiem przecież, że Ula, podobnie jak ja, była uzależniona od naszej miłości. Przez to, że nie podjąłem ostatecznej decyzji i wciąż ją zwodziłem, dawałem nadzieję.

W moim świecie nie było mnie prawie trzy tygodnie. Rodzina zamartwiała się, wręcz umierała ze strachu. Myśleli, że coś mi się stało. A ja zwyczajnie wyszedłem z szafy mojego starego mieszkania i poszedłem prosto do domu. Nie wytłumażyłem się z nagłego zniknięcia. Zamiast tego podziękowałem im wszystkim za ich miłość. Widziałem ją, jakby była czymś fizycznym, namacalnym.

- Teraz już wszystko wiesz.
- Co zamierzasz?
- Jutro jest kolejna rocznica jej śmierci.
- Pójdiesz na jej grób.

– Tak. Muszę tam wrócić. Pożegnać się z nią po raz ostatni. Potem sprzedam mieszkanie.

– To dobrze.

Dłoń zacisnęła się na ramieniu Oskara, dodając mu otuchy.

– Żałujesz, że nie opuściłeś rodziny i nie poszedłeś do Uli?

– Nie. Niestety nie. Może gdybym żałował, byłoby mi łatwiej.

Oskar przymknął powieki, przywołując w pamięci obraz swojej ukochanej.

JAKUB LIBERDA

FORIAŁ

Lemmy odkrył, że jest nagi i znajduje się w mięsistym tunelu, stłoczony z dziesiątkami innych ludzi, równie zagubionych i przerażonych jak on. Wokół roznosił się mdlący fetor. Mężczyzna czuł się, jakby trafił do czyjś jelita.

Z tunelu nie było wyjścia. Tuż za Lemmym ściany załamywały się i strzelały wysoko w górę. Nie było mowy, by kiedykolwiek zdołał się po nich wspiąć.

W nieregularnych odstępach wpadały tym szybem kolejne osoby, nieubłagane popychając zebranych ku wielkiej dziurze w podłożu. W końcu zabrakło dla Lemmy'ego miejsca i został zepchnięty w olbrzymią paszczę łysego grubasa, którego kończyny uległy atrofii.

Jeśli mężczyzna myślał, że to koniec, mylił się. Gardziel gargantuicznej masy cielska porastały szabłopodobne kolce. Jeden zaciął Lemmy'ego w ramię, drugi odjął nogę, trzeci wybił oko. W końcu nieszczęśnik półżywy wylądował w kwasie.

Lemmy zapytał, dlaczego go to spotkało. Ktoś, kto leżał obok niego, wytłumaczył mu, że słudzy olbrzymia próbują odciążyć czarną dziurę, w której się znaleźli, by mogła na powrót pożerać światy. Na szczęście nie wiedzą, że ich świat nie staje się przez to lżejszy, bo materiał pochodzi z niego i odkłada się w cielsku olbrzymia.

Lemmy stał z brwi krople deszczu zacinającego w oczy. Mięśnie paliły go od wspinaczki błotnistą ścieżką na szczyt zalesionego wzniesienia. Oddech kłuł w gardle, jakby męczyzna połknął garść drobnych odłamków szkła.

Drogę oświecał księżyc w pełni.

Ktoś, kto nie znał Lemmy'ego, poradziłby mu odłożyć podobne wycieczki na lepszą pogodę, ale on wiedział, że musi zdążyć przed kolejnym atakiem. Z czasem stawały się coraz dłuższe. Ostatni wyłączył go na rekordowe dwanaście godzin.

Życie stało się dla Lemmy'ego ucieczką z koszmarów na jawie w złe sny. Jedynym pocieszeniem było to, że po tych ostatnich budził się żywy. Odwiedził licznych specjalistów, ale żaden nie potrafił mu pomóc. Jedynie prześcigali się w wymyślaniu nazw dla przypadłości, którą „odkryli” i za którą mieli nadzieję otrzymać nagrodę Nobla. Doktor Feinlein, do którego Lemmy zmierzał, był znany z niekonwencjonalnych metod leczenia. Co prawda skończyło się to dla niego utratą prawa do wykonywania zawodu, ale wędrowiec nie miał wyboru.

Lemmy starał się nie zwracać uwagi na wytrącające go z równowagi przebitki z obcych warstw rzeczywistości, takich jak drzewo z ciała starca z rękoma u podstawy pnia i głową wysuwającą się z dziupli, by pożreć wiewiórkę. Albo martwych ludzi zawieszonych na sznurze przeciągniętym przez ich głowy, wciąganych do budynku z dziurą przypominającą ucho igielne, jakby byli praniem w nowojorskim zaułku.

W końcu pomiędzy drzew wyłonił się zarys posępnej willi. Lemmy wyciągnął z kieszeni na piersi zegarek na łańcuszku i spojrział na godzinę. Druga nad ranem.

A jeśli lekarz mu odmówi i nie zechce nawet przemocować? *Mógłbym dostać ataku i wyziębic się na śmierć w deszczu* – martwił się Lemmy. Męczyzna z ciężkim

sercem dowlókl się do odosobnionego domostwa i zakołatał w drzwi. Minęła dłuższa chwila, nim rozległy się kroki.

– Niczego od pana nie kupię. Proszę odejść! – odezwał się nieprzyjemny, niecierpliwy głos po drugiej stronie.

– Nie jestem akwizytorem, panie doktorze. Potrzebuję pomocy!

– Nie przyjmuję już pacjentów. Przykro mi! – Jego ton złągodniał.

– Błagam, panie doktorze! Lada moment mogę mieć kolejny atak i zapadnę w śpiączkę. Nie przeżyję ani chwili przy tej pogodzie!

– O czym pan mówi? – warknął lekarz.

– Mam wizje obcego świata, z których nie mogę się wybudzić, mimo że zachowuję w nich pełną kontrolę. Wyłączają mnie na długie godziny.

– Nie posiadam leków, które mogłyby panu pomóc. Przeszedł pan taki kawał drogi na darmo – odparł lakonicznie beznamiętnym tonem, który dawał do zrozumienia, że rozmowa skończona.

Lemmy nie odpowiedział. Chwilę potem lekarz usłyszał pojedynczy huk o drzwi.

– Halo? Proszę pana? Jest pan tam?

Lemmy obudził się w obcym łóżku i gwałtownie poderwał z posłania. Ktoś zdjął z niego przemoczone ubrania. Podróżny dostrzegł, że z progu przyglądał mu się drobny, wiekowy, łysiejący mężczyzna z włosami jak puch pleśni na chlebie. Jego twarz znaczyły blizny, a lewa noga źle się zrosła, bo nie mógł na niej dobrze stać.

– Gdzie ja jestem? – zapytał niepewnie, jakby nie spodziewał się odpowiedzi.

– Stracił pan przytomność przed moimi drzwiami. Czyżby to był atak, o którym pan mówił?

– Chyba tak. Nie wiem. Nie pamiętam naszej rozmowy.

– Mówił pan o wizjach obcych światów. Może je pan opisać? – Doktor podszedł i usiadł na krześle obok łoża.

– A więc tak...

I Lemmy opowiedział o wszystkim, co widział. O ile dawał sobie radę z tym, co dostrzegał w pewnej odległości i z czym nie musiał wchodzić w interakcje, o tyle wizje we własnej sypialni doprowadzały go do szaleństwa. Śmiertelnie przerażała go przezroczysta ośmiornica na owadzich odnóżach z organami w mackach, która przyssywała się do jego ust, by jeść, wywołując tym bezdech senny. Albo upiorny ukwiał na suficie z okrągłą paszczą naszpikowaną kolczastymi zębami, który porywał muchy, karaluchy, szczury i wypluwał je zdeformowane, wynaturzone, ze zbędnymi częściami ciała w nieodpowiednich miejscach.

Te wizje sprawiały, że Lemmy w przewrotny sposób cieszył się ze swych koszmarów.

– Myślę, że moglibyśmy spróbować lobotomii. Jeśli te majaki pochodzą z części mózgu odpowiadającej za kreatywność, można zablokować im dostęp do świadomości. Wystarczyłoby też zasłonić oko, którym zawiaduje owa część mózgu, by zupełnie przestać tych wizji doświadczać.

– Zdaję się na pana, doktorze.

– Ostrzegam jednak, że procedura jest nieodwracalna i może mieć nieprzewidziane skutki uboczne. Czy na pewno chce się pan jej poddać?

– Tak! Byle tylko te bezbożne kreatury sobie poszły!

Lekarz przytaknął w zadumie.

Lemmy leżał na kozetce z obandażowanym czubkiem głowy.

– Jak się pan czuje? – zapytał go doktor, gdy ten budził się z narkozy.

– Jakby mi ktoś przejechał pługiem przez łeb.

– To normalne, a co z pana wizjami?

– Nie przypominam sobie, bym je ostatnio miał. Wydaje się, że zniknęły!

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Wyznaczę panu termin wizyty kontrolnej. Proszę się ze mną skontaktować, gdyby objawy powróciły.

– Dziękuję, doktorze! Nie wiem, jak panu dziękować!

– Może pan zacząć od wypuszczenia mojej ręki. – Próbował ją odsunąć.

– Och, przepraszam. Nawet nie wiedziałem, że moja dłoń to robi. Dziwne.

Lemmy obudził się zlany potem. Jego serce goniło jak kot domowy, który wyspał się o trzeciej rano i teraz chce jeść, a tak w ogóle to mu się nudzi i pobawiłby się z właścicielem. Ostre i szybkie oddechy dźgały pierś mężczyzny na wzór sztyletów.

Lemmy wpatrywał się w kąt pokoju. Widział, że tam nic nie ma, ale wiedział, że to nieprawda. To było znacznie gorsze. Gdy dostrzegał te wynaturzone bestie, miał przynajmniej pewność, że na niego nie patrzą lub zdoła je ominąć, przemieszczając się po lokum. Teraz równie dobrze mogłyby mu siedzieć na twarzy.

Będzie musiał koniecznie porozmawiać z doktorem.

Feinleina zbudziło dobijanie się do drzwi o drugiej nad ranem. Łomot był tak gwałtowny, jakby sam Marcin Luter przybijał swoje tezy na jego drzwiach.

Doktor naciągnął mocniej szlafrok i z lampą naftową podszedł do drzwi.

– Kto tam? – ziewnął.

Nie doczekał się odpowiedzi. Już miał odejść, gdy pukanie rozległo się ponownie. Był zbyt zmęczony, by bawić się w tajemnice. Otworzył drzwi i do środka wpadł cień. Błyskawicznie przygwoździł go do ściany.

– Doktorze, ja ich nie widzę! – wypalił Lemmy z przeżeniem graniczącym z obłędem w oczach, które śledziły źrenice doktora niezależnie od siebie.

– Lemmy, uspokój się! – Gdzieś w głowie doktora kołatała się myśl, że nie powinien się spoufalać z pacjentami, ale było zbyt późno, by się tym przejmować. – Przecież o to chodziło, byś ich nie widział! – Podjął próbę wyzwolenia się z chwytu, lecz pacjent nie zdawał sobie nawet sprawy z siły uścisku.

– Doktor nie rozumie! Nie widzę ich, ale wiem, że tam są! Skoro straciłem je z oczu, mogą być wszędzie! Już wolę, żeby było jak dawniej!

– Lemmy, ostrzegłem cię, że lobotomia jest nieodwracalna. – Potrząsnął z politowaniem głową.

– To może ma doktor jakieś środki na uspokojenie? Błagam, dłużej nie wytrzymam! – Szarpnął nim.

Przez chwilę lekarz myślał, że będzie zmuszony mu odmówić, ale wpadł na pomysł.

– Lemmy, być może jest sposób. Ostrzegam jednak, że nie spodoba ci się.

– Zrobię wszystko!

– Wszystko? – zapytał zaskoczony.

– Byle tylko te bestie zniknęły z mojej świadomości. Co mam zrobić? – W oczach Lemmy'ego szklily się łzy rozpaczy.

– Dowiesz się w swoim czasie. Na razie idź się połóż w pokoju gościnnym, na pewno jesteś zmęczony po tak długiej drodze.

Lemmy poderwał się z łóżka w środku nocy. Nasłuchiwał zaniepokojony. Wydawało mu się, że słyszał głos. Gdy przez dłuższą chwilę jego właściciel nie odezwał się ponownie, pacjent opadł na posłanie.

– Lemmy! – wołał nieznajomy.

Mężczyzna ustalił, że słowa dochodziły zza drzwi. Wstał i po cichu wyszedł na korytarz. Podłoga cicho skrzypiała pod jego stopami. Stara boazeria miała osobliwy cierpki zapach desek stodoły płowiejących na deszczu i słońcu oraz kurzu wylażącego ze szczelin niby karaluchy, nie dającego się wywabić, ile by drewna nie myć. Widmowy przewodnik poprowadził mężczyznę w głąb przejścia, aż ten w końcu dotarł do prostych drzwi. Pociągnął za klamkę. Pomieszczenie okazało się otwarte, więc przestąpił próg.

Lemmy znalazł się w pokoju o ścianach podzielonych na kwadraty. Na każdym z nich widniała część ciała należąca do najrozmaitszych zwierząt i ludzi przeróżnego wieku, ras, płci. Wydawały się żywe, mimo iż oddzielono je od reszty członków.

Mężczyzna odniósł wrażenie, że trafił na coś, czego odkrycie powinien przed doktorem ukrywać, by wyjść z przybytku cało. Zanim się spostrzegł, zagrzemiał głos:

– Witaj, Lemmy.

Pacjent odwrócił się z prędkością okiennicy szarpniętej porywem wiatru i sięgnął po klamkę drzwi wyjściowych, gdy z podłogi wyrosła macka i złapała go za przegub dłoni.

– Nie lękaj się! – Głos próbował brzmieć łagodnie i uspokajająco, ale sprawiał wrażenie sadysty przed rozkrojeniem swojego pierwszego człowieka.

Lemmy wrzasnął z przerażenia, ale kolejne ośliźłe odnóże zatkało mu usta.

– Wysłuchaj mnie! – Po uprzedniej łagodności nie pozostało ani śladu.

Lemmy’emu nawet się nie śniło tego robić. Trząśł się i w panice próbował się wyzwolić wolną ręką. W odpowiedzi jego członki spętały następne macki.

– Zachowaj spokój, Lemmy. Chcę tylko, żebyś mnie posłuchał. Potem cię uwolnię. Drzwi są otwarte. Będziesz mógł wyjść w każdej chwili. Czy zgadzasz się na moje warunki?

Mężczyzna przytaknął.

– Znakomicie. Zgodnie z obietnicą, wyzwalam cię.

Odnóża wycofały się i zniknęły w podłożu. Ledwie jednak nieznajomy to zrobił, Lemmy sięgnął za siebie, szarpnął klamkę i wystrzelił z drzwi, jakby ktoś przyłożył mu płonącą żagiew do zadka.

Nieznajomy ni to westchnął, ni warknął z frustracji.

Lemmy pędził w dół korytarza, nie bacząc, że może zbudzić doktora. Prędko jednak zatrzymał się, kiedy zobaczył na swej drodze sylwetkę zataczającej się kobiety. Obejrzał się za siebie, rozważając ucieczkę w drugą stronę, ale doszedł do wniosku, że nie chce ryzykować wciągnięcia do pokoju przez macki. Wziął głęboki oddech. To była tylko jedna kobieta, w dodatku w stanie wskazującym na odurzenie lub słabą kondycję. Pomyślał, że bez trudu przepchnie się obok niej. Lemmy ruszył w jej kierunku. Choć nie widział jej dobrze z odległości, która ich dzieliła, spostrzegł coś niepokojąco nienaturalnego w tym, jak jej głowa osadzona była na karku. Wyglądała też na potwornie wychudzoną i bladą, nie

mrużała oczyma. Jednak Lemmy nie zamierzał się nad tym zastanawiać. Przebiegł obok niej, lecz nagle poczuł na sobie zimny, żelazny ucisk, do którego kobiecina nawet nie powinna być zdolna. Cuchnęło od niej świeżo rozkopaną, wilgotną ziemią. Mężczyzna czuł, że się dusi w jej objęciach. Usiłował się wyrwać napastniczce, lecz tracił siły. W końcu w przypływie desperacji spiął się jak do skoku i popchnął kobietę na ścianę. Gruchnęły kości i oboje upadli na podłogę. Coś huknęło i potoczyło się po deskach. Lemmy zauważył, że ucisk zelżał. Podniósł się i ruszył dalej. Nie uszedł daleko, nim ponownie upadł. W pierwszej chwili pomyślał, że kobieta chwyciła go za nogi, lecz prawda okazała się o wiele gorsza: Lemmy skrzyżował wzrok z oskarżycielskim spojrzeniem kobiety, której głowa spoczywała w zupełnie innym miejscu niż reszta ciała.

– Mój Boże...! – Lemmy poczuł, że treść żołądka podchodzi mu do gardła. Czuł się cholernie winny. Nie zamierzał nikogo zabijać, chciał tylko się stąd wydostać.

Z myśli wyrwał go odgłos kroków za załomem korytarza. Nikt nie powinien go zobaczyć z nieboszczką, pomyślał i zawrócił. Po drodze skręcił w odnogę korytarza wiodącą z dala od tych, które były mu znane, aby nie musieć mijać pomieszczenia z mackami. Dotarł do schodów, gdy posłyszał dobiegające z ciemności w dole ciężkie i niezborne kroki. Dysząc ciężko, obejrzał się za siebie z wytrzeszczonymi z przerażenia oczyma. Prześladowcy deptali mu po piętach. Lemmy oceniał swoje szanse. W końcu zbiegł na półpiętro, pospiesznie otworzył okno i wyrztał na zewnątrz. Postaci wydające z siebie ponure, gardłowe i nienaturalne pomruki znalazły się na tyle blisko, by mógł na nie splunąć. Lemmy wziął głęboki oddech i wdrapał się na parapet. Z niego zsunął się na wąski gzyms okalający budynek. O ile pamiętał, występ

prowadził do balkonu, a z jego boku tkwiła krata napnająca, po której mógł zejść na parter.

Z plecami przyciśniętymi do ściany stawiał ostrożne kroki po występie. Gzyms był mokry od deszczu. Niedługo potem Lemmy znalazł się przy balkonie. Już miał chwycić kratownicy, gdy nagle stracił grunt pod nogami i tylko refleks uchronił go przed upadkiem na znajdujące się poniżej szpikulce żeliwnego ogrodzenia. Lemmy drapał czubkami butów o boazerię budynku, próbując utrzymać palce na wyslizgującym mu się z dłoni występie. Przez chwilę wydawało mu się, że słyszy szcęk otwieranej okiennicy, lecz nie miał czasu się nad tym zastanawiać. W końcu ostatnie palce straciły kontakt z drewnem. Ledwo pacjent zdążył pożegnać się z życiem, gdy niespodziewanie zawisnął w powietrzu, przytrzymywany za nogi przez ramiona, które wystrzełyły z okien. Nie zdołał jednak zapamiętać wiele z tego, co zaszło, bo z impetem wyrzniętą głową o ścianę. Ostatnie, co poczuł, to to, że jest wciągany do okna.

Lemmy z miejsca oprzytomniał, gdy uświadomił sobie, gdzie został zaprowadzony: do pokoju z mackami. Rzucił się do drzwi, lecz gdy spróbował je otworzyć, przekonał się, że jedna z postaci blokuje je swoim ciałem.

– Witaj ponownie, Lemmy. Rozważyłeś moją prośbę?

– K-kim jesteś? – zapytał, omiatając wzrokiem pomieszczenie w poszukiwaniu źródła głosu.

– A na co wyglądam?

Pacjent zawahał się.

– Śmiało.

Elementy ścian przemieściły się i złożyły na ścianie naprzeciwko drzwi w postać.

– Starcem z ciałem psa i głową małej dziewczynki – powiedział z wyrazem odrazy i konsternacji na twarzy.

– A teraz?

Osie przemieszczały się w pionie i poziomie, aż odpowiednio pola spotkały się na środku. Postać wyglądała jak albinos z ciałem bliźniąt syjamskich i szczypcami skorpiona.

– Czego chcesz? – Lemmy przełknął ślinę. Czuł, że serce podchodzi mu do gardła. Jego oddech wydobywał się z krtani i zaraz opadał jak tonący usiłujący uchwycić się śliskiego brzegu.

– A czego może chcieć bóg od zwykłego człowieka?

– Nie wiem, wydostać się z tej ściany? – zapytał niepewnie.

– Jestem wszędzie. Nie muszę donikąd iść.

Ściany kostki przemieściły się ponownie. Przemówił do niego kulturysta z krągłym ciałem kobiety i głową kota.

– To czego chcesz? Wybacz, nie myślę jak bóg. – Lemmy poczuł, że czoło zrasza mu pot. Miał złe przeżycia. Czytał dostatecznie dużo mitów greckich, by wiedzieć, że prośby bogów do ludzi kończą się zwykle jedną rzeczą, której istoty boskie nie potrafiły: skonaniem.

– A chciałbyś? – zapytała istota z ledwo wyczuwalnym rozbawieniem w głosie.

– Wybacz, ale to wygląda na masę roboty. Chciałbym sobie móc odpocząć po całym życiu bycia przez nich gnębiony. Nie przez ciebie, oczywiście, o Wielki. Jak to bogowie, nie podpisujecie swych dzieł.

– Nie ma potrzeby dla takiego oficjalnego tonu. Przychodzę do ciebie po prośbie, we wspólnej sprawie.

– Prośby od bogów brzmią jak opcje, które można zignorować, co kończy się piorunem z nieba. Lepiej od razu przejdźmy do gróźb.

Pomieszczenie ponownie się przekonfigurowało. Odarty do szkieletu i organów byk z płetwami rekina i dwoma głowami legendarnego ettina kontynuował:

– Człowiek całkiem do rzeczy. Nabieram przekonania, że dobrze wybrałem.

– Słucham. – Mężczyzna zacisnął pięści. To nie wróżyło dobrze, jeśli bóg zwlekał z przejściem do sedna.

– Podejrzewam, że niewiele obchodzi cię wszechświat...

– Nie mój ogródek.

– ...i świat...

Lemmy potrząsnął głową.

– ...ale może przejmuję cię TWÓJ świat.

– Co to ma znaczyć? – Lemmy wytrzeszczył oczy, jakby odkrył, że bóg wcale nie pudłuje strzałami, by go nastraszyć, tylko próbuje trafić w coś mu bliskiego, co znajduje się poza zasięgiem jego wzroku.

Bóg przepoczwarzył się w kangura na nogach noworodka i z twarzą Mongołki.

– Dowiesz się wystarczająco wcześnie.

– Dobrze, założmy, że rozważę propozycję. Czego by ona ode mnie wymagała? – Lemmy zamknął oczy i potarł czoło.

– W centrum twego skupiska gwiazd jest czarna dziura, wynaturzony twór, paszcza w materiale, z którego utkana jest wasza rzeczywistość. Otwórz ów pożera słońca, planety, całe układy solarne. Istota w jego wnętrzu chce pochłonąć również Ziemię.

– A ja mam pójść z łopatą i ten dół jej zakopać, tak? – Mężczyzna próbował ukryć poczucie przytłoczenia tak ambitnym zadaniem zbolalym uśmiechem.

– Nie, głupcze. Masz zakopać ją, ale portalem, który przeniesie materię z innej części kosmosu. Ze Słońca. Przejście pozwoli jednocześnie wydostać się mojemu statkowi. Jego pole magnetyczne przyciągnęło materiał, który złożył się na waszą gwiazdę.

– To brzmi jak zadanie dla bogów, ale zakładam, że już to wiesz – odparł zrezygowany.

– Potrzebne jest do tego ciało, a moje próby w tej dziedzinie są dosyć...

– Nieudolne?

Bóg przedzierzgnął się w naszpikowany zębami, okrągły otwór gębowy robala z odnóżami insekta i twarzą ośmioletniego chłopca.

– Osobliwe. Powinienem poprosić doktora, by sprawdził, czy potrafiłbyś przeżyć, gdyby pozszywał cię w jeden z tych tworów.

– Wybacz, już nic nie mówię. Proszę nie raż mnie piorunem!

– Jeśli jeszcze raz zasugerujesz, że rzucam w ludzi piorunami, porażę cię gromem!

Bóg powiedział to tak poważnym tonem, że Lemmy przełknął ślinę.

– Większość ludzi ma sprawne ciało. Dlaczego nie poprosisz ich?

Pokój kolejny raz się przeistoczył. Wynaturzony płód z muskularnymi rękoma kobiety, odnóżami kraba i głową muchołówki odrzekł:

– Albowiem potrzebna jest jeszcze niezłomna wola, pełna świadomość i zgoda na przejście procesu.

– Pojmuję. To ja może pójdę sobie to wszystko przemyśleć, dobrze?

Drzwi się za mężczyzną otworzyły.

– Będę wyczekiwał twego rychłego powrotu, Lemmy – rzekła istota, która na odchodne zmieniała się w paszczę węża z głową słońca i kończynami ludzi z egipskich hieroglifów.

Pacjent ledwo powstrzymał się przed pomyśleniem: „to sobie poczekasz” i zamiast tego odparł w myślach: „tak jak ja czekam na koniec świata”. Było to bowiem stwierdzenie jednocześnie prawdziwe i nieprawdziwe. Prawdziwe dla jego depresji wywołanej niecodzienną przypadłością. Nieprawdziwe dla jego woli przetrwania, którą podtrzymały córka i żona, albowiem kochał je nad życie.

Ledwie tylko Lemmy opuścił komnatę boga, wślizgnął się do niej doktor Feinlein.

– On ucieknie, Panie... Pani.

– Wiem – rzekła karlica z mackami ośmiornicy i ciałem macicy rekina, gdzie rekinim zwyczajem płody rekiniątek walczyły na śmierć i życie.

– Nie żebym kwestionował twój geniusz, ale czy to nie na przekór temu, co chcesz osiągnąć?

– Zdąży w samą porę, by ujrzeć, jak jego świat się wali, ale nie na tyle, by nie próbować go podeprzeć.

– Z całym szacunkiem, ale nigdy się na to nie zgodzi – odparł z nabożnym lękiem doktor.

– Powiedz mu, że i tak będzie chciał popełnić samobójstwo. A skoro jest naznaczony przez bogów do tej misji, istnieje szansa, że odrodzi się tam, gdzie pokazują wizje i spotka swoje koszmary twarzą w twarz.

– A jeśli będzie próbował przeczekać problem, licząc na poprawę?

– Wróci.

– Skąd ta pewność?

– Dwunastogodzinna wizja. Tyle trzeba było, by go tu przywieść.

– Minuta dłużej i może go ona zabić.

Kolejna zmiana. Tym razem w smoka o wielu hydrzych głowach krokodyli i ciele ślimaka.

– Poczyń przygotowania. Być może zmyli to mojego brata i pomyśli on, że skoro odszedł obecny kandydat, ukrywaliśmy właściwego, by wprowadzić go w ostatniej chwili. Miejmy nadzieję, że tym razem Moloch nie zniweczy naszych planów.

– Tak jest – spojrzał na tułów ślimaka – Panio.

– Rozczuła mnie to, że szanujesz tożsamość, która trwa ledwie chwilę.

– Jako lekarz napatrzyłem się na wiele niegodziwości.

Wielu odmówiono nawet tego.

– Przykro mi z powodu twojego... dziecka.

– Oboje wiemy, że to nieprawda. Obchodzi cię tylko wydostanie się z tego wszechświata, który uważasz za prymitywny ponad wszelkie twoje wyobrażenia. Tak prostacki, że nie posiada nawet kruszca potrzebnego twemu statkowi jako paliwo na drogę powrotną.

Bóg zamilkł na moment. Doktor poczuł, że wstrzymuje oddech, a jego mięśnie tężeją. Odnosił wrażenie, że popełnił nietakt i teraz w głowie Pana ważą się jego losy.

– Chcesz, bym zesłał zagładę na tych, którzy cię okaleczyli i odebrali ci dziecię?

– Nie! Adrian nigdy by tego nie chciał... Nie byłoby poparcia dla takich czynów ze strony Adriana.

– A z twojej? Tłum skandował, że twe dziecię jest abominacją w oczach Boga. Ci ludzie połamali cię, przemocą próbowali wymusić, byś im je wydał. Musiałeś skłamać, że odebrało sobie życie, nie mogąc się pogodzić z tym, co mu uczyniłeś i urwałeś wszelki kontakt, aby ich do dziecka nie doprowadzić.

Feinlein westchnął i skierował się ku wyjściu.

– Ono żyje. Mieszka w leśnym ostępie i jest szczęśliwe z kobietą, która widzi dodatkowy organ za nie bardziej seksualny niż brodawka lub przebarwienie na skórze. Chowają trójkę przygarniętych malców, dwie dziewczynki i chłopca. Z młodzieńczej nienawiści, że uczyniłeś Adriana odmieńcem, nie pozostało nic poza wdzięcznością, szacunkiem i nieutuloną tęsknotą.

Doktor nie miał powodu, by wierzyć bogu ani sposobu, by sprawdzić jego słowa. Mimo to uśmiechnął się boleśnie ze łzami szczęścia w oczach. Pożegnał się i wyszedł.

Gdy tylko Lemmy dotarł do przydzielonego pokoju, wymknął się przez okno. Nie mógł uwierzyć, że przyszło mu to tak łatwo. Nikt nie próbował go zatrzymać.

Jeszcze tej samej nocy wrócił do domu. Położył się obok żony i córki, która lubiła sypiać obok nich. Były odwrócone do niego plecami. Nachylił się, by delikatnie ucałować je w czoło na dobranoc.

I wtedy stało się najgorsze. Mężczyzna spostrzegł, że dziewczyny śpią z otwartymi oczyma. W pierwszej chwili pomyślał, że są martwe, jednak prawda okazała się znacznie gorsza: cierpiały na te same wizje, co on. Patrzyły na świat nieobecny wzrokiem z bezgranicznym przerażeniem wypisanym na twarzach.

Ostatnio Lemmy sporo przebywał poza domem i nie miał pojęcia, na którym etapie już były. Wizje mogły być ledwie kilkugodzinne, ale też mogły płynnie przechodzić z jednej dwunastogodzinnej sesji w drugą i mężczyzna miał wątpliwości, czy kiedykolwiek się obudzą.

Lemmy uznał, że czas to skończyć. On to on, wytrzyma. Ale na cierpienie najbliższych nie mógł patrzeć. Ubrał się i wyruszył z powrotem ku siedzibie doktora Feinleina.

Lemmy zajrzał nieśmiało przez próg do pracowni lekarza.

– Panie doktorze?

– A więc wróciłeś – ni to stwierdził, ni zapytał Feinlein.

– Przykro mi z powodu tej kobiety... – zagaił przygnębiony.

– Jakiej kobiety? – zapytał medyk tonem, który sugerował, że wcale nie chciał znać odpowiedzi.

– Tej, którą niechcący zabiłem, próbując uciec. – Każde słowo przychodziło mu z trudem. Odnosił wrażenie, że jeszcze nie odkryli zwłok i tylko wkopuje się tym wyznaniem.

– Ach, o nią ci chodzi. Nie przejmuj się. – Wzruszył ramionami.

– Jak mam się nie przejmować?! Straciła przeze mnie głowę!

– Tak, widzę, że to jest pewna niedogodność – odpowiedział beznamiętnie.

– Niedogodność? Ona nie żyje! – Lemmy rozłożył ręce w geście nawoływania do opamiętania.

– A czymże jest śmierć, jak nie chorobą, której jeszcze nie nauczyliśmy się wyleczyć? – zapytał retorycznie. – Niezupełnie w każdym razie.

– Nie rozumiem. O czym pan mówi, doktorze?

– A jak tam twoje wizje? – zapytał lekarz, zmieniając temat. Nie podniósł przy tym wzroku znad przeglądanych notatek.

– Mniejsza o mnie! Moją rodzinę spotkało to samo! Moja jedyna szansa na to, by ją ocalić, to zniszczyć źródło koszmarów.

– Przeczytaj to i podpisz. – Wręczył Lemmy'emu kartkę.

– Co to? – Spojrzał na doktora spod zmarszczonych brwi.

– Oświadczenie, że jesteś świadom wszystkich zagrożeń, konsekwencji i zgadzasz się na wszystkie warunki związane z procedurą.

– Czy... czy to będzie bolało? – zapytał, jakby wcale nie chciał znaleźć odpowiedzi.

– Jak diabli i to przez całą wieczność.

– Dlaczego mi to doktor mówi? Chcecie mnie zniechęcić?

– Proces wymaga, by uczestnik w pełni świadomie zgodził się na udział w tym przedsięwzięciu. Inaczej jego wola będzie walczyć z portalem i uczyni go bardzo niestabilnym. To, co przez niego przejdzie, może trafić na Ziemię.

Lemmy wzdrygnął się na myśl o gigantycznym grubasie na Ziemi i tym, jak pożera jego najbliższych.

Próbował czytać, ale przeciąg niemal wyrwał mu kontrakt z ręki.

– Czy te okna muszą być otwarte? Strasznie tu wieje.

– Widzisz, że przechodzą przez nie kable podłączone do aparatury.

– Chyba ciągnie na burzę... – mruknął, przyglądając się kipieli czarnych chmur.

– Na to liczę. Potrzebujemy więcej energii, niż jesteśmy w stanie wygenerować. Stworzę przepięcie, by złowić błyskawicę na maszt za oknem.

– Kiedy zaczynamy?

– Jak najszybciej się da. Moloch zwiedziało się o naszych zamiarach wobec niego i lada dzień może cię uwięzić w zapętlonej wizji, z której nie wyjdiesz. Muszę tylko znaleźć kartkę z zapisanymi ustawieniami anteny, którą skieruję na czarną dziurę. Całe miesiące nad tym siedziałem... A, jest!

Feinlein odrzucił pozostałe kartki i podszedł do aparatury, lecz po drodze potknął się o kable. Kartka wyfrunęła z ręki i odleciała, zabrana przez wiatr.

– O, nie! Łap ją, Lemmy! Szybko! – wrzasnął rozpaczliwie.

Lemmy porzucił niepodpisane oświadczenie woli i rzucił się do okna, lecz na próżno. Arkusz zawirował i osiadł na ożebrowaniu u szczytu wysokiej wieży. Wiatr to przyciskał papier do metalu, to popuszczał, co groziło, że kartka odpadnie i zniknie na zawsze.

– Nie możemy tych danych stracić! Bez nich ani rusz! – panikował Feinlein.

– Pójdę po nią! – Lemmy ruszył do schodów.

– Pospiesz się, zaraz ją zwieje! – Doktor złapał się za głowę.

Pacjent dotarł do stóp masztu. Widział, jak mocno się chwieje na silnym wietrze. Przełknął ślinę i postawił stopę na poprzeczce.

I wtedy, jak na złość, zaczęło padać.

Teraz Lemmy musiał zdążyć na górę, zanim tusz rozmoknie. Marne to pocieszenie, że mokra kartka lepiej przywrze do ożebrowania. Wystarczy, że doktor nie odczyta jednej cyfry i cały plan weźmie w łeb.

Lemmy cedził oddechy przez zaciśnięte zęby. Wspiął się coraz wyżej, starając się nie patrzeć w dół. Wilgotny metal wymykał mu się z rąk, a kolana drżały z emocji.

Ostatnie kilka poziomów. Na tej wysokości wieża odchyłała się prawie na metr. Mężczyzna miał zawroty głowy, ciągle wydawało mu się, że puszcza podpory wieży i spadnie razem z nią.

Już prawie, już był na górze.

A wtedy zagrzmiało.

– O nie... – jęknął Lemmy i przyspieszył wspinaczkę, nie dbając już o bezpieczeństwo.

Chwycił papier.

Huknął grom i posypały się iskry. Lemmy spadł bez ruchu na podwórko.

– Wszystko stracone! – załamał się Feinlein i podbiegł do Lemmy'ego. Szybko stwierdził, że mężczyzna przepadł niczym datek na kościół prowadzony przez spasio-nego proboszcza.

– A może i nie...

Doktor rozwarł dłoń Lemmy'ego. W środku była zmięta kartka.

Feinlein długo zbierał się przed drzwiami komnaty Pana, by wejść i przekazać mu złe wieści, choć był pewien, że

bóg już wie, jak również o tym, że to on doprowadził do utraty zapisków, a z nim Lemmy'ego. Podejrzał, że za karę Pan wcieli go do ściany ciał.

Miał jednak świadomość, że odwleknięcie konfrontacji nie pomoże. Zaciśnął pięści, wziął głęboki oddech i na trzęsących się nogach przestąpił próg.

Hybryda twarzy człowieka i głowy muchy z łapami niedźwiedzia i ciałem pingwina patrzyła na Feinleina wyczekująco.

– Panie, straszne wieści! Zawiodłem sromotnie! Człowiek, z którym zawarty został pakt, nie żyje! Ale odzyskał notatki z ustawieniami anteny.

– Moloch musi podsłuchiwać nasze rozmowy. To nie przypadek, że kandydat skonał strącony gromem!

– Czy... czy mogę podpisać się na kontrakcie w imieniu Lemmy'ego?

– To musi być podpis złożony jego ręką.

Feinlein zamilkł.

– Nie, nie tak. Jego głowa musi powodować piórem.

Feinlein zmartwił się.

– Myślisz o czymś.

– Nie, ja... to szaleństwo! To się nie może udać!

– Czujność Molocha jest uśpiona. Nie sądzi, że pozyskamy ochotnika tak szybko.

– Tak jest, Pa...

Bóg przemienił się ponownie. Był teraz grzybem splitgill o dwudziestu trzech tysiącach „płci” z głową żmijowca i kończynami meduzy.

Lekarz machnął ręką sfrustrowany i wystrzelił z pokoju.

Bóg uśmiechnął się na sobie tylko znany sposób oceanicznego potwora z głębin.

Doktor Feinlein ściągnął do pracowni ciało pacjenta i położył je na stole obok aparatury. Przymocował pióro do jego dłoni i ustawił papier na pochyłej powierzchni. Następnie podpiął elektrody bezpośrednio do mózgu. Zakręcił korbą przenośnej prądnicy podłączonej do kabli w głowie i ręka Lemmy'ego poruszyła się, zjeżdżając z papieru, co pozostawiło ukośną linię. Feinlein przestawił kontrakt i dłoń, by kolejny przypływ energii przesunął ją tak, by pióro w dłoni utworzyło „x”.

Zakręcił korbą.

Ledwie rysik dokończył sygnaturę, rozgorzała się straszliwa burza. Doktor wiedział, że drugiej szansy nie będzie. Wyrwał elektrody z generatora, nie bawiąc się w uciążliwe usuwanie ich z mózgu, podniósł zwłoki i pospiesznie przeniósł do metalicznego kręgu. Gdy to zrobił, pociągnął za wajchę maszyny i wywołał przeciążenie. Chwycił za końcówki elektrod z zamiarem wpięcia ich do maszyny.

Nie zdążył. Próba natychmiast sprowadziła grom do pomieszczenia, który śmiertelnie poraził Feinleina.

Doktor wierzył, że przeciążenie zdąży sprowadzić naturalny grom i dokończy dzieła. Nie dokonałaby, ale Feinlein o tym nie wiedział. Ślepa wiara w sukces skłoniła Molocha do tego, by zlikwidować doktora, nim ten dokończy obsługiwać maszynę.

Nie zdołał jednak tego zrobić, nim Feinlein złapał za elektrody. Ciało posłużyło za przewodnik i energia popłynęła kablami utrzymanymi w miejscu przez gwałtowny skurcz mięśni. Bezpośrednie uderzenie pioruna dokonało to, czego nie mogło przeciążenie.

Zwieńczyło proces.

Ciałem Lemmy'ego wstrząsnęły konwulsje. Rozleciało się na wszystkie strony i zawisło w powietrzu, utrzymywane w miejscu przez wyładowania energii, tworząc

krąg o średnicy trzech metrów. Szczątki poczęły wirować w kierunku wskazówek zegara, w pierw wolno, potem szybciej, aż rozplynęły się niby mleko rozmieszane w kawie w bezkształtną masę, w której przebijały się części ciała w przypadkowych miejscach. Tam oko na brzuchu, tu stopa w pośladku i krocze na twarzy. Przestrzeń wewnątrz koła poczerniała, rozbłysła na niebiesko i przeistoczyła w portal wypełniony oślepiającym blaskiem i ogłuszającym hukiem rozgrzanej do piętnastu milionów kelwinów plazmy skondensowanej pod niewyobrażalnym ciśnieniem i potworną siłą grawitacji, ciągniętą przez nie w przeciwnych kierunkach.

Lemmy znalazł się w dziwnym miejscu. Widział gigantyczne słupy z szarych ciał. Niektóre wyglądały jak ludzkie, ale były i takie, które miały elementy zwierzęce. Były strasznie wysokie. Tonęły gdzieś w oddali. Lemmy widział też mosty ze zszytych ciał kołyszące się na wietrze.. Między nimi wielkie tłuste cielsko z twarzy. Do jego ust prowadziły mięsiste rurociagi. Podpięte były do gęb z wirującymi zębami. Ludzie jak w transie wchodzili kolejno do nich i zmieniali się w papkę przesyłaną grubemu cielsku.

Potem widok zaczął się oddalać. Mężczyzna zobaczył niemożliwą do ogarnięcia umysłem czarną dziurę, do której wpadały kolejne ziemopodobne planety. To niemożliwe! Myślał, że Ziemia była jedyna w swoim rodzaju.

Chwilę potem obudził się w obcym ciele. Reinkarnował. Wyglądał jak przezroczysta krzyżówka ryby i kałamarnicy o mackach wyłącznie z przodu. Wewnątrz niego pływał niejako humanoidalny płód. Jego stado przepływało przez otwory w cielsku wysokiej człekokształtnej

istoty pozbawionej wykształconych nóg, tylko przytwierdzonej cylindrem do dna zbiornika ginącego w przepastnej otchłani.

Nagle cieniem na akwenie położył się kolosalny statek. Wystrzeliły z niego macki robali o okrągłych otworach gębowych wyposażonych w szpony ustawione trójkątem w kotwice. Bezbłędnie wyławiały wszystko, co żyło i zabierały na statek. Prawdopodobnie z celem skarmienia tego grubemu bogowi.

Opasłe gargantuiczne monstrum, które składało się głównie ze zwałów tłuszczu, śmiesznie małych rączek i głowy należącej do trudnej określenia płci, w napięciu obserwowało niebo.

Na próżno. Portal otworzył się tuż w przetyku, zalewając gardziel olbrzymim strumieniem plazmy z jądra Słońca, wyrzucanej pod ogromnym ciśnieniem, której już nie stały na drodze zbite wyższe warstwy gwiazdy. Plazma miała formę, której ludzki umysł nie potrafił ogarnąć. Temperatura zrobiła z jonów i protonów „elektryczny gaz”, a ciśnienie i grawitacja zbiły metale do gęstości dwustu gram na centymetr sześcienny, upodabniając je do złota.

To, co wypłynęło z portalu, było, nie przymierzając, magmą ze światła.

Potok przebił się przez cielsko i leżącą pod nim planetę z siłą potężnego lasera. Bóstwo wierzało, wyło rozpaczliwie o pomoc, lecz sługi mogły tylko biegać w popłochu wokół cielska o kosmicznych proporcjach.

W końcu gigantyczna istota przestała się ruszać. Tylko plazma nie przestała płynąć.

Opróżnienie jądra Słońca z „plagmy” było już tylko kwestią tysięcy lat. Ale co to było dla niego, boga o wielu twarzach, Apopheliona.

Pocziwi głupcy Lemmy i Feinlein sprzedali przyszłość swej planety dla wizji. Molochowi nigdy nie udałoby się odciążyć dziury, bo masa, która miałaby odciążyć dziurę, trafiała do niej z powrotem. Nie zdołałby też wyjść poza horyzont wydarzeń, bo uziemiłoby go przyciąganie istniejące poza „bańką” normalnej fizyki, którą dla siebie stworzył wewnątrz czarnej dziury. Mógł tylko liczyć, że pożywienie samo wpadnie mu do gęby.

Była to sytuacja, w którą wpakowała go jego własna żarłoczność i z której Apophelion wybawił go niemal z litości.

Cała reszta wizji była jednak prawdziwa.

Co do dwóch naiwniaków pomagających Apophelionowi otworzyć portal, dopięli swego: ich krewni przeżyją te kilkadziesiąt lat wolnych od koszmarów. Okres, który był ledwie sakkadą w oczach boga.

Nawet miliardy lat nie robiły Apophelionowi różnicy, ale nie mógł czekać, aż za niemal cztery miliardy lat ludzkiej miary zderzą się galaktyki nazwane Andromedą i Drogą Mleczną i rozerwą Słońce z jego statkiem na strzępy. Musiał działać, póki ludzkość jeszcze istniała, bo to wcale nie było tak oczywiste. Mieli wybić się sami.

W okresie niewiele dłuższym od sakkady.

KRZYSZTOF MARCIŃSKI

CZEKAJĄC NA QEWICATZOATLA

Macletuma II krążył nerwowo po pałacowym ogrodzie. Był zły. Pomysł z dziedziczeniem imienia od początku wydał mu się chybiony. „II” w nazewnictwie władców oznacza zazwyczaj tego, który przyjdzie na gotowe po „I” i zaraz na pewno coś schrząni. W takiej to właśnie postawił się roli. Dumny następca słynnego przodka. Kontynuator wielkiego dzieła.

Piękne! Cudowne! Idylliczne!

Tyle że nieprawdziwe w całej rozciągłości.

Co mógł jeszcze zrobić? Stary Macletuma zdawał się przecież osiągnąć niemal wszystko. Dzięki wielkim podbojom i mądrym sojuszom zbudował Zetacom wspaniałe imperium. A on? Jemu pozostawało niczego nie zepsuć. Trafić na karty historii jako ten, który umacniał potęgę państwa i uśmierzał nieliczne bunty.

Tylko cóż to właściwie znaczy? – zapytają niegdyś potomni.

Ano siedział na tyłku i nic nie działał – odpowie z rubasznego rechetem historia.

Wziął głęboki wdech. Wzbierająca w nim złość niebezpiecznie zbliżała się do poziomu furii. Potrzebował sukcesów! Owszem, próbował dalszych podbojów, Xatlecę szturmował nawet trzykrotnie, ale za każdym razem musiał obejść się smakiem. Gdyby tamci byli tacy ulegli, już Stary Macletuma urządziłby ich jak trzeba.

Ze złości aż kopnął kamień.

Zapadła cisza. Później rozległ się wrzask. To stopa Macletumy wysłała mu sygnał, by następnym razem nieco rozważniej dobierał obiekt wyładowania frustracji.

– Toatlani! – Energiczny głos kapłana przerwał cichy monolog Macletumy. Monolog zbudowany wyłącznie ze słów powszechnie uważanych za nieurodziwe. – Toatlani! Niosę znakomite wieści!

– To później! – burknął ze złością wódz Zetaków. – Kto tu postawił ten kamień?!

– No, ja. Ale...

– Świetnie. Zanim zgłosisz się na ochotnika jako rytualna ofiara, odpowiesz mi jeszcze na jedno pytanie.

– Tak?

Kapłan nerwowo przełknął ślinę.

– W jakim celu, do wszystkich diabłów, położyłeś tu ten cholerny kamień?! – Wódz utkwiał wzrok w obolałym paluchu.

– Miał taki szlaczek... O tu, po lewej. – Kapłan nieśmiało wskazał dłonią falujące wgłębienie. – Myślałem, że to może jakiś symbol.

– No tak – sarknął Macletuma. – To wiele wyjaśnia.

– Ale toatlani! Niosę naprawdę wielkie wieści!

– Mów zatem. Byle szybko.

– Rozpoczął się rok Jednej Trzciny! Czy wiesz, co to dla nas oznacza? – Kapłan odzyskał rezon.

– Pewnie wielką suszę – westchnął wódz.

– Właśnie!... Zaraz... Dlaczego wielką suszę? – Twarz niskiego rozmówcy ułożyła się w obraz „Pięć oblicz zdumienia”.

– Skoro ma nam zostać tylko jedna trzcina – rozważał Macletuma.

– Toatlani! On powróci!

– Kto? – Wódz z trudem ukrył niepokój.

– On! Nasz potężny bóg! – Kapłan skierował wzrok ku niebu.

– Który? Z tego, co pamiętam, mamy ich ponad pięćdziesięciu. – Macletuma spojrział podejrzliwie na kamień. – A coś mi podpowiada, że niebawem dorobimy się następnego.

– Qeucatzoat! On powróci!

Kapłan instynktownie zawiesił głos. W pewnych okolicznościach należy postawić na zwiezłość przekazu. Zwłaszcza gdy legendy głoszą bezlitosny powrót bóstwa po władzę.

– Czy to aby pewne? – zapytał Macletuma.

– O, tak! – potwierdził kapłan. – Dostaliśmy znaki!

– Znaki?

– Wielka powódź, pożar w świątyni, uderzenie pioruna.

– Ostatnio bolała mnie stopa. – Wódz raz jeszcze spojrział na palucha. – Czy to również był znak?

– Naturalnie, toatlani. – Mikrus nie miał wątpliwości.

– I jak go rozumieć?

– W sensie dosłownym: uważaj, jak chodzisz!

– Wielka jest twa mądrość, kapłanie – oświadczył Macletuma tym parszywym tonem, który tańczył na granicy uznania i kpiny. – Obawiam się, że muszę odmówić naszym bogom złożenia cię w rytualnej ofierze. Jesteś nam tutaj potrzebny.

Kapłan dyskretnie odetchnął z ulgą. Nie to, żeby nie chciał się poświęcić – złożenie w ofierze oznaczało w końcu najwyższy zaszczyt. Chodziło raczej o to, że nie bardzo czuł się tego zaszczytu... godzien. Podobnie zresztą jak większość mieszkańców imperium. Specyfika wierzeń wykształciła w miejscowej ludności coś w rodzaju przesadnej pokory. Prawdziwy Zetak nigdy nie czuł się wart rytualnego ołtarza. Chętnie za to dostrzegał ową wartość u innych. Zwłaszcza u jeńców.

- Zatem w końcu powróci. – Macletuma się zadumał.
- Bez cienia wątpliwości. – Kapłan szybował na skrzydłach euforii.
- Musimy się przygotować.
- Wszystkiego dopilnuję, toatlani.
- No, ja myślę – burknął Macletuma, dając do zrozumienia, że sprawa rytualnego ołtarza nie została ostatecznie zamknięta. Później ruszył do pałacu.

Qeucatzoatl, puszysty gad o piórach kwezala, spoglądał leniwie na rozległe ziemie imperium. I on nie miał najlepszego dnia. Status zetackiego bóstwa nie gwarantował sielanki. Zwłaszcza takiego bóstwa, z takim ciałem. Co z tego, że groźnym. Co z tego, że efektownym. Niechby tylko zechciał podrapać się po głowie. Czymże miał to właściwie uczynić? Piórami?

Z ciemnoszarego nieba spływały potoki wody. Nic, tylko czekać grzmotów i błyskawic. Ile to już lat obserwował tę nację. Zmieniali się władcy, zmieniały granice, on zaś niezmiennie trwał na stanowisku, pilnując każdej zachodzącej w państwie przemiany. I choć czasem odczuwał znużenie, nigdy nie buntował się przeciw swemu losowi. Takie w końcu zadanie wyznaczała bogom religia.

Teraz jednak ktoś postanowił to zmienić. Jakiś niewydarzony kapłan bezczelnie ogłosił jego powrót. Ale nie o to Qeucatzoatl był zły. Także nie o to, że w całym imperium nikt nie potrafił wymówić poprawnie jego imienia. Chyba nawet nie o to, że czczono go wraz z pięćdziesięcioma innymi bóstwami. Był zły, bo nie mógł się podrapać po tej cholernej głowie!

– Ciapku!

Ciapek, najuczciwiej rzecz biorąc, był... rytualnym wybrykiem. Czy to Macletuma pokpił ceremoniał, czy sam Qeucatzoatl czegoś nie dopatrywał, dość, że pozbawiony serca jeniec w jednej chwili zjawił się obok boga. Takie wypadki się nie zdarzały. Ofiary miały charakter ściśle symboliczny. Chodziło wyłącznie o akt heroicznego poświęcenia, ponoszonego zresztą wbrew woli poświęcanego. Qeucatzoatl nigdy nie rozważał przyczyn tego incydentu. Lubił Ciapka. Trochę przez przypadek zyskał wiernego sługę, towarzysza rozmów oraz całkiem rozsądnego doradcę. A imię?

Cóż... Qeucatzoatl miał wiele talentów. Znał cały alfabet, liczył do dziesięciu, a w dobrej formie, po intensywnym treningu, potrafił nawet przeliterować swe imię. W tej sytuacji słaba kreatywność to w zasadzie żadna wada.

Poza tym Ciapek brzmiał sympatycznie!

– Wzywałeś mnie, panie? – Chuderlawy sługa skłonił się uniżenie.

– Oczywiście, że cię wzywałem! – warknął Puszysty Gad. – Słyszałeś zapowiedzi tego idioty?

– Mówisz o kapłanie?

– Jasne, że o kapłanie! O kim innym miałbym mówić?! – Twarz bóstwa poczerwieniała.

– Cóż... – Sługa zwiesił głowę.

– Co on sobie w ogóle wyobraża?!

– Powtarza tylko słowa legendy, panie.

– Legendy, tak? A kimże jest ta cała Legenda, żeby tak bezczelnie decydować o moich poczynaniach?! I dlaczego nie zapytała mnie o zdanie?!

– Legendy nie pytają – zmieszał się Ciapek. – One... są.

– Ja też jestem! – oświadczył Qeucatzoatl. – Tutaj! I ani myślę się stąd ruszać!

– Musisz rozważyć...

– Czyżbyś śmiał mi rozkazywać?!

– W żadnym razie! – Ciapek rozpaczliwie błędził w labiryncie myśli pana. – Mówię tylko, że legenda może próbować cię ostrzec.

– Ostrzec? – Puszysty Gad wzmógł czujność.

– A jeśli imperium zaatakują najeźdźcy? – spróbował sługa.

– To świetnie – ucieszył się Qeucatzoatl.

– Świetnie?! – Ciapek wytrzeszczył oczy.

– Zawsze to jakaś rozrywka.

– A gdyby ci najeźdźcy... podbili państwo Zetaków?

– Biorę w ciemno. Ten nudziarz Macletuma II dawno już mi się przejadł.

Sługa nie tracił nadziei. Proces lepienia wniosków w głowie Qeucatzoatla przypominał mozolne wysiadanie jaja. Z tym, że w przypadku Puszystego Gada nie zawsze na końcu wykluwało się pisklą.

– Panie... – wyjaśniał Ciapek. – Ci najeźdźcy... Oni... Przybędą ze swoimi bóstwami.

– I o to właśnie... Wróć! – Słaby promień rozsądku rozjaśnił świadomość Qeucatzoatla. – Co?!

– Najeźdźcy wybiją twoich wyznawców.

– Znaczą, chcą się mnie pozbyć?!

Sługa z niemym uśmiechem przyjął narodziny pisklęcia. Było co prawda nieco upośledzone, ale po Qeucatzoatlu nie należało oczekiwać zbyt wiele.

– Zgadza się, panie – potwierdził Ciapek.

– Niedoczekanie! – Potężny wrzask Puszystego Gada z impetem wmeldował się w ciszę.

– Słusznie. Trzeba im pokazać, kto tutaj rządzi.

– Właśnie!

– Wrócisz i zrobisz porządek! – odpowiedział sługa.

– Wróć? – zapytał bóg nie tak znów pewnym głosem.

– Pewnie. Niech znają potęgę zetackiego boga.

– Może wystarczy ostrzeżenie? Jakiś kataklizm?

– Żadnych półśrodków. Muszą wiedzieć, że z tobą nie ma żartów.

– W sumie to jeszcze nikt nas nie napadł – rozważał Puszysty Gad.

– To nic – uciął sługa. – Trzeba wysłać sygnał.

– Zatem wracam? – upewnił się bóg.

– Zdecydowanie – potwierdził Ciapek.

– Nieodwołalnie?

– Bez cienia wątpliwości.

– W najbliższej przyszłości?

– Niezwłocznie.

– Dobrze. Raduj się zatem, ludu Zetaków, i drzyj tajemniczy najeźdźco! Oto odziany w potęgę i chwałę, wielki Qeucatzatl wraca do domu! – Nieśmiały załęczek myśli przemknął przez głowę boga. – Tylko nie dzisiaj.

Imperium Zetaków słynie z głębokiej wiary. Poza tradycyjnym bogiem-stwórcą oraz pomniejszych bóstwami od wiatru, słońca i wojny, swoich patronów posiadały również: sól, kukurydza, płodność, ziemia, deszcz, drogi, księżyc, medycyna, agawa, klótnia, ogień, ofiary, wstyd, kalendarz, rozkosz czy pijaństwo. Należy przypuszczać, że gdyby tylko przyszło tej dzielnej nacji żyć w nieco innych czasach, z równie wielkim oddaniem czciliby prąd, gaz, miksery, zszywacze oraz worki jednorazowe wielokrotnego użytku.

U podstaw zetackiej wiary od zawsze leżała głęboka troska o bliźnich. Zwłaszcza bliźnich z sąsiednich plemion. Jeśli przyjąć, że tylko prawdziwe męki prowadzą do wiecznego zbawienia, państwo Zetaków było prawdopodobnie jedynym na świecie hurtowym dostawcą wniebowziętych.

Obecnie uwaga mieszkańców kierowała się w stronę jednego tylko boga. To właśnie jego wyglądał Macletuma, obserwując niebo ze szczytu piramidy. Czuł przy tym delikatne drżenie coraz słabiej bijącego serca. Wódz Zetaków złożył je na ołtarzu, wierząc, że kolejna ofiara przyniesie w końcu właściwy skutek. Jego poprzedni właściciel zdawał się nie zgłaszać większych pretensji. Być może dlatego, że zmarli zazwyczaj wyglądają na pogodzonych z losem.

Macletuma wracał do pałacu w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Jego moment chwały z całą pewnością był bliski. Puszysty Gad niebawem powróci.

I wtedy wszystko się zmieni.

Czuł, jak wyobraźnia powoli przejmuje kontrolę nad rozumem. Macletuma II sprowadza Qeucatzoatla do domu. Macletuma II otwiera złoty rozdział w historii imperium...

– Toatlani! – Zachwycony głos kapłana brutalnie wyrwał go z marzeń. W takim momencie!

Niech go wszyscy diabli!

– Czego chcesz?! – Wściekły krzyk Macletumy niósł się po całym imperium.

– Toatlani! On... On powrócił!

Z oddali wyłaniał się okręt. Wspierany lekkimi podmuchami wiatru, sunął majestatycznie w kierunku brzegu. Z początku mały i niewyraźny, po jakimś czasie ukazał pełnię swego ogromu, a gdy dobił do brzegu, tajemnicza, ubrana na czarno postać, niespiesznym krokiem ruszyła w kierunku lądu. Oto nadszedł ten dzień. Długo wyczekiwany przybysz w końcu postawił stopę na zetackiej ziemi.

Macletuma usiłował pozbierać myśli. Stara prawda uczy, by nigdy nie pchać się na szczyt entuzjazmu bez towarzysztwa zdrowego rozsądku. W przeciwnym razie zazwyczaj szybko wraca się do punktu wyjścia, w dodatku bogatszym o kilka moralnych siniaków.

Nastrój wodza Zetaków hamował obecnie na poziomie depresji.

– Rozważmy to wszystko na spokojnie – zaproponował Macletuma, nie spoglądając nawet w kierunku kapłana. – Nastaje rok Jednej Trzciny, tak?

Kapłan potwierdził kiwnięciem głowy.

– Liczne znaki na niebie zapowiadają powrót Qeucatzoatla?

– Zgadza się, toatlani.

– Puszysty Gad powraca, by zapoczątkować nową erę?

– Mniej więcej.

– Co zatem poszło nie tak? – zapytał wódz niepokojąco spokojnym tonem.

– Qeucatzoatl... – wydusił z siebie kapłan – okazał się spaniardzkim najeżdźcą, zaś wizję potężnego imperium zastąpiła realna groźba jego upadku.

– I nie mogłeś wysnuć tego wniosku, jeszcze zanim obsypałem Cétrosa darami? – Wzrok Macletumy nagle zapłonął.

– Cóż... – Wzrok łysawego mikrusa równie nagle przygasł.

– Albo chociaż zanim ukorzyłem się przed nim jako bogiem?

– Kto mógł wiedzieć...

– Tyle pracy. Tyle przygotowań – mamrotał wódz Zetaków.

– To zwykle nieporozumienie. – Kapłan improwizował rozpaczliwie.

– To nieporozumienie chce zagarnąć skarby Zetaków! – Pięść Macletumy zawisła w powietrzu, nie mogąc znaleźć celu wyładowania frustracji.

- Nic nam nie grozi, mój wodzu – przekonywał tamten. – On nas ocali.
- Kto? – Wódz Zetaków był pełen podejrzeń.
- Qeucatzoatl.
- Więc myślisz, że jednak powróci?
- Oczywiście, że powróci. Przecież wysłał nam znaki.

Płynące z nieba potoki wody czyściły Totenchitlán z krwi rytualnych ofiar. Potężna ulewa – niczym kolejny najeźdźca – szturmowała miasto, zmuszając Zetaków do taktycznego odwrotu. Qeucatzoatl skrzywił się, patrząc, jak miejscowa ludność, uciekając w popłochu, wymachuje białą flagą przed ulewnym deszczem. Można było pomyśleć, że jakiś wredny bóg od aury celowo robi jej na złość.

– I nie udało nam się pogoda – rzucił Puszysty Gad bez wyraźnego adresata.

– Eee, zwykła mżawka – odparł bez wiary Ciapek. Równie przekonująco brzmiał „potulny kociak” w odniesieniu do wściekłego jaguara.

– Żartujesz? Leje jak z cebra.

– To tylko deszcz, panie – przekonywał sługa.

– Zmokną mi pióra! – Qeucatzoatl aż się wzdrygnął na tę myśl.

– Potężny bóg Zetaków z pewnością nie złęknie się kapryśnej aury.

– Będę wyglądał jak ostatni kretyn!

– Zetakowie bardzo na ciebie liczą. Chcesz ich zawieść?

– Oczywiście, że nie. Powrócę niezwłocznie. – Puszysty Gad dostrzegł człowieka, który biegnąc na złamanie karku, wyłożył się twarzą w błoto. – Tylko nie dzisiaj.

Szansa na dobre pierwsze wrażenie pojawia się tylko raz – Rehnan Cétros pojmował to jak nikt inny. Dawno już odkrył, że w całej zabawie z prezentami – swoją drogą głupiej i niepotrzebnej – liczą się przede wszystkim rozmach i efektowność. Żadnych pamiątek, kwiatów czy bezwartościowych drobiazgów. Jak rozdawać – twierdził – to tylko z przytupem. Zbiorowy bilet do lepszego świata powalił Zetaków na kolana, a co hojniej obdarowani zdążyli nawet potracić głowy. To było to! Szumny, pompatyczny gest, który zostanie zapamiętany na długo.

Głównie jako masakra w Chuloli.

Największy problem głośnych prezentów polega jednak na potrzebie rewanżu. Nieważne jak by się człowiek starał i ile by nie tłumaczył, gospodarz koniecznie musi się odplacić. Zazwyczaj dokładnie tą samą monetą (być może z pewną domieszką miejscowej kultury). Zetakowie nie zamierzali robić w tej kwestii wyjątków. Była to w końcu sprawa honoru.

– ...i wtedy się na nich rzucimy. – Kobieta Wąż wprowadzał Macletumę w tajniki wielkiego planu.

Tak. Kobieta Wąż był mężczyzną.

I nie. Nie da się tego logicznie wytłumaczyć.

– Jesteś tego pewien? – dopytywał wódz Zetaków.

– Oczywiście, toatłani. Bez cienia wątpliwości. – Doradca wypiął się dumnie.

– Nie zamierzamy ich zabijać?

– W żadnym razie.

– Atakujemy, kopimy im tyłki i bierzemy w niewolę? – upewniał się Macletuma.

– Kopimy ostrożnie. Nie chcemy poświęcać naszym bogom wybrakowanych ciał – wyjaśnił Kobieta Wąż.

– Nie przeszkadza nam, że tamci mają broń palną?

– My mamy odwagę.

– No tak. To rozstrzyga sprawę.

– Bez obaw, toatlani. Spaniardzi nie mają z nami szans.

Nasz przebiegły styl walki jest znany na całym kontynencie.

– Zdaje się, że zyskał nawet oficjalną nazwę – burknął poirytowany Macletuma. – Zaraz, jak oni to mówili... Wielka fantazja? Potężna brawura?

– Ciężkie frajerstwo. – Kapłan przybył wodzowi z pomocą.

– Zaskoczmy ich ciężkim frajerstwem. – Głos wodza aż ociekał frustracją. – Jakaś alternatywa? – zapytał nagle.

– Toatlani! – Kobieta Wąż wystrzelił jak z procy. – Wątpisz w mój plan?

– Prawdziwy mędrzec zawsze rozważa każdy wariant – wyjaśnił Macletuma. Nie wiedział co prawda, który konkretnie mędrzec postępuje w ten sposób. Zauważył jednak, że takie postawienie sprawy zamykało zazwyczaj wszelkie dyskusje.

– Podjęcie walki uważam za zbędne ryzyko – powiedział kapłan głosem niezależnego eksperta. – Cétros nic nam nie robi.

– Doprawdy? – powątpiewał Kobieta Wąż.

– A pewnie! – odparł kapłan. – On nas ocali.

– Kto? – Tym razem to Macletuma zbłądził wpół drogi do odpowiedzi.

– Qeucatzootl – odpowiedział kapłan.

– Ach, przecież... – Wódz Zetaków odetchnął z wyraźną ulgą.

– Panie! Już czas! – Ciapek nerwowo wyglądał Qeucatzootla. – Panie?

- Nie mogę. – Cichy, żaloszny głos doczłapał do ucha sługi.
- Wszyscy na ciebie czekają. Imperium wzywa!
- Nie mogę!
- Ludzie będą zawiedzeni. Obiecałeś...
- Nie mogę!!!
- Panie, dlaczego?
- Zemsta Macletumy!

Macletuma podszedł do rytualnego ołtarza. Sprawne uderzenie obsydianowym nożem i oto kolejna ofiara oddała Qeucatzoatlowi swe serce. Razem było ich już pięćdziesiąt. Wódz Zetaków opuścił świątynię i, westchnąwszy głęboko, błagalnym wzrokiem spojrział w pochmurne niebo. Puszysty Gad na pewno szykował się już do drogi...

To nieprawda, że Zetakowie byli barbarzyńcami. Należało ich raczej uznać za kogoś w rodzaju odważnych prekursorów. W końcu to oni, wbrew wszelkim twierdzeniom, przeprowadzili pierwszy, udany przeszczep serca. Przynajmniej do połowy.

- Jutro?
- Jutro.

Były uroczystości i sielska atmosfera. Były cudowne kwiaty z ogrodu Macletumy. Były nieszczere życzenia i równie fałszywe uśmiechy. A wszystko w takt cichych podszeptów: żeby ich jasny szlag trafił!

Macletuma zjawił się u bram, niesiony w efektownej lektyce. Cétros przybył do miasta w towarzystwie honorowej, spaniardzkiej eskorty. Gdy zaś wszelkie rozmowy ucichły, a wodzowie zniknęli w murach pałacu, przyszedł czas na najbardziej bezwzględny etap każdego konfliktu.

Rozpoczęły się negocjacje.

Powietrze zdawało się nieznośnie gorące. Drobniuteńkie kropelki potu spływały leniwie po czole Qeucatzoatla. Bycie zetackim bogiem wymagało nieraz ogromnych poświęceń.

– Tak sobie pomyślałem... – Urwał niezgrabnie. Ciapek pospiesznie stanął przed swym panem, skłaniając głowę z najwyższym uznaniem. Qeucatzoatl, jak większość bogów, nie nawykł do samodzielnego myślenia. Od czegoś w końcu ma się poddanych. – Pomyślałem, że nie mogę tak zwyczajnie powrócić.

– Nie? – zdziwił się sługa.

– Sam pomyśl. Macletuma staje do walki z najeżdżcą, a ja tak po prostu odbiorę mu władzę. To chyba trochę... no wiesz... nieładnie?

Ano nieładnie – pomyślał Ciapek. Miał nieodparte wrażenie, że bierze udział w czymś wyjątkowym.

– Co innego, gdyby coś się stało – rozważał Puszysty Gad. – Jakiś wypadek. Klęska. Niepomyślny bieg zdarzeń. Wtedy miałbym powód.

Nastąpiła cisza. Naraz Ciapek zdał sobie sprawę, że właśnie odebrał poród całkiem logicznego wniosku.

– Co zatem planujesz, panie? – zapytał oszołomiony.

– Trzeba zaczekać – odparł Qeucatzoatl. Jego mózg odpływał w stan nieważkości. – Gdy Macletuma... tego... znajdzie się w kłopotach... wtedy... wtedy wróć.

Pokój wypełniała atmosfera napięcia. Była tak gęsta, że zbierała wszelkie rozsądne pomysły, lepiając z nich kożuch bezwartościowych głupot. Macletuma – niemal czerwony na twarzy – błędził wzrokiem po ścianach, usilnie szukając punktu zaczepienia. Wiedział, że w końcu padną pytania.

– Jak poszły rozmowy? – Kapłan spróbował jako pierwszy.

– Udało się poczynić pewne ustalenia – odparł wódz Zetaków, potupując nerwowo.

– I na czym stoimy?

– Wygląda na to, że niebawem przyjmimy chrzest.

– Oj...

– Nie będziemy też już składać rytualnych ofiar. – Macletuma przerzucił spojrzenie na podłogę.

– Żadnych? – przeraził się kapłan.

– Żadnych. Cywilizowani ludzie ponoć tak nie postępują.

– Jesteśmy cywilizowani? – zdziwił się kapłan.

– Z tego, co wiem, bardzo chcemy być – odburknął wódz.

– Czy to już wszystkie zmiany? – zapytał z lękiem Kobieta Wąż.

– Właściwie tak – uspokoił go Macletuma. – Może jeszcze jeden, mało istotny drobiazg...

– Tak?

– Ogłoszę się poddanym spaniardzkiego króla. – Twarz wodza Zetaków przybrała barwę purpury.

– Jak?! – Kobieta Wąż osunął się pod ciężarem szczęścia.

– Nasze imperium z pewnością na tym skorzysta – wyjaśnił Macletuma tonem człowieka, który bardzo pragnie uwierzyć we własne słowa.

- A Cétros? – Kobieta Wąż nie odpuszczał.
- Rusza na Totenchtlán.
- To chyba nie najlepsze wieści?
- Dlaczego? Spaniardzi wyglądali na szczęśliwych. – Wódz wzruszył ramionami, zatopiwszy się w autoironii.
- Zdziwisz się, toatlani, ale w negocjacjach nie chodzi o akceptację żądań drugiej strony.
- A o co twoim zdaniem w niej chodzi? – zapytał Macletuma, balansując na granicy cierpliwości.
- Głównie o to, by potakując głową z przyjaznym uśmiechem, nie zgodzić się absolutnie na nic.
- Cétros twierdzi, że to sprawiedliwy kompromis.
- Kompromis, mój wodzu, zakłada istnienie dwóch sprawiedliwości. Przy czym ich sprawiedliwość oznacza jednocześnie naszą niesprawiedliwość. I odwrotnie.
- To bez znaczenia – uciął Macletuma. – Przecież lada chwila on wróci i zrobi z tymi hienami porządek.
- Kto?
- Qeucatzoatl.
- No teraz to już na pewno. – Kapłan podszczypnął dumę wodza.
- Widzisz! – Macletuma rozminął się z ironią. – Jesteśmy ocaleni.
- Obawiam się, że nie wszyscy...

Qeucatzoatl leżał odwłokiem, trudniąc się zajmującą sztuką przepuszczania czasu przez palce. Był szczęśliwy. Ponieważ Macletuma trzymał się całkiem nieźle, głośne nawoływania o powrót mogły przynajmniej przez jakiś czas czekać w specjalnej przegrodzie „sprawy nie tak znów pilne”.

- I co tam słyhać w imperium? – zapytał zadowolony.
- No... – Słowa ugrzęzły Ciapkowi w gardle.

– Tak?

– Macletuma... On...

– Śmiało! Przecież nie wyrwę ci serca. – Qeucatzoatl zaniósł się prostackim rechotem. Lubił ten żart. Sługa również. Choć tylko dlatego, że taka była wola jego pana.

– Macletuma... On przyjął chrzest.

– Chrzest to ten z brodą?

Ciapek westchnął głęboko. Czasami odnosił wrażenie, że główne zadanie zetackiego boga polegało na... byciu bogiem. Imię Qeucatzoatl musiało zaś oznaczać „gadający posąg”.

– Panie... on... on się ciebie wyparł.

– Co?!

Incydenty...

Jeśli bitwy nazywa się solą konfliktów, incydenty stanowią bez wątpienia ich wiodący fundament. Nie istnieje coś takiego, jak wojna bez powodu. Każdy, najdrobniejszy nawet zatarg zawsze potrzebuje mostu, by przejść od zwykłych sprzeczek do poważnych batalii.

Cały proces budowania konfliktu polega na dyskretnym podgryzaniu po kostkach. Należy gryźć na tyle mocno i celnie, by wróg zechciał wreszcie odpowiedzieć kopniakiem, dzięki czemu kopnięty stanie się ofiarą agresji i można w końcu zaczynać całą zabawę.

Proces liczy zazwyczaj kilka etapów. Zaczynamy od: „ja chciałem go tylko przytulić!”, później przychodzi: „to przecież było niechcący!”, dalej: „nie wiem, skąd ten nóż w jego sercu!” i dopiero: „ta broń wstrzeliła przypadkiem!” staje się podstawą zbrojnych rozwiązań.

Prace nad mostem przebiegały w szybkim tempie. Dzielny lud Zetaków kładł kolejne szczeble, mordując bez wythnienia spaniardzkich kacyków. Cétros, przedkładając

pomysłowość nad siłę, więził Macletumę w jego własnym pałacu. W końcu Laravado – spaniardzki oficer – zwięździł wszelkie prace, urządziwszy efektowną masakrę w świątyni.

Tak oto most śmierci został ukończony.

Gwiazdy w świecie Qeucatzoatla zwróciły się przeciw niemu. Ledwie chwilę temu, efektowną szarżą ciężkiego umysłu zdołał wywalczyć sobie wolność, by teraz znów szykować się do powrotu. Nie żałował Macletumy. Należało mu się, padalcowi wstrętnemu. Żeby tak się wypiąć na własne bóstwo. Kanalia!

– Niech ja go tylko dorwę – mamrotał złowieszczo pod nosem.

– Panie? – Ciapek wyruszył w długą podróż do świądomości Qeucatzoatla.

– Jak tam zejść. Jak go palnę.

– Panie?

– Zero litości dla pokurcza!

– Panie...

– Wróć! Zdzielę go w łeb...

Długie wędrówki hartowały odporność. Z całą pewnością pobudzały też umysł, choć głównie do szukania drogi na skróty.

– Czym? – zapytał zniecka sługa.

– Co? – zdziwił się Qeucatzoatl.

– Czym chcesz go zdzielić, panie?

– To chyba oczywiste, że... – Puszysty Gad zawałował piórami. Wyglądał... uroczo. – Niech to wszyscy diabli!

Ciapek spojrział z litością na pana. Czasem naprawdę mu zazdrościł. Jeśli istniała droga do szczęścia, niechybnie musiała wieść przez głupotę.

– Los na pewno odpłaci Macletumie – próbował wyjaśnić sługa.

– Co mnie obchodzi Los?! – wrzeszczał bezradny bóg. – Sam chcę go walnąć!

– Cierpliwości, mój panie. Macletuma na pewno dostanie za swoje. Los wkrótce da mu popalić, a wtedy wrócisz i pokażesz temu tchórzowi, jak należy rządzić imperium.

– Może masz rację? Mam tylko jedną wątpliwość.

– Tak?

– Kim, do diabła, jest ten cały Los?

Macletuma rozmyślał nad biegiem wydarzeń. Nie czuł się więźniem. Dlaczego właściwie miałyby się czuć? Wszystko przecież było pod jego kontrolą.

Mieszkał w końcu we własnym pałacu (z którego nie wolno mu było wychodzić).

Rządził ambitnym, walecznym ludem (który ani myślał słuchać jego rozkazów).

Miał własne zdanie na każdy temat (które nie bardzo potrafił obronić).

Co zaś najważniejsze, nadal mógł robić, co mu się żywnie podoba (pod warunkiem, że Cétros nie miał nic przeciwko).

– No... No! – Qeucatzoatl, wyęzając wzrok, w znoju wypełniał obowiązki boga.

– Zdawało mi się... – Ciapek stanął jak wryty. Był zdumiony. I to nawet wiedząc, że umysł jego pana krążył po niezbadanych orbitach. – Panie, co... co robisz?!

– Siadaj i pomóż, zamiast pytać bez sensu. – Puszysty Gad syknął z irytacją. – Widzisz ten kamień?

– Ten ze szlaczkiem?

– Ze szlaczkiem. Macletuma zmierza w jego kierunku. Może go nie zauważy.

– Zaraz... ty chcesz... żeby upadł?! – Sługa wytrzeszczył oczy.

– Upadł i stłukł się tak, żeby nie mógł dłużej rządzić.

– Będzie cierpiał.

– I dobrze mu tak, zdrajcy jednemu! No... No!

– Jednak go ominął.

– To nic... No! Kąsaj dziada! Tnij bez litości! – Geucatzoatl spróbował przyklasnąć. Pióra!

– Ja?! – Sługa ponownie zastygł w wytrzeszczu.

– Moskit, gamoniu!

– Nie widzę tam żadnego moskita.

– Oj, bo odleciał...

Byli wszyscy.

Tego dnia każdy prawdziwy Zetak musiał stawić się przed pałacem. by otoczyć twierdzą tych parszywych Spaniardów.

Szlachta tworzyła mit walecznej i niezłomnej. Kapłani zacierali ręce, czekając jeńców do roli ofiar, zaś prosty lud patrzył szansy, by dać upust życiowej frustracji.

Byli wszyscy.

Gotowi na każde poświęcenie.

Tylko jak ruszyć szturmem na pałac będący mamrem Macletumy?

Jak wybić w pień tych przeklętych Spaniardów, nie pozbawiając przy tym życia wodza?

Może jednak lepiej poczekać?

Może on niebawem powróci?

Tymczasem u Qeucatzoatla...

– Skuś baba na dziada! Skuś baba na dziada! Skuś baba na dziada!

Mówią, że grunt to wiedzieć, na czym się stoi. Macletuma II wiedział doskonale. Stał na rozmokłej, grząskiej powierzchni, kołysząc się wolno nad własnym grobem.

Los nie wybaczał niedopowiedzeń. Dawał dokładnie to, o co proszono, nawet jeśli nigdy nie chciało się tego dostać.

Prośby Macletumy zostały wysłuchane. Niebawem miał trafić na karty historii z krótką adnotacją: „ostatni toatlani – wódz, który rozłożył państwo na łopatki”.

Macletuma westchnął przeciągle, po czym dumnie uderzył się w pierś. Był przecież wielkim wodzem. Przywódcą potężnego imperium. Tacy ludzie nie zwykli dawać za wygraną.

Zrobi, jak radził Cétros. Wyjdzie na balkon, przemówi do ludu, odzyska posłuch i na powrót zapanuje porządek.

Później wróci Qeucatzoatl...

– Macletuma oberwał kamieniem – oświadczył Qeucatzoatl, nieudolnie skrywając satysfakcję.

– Oberwał?! – Ciapiek złapał się za głowę.

– Prosto w cymbał – doprecyzował Puszysty Gad.

- Jak do tego doszło?
- Próbował przemawiać do tłumu, wściekły lud obrzucił go kamieniami i już. – Qeucatzootl wzruszył... czymś.
- To straszne! – Sługa pokręcił głową z niedowierzaniem. – Jak on się czuje?
- Nie wiem. Może umiera?
- Panie!
- No dobrze, dobrze – burknął Puszysty Gad z miną ofiary namolności. – Uczcijmy jego pamięć minutą ciszy.
- On jeszcze żyje! – obruszył się Ciapek. – Poza tym obawiam się, że nie znamy pojęcia minuty.
- To może ofiara? Na pewno mamy jakiegoś boga od trafionych kamieniem.
- Nie bardzo.
- Ani jednego? – Qeucatzootl był zdumiony.
- Jak na złość. – Sługa rozłożył ręce.
- I tak to właśnie jest z tym wierzeniowym bajzlem. Pięćdziesięciu bogów na stanie, a jak trzeba chłopu pomóc, to nie ma nikogo.
- Co zatem robimy?
- Nic. Szykuj Zetaków na mój powrót.
- Więc w końcu powrócisz. – Ciapek się rozpromienił.
- Oczywiście – potwierdził Puszysty Gad z miną wybawcy wbrew woli. – Czas zrobić porządek w imperium.
- Jak brzmi moje zadanie?
- Stwórz jakiś efektowny klimat. Tornado. Trzęsienie ziemi. Może jakaś powódź? Wybierz sobie termin.
- Ale jak?
- Nie wiem. Wymyśl coś. Nie mogę przecież tak zwyczajnie powrócić. To musi być coś, co zapamiętają na długo.
- A może... – Ciapek spojrział z nadzieją na imperium. – Może być bitwa?

– Bitwa, powiadasz... – Qeucatzoatl się zamyślił. – Jasne. Czemu nie? Byle uczciwie krwawa.

– Świetnie. Zatem obie strony pogrążą się w bezlitosnej walce.

– I o to chodzi. – Puszysty Gad spróbował zacisnąć pióra. Nie wyszło.

– A ty powrócisz? – upewnił się sługa.

– Tak.

– Kiedy?

– Jutro.

*Fakt to przesądzony, idzie bój wspaniały.
Dwie zwaśnione strony szykują oddziały.
Groza bój obejmie, nie będzie litości.
Krew popłynie wartko, połamią się kości.
Oto bowiem w szranki dwóch rywali staje,
którzy łby ciąć będą, niby samuraje.
Z jednej strony ruszą spaniardzkie zastępy.
Banda bezlitosna, szakale i sępy,
co nawet swe babki położą pokotem,
byle tylko napchać sakwy cudzym złotem.
By zaś ich naprzeciw godna armia stała,
orężem postraszy zetacka nawała.
Ludność to niezłomna, pogrążona w wierze.
Kogo nie zabije, to złoży w ofierze.
Komu bój przyniesie zwycięstwo i chwałę?
Kto taktykiem wielkim? Kto zwykłym bęcwałem?
W czyim sercu większy walka ogień wznieci?
Kto błysnie odwagą? Kto tchórzem obleci?
Kwestii nie rozstrzygnę, jam wszak kronikarzem.
Bój promuję wielki (bo tak sponsor każe).
Przeto daję wszystkim temat do dysputy:*

komu kto odetnie w bitwie łeb zakuty?
Czy banda Cétrosa męstwo swe uniesie,
niosąc wyrok śmierci po polu i lesie?
Czy jednak zetacką dłoń wzniosą finalnie,
gdy spaniardzkie hieny w pień wytnie brutalnie?
Dosyć dywagacji, także i ruszyli.
Zetakowie szarżą rywala spłoszyli.
Już tam krąg wróżbitów wielki triumf wróży.
Umyka najeżdźca, aż się za nim kurzy.
Za nią równo ciągną toboły z łupami
Tupie nogą Cétros i macha rękami.
„Na cóż wam, wy durnie, złota pełne gacie,
gdy je rychło z życiem w diabły postradacie?!”.
Chciwy lud spaniardzki, na rozsądek głuchy,
człapie przeciążony w objęcia kostuchy.
Gros obcych łupieżców zgodnie trupem leży.
Garstka wciąż umyka, lecz w cud już nie wierzy.
Za promień nadziei oddaliby duszę.
Wtem niespodziewanie ktoś przybył z sojuszem.
Zwyrodniała ospa moc Zetaków kładzie,
znów uwierzył Cétros, chociaż był już w zadzie.
Drugi oddech złapał, wojska przegrupował.
Posiłki z wybrzeża w armię wkomponował.
Począł, aż ospa resztę żniwa zbierze
i wyruszył chyżo po dalsze grabieże.
Ludność powybijał, miasta poprzejmował,
dostęp do żywności Zetakom zablokował.
Wielki Totenchtlán zaciekle szturmuje,
przeciwnik, choć głodny, wciąż nie ustępuje.
Ten w kalendarz kopnął, tamten padł jak kaczka.
Jedni straszą działem, drudzy biją z laczka.
Banda sępów gromi, rywal nie domaga.
Rysuje się z wolna spaniardzka przewaga.
Lecz choć lud Zetaków smętnie dogorywa,

*Broni nie porzuca. Szarpie się i zrywa.
I znów bieg wydarzeń kurs zmienił znienacka.
Nie dostrzegł drab Cétros, że czeka zasadzka.
Wpadł w celowy wyłom zetackiej obrony.
Stanął jak sierota, spogląda zdziwiony.
Naraz go objęły wielki strach i trwoga.
Wokół widać tylko wściekłe twarze wroga.
Próżno nawet klepać ostatnie pacierze.
Zabiją! – pomyślał. – Lub złożą w ofierze.
Już w piekle pod kotłem tliły się płomienie
gdy zuch de Eloa przybył z wybawieniem
Uszedł z życiem Cétros, przepadły nadzieje.
Znów wicher zagłady w twarz zetacką wieje.
Na nic ich waleczność, obrona ofiarna.
Mglisty ślad imperium skryła plama czarna.
I tak cel osiągnął wedle swego planu
podły szakal Cétros, pan Totenchitlānu.*

- I oto nadszedł dzień powrotu! – Quecatzoatl dumie
nastroszył pióra. – Dzień, w którym wszystko się zmieni.
– Panie. – Ciapek wyglądał na zniecierpliwionego.
– W którym potężne państwo Zetaków rozpocznie
nowy rozdział swej bogatej historii.
– Panie.
– Oto po wielu latach oczekiwania Quetzalcoatl wraca
do domu!
– Panie!
– Drżycie żałośni najeźdźcy! Drżycie wyznawcy
innych bóstw!
– Panie!!!
– Co?!
– Już czas!

- Idę, idę. – Geucatzoatl rzucił okiem na Totenchtlán. – Co tam się dzieje?
- Cétros podbija państwo Zetaków! – Ciapiek aż tupnął ze złości. – Musisz wracać! Natychmiast!
- Cétros podbija imperium?!
- Tak!
- A, teraz to już nie warto... *

** Tak, to opowieść o Aztekach. Ponieważ jednak jest to historia napisana z przymrużeniem oka i trochę w krzywym zwierciadle, z szacunku dla tej nacji nie operuję prawdziwymi imionami władców, bogów oraz nazwami miast.*

KORNEL MIKOŁAJCZYK

CYBERSERK

Mówili, że w jego żyłach płonie ogień Wikingów, lecz był to oczywisty chwyt PR, wypłuty przez generator wiralnych trendów. Jego serce pompowało ten sam melanz surowicy, płytek i nanoregulatorów, co serce każdego mieszkańca Dolnego Miasta, a i same żyły nie wyróżniały się niczym szczególnym; może poza tym, że gdy „resetował profile” przeciwnikom czy wyrывał im ze stawów ARMitage-3 ku uciezce głodnego krwi tłumu, oplatały mu mięśnie niczym węże z rzeźby Laokoona. Sekret siły Dzikusa krył się w załomach jego mózgu.

– *Bobki jednorożca* – skwitował Zero, dźgając raz po raz ekran przenośnej konsoli. – Jego mózgu to jedno wielkie *bobki jednorożca!* Ogień Wikingów, *wiedźma* jego mać...

Przetarłam soczewkę imagera, starając się stłumić parsknięcie śmiechu. Zero spojrział na mnie z ukosa, więc wychyliłam się przez balustradę, udając, że łapię ujęcie na Arenę.

Siedzieliśmy na balkonie VIP, bo takie miejsca od niedawna przysługiwały Zerowi. Wciąż nie do końca potrafiłam w to uwierzyć: mój kochany młodszy kuzyn, któremu zawsze zerowałam pasek życia w V-Combat, któremu w dzieciństwie nieraz musiałam ratować tyłek przed skopaniem – nowym techem Dzikusa. Dotąd myślałam, że to robota dla twardych ulicznych chirurgów i szalonych wynalazców. Nie dla cherlawych kodołamaczy, wiecznie pakujących się w kłopoty przez swoją niewyparzoną gębę.

Ale Liga Cybernetyczna rządziła się swoimi prawami. Niszcz sobie do woli ulepki przeciwnika – miażdż helpery, rąb protezy i wylupuj sztuczne oczy; wszystkie chwytaki dozwolone – lecz wywołane przez ciebie okaleczenia czy zgony eliminują cię z potyczek nawet na pół roku. A Dzikus... Cóż, lwia część jego popularności wiązała się z brakiem zahamowań. Nie dziwota, że po dwudziestu paru techach sfrustrowanych brakiem stałego zatrudnienia angaż łyknał w końcu Zero.

I chwala mu za to – pomyślałam. – Gdyby nie ta wejściówka, mój LifeQuest zakończyłby się tuż przed ostatnim bossem. Bo czy znajdzie gdzieś lepszą inspirację dla sztuki niż w śmierci i zniszczeniu, którymi tętni Arena?

Włapałam w kadr pozostałości po ostatniej walce – płytę twarzową Lady Ganmu porzuconą w kałuży smarów i krwi – i zwolniłam migawkę. Tysiące przeróbek zasypało wyświetlacz imagera miniaturami: surowy szkic węglem, grafika plakatu, surrealistyczna maska w masce jak na *Obliczu wojny* Dalego. Przejrzałam sugestie, przesuwając kciukiem po gałkach, modulując barwy i kontrast. Niestety, posucha.

Westchnęłam.

Byłoby łatwiej, gdybym miała jakiegokolwiek pojęcie, czego szukam...

Heksagonalne płyty Areny obróciły się o 180 stopni. Wszelkie zgubione sworznie i podukłady, kończyny i płyny ustrojowe zniknęły w jej nienasyconych trzewiach. Głośniki zawyły jak róg bojowy, wzywając do kolejnego sparingu.

– A żeby to troll różowy strzelił! – Mój filtr audio, nastawiony na Baśniową Krainę, skutecznie cenzurował bluzgi Zera, ale nadal widziałam jego wykrzywione w irytacji usta. – Żeby mnie kundel parchaty *wychochliczył* w tęczę!

– Wasza kolej? – zapytałam, odsuwając na bok myśli o swojej przeszłości.

– Nasza-srasza.

– Ej, ale jesteś gotowy, nie?

– Gotowy, Min? Gotowy? – Prychnął z taką mocą, że jego pajęczym ciałem wstrząsnął dreszcz. – Którykolwiek idiota techował przede mną, nie jarzył, że żywy kod trzeba czasem przeczyścić z *ogrze łajno!* Dobrze, że główny blok jest, *wiedźma*, w całości, potrzebowałbym pół dnia, żeby...

Paplał coś dalej o składni, współprogramach i nieskończonych pętach, ale słuchałam go jednym uchem.

Brama po lewej rozstała się z sykiem i zobaczyłam, jak na Arenę, do wtóru oklasków i wilczych skowytów, wkracza Dzikus.

Najbrutalniejszy gladiator naszych czasów, pogromca Gabi Modliszki, Nieposkromionych Braci Haruman i Czarnego Pajaka, wyglądał jak przypadkowy widz, który pomylił wejścia w drodze do kibla. Zniknęła niegdyś grzywa powiewająca jak krwawy sztandar, ujawniając zakola. Obnażony tors prezentował się imponująco, ale nie bardziej niż u pierwszego lepszego bangersa po serii wizyt w elektrostymulatorium. Zsunął z nosa okulary w drucianych oprawkach, złożył je ostrożnie, po czym rzucił na podolek siedzącej w pierwszym rzędzie kobiecie o karmelowej cerze. Posłała mu zmartwione spojrzenie. Dzikus uśmiechnął się do niej krzepiąco; ani krzty wojennego ognia, jedynie ciepło.

Ściągnęłam brwi.

– To on? – zapytałam Zera, patrząc, jak mężczyzna wykonuje kilka skrętoskłonów. Relacje w Sieci zawsze pokazywały go szarżującego w furii na przeciwnika, wgniatającego pięściami pancerze z włókien węglowych. Nigdy... w trakcie rozgrzewki.

– Nie, to *czarodziejski* papież Izydor... Oczywiście, że to on! Nie widzisz jego pleców?

Wrzuciłam zbliżenie na imagerze. Faktycznie, jego nagą skórę pokrywały dziesiątki znamion. Mówili, że Dzikus wypala je sobie laserem po zwycięstwach, jeden „X” za każdego przeciwnika rozkrzyżowanego na płytach Areny.

Wycelowaliśmy soczewkę w przeciwległą bramę. Lepnięty na cztery kończyny wojownik nazywał się Red Hunter. Mniejszy staż, mniejsze owacje, ale podobnie jak Dzikus nie przegrał dotąd ani razu. Z inion-portu – gniazda wejścia-wyjścia z tyłu czaszki – spływał mu czerwony kabel-smycz podłączony do idącego przy nodze helpera Kemono SG. Wydawał się ewidentnym faworytem: mściwy, stalowy anioł zesłany, by poskromić krwiożerczą bestię...

Nawet jeśli rzeczona „bestia” zaczęła właśnie ćwiczyć pajacyki.

– To stymulanty, tak? – zwróciłam się do Zera. – Ma dożyłne wtryski bojowych koktajli i jeszcze ich nie puściłeś?

– Dziki? *Owrózkowiałaś*? PR nie kłamie: jedyny majcher w Lidze bez ulepek.

– Spamujesz! Jak napażać się bez ulepek z kimś, kto przyprowadza na bitkę kuloodpornego ogara!

Oczywiście przemawiały przeze mnie nerwy. Widziałam wszystkie walki idola, od tej pierwszej, wyświetlanej przed salonem interaków (daliśmy z Zerem dwadzieścia coinsów za jedne odkodowujące okulary na spółę), aż po ostatnią siedem miesięcy temu – tyle bowiem czasu w zawiasach kosztowało życie Skoczka, który próbując uciec z Areny na strzaskanych ulepkach Frogger Mk II, przetrzącił sobie kark o barierki. Dzikus nie potrzebował ulepszeń, technologii. Wystarczyły mu własne ciało oraz żelazna wola.

Dlatego wybrałam go na swoją muzę. Tylko on mógł mi pomóc ukończyć LifeQuest przed końcem Karencji i stać się pełnoprawną artystką.

Obróciłam w dłoniach imager.

Jeśli tego faktycznie chcę od życia...

Zero nachylił ku mnie ekran konsoli, wrywając z zamyślenia. Zniknęły niezrozumiałe wersety i inkantacje, zastąpione prostym interfejsem. Zobaczyłam cztery ikonki po prawej: człowiek, wilk, niedźwiedź, smok.

– To jego mózg – powiedział kuzyn, wywołując obraz rodem z cyber-kliniki. Symbol człowieka podświetlił się na niebiesko. – Wiesz doskonale, że trzeba zmapować połączenia neuronów, żeby lepnąć sobie byle, *wiedźma*, pierdołę, nie?

Pokiwałam głową.

– Czas mapowania zależy od tego, jak skomplikowanej funkcji potrzebujesz. Zwykły inion-port, żeby popykać w interaki? Starczy liznąć wiązkę; kwadrans i po sprawie. Odbębnią ci to w pawilonie na rogu ulicy. Ulepki na rękach, nogach? Jakies dwie-trzy godziny, tak by dogrzebać się do partii odpowiedzialnych za ruch. Bernard Kuchula... Dzikus... twierdzi, że spędził pod skanem pełne dwa dni, na kropłówece. Zmapował sobie każdą synapsę pod kopułą. *Każdą*. A potem nauczył swoje regulatory, jak stłumić jedne neuroprzełączniki, a innym: dać solidnego kopa. – Wyszczrzył się z wyraźną satysfakcją. – No jak, kuzyneczko? Domyślasz się już, co robi ten genialny programik?

Podskoczyłam, gdy trybunami wstrząsnęło wezwanie do boju. Wrzask tłumu niemal natychmiast zagłuszył elektroniczną fanfarę.

Dzikus spojrział w kierunku naszego balkonu i uniósł kciuk do góry. Zero odpowiedział tym samym, wziął głęboki wdech i podświetlił ikonkę wilka.

Świetlisty model gwałtownie pociemniał. W korze mózgowej ostała się garść samotnych konstelacji, błyskających raz po raz, gdy załączały się podstawowe funkcje

motoryczne i zmysłowe. Reszta blasku spłynęła do sekcji otągowanych jako „jądra podstawne”, „wzgórze” i „pień”, rozpalając w nich biały ogień.

– Odcinasz mu wyższe rozumowanie – wydyszałam zaskoczona. – Zostanie mu gadzi mózg, prymitywne odruchy! A to oznacza...

Zerknęłam na Arenę. Nagle, zamiast trzydziestoparoletniego nieznanego bez koszuli, stał tam Dzikus. Wykrzywiający kości paroksyzm wstrząsnął jego ciałem, wykręcając je w worku skóry, odkształcił łopatki w ostrza, ścięgna zmienił w naprężone cięciwy. Górne i dolne zęby ścierały się raz po raz w batalii szczękościsku. Równocześnie usta rozciągnęły się na boki, krwawiąc z rozerwanych kącików. Nawet rude, nijako obcięte włosy zdawały się sterczeć, naelektryzowane, na podobieństwo ciernistego krzewu.

Zero musiał unieść mi ramię i nastawić imager. Inaczej całkiem bym zapomniała, po co tu przyszłam.

– To nie sam gadzi mózg – wyjaśnił Zero, gdy udało mi się wreszcie zwolnić migawkę. – Szczypta manii prześladowczej, gniew, podkrecone zmysły, do tego filtr na ból i strach. Mówią, że Dzikus pracował jako technik w szpitalu i puszczał podobne programiki na znieczulenie. No, nie te z manią, wiadomka, ale stąd wziął się pomysł. Szalony *smoczysyn*, co? Wyłączać sobie partie kory... Gdyby coś poszło nie teges, padłby na miejscu!

Mój wzrok uciekł na trybuny – ku tamtej kobiecie. Jej dłoń, naznaczona glifem jednej z Górnych Enklaw, zaciskała się na okularach Kuchuli tak mocno, że mało ich nie zgniotła.

– Mm, tak. Szalony.

Dzikus grzmotnął pięściami o własną pierś, bardziej jak goryl niż wilk. Ruszył do ataku. Trudno było uwierzyć, że za ten ślepy, zwierzęcy szal odpowiadają tysiące nanoregula-

torów wirujących w jego czaszce: ciemna chmura dławiąca ludzkie odruchy. Zawsze wyglądało mi to na opętanie przez jakiegoś dzikiego, przedindustrialnego boga.

Klik. Złapałam Dzikusa w idealnym momencie: szybującego przez powietrze z dłońmi splecionymi nad głową, by zadać miażdżący cios. Lecz zanim imager wypłuł z siebie artystyczne sugestie (jaskrawe *ukiyo-e*, sepia, motywacyjny mem), scena zmieniła się diametralnie. Red Hunter, dotąd nieruchomy jak rzeźba, wypuścił z ramienia sieć i zwinnie usunął się z drogi. Dzikus gruchnął o płyty Areny, unieruchomiony. Widzowie wydali z siebie kolektywny jęk zawodu.

Mechaniczny pies rzucił się na uwięzionego, aktywowany bezgłośnie komendą. Kemono SG nie posiadał kłów jak niektóre modele, ale jego „głowę” stanowił ścięty w szpic kawał wzmocnionego plastiku. Robot wystrzelił na czterech łapach i uderzył nim jak taranem. Cofnął się, napiął, znów uderzył. Nieszczerólnie widowiskowa taktyka, ale niewątpliwie okazała się skuteczna. Zaplątany i rozpląszczony przez magnetyczne odważniki, Dzikus mógł tylko szarpać się i charczeć, podczas gdy helper, metodycznie i nieustępliwie, objął mu organy i łamał żebra.

Zero westchnął, niewzruszony krwią przesączającą się przez oczka sieci.

– Znowu się zapluł na tym *tęczowym* wilku...

– Wilk to pierwszy level? – zapytałam, gdy kuzyn pochylił się nad ekranem.

– Straszak. Szczerzy kły, warczy. Przekopałem logi ze starych walk i chyba wyłącznie pierwszego z braci Haruman udało się znokautować na wilku. Smoka nawet nie tykam, wtedy... No, wtedy Dziki dostaje zwykle szlaban na parę miechów. Ale bramka numer dwa dotąd nie zawiodła. *Attenzione!*

Palec Zera dotknął odpowiedniej ikonki. Regulatory natychmiast zwolniły nowe połączenia, zablokowały inne. Rozbudzony z zimowego snu niedźwiedź pożarł resztkę bólu, zmiażdżył strach, rozerwał instynkt samozachowawczy na strzępy i...

Dzikus chwycił helpera w pół skoku, motając go w cienkie, metalowe włókna. Przetoczył się, wykręcił, przygniótł całym ciężarem.

Pisnęło. Gruchnęło. Błysnęły iskry.

Red Hunter zachwiał się i pospiesznie wyszarpnął kabel-smycz z portu. Dzikus złapał pełne garści sieci i z ogromnym wysiłkiem, sycząc przez zaciśnięte zęby, zdołał oderwać magnetyczne obciążniki od ziemi. Robot podrygiwał za nim w konwulsjach serwomechanizmów: smutna parodia prawdziwego drapieznika.

Spanikowany gladiator cofnął się o krok i wystawił gardę. Wychyliłam się, aby uchwycić brutalne piękno sceny: bestia o temperamencie grizzly, która w każdej chwili mogła zmienić się w smoka, oraz mierzący się z nią rycerzyk w blaszanej zbroi. Ostatnia szansa, by zwolnić migawkę, nim rozpęta się zwyczajowe piekło...

– Chyba już – powiedziałam jakieś pięć minut później. W pamięci imagera miałam tyle ujęć wyrywanych z panewki haków Augware oraz duszenia przewodami, że wystarczyłoby na kilkanaście zaliczeń LifeQuestu.

– Myślisz? – wymamrotał Zero, wpatrzony wielkimi oczami w półżywy kadłubek, jeszcze niedawno nazywany Red Hunterem. – Niech to *troll* sponiewiera, ale rozważka!

Zaczekał, aż przycichną owacje, jak na dobrego techa przystało, po czym klepnął w ikonkę człowieka.

– No i jak, Min, spełniłśmy twoje marzenia? – zapytał, szczerząc zęby. – Osobiście nie jarzę tego twojego „uniwerku życia”, ale jak serio planujesz machnąć

mural Dzikusa, dają sto punktów w ciemno. Zawsze to darmowy PR, bo generatory trendów zdzierają jak...

– Zero!

Coś było nie tak. Pojedynek dobiegł końca, wyższe funkcje mózgu zostały przywrócone, a jednak Dzikus dopiero się rozkręcał. Kopnął Red Huntera, łamiąc mu nos z morderczą bezwzględnością. Kiedy uniósł wzrok na trybuny, w jego oczach nie płonął ogień. Zmieniły się w bezdenne czarne studnie.

Zero puścił kolejną magiczną wiązanekę. Na ekranie kontrolnym zamiast ikonki człowieka świeciła się ta smoka.

– Czy to powinno...

– Nie, *wiedźma*, nie powinno! – Wywołał log, naznaczony czerwienią błędów. – Czeka... zaraz coś... ale najpierw...

Dzikus ruszył w kierunku widowni. Przeskoczył nad barierką z nieludzką zwinnością i wylądował przed ojcem z córeczką na kolanach. Na ich twarzach pojawiła się nerwowa niepewność.

– Zero. Zerzerozero... ZERO!

– Wiem.

– Wyłącz go. Szybko!

– PRÓBUJĘ!

W dłoni Dzikusa błysnął hak Red Huntera, nadal broczący smarami. Dziewczynka wyciągnęła dłoń, myśląc zapewne, że to podarek, trofeum z walki wieczoru, ale jej ojciec gwałtownie pobladł. Może zobaczył, niczym przez sieć neuronową imagera, stojącą przed nimi Śmierć z kosą.

Konsola wyslizgnęła się z roztrzęsionych palców Zera. Złapałam ją tuż nad ziemią i nie widząc innego wyjścia, stuknęłam we wszystkie ikonki na raz.

Log na pasku bocznym rzygnął przypadkowymi znakami. Dzikus zachwiał się w pół zamachu. Napiął

gwałtownie mięśnie, rozluźnił je, ryknął, po czym padł na ziemię jak raniony zwierzę. Aktywność mózgu na wyświetlaczu wskazywała, że stracił przytomność.

Zero otarł pot z czoła i wypuścił długi, świszający oddech.

– No i co, Min? Nie mówiłem? *Bobki jednorożca.*

Bernard „Dzikus” Kuchula musiał ledwo co odzyskać przytomność, gdy drzwi szatni rozsunęły się przede mną i Zerem. Zastaliśmy go skulonego na skraju leżanki z głową wspartą na ramionach, półnagiego i obklejonego potem, bełkoczącego w zamroczeniu jakiegoś post-technologicznego kaca. Wypalone na jego plecach krzyżyki wyglądały znacznie mniej imponująco niż w jupiterach Areny – nie tyle odznaki triumfów, co blizny. Pokuta wymierzana ciału, by podporządkować sobie jego ciemne impulsy.

Ujrzałam dziesiątki dzieł sztuki w jego postawie – *Myśliciel* Rodina, Renoir namalowany przez Bazille’a – i nie potrafiłam się powstrzymać przed odpaleniem imagera. Chwilę później poczułam się strasznie głupio, gdy gladiator zapytał:

– To znów się stało, prawda?

Jego głos był tak do szczytu udręczony, że zamarłam w progu.

Zero podczepił konsolę pod inion-port Kuchuli. Skrzywiłam się mimowolnie, widząc ekran diagnostyczny sztucznej sieci neuronowej – platformy kontrolującej każdy nanoregulator, ulepkę i połączenie. Przeszłam trzy godziny podobnego skanowania w wieku dziesięciu lat. Złapałam wirusa, który przeprogramował regulatory, by zmieniły mnie w hydrocefaliczkę. Od tamtej pory nigdy

nie wgrywam się w pirackie interaki i zawsze łączę się z Siecią przez widmo-nakładkę.

– Myślałem, że trzymam to w ryzach – ciągnął Kuchula, sięgając po ręcznik ze swoją podobizną. Miałam w domu taki sam. – Nie chciałem nawet wracać na Arenę po tej wtopie ze Skoczkiem.

– Wypadek – mruknął Zero, machnąwszy dłonią.

– Rzuciłem nim o ścianę.

– Ta. I gdyby nie lepnął sobie takich badziewiaków, pewnie by na nich wylądował.

– Wyrwałem mu ulepki. Nie zostawiłem szans. Nie rozumiem, jak do tego doszło tym razem, puszczaaliśmy testy, symulacje...

– Nikt nie zginął, Dziki.

– Nie. Dzięki niebiosom. – Przetarł twarz i wpatrzył się w swoją podobiznę, szczerzącą na niego kły z nadruku. – Może to wcale nie program? Może to coś we mnie? Dużo nad tym myślałem. Regulatory nie są w stanie sprzeciwić się wgranym instrukcjom, nie bez zostawiania śladu w logach. Jeśli ktoś wymusza te nowe połączenia, przedstawia mi mózg na tryb smoka, to tylko ja. Jakby nie wystarczył mi „mały” i „średni” szal. Jakbym podświadomie...

– Dziki, chłopie, litości! Jestem twoim techem, nie psychokabiną za dychę. I jako tech po raz kolejny tłumaczę ci: zremapuj sobie czerep. – Wypiął się z platformy i wskazał przez ramię. – Poza tym, nie jesteśmy sami, więc ogarnij wynurzenia, he?

Drgnęłam, gdy Kuchula zwrócił na mnie wzrok. Miał przenikliwe, niebieskie oczy, jasne jak lód syntezowany w autobarach.

– Dziewczyna, Zero? – mruknął z krzywym uśmiechem. – No, no.

– Fuj. Kuzynka. Mianowała się twoim nadwornym artystą czy coś. Myślałem, że wyśle mnie na *tęczową*

rekonstrukcję żeber, tak mnie wyściskała, jak powiedziałem, że was zapoznam...

Kuchula zeskoczył z leżanki i znalazł swój T-shirt w sportowej torbie. Dopiero gdy doprowadził się do względnego porządku, podszedł do mnie i podał mi dłoń. Wymieniliśmy uprzejmości („Min jak Minerwa? Wilhelmina?” – „Nie, Minnesota, fantazja rodziców”). Pokazałam mu kilka surowych ujęć, które udało mi się złapać w trakcie walki. Kiedy usłyszał, że chodzi o końcowe zaliczenie LifeQuestu, klasnął w dłonie z wyraźną ekscytacją.

– Ach, czytałem o tym! Uniwersytet życia. Dostajesz wyzwania i wybierasz ścieżki rozwoju, jak w tych starych interakcjach przygodowych, tyle że w rzeczywistości. „Zaatakuj smoka, wciśnij A”, „Przekonaj go do opuszczenia królestwa, wciśnij B”. Wspaniała rzecz. I to ostatnie wyzwanie, powiadasz? Jak się nazywa?

– „Idolatria”. Jestem na ścieżce artystycznej. Muszę stworzyć podobiznę swojego idola. Myślę o muralu.

– W takim razie daję ci moje błogosławieństwo. I gratulacje, bo dyplom już o krok!

– To nic takiego – skłamałam, czerwieniąc się lekko.

LifeQuest był moją ostatnią deską ratunku. Zapisalam się do programu ponad trzy lata temu w małej, rozkładanej budce reklamowej opatrzonej sloganem „Życie to Przygoda, Wybierz Swoją”. Z kimkolwiek rozmawiałam w środku – z awatarem pracownika czy sztuczną inteligencją – uświadomił mi, że perspektywy życia w Dolnym Mieście przedstawiają się nad wyraz ponuro. Syntezowane żarcie, choroby, watahy bangersów, edukacja z płatnych terminali, nielegalne ulepki. Żeby dostać robotę w jednej z Górnych Enklaw, przeciętny mieszkaniec potrzebował fachu, talentu. Ci bez asa w rękawie mogli co najwyżej liczyć, że ktoś pozwoli im

polerować kryształowe kieliszki po bankietach. Krótko mówiąc, każdego dnia coraz bardziej tonęłam w szlamie i nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy.

LifeQuest gwarantował tytuł naukowy za cenę jednorazowej subskrypcji. A co ważniejsze – oferował, że wskaże w życiu odpowiedni kierunek. Wszystkie wyzwania, których się podjęłam, doprowadziły mnie do tego momentu. Miałam zostać artystką z prawdziwego zdarzenia.

Problem w tym, że nie dysponowałam ponadczasowymi wartościami do przekazania, wizją na miarę Van Gogha czy Banksy’ego. A nie dałabym rady rozpocząć swojej „przygody” od nowa. Nie, kiedy zbliżały się moje urodziny i tym samym – odcięcie od pępownicy Karencji. Koniec produktów za ćwierć ceny i zniżek na kulturę, koniec tanich kwater i darmowej Sieci. Rząd wspierał młodych z nadzieją, że pewnego dnia będą przydatni Enklawom. Tym samym, które, symbiotycznie, pompowały w rząd miliony coinsów. Jeśli nie zebrałaś dupy w troki do dwudziestego pierwszego roku życia, źródło magicznie wysychało.

Bernard wypytał mnie o pierwsze questy, o wybory, których musiałam dokonać między technicznymi zajęciami a artystycznymi, umysłem humanistycznym a ścisłym. Czy dało się zejść ze ścieżki w połowie? Co z wieloklasowością; czy istniała opcja wyszkolenia się na programistę/rzeźbiarza? Przy którymś pytaniu dotarło do mnie, że nie przemawia przez niego uprzejme zainteresowanie.

– Owszem, myślałem nad dołączeniem – przyznał. – Te ostatnie zawiasy... Siedem miesięcy to długi czas, Min, szczególnie bez kroplówki. – Tak w Dolnym Mieście mówiło się na Karencję. – Wróciłem na Arenę, bo tu zawsze wpadnie trochę grosza. Ale powalczę najwyżej do końca sezonu. Potem... Cóż, kto wie, co będzie potem?

Spojrzałam bezradnie na Zera, który nadal grzebał w kodzie. Nie podniósł głowy.

– Ale... ale przecież ty jesteś Dzikusem! Niepokonanym czempionem! Co innego byś robił, jeśli nie walczył?

Gladiator otworzył usta. Wtem automatyczne drzwi rozsunęły się bezgłośnie i do środka wkroczyła kobieta.

Rozpoznałam ją z trybun: karmelowa cera, grymas niezadowolenia, glif dostępu na prawej dłoni. Z daleka nie dostrzegłam za to jednego szczegółu: brzucha. Gustownie spiętego wysoko zawiązanym sarongiem, ale niewątpliwie w ostatnim trymestrze.

Bernard uśmiechnął się na jej widok i ruszył, by wziąć ją w ramiona. Wyminęła go z premedytacją i wycelowała palec w Zera, wprawiając dziesiątki bransoletek w dzwonięcie.

– Obiecałeś to załatać. – Jej gniew był chłodny, wyważony. – Tak się umawialiśmy. Jesteś techem mojego męża czy nie?

– Amira, proszę cię...

– Nie, Bern – ucięła dyskusję. – Przysięgał, że naprawi kod. Wyłącznie dlatego zgodziłam się, żebyś wrócił do tego... tego... cyrku śmierci. Bo powiedziałaś, że utrzymacie bestię na łańcuchu. To – wskazała w ogólnym kierunku Areny – nie wyglądało jak bestia na łańcuchu. To bestia, która o mało co nie przegryzła komuś tętnicy. Ta biedna dziewczynka...

Głos jej się załamał.

Bernard wzdrygnął się i zerknął pytająco to na mnie, to na Zera. Żadne z nas nie zebrało się na odwagę, by zdradzić mu, jak blisko tragedii się znalazł, gdy jego mózg przejął we władanie „Dzikus”.

– Nie obwiniaj chłopaka, Amira. – Pomasaował ją po ramieniu. – Sam podjąłem decyzję. Od początku powtarzał, że muszę zmapować neurony od nowa. Ale zbliżał się termin i wszystko działało na symulacjach, a sama wiesz, jak potrzebujemy coinsów i... – Odetchnął

głęboko. – Jutro. Jutro z samego rana idę do kliniki. Zero, masz czas?

Wzruszył chudymi ramionami.

– Bite dwa dni wlepiania gał w cyferki? Historia mojego życia.

Amira zacisnęła usta w linijkę, ale skinęła głową na znak, że to jej wystarczy. Oddała mężowi okulary oraz obrączkę, którą trzymała dotąd na palcu razem ze swoją. Nie omieszkała sprzedać mu przy tym kuksańca, ale zauważyłam, że kąciki jej ust drgnęły w rozbawieniu.

Czując, że atmosfera zmierza ku polepszeniu, skoczyłam do automatu w korytarzu i zsyntezowałam nam po elektrolitowym koktajlu pomarańczowym. Bądź co bądź świętowaliśmy zwycięstwo.

Kolejną godzinę wypełniły nam toasty, śmiech i rozmowy o nieistotnych rzeczach. Amira pozwoliła mi dotknąć jej brzucha, kiedy kopnęło dziecko. Bernard wziął szybki prysznic, a potem z pomocą Zera próbował złamać mój filtr Baśniowej Krainy, wymyślając bluzg, którego nie znał system. Zanim nadszedł czas, by rozejść się do kwater, udało mi się jeszcze złapać ich uśmiechy w kadr imagera. Z jakiegoś powodu odniosłam wrażenie, że znalazłam się bliżej natchnienia właśnie tutaj, w ciemnej, ciasnej szatni w podziemiach, niż obserwując potyczkę z balkonu VIP Areny.

Następnego dnia każdy infoserwis w Dolnym Mieście, niezależnie od spersonalizowanych filtrów, wyświetlił tę samą wiadomość. Bernard Kuchula, gladiator Ligi Cybernetycznej znany jako Dzikus, zamordował swoją żonę w napadzie szału i zbiegł, nim na miejsce przybyły służby porządkowe. Lekarzom nie udało się odratować ani jej, ani

nienarodzonego dziecka. Udzielający wywiadów sąsiedzi zaklinali się, że kiedy Kuchula wybiegł w noc, z jego gardła wyrwało się przesywające wycie dzikiego zwierza.

Minęły dwa tygodnie. Dwudzieste pierwsze urodziny, i tym samym definitywne odcięcie od kropłówki, zbliżały się nieuchronnie, jak cień pełznący po podłodze. Niestety, inspiracja do zaliczenia LifeQuestu nadal nie przychodziła.

Nie mogłam przestać myśleć o Bernardzie i Amirze. Dolne Miasto huczało od plotek, pogłosek i doniesień dotyczących morderstwa. Nikt nie wiedział, co dokładnie wydarzyło się tamtej nocy po walce, ale ludzie i tak z chęcią oddawali się snuciu teorii: od zemsty któregoś z pokonanych, poprzez kwestie wątpliwego ojcostwa (pani Kuchula pracowała, bądź co bądź, w Enklawie, a nie było infolorda, archonta czy polikraty bez wianuszka bękartów), aż po opowieści o żonie zasłaniającej swym ciałem męża przed bangersami przybyłymi, by ściągnąć długi.

Nie dzieliłam się z nikim swoimi spostrzeżeniami (nawet z Zerem, który złapał robótkę przy techowaniu Kommodusa 2.0), ale częściowa wina ciążyła mi na barkach. Wciąż wyobrażałam sobie Amirę, która jak zawsze po zwycięskim starciu naznacza plecy męża laserowym piętrem. Żgnięta ogniem, któraś z bestii przyczajonych w jego mózgu wyrwa się na wolność, dobiera kłami i pazurami do neuronów i napęlnia je szaleństwem... A wszystko dlatego, że wtedy, na Arenie, siłą zawiesiłam jego program.

Nie dało się nijak potwierdzić ani rozwiać moich wątpliwości. Służby porządkowe nadal nie schwytały i nie przesłuchały Bernarda. Czasem tylko ktoś wspo-

minał o dziwnym, dwunożnym zwierzęciu kręcącym się po Złomowisku, buszującym w śmietnikach za salonem interaków czy atakującym ludzi zmierzających ku wodom na nocną zmianę. Niektórzy twierdzili, że to Dzikus. Że powrócił jako Bestia z Dolnego Miasta. Ile kryło się w tym prawdy, a ile miejskiej legendy – tego nie wiedział nikt.

Kiedy nie śledziłam infoserwisów i forów dyskusyjnych, przeglądałam ujęcia z imagera, sortując przeróbki na „dobre”, „nie tak dobre” i „szmelc”. Jednego dnia roztaczałam w myślach wizję muralu upamiętniającego Dzikusa, gargantuicznego, w uliczno-komiksowym stylu, wykrzykującego triumfalne dymki nad dachami świata; drugiego chodził mi po głowie intymny fresk imitujący *Rodzinę* Klimta: Bernard Kuchula jako mąż i przyszły ojciec, ciężarna Amira wspierająca głowę na jego ramieniu. Żaden z tych pomysłów nie wyrażał jednak ogromu emocji, które mną targwały. Mój idol, którego dopiero co poznałam osobiście, który marzył o nowej ścieżce życiowej poza Areną, naraz stał się mordercą. Jak wyrazić podobny ładunek emocjonalny, by zrozumiał go potencjalny odbiorca? I czy naprawdę ja nadawałam się do tego najlepiej?

Zaczęłam przesuwając obrazy na wielkim wallscreenie w salonie, bestia na lewo, człowiek na prawo. Zimne kolory odłączały się od ciepłych, rozmycie od ostrości, Bosch od Renoira. W końcu objawiło się przede mną nie jedno dzieło sztuki, a wielki, dwubiegunowy zlepek. Ów natłok odniesień stanowił jedyną ekspresję, na jaką potrafiłam się zdobyć.

Pracowałam przez całą noc, dopieszczając szczegóły i programując wektory do naniesienia farb na ścianę. Rankiem wzmocniłam się synt-kawą, włożyłam kombinizon i opuściłam budynek. Chromowany helper wiel-

kości koszykówki podążał za mną na wysokości głowy, podpięty kablem do inion-portu. Nie musiałam szukać odpowiedniej ściany – ta naprzeciwko moich okien, w zamierzonych czasach drżąca od turkotu prasy drukarskiej, nadawała się idealnie. Poinstruowałam helpera, by złapał odpowiednią skalę i sieć współrzędnych. Kanistry ze sprejami w kolorach CMYK załadowałam tygodnie temu. Teraz wystarczyło sprawdzić, czy to, co widziałam w umyśle i na cyfrowych ekranach, będzie wyglądać równie dobrze w rzeczywistości.

Nie to, że zależała od tego moja przyszłość, prawda?

Dwie godziny później wyłączyłam helpera i cofnęłam się o kilka kroków. Spociłam się niemilosiernie, umazałam farbą, a głowa pulsowała mi od setek mentalnych rozkazów, które wydałam, by osiągnąć zamierzony efekt. Lecz gdy spojrzałam wreszcie na owoce swojej pracy, spełnienie zrekompensowało mi wszelkie niedogodności.

Mural składał się z bliźniaczych postaci zakleszczonych niczym Jakub i anioł. Okalał je zarys mózgu zbyt ciasnego dla ich dwojga. Wojownik po lewej odlany został z ognistych ujęć Dzikusa, z jego szatu i zwierzęcości; każdy krzyżyk na plecach jak neonowy cementarny pomnik. Po prawej opór stawiał mu niepozorny okularnik, Bernard Kuchula. Jego siła kryła się w rozświetlającym ciału uśmiechu żony, intymnym ujęciu obrączki, USG dziecka (zgarniętego przeze mnie z darmowej bazy obrazów), emanujących spokojem i miłością, ale nie mniej potężnych.

Nie kryło się w tym nic odkrywczego – ot, klasyczne id i superego, motyw przemaglowany w setce dzieł. Nie widziałam jednak innego sposobu, by oddać hołd temu wielkiemu człowiekowi.

Zanurkowałam do Sieci i oznaczyłam ścianę jako moje zaliczenie LifeQuestu. System pogratulował mi automa-

tyczną wiadomością. Weryfikator miał zjawić się w ciągu najbliższego tygodnia, by zdecydować, czy uzyskam tytuł. Akurat przed moimi urodzinami.

Odłączyłam się od helpera i zostawiłam go w trybie strażniczym, na wypadek gdyby uliczni marketingowcy próbowali wplątać w mój mural swoje natrętne glify.

Nie osiągnęłam niczego monumentalnego. Ani bitu. Po prostu wykonałam swoje zadanie najlepiej, jak umiałam. Ale tak samo postąpił przecież Zero tamtego dnia na Arenie. Tak samo postępował przez lata Dzikus. I cóż im z tego przyszło, tak na dobrą sprawę? Poczucie winy oraz cybernetyczne szaleństwo.

To chyba jedyne, na co możemy liczyć w tym mieście pod miastami. Nie zawsze da się zejść z pola walki, nawet tego zwycięskiego, bez smaku goryczy w ustach.

Noc. We śnie tańczące *Panny z Awinionu* próbowały sprzedać mi kartridż do interaka fantasy, przebrane za koboldy w koronkach. Szarpnęłam się, obudziłam. Sahara w gardle. Wymruczałam przekleństwo pod radarem filtru i wstałam, by zsyntezować sobie szklanekę mleka. Przechodząc koło okna krokiem zombiaka, rzuciłam kontrolne spojrzenie na mural, jak to robiłam od bitych trzech dni, spodziewając się wizyty weryfikatora.

Natychmiast odechciało mi się spać.

Ktoś oglądał moje dzieło, samotnie i w środku nocy, lecz z całą pewnością nie wysłannik LifeQuestu. Wahałam się nawet, by myśleć o tej postaci jako „ktoś”. Nie przystawały do niej normy ludzkiego ciała. Kończyny zdawały się zginać w złych miejscach, cienie układały się na nieistniejących mięśniach, a miejsca zwykle nietknięte owłosieniem porastał brud przywodzący na myśl skosmacone

futro. Zajęło mi chwilę, nim z wysokości drugiego piętra rozpoznałam w tej istocie Bestię z Dolnego Miasta. Mojego idola, Dzikusa.

Doskoczyłam do szafki w korytarzu i wygrzebałam buty. Dopiero kiedy je wzięłam, zastanowiłam się, co ja właściwie wyczyniam.

To coś zabiło Amirę i jej dziecko.

Wróciłam do okna, zgarniając po drodze imager i wrzucając zbliżenie.

Dzikus podpełzł bliżej muralu. Było coś hipnotyzującego w sposobie, w jaki się poruszał – na czworaka, ale bynajmniej nie jak niemowlę czy człowiek udający zwierzę dla żartu. Przypominał panterę wtłoczoną w ludzkie ciało, oswojoną z jego wagą i mechaniką. Jedyne resztki podartych spodni i strzępki koszuli zdradzały, że te kości i to mięso zamieszkiwał niegdyś Bernard Kuchula.

Wypatrzyłam mojego helpera-wartownika, zgniecionego i ciśniętego w dół ulicy. Wbudowany paralizator okazał się widocznie niewystarczająco silny.

Monstrum rzuciło się na ścianę jak na prawdziwego przeciwnika. Ślady pazurów naznaczyły plecy postaci po lewej, i tak pocięte laserowymi bliznami. Pewna, że jednak śnię, lunatykuję na granicy świadomości, patrzyłam, jak prawdziwie zdziczały Dzikus zbiera się do kolejnego skoku, i kolejnego, mieszając moje idealnie dobrane odcienie z juchą z rozciętej brwi, połamanych paznokci.

Albo ta ściana padnie pierwsza – pomyślałam – albo on wykrwawi się na nią na śmierć...

Ślepa furia minęła tak nagle, jak się zaczęła. Bestia skuliła się na ziemi, dysząc ze zmęczenia. Kiedy uniosła wzrok, nie spoglądała już na znienawidzonego, bezdusznego gladiatora – swoje odbicie w ciemnym zwierciadle. Patrzyła na łagodnie uśmiechniętą postać z ujęciem

żony wlepionym na sercu. Pojedyncza kropla zerwała się z rzęs i zniknęła w gąszczu brody. Z uszu ciekła mu krew, po łydce rozchodziła się sina infekcja i wiedziałam, że jego czas nadejdzie raczej prędzej niż później.

Księżyc pojawił się w prześwicie między budynkami, po czym zniknął. Rumor śmieci zrzuconych z Enklawy poniósł się echem najpierw z zachodu, od strony Złomowiska, potem z południa. A jednak Dzikus nadal się nie poruszał.

Przycisnęłam dłoń do szyby. Tysiąc myśli przebiegało mi przez głowę, ale żadna nie oferowała rozwiązań, pomocy.

Przeszłam do kuchni i wypiałam dwie pełne szklanki wody. Wróciłam do okna. Bez zmian. Otworzyłam komunikator w Sieci, przejrzałam listę kontaktów od A do Z, zamknęłam okienko. Przesunęłam palcami po pokrętkach imagera. W końcu rzuciłam go, sfrustrowana, na fotel, poszłam się wysikać i wróciłam do łóżka.

– To nie twoja sprawa, Min – mruczałam do siebie. – Nic nie poradzisz. Zamknij oczy i śpij.

Ale sen nie nadchodził. Pod powiekami nadal miałam samotną, skuloną postać, boleśnie wykadrowaną niczym *Pies Goi*.

Wygrzebałam spod łóżka DreamCatcher XS, nieużywany odkąd skończyłam trzynaście lat. Wpięłam zakurzony tęczyowy kabel w inion-port i natychmiast odpłynęłam do królestwa dziecięcych marzeń wyłuskanych z podświadomości, gdzie na drzewach rosły lizaki, wróżki spełniały życzenia, a ludzie żyli sto lat i dłużej.

– Teraz to naprawdę cię *poczarowało* – skwitował Zero, gdy opowiedziałam mu o swoim planie. – *Poczarowało* i pokręciło jak skończoną *Roszpunkę!*

Nie odpowiedziałam. Głównie dlatego, że całkowicie się z nim zgadzałam.

W warsztacie, na który przemodelował swoje mieszkanie Zero, na stałe zagnieździł się zapach smarów i lakieru. Rozmontowane modele ulepek wisiały po obu stronach wejścia – rozgałęzione w łokciu modele ARMitage, klasyczne „trzecie oko” z linii Augware Augenblick, płytowe wzmocnienia kręgosłupa od NeoMod – każdy podłączony pod panel diagnostyczny, tak żeby sprawdzić, który wycinek kodu sprawia, że neurony nie myślą kończyn, który nakłada podczerwień na sygnały z kory, który kontroluje elastyczność modułów. Po przeciwnej stronie ciągnął się roboczy blat zwieńczony baterią ekranów. Przeskakiwały po nich linijki szczytywane ze sprężynowych gładiusów Kommodusa 2.0, nad którymi pracował obecnie Zero.

– Min – powiedział znad płataniny kabli, jakimś cudem powstrzymując się od bluzgów – to nie jest tak, że ja odmawiam pomocy. Sam biłem się po łbie, czy to nie moja wina, czy czegoś nie spartoliłem. Ale zrozum, jest za późno. Jemu nie jest potrzebny tech, a hycel. Hycel i służby porządkowe.

– Trzecia noc, Zero. Trzecia noc pod rząd, dokładnie w tym samym miejscu. Czy tak się zachowuje zwierzę? Katuje się bolesnymi wspomnieniami?

– Nie widziałeś nigdy psa warczącego na swoje odbicie?

– On widzi różnicę! Atakuje jedną postać, wyje do drugiej! Bernard wciąga gdzieś tam jest, wiem to!

– I co, myślisz, że życzyłby sobie pamiętać, co zrobił własnej żonie? Dziecku?

Zmilczałam. Zero ciągnął dalej, wymachując mechaniczną kończyną:

– Pobiegłem z jego konsolą do śledczych, zaraz jak zawaliło infoserwisy. Próbowaliśmy go zlokalizować.

Przestawić regulatory z powrotem na ludzki program. Nul. Jego umysł sam się przed tym broni. Jarzysz, Min? Gdzieś tam pod czachą Bernard woli pozostać w tym zdziczeniu. Bo alternatywa jest zbyt bolesna. Gdybyśmy naprawili kod, gdybyśmy jakimś cudem podłączyli się manualnie i włączyli wyższe funkcje mózgu, wrzucilibyśmy go z powrotem w ten koszmar. Naprawdę każesz mu przeżywać to od nowa? Po co?

Przysunęłam sobie taboret i opadłam na niego ciężko. Organiczna torba, w której przyniosłam nam *hokkien mee*, osunęła się na podłogę ze stukotem pałeczek.

Coraz trudniej było mi ignorować półludzką bestię nawiedzającą mój mural. Nawet DreamCatcher XS wyłapał moje lęki. W zaczarowanej kniei gnieździły się teraz wilkołaki, pegazy ścierały się w brutalnych pojedynkach o samice, a kwieciste wzgórza pękały, ujawnione jako zarośnięte wegetacją jaja ogromnych smoków. Żadnej ucieczki od rzeczywistości, od irracjonalnej, a jednak niemożliwej od strząśnięcia, winy.

Przygryzłam wargę, rozglądając się po bezpieczeństwańskich kończynach, niekompletnych zbrojach, czujnikach bez czucia.

Czy w Bernardzie tliła się jeszcze wola życia? Co go czekało, gdybyśmy faktycznie przywrócili mu zmysły? Czy nie lepiej spędzić resztę swoich dni jako otepiałe zwierzę? Dać się zastrzelić albo zdechnąć w ciemnej alejce od zakażenia? Dlaczego to ja, głupia artystka czekająca na tytuł z LifeQuestu, miałabym decydować gestem cezara, czy gladiator przeżyje kolejny dzień, czy nie? Czemu próbowałam rozgrzebywać nie swoje rany?

Dobrze wiesz, że nie w tym rzecz, Min – powiedział głos w mojej głowie. – Widziałaś jego pasję, krew na ścianie, łzy. Dzikus nie podda się, bo dotąd nie przegrał. Nikt nie jest w stanie go pokonać.

Nawet on sam.

Zero nachylił się w moim kierunku z zatroskaną miną.

– Chcesz, żebym zawiadomił służby, czy sama...

– On wciąż walczy – weszłam mu w słowo.

– No żeż sucza jego sturba zborsuczona! – Tego przekleństwa mój filtr nie wyłapał. – Min, błagam cię, nie babrajmy się w tym! Agent naraił Kommodusowi sparing z Roller Girl, muszę podkreślić czas reakcji tych mieczyków. Za to mi płacą. Nie jestem już techem Dzikusa. Bo Dzikus nie istnieje. Łapiesz?

Machnęłam ręką.

– Kommodus przegra, RG łyknęła sponsora z Enklawy. Widziałeś jej nowy zaczes? Tak czy owak, Bernard nie zamierza pozostać zdziczały do końca życia. Myślę, że zdaje sobie sprawę ze swoich czynów, na pewnym poziomie. I pragnie zemsty. Zemsty na tej bestii pod swoją skórą.

– O, a my mu ją zapewnimy, tak? – Uniósł brew. – Bo jak nie my, to kto?

– Tak, Zero. – Spojrzałam mu prosto w oczy. – Kto? Wciąż kitrasz jego konsolę, prawda? Wciąż nie poskładałeś tego kodu? Więc proszę, oto twoja ostatnia szansa. Naprawdę odwrócisz się teraz plecami? Co to mówi o twoich zdolnościach, że nie zdołałeś naprawić paru głupich bugów?

Wiedziałam, że gram nie fair. Wchodzenie Zerowi na ambicję przypominało spamowanie tym samym kombosem w V-Combat, bezlitośnie i do skutku.

Nie pomogłabym jednak Bernardowi bez Zera. Jeśli nauczyłam się czegoś po wyzwaniach LifeQuestu, to tego, że dobre chęci i motywacja nie zawsze wystarczą. Czasem trzeba zwerbować do pomocy odpowiednich ludzi.

Zero wpatrywał się w podłogę, kołysząc nogą i przygryzając wargę. W końcu westchnął i odrzucił ulepkę Kommodusa 2.0. Brzęknęła o stół. Z przedramienia

wyskoczył srebrzysty gladius i rozbił kubek po kawie, nim zdekapitował figurkę czarodziejki z kocimi uszami.

– Wzięłaś mi chociaż z ośmiornicą? – zapytał kuzyn zrezygnowanym tonem.

Wyszczrzyłam się triumfalnie, podnosząc torbę z jedzeniem.

– Twoje ulubione.

Zmierzch w Dolnym Mieście. Setki ruchomych światełek rozgwieździły się nad dachami, znacząc windy zwożące dziennych pracowników, wwożące nocnych. Podstawy Enklaw rozszumiały się od odpadów spuszcanych do podziemnej stacji utylizacyjnej. Znajoma mgiełka zanieczyszczeń wpełzła na chodniki, przeganiając wędrowców na podwieszane chodniki i estakady, ku labiryntom kładek łączących łufciki barów, soaplandów i salonów interaków, otwartych o każdej porze dnia i nocy. Po zmroku jedynie desperaci zagłębiali się w ciemnych dolinach ulic bez aromatyzującego helpera czy ulepki-respiratora.

Desperaci oraz – sądząc po naszej dwójce – myśliwi na tropie oszalałego wojownika.

– Tęczę widać – mruknął Zero, podając mi maskę oddechową. – Może dzisiaj nie przylezie? Może poluje na szczury przy Odpływach?

– O czym ty gadasz? – Wskazałam ku wylotowi alejki. – Już tu jest.

Zero podskoczył i cofnął się głębiej pod schody mojego budynku. Klnąc na czym świat stoi, próbował wyłączyć konsolę, żeby jej blask nie zdradził naszej pozycji. Dopiero gdy w panice przyciął sobie palec o komorę baterii, uniósł wzrok – i zobaczył moje policzki, nadęte od wstrzymanego śmiechu.

– Pewnego dnia, Minnesota – pogroził, nie precyzując. – Przysięgam...

Wzięłam wdych z małej zielonej butli. Cokolwiek przyniósł nam Zero „ku przeczyszczeniu płuc”, na bank nie było czystym tlenem. Prędej czymś, co podawał klientom, gdy gmerał im przy nerwach.

Z ust wyrwał mi się niekontrolowany chichot.

– Spokojnie, będzie tu – obiecałam. – Czuję to w kościach.

Zero prychnął, ale nie skomentował.

Czekaliśmy w cieniach, za kulisami miasta, co jakiś czas podając sobie aparaturę oddechową. Niebo nad fabrykami wybieliła luna Areny, organizującej dziś walki helperów dla najmłodszych. Sąsiad w rozpiętej liberii wszedł do budynku, powłócząc nogami. Ulicą przemknęli kolejno: sparszywiały pies z mechanicznym ogonem, oficer służb porządkowych, bangers, bangers, lepnięta na obie nogi (i pewnie nie tylko) cyber-gejsza, ten sam pies po raz drugi. Minęło półtorej godziny, nim ustał ruch i wszystko, co cywilizowane, skryło się w stalowych norach, by złożyć głowy do snu. Nastąpiła godzina drapieźców.

Przysypiałam z wolna na ramieniu Zera, gdy nagle jego ciało zeszytywniało. Senność minęła mi jak za dotknięciem różdżki.

Znajomy-nieznajomy kształt pełznął ku muralowi na gibkich kończynach. Jego koślawy cień snuł się tuż za nim niczym samiec beta podążający za przywódcą stada.

Wyciągnęłam dłoń po konsolę. Zero zawahał się na chwilę.

– Błagam cię, Min. Traf w port – wyszeptał, podając mi kabel złączką do góry.

– A ty odpał fajerwerki na czas. Trzydzieści sekund? Przytaknął.

Start.

Wymknęłam się na ulicę, nie do wykrycia na tłumiących dźwięki podszwach wymontowanych z Wukong D-1000. Dzikus zatrzymał się w pokręconym kucnięciu, jak zawsze mierząc wzrokiem swe waleczne alter ego. Zdarzały się noce, że nie atakował malowidła godzinami, zamaryły w bezruchu. Modliłam się, by dziś zachował się podobnie.

Odliczałam w głowie, podchodząc coraz bliżej, na bezdechu. Jeszcze dziesięć... pięć... trzy... Zwichrzony łeb zaczął się obracać w moim kierunku, zmarszczył się nos, błysnęły kły.

Nagle światłość. Dzikus syknął i skulił się w sobie. Połowa muralu – ta idylliczna, ciepła – rozjarzyła się warstwą elektroluminescencyjnego lakieru, który położyłam tam wcześniej tego dnia. Wystarczyło, że Zero zamknął obwód przyciskiem, a jasność Bernarda Kuchuli oślepiła jego ciemniejszą połówkę. Nie na długo, ale potrzebowałam zaledwie kilku sekund.

Sforsowałam resztę dystansu i pchnęłam złączkę pomiędzy kudły na karku.

Coś się przycięło. Trafiłam w inion-port idealnie, ale boleć nie wszedł do końca. Czyżby gniazdo zarosło brudem?

Dzikus zaszamotał się, teraz już w pełni świadomy ataku. Spanikowana, podcięłam mu nogi hakiem, aby kupić sobie czas na ucieczkę.

Nie przewidziałam, że eks-gladiator upadnie wprost na mnie.

Niedźwiedzi ciężar. Płatanina kończyn i włosów. Odór ciała zatechłego we własnych sokach. Wrzeszczałam, rzucając się po chodniku, pewna, że bestia lada moment wgryzie się w moje trzewia, zgniecie mi czaszkę, okaleczy. Nie, nie, nie!

Zero miłosiernie wytarł mi nos spod cielska i podał gaz. Dopiero po trzecim zbawiennym oddechu zauważyłam, że Dzikus przestał się ruszać. Cokolwiek blokowało port, zostało dopchnięte impetem upadku.

– Działa – oznajmił kuzyn, podniósłszy lekko obitą konsolę. – Ludzkie ustawienia zgrały się do widmo-nakładki. Pełna gotowość.

Skrzywiliśmy się oboje, gdy zarośnięte oblicze drgnęło w spazmie. Spomiędzy warg wyrwał się jęk, który brzmiał jak „...mmiraaa...”, nim usta zamarły na powrót w zwierzęcym grymasie.

Zero przełknął ślinę. Głośno.

– Jesteś... pewna, że tego by sobie życzył?

Wstałam z godnością, chwiejąc się tylko odrobinę.

– Co innego mu pozostało, Zero? Dożywotnia pokuta w więzieniu? Wieczna tortura? Amputacja? – Wskazałam na tydkę, z bliska chorobliwie czarną i wzdętą ropą. – To wojownik. Więc podarujmy mu tę ostatnią walkę. Szansę na zemstę.

– Tak, ale... Min, to symulacja. Nic więcej. Programy szarpiące się o kontrolę.

Spojrzałam na mural, na dwie postacie przemalowane barwami brudnej krwi i anielskiej światłości.

Nie, to coś więcej niż symulacja – pomyślałam. – To wybór. Nie LifeQuestowy jak wszystkie moje wybory, a życiowy. Bernard nie chciał więcej łąć się na Arenie. Chciał przyjąć na siebie rolę odpowiedzialnego męża i ojca. A ta bestia pod czaszką odebrała mu to marzenie.

Czas, by zdecydował za siebie.

Objęłam Zera ramieniem i przyciągnęłam ku sobie. Dotknęliśmy ekranu równocześnie, odpalając skrypt.

Przywrócenie Bernardowi pełni zmysłów wymagałoby długotrwałego mapowania. Jego nanoregulATORY zachowywały się na to zbyt chaotyczne. Przeskakiwały

losowo między starymi ustawieniami, to pobudzając partie mózgu, to znów zostawiając je bez stymulacji. Z naprawionym kodem Zero potrafił na krótko „skupić” je na odpowiedniej konfiguracji, ale – jak wyjaśnił mi wcześniej w warsztacie – „przypominało to wygarnianie wody z tonącej łajby różową łyżeczką do herbaty”. Prędej czy później musiał zwyciężyć żywioł.

Widmo-nakładka skopiowała „ludzki” profil i skryła go w bezpiecznej przystani pamięci. Tym razem nie chodziło jednak o oszukanie systemów szpiegowskich czy malware’u, tak by zamiast sieci neuronowej zaatakowały one fałszywkę. Jedynie w ten sposób „Dzikus” i „Bernard Kuchula” mogli równocześnie zamieszkiwać ten sam umysł. Jedynie w ten sposób morderca oraz żądny zemsty mąż ofiary mogli stanąć naprzeciwko siebie i zetrzeć się w boju.

Konsolę zasnuła śnieżycą błędów. Co rusz wyskakiwała nowa, kolor-kodowana na czerwono linijka, co rusz przepalał się kolejny nanoregulator, ogłupiały od sprzecznych komend. W niczym nie przypominało to walki na Arenie; nie zaprogramowaliśmy sobie wizualizacji, postaci z V-Combat podpiętych pod działania zaczepne, bloki i nokauty. A jednak ciało u naszych stóp skręcało się jak od ciosów w nerki, pot perlił się na szarpanych kurczami mięśniach, a nos broczył wodospadem ciemnej juchy. Bernard boksował się z cieniem, ale nie posiadaliśmy żadnego sposobu, by określić, kto wygrywa. Zupełnie jakbyśmy próbowali śledzić przebieg bitwy, słuchając wiwatów i jęków zawodu pod murami Areny.

Zero wpatrywał się w komunikaty, wyłapując skrawki informacji. Parę razy otwierał usta, chował pod językiem jakąś refleksję, ale ostatecznie nie wypowiedział ani słowa.

Próbowałam nie myśleć o tym, że właśnie morduję mojego idola. To była łaska. Szansa na odkupienie – jeśli coś takiego w ogóle istniało w Dolnym Mieście.

Zaciskałam więc pięści i modliłam się, aby ten ogień Wikingów, który płonął ponoć w jego żyłach, pozwolił mu pokonać największego wroga w karierze. Siebie.

Trudno powiedzieć, jak dużo czasu minęło. Odchodziłam, zmartwiona, w dół ulicy. Wdychałam gaz na otrzeźwienie. Pochylałam się nad ciałem, od którego bił gorący godny przegrzewającego się procesora. Aż w końcu, zupełnie niespodziewanie, Bernard/Dzikus szarpnął się po raz ostatni i znieruchomiał, z oczami wlepionymi w konstelacje Enklaw.

– Co jest? – zapytałam cicho. – Zero, widziałeś...

– Na mnie nie patrz. Chyba padła konfiguracja wilka, a potem *troll* wie. Dycha?

Oblizawałam spierzchnięte wargi. Naraz straszliwie zachciało mi się pić: wody, koktajlu z syntezy, wina, czegokolwiek. Zamiast tego – ostrożnie, jak gdybym miała do czynienia z bombą – podsunęłam dłoń pod usta nieprzytomnego.

Nic.

– Wydaje mi się, że...

Odskoczyłam z piskiem, gdy wojownik zerwał się jak rażony prądem. Wyszarpnięta z rąk Zera konsola roztrzaskała się o bruk.

Podbiegłam do kuzyna i wtuliłam się w niego ze strachem. Ale Bernard/Dzikus nie uszedł daleko. Charknął, zatoczył się i wylądował policzkiem na moim muralu.

Patrzyliśmy z niedowierzaniem, jak drżący, ledwo żywy palec sięga do wymalowanych pleców gladiatora i wytycza na nich jedną krwistą linię, a potem drugą na skos – wielki „X” od łopatek aż po łądzwie. Znak zwycięstwa.

Do oczu nabiegły mi łzy. Bernard uśmiechnął się w świetle lakieru do podobizny Amiry, po czym złożył się w sobie niczym rzucona w kącie zabawka. Więcej się nie podniósł.

Niewiele pamiętam z tego, co działo się później. Wiem, że Zero zanurkował do Sieci i zawiadomił służby porządkowe. Jakimś sposobem znalazłam się na schodach mojego budynku, wpatrując się w dłonie. Małeńki pieg krwi znaczył dolinę między kłykciami. Pocierałam go kciukiem, ale za nic nie schodził.

Kilka osób wbiegło na ulicę, zrobiło się małe zamieszanie. Zero powiedział im coś o Bestii z Dolnego Miasta. Głowy w hełmach pokiwały ze zrozumieniem. Podjechał furgon. Zwłoki zniknęły. Plamka na mojej skórze – nie.

Chłód szarówki zmienił wilgoć na moich policzkach w skorupę lodu. Zero zniknął w środku, wspominając coś o przehakowaniu syntezatorów na autobar; o domowym przepisie na brandy. Nie protestowałam.

Uniosłam wzrok, gdy trzasnęły za nim drzwi wejściowe. Przed murałem stała wysoka kobieta z platynowym irokezem, rozglądając się z niedowierzaniem po śladach krwi na chodniku. Pośrodku jej czoła lśnił Augenblick.

– Weryfikatorka? – zapytałam, gdy podeszłam bliżej.

– Skąd pani wiedziała? Czy to pani...

– Szósty zmysł – ucięłam prędko. Skinęłam brodą ku ścianie. – Wrażenia?

Milczała przez dobrą minutę, rejestrując zapewne każdą warstwę farby, elektroluminescencji, wydzielin. Czekałam cierpliwie, nawet nie patrząc w jej kierunku.

– Nie jestem pewna, czy to w ogóle podlega ocenie – odpowiedziała w końcu z wahaniem. – Poziom skomplikowania, styl, emocje; kupuję to jak najbardziej, ale... Widziała pani, jak kręciły się tu służby? Pod tą ścianą ewidentnie kogoś zamordowano! Dzieło jest całkiem zniszczone!

Spojrzałam na Dzikusa, raz na zawsze przekreślonego, wyłączanego z gry jego własnym symbolem.

Spojrzałam na Bernarda Kuchulę, lśniącego nawet bez specjalnych lakierów, złączonego z żoną na wieki.

Na sztukę, która spotkała się z życiem w pięknej tragedii.

– O nie – odparłam z uśmiechem. – Wszystko wygląda tak, jak powinno.

Odwróciłam się i dumnym krokiem pomaszero wałam do swojego budynku. Wiedziałam już, że niezależnie od tego, czy ktoś zaliczy mój LifeQuest, czy odetną mnie od kroplówki i skażą na klepanie biedy, nadal chcę zostać artystką. Skoro dotarłam do jednej zagubionej duszyczki, mogłam dotrzeć do milionów. Skoro opowiedziałam jedną historię, setki z nich wciąż pozostało nieopowiedzianych. Wystarczyło otworzyć oczy – i obiektyw – na świat.

Zero czekał w holu z dwoma kubkami brandy. Wychyliłam swój na raz, rzuciłam plastik do kosza, po czym chwyciłam cherlawe ciało kuzyna w uścisku. Poklepał mnie po plecach, starając się nie rozlać własnej porcji alkoholu.

– Nadal masz tę wejściówkę VIP? – zapytałam, odsuwając się na długość ramienia.

Wyszczrzył się przebiegle.

– Jestem w końcu, *wiedźma*, ważną osobistością, nie?

– Świetnie, to zadek w troki. Na Arenie zaczyna się poranny show, a dziś są, zdaje się, moje urodziny. Daj mi tylko skoczyć po imager.

AGNIESZKA MOHYŁOWSKA

W OGRÓDZIE BOGA

Jedynym źródłem światła w pokoju był duży kineskopowy telewizor. Na jego ekranie zgromadzeni pod sceną ludzie podskakiwali rytmicznie do muzyki. Ewa leżała wtulona w córeczkę, ale usiadła na łóżku, słysząc dochodzące zza ściany skrzywienie. Prowadzące na piętro drewniane schody ugięły się pod ciężarem wtaczającego się po nich ciała. Ewa wciąż miała nadzieję, że minie ono pokój, w którym się ukrywały. Sięgnęła po pilota, aby ściszyć dźwięk, ale było już za późno – klamka się poruszyła. Zamknięte na klucz drzwi na chwilę zatrzymały intruza, jednak klamka znów powędrowała w dół, tym razem szybciej i z większym impetem, wydając z siebie głuchy trzask.

– Otwórz – wybełkotał głos.

Ewa wbiła wzrok w srebrny ekran. Przystojny mężczyzna w garniturze i kobieta w eleganckiej sukni uśmiechnęli się do kamery.

„Szanowni Państwo, wielkimi krokami zbliża się północ. Już za moment powitamy rok dwutysięczny” – oznajmił prowadzący.

Załomotały drzwi.

– Otwieraj, do cholery!

„Zaczynamy odliczanie! Dziesięć!” – zawołała prowadząca.

Drzwi przyjęły kolejny cios.

„Dziewięć!” – w odliczanie włączyła się cała publiczność.

– Gdzie jest, kurwa, szampan?!

Ewa złapała się za brzuch, w którym poczuła palący ból.

„Osium!” – jak gdyby nigdy nic kontynuowano odliczanie.

Pięści waliły rytmicznie o drzwi. ŁUP, ŁUP, ŁUP – coraz mocniej i napastliwiej.

„Siedem! Sześć!”. Uśmiechnięci ludzie machali do kamery.

Drzwi zatrzęły się w zawiasach. Ewa modliła się, aby wytrzymały jeszcze chwilę, aż on zmęczy się i pójdzie spać. Brzuch bolał ją coraz bardziej. Fala gorąca wędrowała z pępka ku górze i okropnie piekła.

„Jeden!!! Szczęśliwego Nowego Roku!” – wybrzmiało z całą mocą, a ekran telewizora rozjaśniły płonące na niebie fajerwerki. Ogień we wnętrzu Ewy również płonął i pozostawiał po sobie zgliszcza.

– A księdzu się nie nudzi? Tak cały dzień przy tych rzeźbach siedzieć? – zapytała przygarbiona kobieta ubrana w kwiecisty fartuch. Tacę, którą trzymała w rękach, położyła na dębowym stoliku.

– Pozwalają mi lepiej zrozumieć naszego stwórcę – odpowiedział staruszek, nie przerywając ciosania w drewnie.

– Te paskudne muchy całe księdza obsiadły. Pójdę po łapkę.

– Nie trzeba. Niech sobie żyją, ja i tak za chwilę zabieram się za wieczorne kazanie.

– Obiad może ksiądz zjeść w ogrodzie. I niech ksiądz napisze coś naprawdę od serca. Taka młoda i takie piękne, niewinne dziecko. Wielka tragedia – westchnęła gosposia. – Gdyby tylko ksiądz...

– Anielo – przerwał jej. – Żadne cierpienie nie idzie na marne i ostatecznie nawet zło popycha nas w kierunku dobra. Tego uczyliśmy w Ciermiaszynach. Trzeba przyjmować to, co przynosi los, bo Bóg ma plan dla każdego człowieka.

– Tylko czasem tak mi ich szkoda. Tyle już Bóg pomieścił w tej naszej wiosce zbłąkanych duszyczek, to czemu by nie przyjąć jeszcze kilku.

– Czas układa wszystko na właściwych miejscach, każdy kiedyś znajduje własne przeznaczenie, ale nie zawsze są nim Ciermiaszyny. Niekiedy to jedynie przystanek podczas dłuższej wędrówki.

– Ale może ksiądz jeszcze zmieni zdanie co do tej dwójki? – spytała, wpatrując się w jego nieprzeniknione jak zwykle oczy. – Po co mają się tak męczyć? Szukać i błędzić wciąż na nowo i nowo. Toż to przecież dzieci boże...

– Niech Aniela spojrzy na te rzeźby – powiedział, wodząc wzrokiem po otaczających go drewnianych sylwetkach. – Poddają się woli swojego twórcy. Cierpliwie czekają, bo każde uderzenie dłuta przybliża je do doskonałości.

– Ale też boli, piekielnie boli! Odkąd tutaj pracuję, próbuję to wszystko rozgryźć, wie ksiądz, to ludzkie cierpienie. – Przystanęła obok kawałka nieociosanego drewna i czule pogładziła go dłonią. – A kto to będzie tym razem?

– Wszystko w rękach Najwyższego – wyszeptał, a potem zerknął na zegarek. – Wielkie nieba! Już prawie trzecia. Ale mnie Aniela zagadała!

– Daleko jeszcze?

Załadowany kartonami samochód wolno posuwał się po wąskiej, pełnej dziur drodze.

– Widziałaś znak? Ściemnia się, a nie chcę, żeby jakaś sarna wyskoczyła nam przed maskę. W tych lasach mieszka sporo zwierząt: sarenek, dziczków, lisek, króliczków... – Ewa zaczęła wymieniać.

– Zajączków – poprawiła ją Marysia. Z przyrody zawsze dostawała piątki.

– Jeśli dopisze nam szczęście, to może jakiś zajaczek zamieszka w naszym ogródku i będziesz mogła... – przerwała, wyjęzając wzrok. Przez te wszystkie lata wiele się tu zmieniło. – O widzisz! Tam na końcu drogi, te pierwsze domki to już Ciermaszyny.

– A my przy jakiej ulicy zamieszkamy?

– To mała miejscowość z jedną główną ulicą, bez nazwy. Mam nadzieję, że trafimy. Ciocia Bogusia mieszkała zaraz obok kościoła, a jego nie sposób przeoczyć.

Jednak na wszelki wypadek Ewa odszukała w dokumentach numer domu. Wspomnienia z dzieciństwa były jak spowity mgłą sen.

– Ale my nie chodzimy do kościoła – zaprotestowała Marysia.

– Może w tym nowym życiu powinniśmy. Bóg nas chronił, że cudem... – zawiesiła głos, bo oczy nieoczekiwanie zalśniły jej łzami. Pochłonięta widokami za szybą Marysia na szczęście niczego nie zauważyła.

– Jakie śliczne – westchnęła.

Właśnie jechały wzdłuż szeregu nowo wybudowanych domów, ogromnych, nowoczesnych rezydencji przypominających nieskażone ludzką bytnością budynki z katalogów.

– Kiedyś było tu inaczej. – Ewa również się rozejrzała.

– A to? Mamo, co to jest?

– Kościół. Prawie jesteśmy na miejscu.

– Ale to? – Wskazała palcem. – Czy to anioły?

Ewa przyhamowała, a jej wzrok podążył za wyciągniętą ręką dziewczynki. Z wysokiej trawy i krzewów

przykościelnego ogrodu wystawały ułożone z kamieni amorficzne instalacje, metalowe krzyże oraz utrwalone w drewnie ludzkie sylwetki, rzeźby zastygłych w ruchu postaci dzieci i dorosłych.

– Jakie anioły?

Marysia się zawahała.

– Nie wiem, to chyba były tylko ręce.

Ewa skręciła w szeroki wjazd sąsiadującego podwórka, zatrzymała samochód i wysiadła, by otworzyć maszyną bramę.

– No to... – Chciała oznajmić, że już dojechały, ale zamilkła, wpatrując się w widoczny za metalowymi kratami ogrodzenia dom. Na furtce wisiała tabliczka z wytłoczoną dwunastką, więc dotarły pod właściwy adres, jednak miejsce wydało się Ewie zupełnie obce. Szczególnie dom. Jakby widziała go po raz pierwszy. Co prawda przez wiele lat wynajmowała go parafia, lecz Ewa inaczej wyobrażała sobie od śmierci ciotki nieremontowany budynek.

– Chcę spać tutaj, a nie w hotelu!

Zanim Ewa zdążyła zaprotestować, drzwi pasażera otworzyły się i Marysia pobiegła przez podwórko, a potem po schodach wspięła się na obszerny ganek. Ewa zgasiła silnik i chwyciła torebkę. Zjawiły się przed umówionym z proboszczem czasem, a nawet nie miały kluczy.

– Pójdziemy na plebanie po klucze! – zawołała do Marysi, zamykając samochód.

Gdy trzasnęły drzwi, poczuła na ramieniu dotyk.

– Dzięki Bogu... – wyszeptał kobiecy głos za jej plecami.

Ewa odwróciła się, napotyając szare oczy nieznanym, spojrzenie przeszywające ją na wylot. Przygarbiona kobieta w kolorowym fartuszkach stała tak blisko, że prawie dotykała nosem jej twarzy. Ewa domyśliła się, że to gospodyni księdza.

– No i ostatecznie do nas trafiłyście. Proboszcz to taka wspaniałomyślna istota, pomoże nawet w beznadziejnych przypadkach. Dogadaliście się, prawda? – zapytała.

– Oczywiście – niepewnie potwierdziła Ewa.

Nie wiedziała, dlaczego miałyby to być problem. Prawnie dom wciąż do niej należał i mogła wypowiedzieć umowę najmu, kiedy tylko chciała.

– Początkowo trudno było go przekonać – kontynuowała kobieta tonem najwyższej ekscytacji, by po chwili przejść do opowieści o tym, jak ksiądz proboszcz pozwolił jej zaprosić do Ciermiaszyn wycieczkę szkolną, uczniów oraz nauczycieli, których autobus pobił w lesie.

Ewa przytakiwała z grzeczności, niewiele z tego rozumiejąc. W międzyczasie zrobiła ukradkiem dwa kroczki w tył, odzyskując część skradzionej przestrzeni osobistej. Jednak jedynie na moment, bo kobieta zaraz się przysunęła.

– Długo pani pracuje jako gospodyni? – zapytała, jak tylko kobieta złapała chwilę na oddech.

Z odmętów pamięci Ewa próbowała odgrzebać jakieś wspomnienia z czasów, gdy tutaj mieszkała, lecz twarz stojącej przed nią kobiety w ogóle się w nich nie pojawiła.

– Od zawsze. – Uśmiechnęła się, odsłaniając mleczno-białe zęby, których pozazdrościłaby jej niejedna nastolatka. – I nie pani, tylko Aniela. Będziemy miały czas się poznać, jeśli mnie nie pamiętasz. – Jakby czytała Ewie w myślach. – Oprowadzę was w zastępstwie za proboszcza. Biedaczek utknął nad kazaniem, ale to ja przygotowałam wszystko na wasz powrót.

– Poradzimy sobie – zapewniła ją Ewa, zerkając na Marysię uwieszoną na klamce frontowych drzwi. – Jestem trochę zdezorientowana wyglądem domu, myślałam, że zastanę go w gorszym stanie.

– Och, ksiądz nie mógł pozwolić, by popadł w ruinę. On tak ceni to miejsce.

– To tutaj odbywały się zajęcia dla dzieci? – spytała, wspominając uzgodnione przed laty warunki najmu. Wtedy bardzo jej odpowiadał, bo sypiącej się parterówki, w której zmarła staruszka, nikt nie chciał kupić. Nie sądziła, że kiedyś przyjdzie jej znów w niej zamieszkać.

– W jednej z salek. Zresztą oprowadzę was i same zobaczycie.

– Jestem wdzięczna, że zajęliście się domem mojej cioci, ale jeśli będzie trzeba za coś zapłacić...

Na myśl, ile pieniędzy pochłonęło odnowienie budynku, zaszczo jej w ustach. Niewiele zabrała ze sobą z dawnego życia: trochę oszczędności, kilka walizek ubrań i szpargałów oraz pożerającego benzynę starego grata.

– Nie zwracaj sobie tym głowy, kochana. Parafia dba o ludzi, a ludzie to też i miejsca, z którymi są nierozdzielnie związani. Czym byśmy byli bez swojego skrawka ziemi? Zresztą pewnie wiesz, co mam na myśli.

– Ciocia kochała ten dom. – Ewa się zamyśliła, wspominając ukochaną krewną.

Gdyby nie ona, nie wiadomo, co stałoby się z tą dziewczynką, którą kiedyś była. Ciotka przygarnęła ją i wychowała, kiedy rodzice utracili do niej prawa. – Była wspaiałą osobą – dodała po chwili.

– Cudowną duszą – przytaknęła gospodyni. – Ciągłe mi się zdaje, że przechadza się po ogrodzie tak jak za życia. Zagląda do każdego kąta, czegoś szuka, a czasem skrywa coś i pilnuje.

– Mamo, wchodzimy do środka? – Z ganku dobiegło wołanie Marysi.

Kobieta skoczyła ku furtce, otwierając ją na oścież.

– Poradzimy sobie – stwierdziła Ewa. – Jesteśmy nieziemsko zmęczone i nie chcemy też nadużywać pani gościnności – powiedziała, wpatrując się w klucze spoczywające w zaciśniętej dłoni kobiety. Rzeczywiście

były wykończone podróżą, ale przede wszystkim Ewa chciała uniknąć dalszej męczącej pogawędki.

– W końcu jesteście u siebie. – Gospodyni uśmiechnęła się cierpko i przekazała klucze.

Ewa ze zmęczenia ledwo trzymała się na nogach. Pracy wciąż przybywało, jakby właśnie wprowadziła się do wielkiej metropolii, a nie do wioski na końcu świata. Do kliniki zgłaszały się rzesze pacjentów. Każdy potrzebował nowo założonej karty, rezerwacji terminu w przepelnionym kalendarzu doktora Milczka i nade wszystko pilnej pomocy psychologicznej. Poradnia działała w części charytatywnie, lecz ilość chętnych wciąż Ewę zadziwiała. Mieli klientów ze wszystkich regionów Polski.

Mimo wszystko lubiła swoją nową pracę jako rejestratorka medyczna. Całkiem dobra pensja pozwalała opłacić rachunki i urządzić sypialnię oraz pokój Marysi. Nie byłoby najgorzej, gdyby tylko samochód nie rozkraczył się w najmniej spodziewanym momencie. Staruszek miał swoje lata, lecz wierzyła, że pojeździ jeszcze parę następnych. Usłyszane u mechanika, brzmiące jak wyrok słowa „uszczelka pod głowicą”, wypompały z jej płuc niemal całe powietrze.

Samochód tymczasowo spoczął pod drzewem na podwórku, więc skończywszy pracę, szła piechotą do domu, potykając się o własne nogi. Gdy ujrzała w oddali strzeliste wieżyczki, zagryzła wyschnięte wargi. Usytuowany na wzgórzu kościół był najwyższą budowlą we wsi, punktem orientacyjnym dla tych, którzy pobłądzili, skądś wracając lub dokądś odchodząc. Każdego słonecznego dnia jego cień padał na okolicę, przypominając wszystkim o boskiej wielkości, sile wyznaczającej zasady ludzkiego istnienia.

Na ulicy robiło się już szaro i chłodno. Ewa zapięła kurtkę i przyspieszyła kroku. Była prawie na miejscu, przechodząc obok rozświetlonego latarniami ogrodu Boga. Tak nazywała go w dzieciństwie, kiedy, jak to dziecko, wierzyła, że Bóg naprawdę mieszka w kościele. Teraz jednak miejsce to przypominało jej bardziej cmentarz niż ogród. Krzyże i skryte w półmroku rzeźby budziły niepokój. Zatrzymała się, przypominając sobie obejrzany kiedyś film o kobiecie pogrzebanej za życia. Leżała sparaliżowana w trumnie przykrytej ziemią, wsłuchując się w jęki i głosy wołających ją po imieniu umarłych, siłą woli walcząc z ciemnością, która próbowała ją pochłonąć.

Ewa wzdrygnęła się. Powinna jak najprędzej minąć ten przeklęty ogród, jednak coś trzymało ją w miejscu. Zaszleściły świerki rosnące równo pod płotem, a w odgłosach szumiącego między koronami drzew wiatru dało się słyszeć ciche wołanie. Ewa obejrzała się, ale na ulicy nie było widać żywej duszy. Świerki znów zaszumiały, a wraz z nimi Ewa ponownie usłyszała swoje imię. Wydawało jej się, że to ciocia Bogumiła woła ją tak jak przed laty, gdy Ewa była małą dziewczynką. Pchnęła niską metalową furtkę i weszła do ogrodu. Wiedziała, że to nie mógł być ludzki głos, a już na pewno nie nieżyjącej od lat ciotki, jednak w pewien niepojęty nawet dla siebie sposób czuła jej obecność. Jakby Bogusia wciąż tam była, obserwowała ją z daleka, nie umiając wyrazić, jak bardzo cieszy się z jej powrotu.

Ewa przechadzała się zarośniętymi trawą alejkami, a wypełniający ją wcześniej lęk i stres ustąpiły. W sercu poczuła bezbrzeżny spokój, harmonię, którą promieniowały również otaczające ją zewsząd drewniane twarze. Rzeźby kobiet i mężczyzn młodych i starszych oraz większych i mniejszych dzieci zamieszkujących boży

ogród przyglądały jej się, lecz bez większego zainteresowania, prawie z obojętnością. Pochłaniały ich sprawy ważniejsze niż ludzkie życie.

Ewa nie wiedziała, który z urzędujących w ciermiaszyńskiej parafii księży zapoczątkował tę artystyczną tradycję. Zdawało się, jakby ogród Boga znajdował się tutaj od zawsze i miał trwać wiecznie. Obecny proboszcz swoimi rzeźbami próbował uchwycić efemeryczność życia w małej miejscowości i ducha wiejskich ludzi, a przynajmniej tak słyszała w klinice. Tworząc, nie wzorował się na konkretnych osobach, ale kiedy Ewa przechadzała się między rzeźbami, dostrzegła znajomą dziewczynkę. Długie falowane włosy okalały jej dziecienną twarzyczkę z drobnym noskiem i przymkniętymi oczami. W złożonych na piersi rączkach trzymała zeszyt. *Jakby właśnie wróciła ze szkoły* – pomyślała Ewa i przez dłuższą chwilę przypatrywała się jej ustom, na wpół otwartym wargom próbującym wyrzec ostatnie słowa, zanim zamilkły na wieki. Jakże to mogły być słowa? Co próbowała powiedzieć jej ta dziewczynka? Jaką wyjawić tajemnicę?

Ewa przypomniała sobie, że dziewczynka fascynowała ją już dawno, kiedy jeszcze sama chodziła do szkoły. Wracając do domu ciotki, czasem zaglądała do ogrodu Boga, by przywitać się z bezimienną przyjaciółką, która zawsze tu na nią czekała, gotowa wysłuchać wszystkiego, czego Ewa bała się powiedzieć jakiegokolwiek żywej istocie. Dziewczynka stała się powierniczką jej najskrytszych sekretów, rozumiała ją jak nikt inny, a nawet z czasem Ewa zaczęła zauważać, że w pewien sposób przypomina jej ją samą. Wyglądały bardzo podobnie, niemal jak rodzone siostry.

Ewa uśmiechnęła się na to wspomnienie i jakaś niespodziewana czułość zawładnęła jej sercem. Jakby chciała się przywitać, wyciągnęła rękę ku swojej dawnej przyjaciółce.

– A jednak po ciebie wróciłam – powiedziała, kładąc dłoń na jej złożonej na piersi, chłodnej i wilgotnej od rosy rączce. I nagle odskoczyła od niej jak poparzona, ogniste języki polizwały jej wnętrze i coś chwyciło ją za gardło, kiedy pod dłonią dziewczynki poczuła regularny puls bijącego serca.

Marysia pozdrowiła grzecznym „dzień dobry” przechodzącą po drugiej stronie ulicy kobietę, która już z daleka przyjaźnie się do niej uśmiechała. Mieszkańcy Ciermaszyn byli wyjątkowo mili i wydawali się wieść cudownie idealne życie. Pomimo tego Marysia czuła się tu źle, jak obcy należący do zupełnie innego świata. Podobnie było w szkole. Uczniowie dobrze się znali i choć nie dawali jej tego odczuć, była jak piąte koło u wozu. Z nikim nie nawiązała bliższej relacji, wszyscy tylko powierzchownie wymieniali z nią uprzejmości. Miała wrażenie, że obawiają się, że niedługo i tak wyjedzie z Ciermaszyn, wracając tam, skąd przybyła, więc nie warto było się do niej przywiązywać. Zresztą, raz podsłuchała jednego starszego chłopaka mówiącego, że „tej nowej daje górę miesiąc, bo takie jak ona długo nie zagrzewają tu miejsca”.

Była niemal pewna, że mówił o niej i pragnęła zapaść się pod ziemię. Gdzieś w głębi serca zawsze wiedziała, że jest jakaś inna, lecz dotąd ludzie nie zdawali się tego dostrzegać. Teraz poczuła, jakby ktoś odkrył jej najpilniej strzeżony sekret. Marzyła, by uciec daleko stąd, choć tak naprawdę nie miała pojęcia, dokąd mogłaby się udać. Z ojcem bała się zamieszkać, a dziadków znała jedynie z opowieści, więc na razie musiała zadowolić się ucieczką ze szkoły.

Zamiast do niej pójść, włóczyła się po okolicy, czekając, aż mama wyjdzie z domu do pracy. Wtedy planowała niepostrzeżenie wrócić do swojego pokoju i zagrzebać się głęboko w kołdrze aż do południa. Niestety mimo wczesniej godziny na wąskich uliczkach Ciermaszyn było więcej ludzi, niż się spodziewała. Wiele par akurat wybrało się na spacer i Marysia nie mogła ryzykować, że za dużo ludzi ją zobaczy. Ktoś z nich mógł akurat znać jej mamę. Potrzebowała jakiegoś niezatłoczonego miejsca, cichego zakątka, by się w nim ukryć. Zawróciła w kierunku kościoła. Tam przeszła przez otwartą bramę i usiadła na jednym z kamieni w ogrodzie Boga. W szkole wszyscy tak nazywali to miejsce, ale jej ta nazwa wcale nie przypadła do gustu. Jeśli Bóg naprawdę miałby swój ogród, to na pewno nie byłby tak ponury jak ten. Marysi nie podobały się też drewniane dzieci stojące nieruchomo w cieniu starego kościoła. Miały takie smutne spojrzenia, nieustannie wpatrzone w dal oczy, odwrócone od ciszy i spokoju ogrodu, którego bujna roślinność skrywała je przed chaosem i nieprzewidywalnością świata. Tutaj były całkowicie bezpieczne, lecz także i bezgranicznie samotne.

Marysia patrzyła na ich twarze i wyobrażała sobie, do kogo kiedyś należały. Jacy byli ci ludzie? Z plecaka wyciągnęła pierwszy lepszy zeszyt oraz ołówek i na kolanie zaczęła szkicować ten przedziwny zakątek uspionych w drewnie ludzi. Rysowała z przejęciem, starając się oddać wszystkie szczegóły, kiedy ogarnęło ją niespodziewane zmęczenie i senność. Na chwilę przymknęła oczy i otoczyła ją ciemność, w którą stopniowo coraz głębiej się zanurzała. Czuła błogi spokój i odprężenie. Ciężkość ciała powoli zniknęła, odpływały myśli. Do snu kołysał ją szumiący w świerkach wiatr. Zaszła już tak daleko, że przestała czuć własny oddech, gdy nagle usłyszała kroki.

Wybudziła się i otworzyła oczy – to była mama. Stała blisko i patrzyła wprost na nią. Miała pogodną twarz i uśmiechała się jak nigdy.

Marysi kamień spadł z serca. Czowała, jakby nie widziały się przez wieki.

– Odnalazłaś mnie – powiedziała, ale żadne słowa nie wydostały się z jej ust. Nie drgnęła nawet warga. Chciała się poruszyć, ale ciało nie reagowało. – Mamo! Mamo! – krzyczała bezgłośnie, przerażona. Z bezsilności zaczęła płakać. Czowała, jak łzy wsiąkają w jej drewnianą twarz, a niektóre spadają niżej, tocząc się po zastygłej w bezruchu piersi. Nie mogła zrobić nic, tylko płakać i patrzeć, jak jej mama odchodzi, a potem znika za drzwiami kościoła.

– W czym ci pomóc, dziecko?

– Właściwie to nie wiem. Nie wierzę, by ktokolwiek był w stanie mi pomóc.

– Kiedy ostatni raz byłaś u spowiedzi? – zapytał ukryty w konfesjonale staruszek.

– Bardzo dawno temu odeszłam od Boga. Winiłam go za wszystko, co mnie spotykało.

– Każdy na tej ziemi cierpi, dziecko. Nawet sam Bóg dał się ukrzyżować, aby oczyścić ludzi z grzechów.

– Czuję, że zawiodłam swoją córkę. Niczego tak nie pragnęłam, jak tego, by miała szczęśliwe dzieciństwo, a spotkało ją dokładnie to, co mnie. – Oddychała coraz szybciej, dusiło ją poczucie winy. – To wszystko przeze mnie – załkała w końcu, a później łzy popłynęły jej ciurkiem.

W pustej świątyni pierwszy raz wypowiedziała na głos swój wstydlivy sekret, przez długie lata palącą wewnętrzną tajemnicę o przemoc, której doświadczyła

najpierw od rodziców, a potem od męża alkoholika. Była ofiarą i bardzo się tego wstydziła przed innymi ludźmi, ale przede wszystkim przed sobą i Bogiem.

– Bóg doświadcza człowieka, by jego dusza mogła stać się lepsza, doskonała na podobieństwo swojego stwórcy. Przeznaczono ci drogę pełną cierni, ale cel już blisko, nie poddawaj się, a odnajdziesz spokój – odpowiedział kapłan i trzy razy zapukał w konfesjonał.

Ewa wstała z kolan, czując, jak z jej ramion znika ciężar dawnego życia, przeszłych win i zmartwień. Wychodząc z kościoła, wstępowała na nową ścieżkę, na której stare rany nie przysparzały już cierpienia, a były jedynie pamiątką trudnej nauki. Przechodząc przez boży ogród, posłała delikatny uśmiech jednej ze stojących tam rzeźb, trzymającej zeszyt dziewczynce z rosą na policzkach. Od zawsze kogoś jej przypominała. Pomachała też cici Bogusi rozmawiającej przy płocie z panią Anielą, a potem poprawiła plecak oraz przyciasną już koszulę i kamizelkę mundurka z wyszytą tarczą szkoły podstawowej. Ostatnio przybrała na wadze, a ukryte pod ubraniem siniaki stawały się coraz mniej widoczne. Powoli wracała do siebie.

Przez ławki przeszedł niespokojny pomruk. Niecodziennie ludzie zderzają się z taką tragedią. Ołtarz przybrany liliami i czarnymi wstążkami rozświetlało blade światło świec i małych latarenek.

– Tak naprawdę nigdy nie odchodzimy – rozpoczął z powagą ksiądz. – Wszystkich nas łączy biegnący czas. Najdoskonalszy zamysł boży. Oprócz niego wszystko ma swój początek i koniec – rzekł, a w oczach siedzącej w pierwszej ławce Anieli załśniły łzy wzruszenia. Nawet

proboszcz zwrócił jej ostatnio uwagę, że staje się coraz bardziej ludzka. – Zmarli zawsze są tuż obok, choć czasem skupieni na własnej wędrówce wcale nas nie zauważają. Są przekonani, że to właśnie ich droga jest tą jedyną, właściwą, prawdziwą.

Aniela usłyszała za plecami czyjeś szepty.

– Okropna śmierć – stwierdziła jedna z kobiet.

– Tak spłonąć żywcem we własnym domu. Matka i córka... – dorzuciła druga.

– A od czego się zapaliło? – zapytała trzecia.

– A bo ja wiem. Mówią, że zaproszenie ognia papierosem. Znaleźli też szczątki mężczyzny i popielniczkę.

– Pewnie zasnął z petem. Wiesz, jak jest...

– Straż nie zdążyła?

– W Sylwestra mieli masę zgłoszeń, a wokół sąsiedzi wszyscy poza domem.

– Biedactwa!

– Ciii! – uciszyła je Aniela i na powrót wsłuchała się w kazanie, nad którym proboszcz tak ciężko dziś pracował.

– Podobało się Anieli? – zagadnął ją po mszy, kiedy wracali na plebanie.

– Tak ksiądz pięknie opowiadał o czasie. Do skutku powtarza ludziom swe nauki, a oni ciągle nie chcą słuchać. – Pokiwała głową, jakby pragnęła podkreślić słuszność swoich słów. – Taka cicha ta nasza Marysia – powiedziała, gdy wyszli z kościoła do ogrodu, a w oddali przy wysokich świerkach dało się zobaczyć rzeźbę dziewczynki z zeszytem.

– Spokój jej duszy – rzekł proboszcz, nakładając na głowę biret. – Stwórca łaskawie uleczył ją z trudów wiecznej wędrówki.

– A żeby tym innym zbłąkanym duszyczkom dało się tak szybko pomóc – zamyśliła się Aniela. – Coraz ich

więcej przybywa do naszego doktora Milczka. I coraz więcej tych najbardziej zagubionych.

– Przyjdzie na to czas – odpowiedział, ruszając między zarośnięte trawą alejki ogrodu Boga.

SARA OSIECKA

POTWÓR POD ŁÓŻKIEM

Czego się spodziewasz, kiedy wracasz do domu? Pewnie chcesz, żeby wszystko było tak, jak to zostawiłeś przed wyjściem. Każdy bibelot na swoim miejscu, cisza, zapach ostatniego gotowanego dania i domowa atmosfera.

Właśnie atmosfera uderzyła mnie, gdy wróciłam do swojego mieszkania 21 sierpnia z drugiej zmiany w pracy. Była już 22:10 i przekręcenie klucza w zamku drzwi było w tym dniu jednym z najbardziej wyczekiwanych wydarzeń. Gdy tylko przekroczyłam próg, moja ręka automatycznie powędrowała do włącznika światła, a w międzyczasie zrzuciłam buty byle jak, torba wylądowała na ziemi. Zamknęłam za sobą drzwi na klucz. Koniec rytuału. Już miałam iść do lodówki po coś do picia i rzucić się na łóżko w sypialni, po raz ostatni przejrzeć Facebooka i iść spać, ale...

Atmosfera była inna, niż się spodziewałam. Trudno to wytłumaczyć, ale choć patrzyłam na ściany i meble, które znałam od lat i wiedziałam o tym, miałam nieodpartą wrażliwość, że jestem w obcym domu. Zaczęłam nasłuchiwać. Myślałam, że to wrażenie może być spowodowane obecnością jakiegoś intruza. Co prawda szansa była mała, bo drzwi były zamknięte i na oko wszystko było na swoim miejscu, jednak doświadczenie wyniesione z setek filmów kazało mi zachować (co prawda absurdalną) ostrożność.

– Mamo, to ty? – usłyszałam zza drzwi po mojej lewej.

Ciarki przeszły mi po plecach, ale zajrzałam do pomieszczenia. Ciężko było coś zobaczyć w półmroku, ale widziałam, że dziewczynka w łóżku siedzi z kołdrą zaciągniętą pod brodę. Światło z korytarza odbijało się w jej oczach.

– Zapal światło – poprosiła szeptem.

Spełniłam prośbę i zamarłam na widok jej oczu wypełnionych strachem. Były identyczne jak moje, nawet charakterystyczna kropeczka, rodzaj pewnej wady, na błękitnej tęczówce. Mysie włoski wyglądały, jakby strzelił w nie piorun.

– Co... – zaczęłam, ale mi przerwała.

– Pod moim łóżkiem jest potwór – wyszeptała, patrząc mi prosto w oczy.

Zrobiło mi się zimno i gorąco jednocześnie. To to wyczułam? Poważnie ktoś był w tym pokoju?

– Widziałaś go? Coś ci zrobił?

– Sprawdzisz, czy nadal tam jest? Proszę, proszę, proszę...

Zaciągnęła kołdrę na głowę, jakby nie chciała patrzeć, jak tajemnicza moc spod łóżka wciąga mnie i rozszarpuje na kawałki.

– Dobrze, sprawdzę, jeśli to ci pomoże zasnąć, ale nic tam nie będzie. – Sama nie wiedziałam, czy chcę przekonać bardziej ją czy siebie.

Powoli podeszłam do łóżeczka, wyjątkowo ładnego – z drewnianą ramą, grubym materacem i pościelą we wzór róż. Idealne dla małej księżniczki. Kontrolnie zerknęłam na boki. Biurko, komoda, skrzynia z zabawkami. Na podłodze skarpetki bez pary, kilka kredek, koraliki z zerwanej bransoletki. Typowy dziecięcy pokój. W typowych dziecięcych pokojach nie ma obcych ani potworów, prawda?

Powoli uklęknęłam przy łóżku. Bałam się. Zerknęłam na delikatną istotkę na łóżku. Siedziała bez ruchu zakryta

kołdrą, jak zaspą o ludzkim kształcie. Uniosłam opadającą za materac prześcieradło i pochyliłam, żeby zerknąć pod łóżko. *Nic tam nie będzie* – powtarzałam w myślach jak mantrę. Zajrzałam.

Poczułam, jak moje serce na chwilę staje, a potem rusza ze zdwojoną siłą. Pot zrosił moje czoło, a pęcherz wypełnił się w jednej sekundzie. Choć miałam niejasne przeczucie, tak naprawdę nie wierzyłam, że coś zobaczę.

Coś czaiło się pod łóżkiem. Nie widziałam dokładnie, co to było, ale niemal całą przestrzeń pod łóżkiem wypełniało coś, co przypominało bryłę cienia. Nawet światło z żyrandola nie mogło go osiągnąć ani rozjaśnić. Kiedy na to spojrzałam, poruszyło się niespokojnie, jak śpiący kot, którego ktoś dźgnął palcem.

Powoli cofnąłam się na kolanach i wstałam bez gwałtownych ruchów. Nie miałam pojęcia, czy to coś mnie widziało, ani czego się po tym spodziewać, więc wolałam nie ryzykować.

– Wszystko w porządku – powiedziałam drżącym głosem, o wiele wyższym niż zazwyczaj. – Nic tam nie ma.

Kołdra nieco się opuściła, ukazując oczy pełne przerażenia i nieufności.

– Jesteś pewna, mamó? Czuję, jak on się porusza... – szepnęła.

Zaczęłam się wycofywać tyłem w kierunku drzwi, nie spuszczać oka z łóżka. Wiedziałam, że żadna matka by tak nie postąpiła, nie zostawiłaby dziecka samego w pokoju, w którym jest jakaś istota, kotłująca się w ciemności. Czym prędzej wyrwałaby je spod pościeli i rzuciła się biegiem do wyjścia.

Strach mnie paraliżował, ledwo mogłam poruszać nogami. Mimo to powoli parlałam do drzwi. Musiałam stąd wyjść i się zastanowić, co mam teraz zrobić. Nie miałam pojęcia, jak wytłumaczyć tę sytuację. Już wracając

do domu, byłam potwornie zmęczona, a wszystko, co wydarzyło się potem, wyssało ze mnie nie tylko resztkę sił, ale też zdolność logicznego myślenia. Czy w ogóle tu było miejsce na logikę?

– Spokojnie, kochanie. Mama nad wszystkim czuwa – powiedziałam, wysuwając się za drzwi. Zaraz potem dokładnie je zamknęłam i uciekłam do kuchni. Drażącą ręką wyciągnęłam z lodówki setkę wódki na awaryjne sytuacje. Jeśli to nie była awaryjna sytuacja, to nie wiem, co mogło by nią być. Wypiłam całą zawartość na raz i choć zazwyczaj odrzuca mnie nawet zapach mocnego alkoholu, tym razem nawet się nie skrzywiłam.

Mogłam chyba tylko wezwać karetkę. Nie wiedziałam, co się robi w przypadku halucynacji, ale liczyłam, że nie zostawią mnie samej w tej sytuacji. Jeśli mnie stąd nie zabiorą, z tego gniazda potwora, jak się okazało, może chociaż podadzą mi leki, dzięki którym mój dom znów będzie moim domem. Wyciągnęłam z kieszeni komórkę i wybrałam 112. Oddychałam głęboko, a palcami wolnej ręki masowałam kąciaki oczu, czekając na odbiór połączenia.

– Numer alarmowy 112, operator nr 4. W czym mogę pomóc?

– Dobry wieczór, ja... Ja chciałam... – zaczęłam, ale nie mogłam dokończyć zdania.

– Tak, słucham panią?

– Mam problem, chciałam prosić... – głos uwiązł mi w gardle. Nie mogłam powiedzieć ani słowa więcej, chociaż bardzo chciałam.

– Dobrze, proszę powiedzieć, co się stało, możemy pani pomóc. – W słuchawce dało się już słyszeć zniecierpliwienie, ale głos nie chciał się wydobyć z mojego gardła, więc milczałam. Czułam, jakby brakowało mi tchu, gdy tylko miałam przejść do sedna sprawy. Dlaczego? To wina wódki? Pierwszy raz w życiu spotkałam się z czymś podobnym.

– Halo? Jest tam pani?

– Przepraszam, ale nie wiem, co się stało. Nie mogę... – wydukałam jak nieprzygotowany uczeń przy tablicy.

– Proszę pani, proszę się zastanowić, po co pani dzwoni i powtórzyć próbę. Dziękuję – prychnęła kobieta po drugiej stronie i się rozłączyła.

Nie dziwię się jej. Blokowałam linię, na którą ludzie dzwonią po pomoc, a ja tylko milczałam do telefonu.

Nagle ciszę zakłóciło skrzypnięcie drzwi w korytarzu, jakby się uchyliły.

– Mamo! MAAAMOOO!

Rozpaczliwy krzyk zjeżył mi włosy na karku. Rzuciłam się w kierunku drzwi i zajrzałam przez szparę do środka, ale nie musiałam pytać, co się stało. Od progu aż pod samo łóżko ciągnęła się smuga czerwonej mazi, a gdzieś-niegdzie widać było szkarłatne glutę. Nawet gdybym chciała udawać, że to nie krew, metaliczny zapach, który uderzył w moje nozdrza, nie pozostawiał żadnych złudzeń. Musiałam się mocno przytrzymać framugi, żeby nie zemdleć. Łóżko było puste.

– Co tu się stało? Jesteś ranna?

Jedyną odpowiedzią była seria mlasków, jakby ktoś bardzo powoli stąpał po lepkiem błocie. Bardzo nie chciałam tego robić, ale jakaś część mnie uznała, że musi sprawdzić, co się dzieje pod łóżkiem. Powoli podeszłam, omijając krwawy szlak i ukleknęłam przy wezłowie. Pochyliłam się i zobaczyłam tę samą górę cienia, rytmicznie falującą nad drobnym ciałakiem z rozprutym brzuchem. Jeszcze parujące, porozrywane kawałki jelit wystawały z krwawiącej dziury, na podłogę kapiała ich cuchnąca zawartość. Istota na chwilę zatrzymała się, a w ciemnej masie pojawiły się jeszcze ciemniejsze szpary, zapewne ślepią potwora. Zerknął na mnie i rzucił się w moją stronę. Zerwałam się na równe nogi, na oślep biegnąc w kierunku drzwi.

Prawie upadłam, gdy poślizgnęłam się na skrzepie. Czy można się poślizgnąć o coś, co nie istnieje?

Zatrzasnęłam za sobą drzwi i oparłam się o nie plecami. Zmuszałam się do głębokich, powolnych oddechów. Zerknęłam na stopę. Był na niej ślad po tym, w co wdepnęłam. Zebrało mi się na mdłości, łzy pociekły mi po twarzy. Miałam wrażenie, że to wszystko mi się śni. Rozejrzałam się po korytarzu, szukając jakiegoś dowodu na to, że jestem wewnątrz koszmaru, ale nic na to nie wskazywało. Mój wzrok padł na drzwi wejściowe. Jak mogłam być tak głupia? Po prostu wyjdę i zostawię ten makabryczny cyrk. Na czworakach podpełzłam w ich kierunku. Chwyciłam za klamkę, ale były zamknięte. Gdzie położyłam klucz? Myśl...

– Nie wychodź, mamu. Już późno. Połóż się spać.

Obejrzałam się. Stała w przeciwnym końcu korytarza. Jak to możliwe? Na środku drobnego ciała ziała ogromna dziura, ciągnąca się od klatki piersiowej aż po biodra. Jej wnętrzności były wyjedzone tak dokładnie, że nawet z tej odległości widziałam biały pas kręgosłupa. Różowa koszulka nocna była cała mokra od krwi, która kapała na podłogę.

– Dobrze. Dobrze, już idę. Wezmę sobie tylko trochę wody do picia, dobrze? – spytałam, a łzy lały się po moich policzkach strumieniami. Zdawała się tego nie zauważać.

– No dobrze. Tylko nie siedź za długo.

– Ty też. Zmykaj spać.

Bez słowa poszła do pokoju po lewej, zostawiając za sobą szlak z czerwonych kropek. Gdy zamknęła drzwi, chwyciłam torebkę, wygrzebałam klucze, cichutko przekręciłam zamek w drzwiach frontowych i faktycznie poszłam do kuchni. Wzięłam zapalniczkę, którą odpałałam kuchenkę. Naprzeciw był salon, gdzie składo-

wałam swoje książki. Rozłożyłam je w każdym kącie, na stolikach, blatach, parapetach. Kilka poukładałam w swojej sypialni. Gdy wszystkie były gotowe, po kolei zaczęłam je podpalać. Wszystko szło zgodnie z planem. Powoli zajęły się firanki, obicia krzesel, dywan. Czekałam w korytarzu, zerkając na drzwi po mojej lewej, czekając, aż cienista zmora wyczuje zagrożenie i wydostanie się z pokoju, ale nic się nie działo. Po kilku minutach całe mieszkanie wypełniał dym, a płomienie zaczynały ogarniać całe meble i lizać ściany. Zostawiłam kilka książek na korytarzu, podpaliłam je i wyszłam. Zamknęłam za sobą drzwi. Dopiero w windzie zorientowałam się, że nie mam butów ani telefonu, ale było już za późno.

Tamtej nocy wróciłam do rodziców. Przejechałam nocnymi autobusami, ściągając na siebie pogardliwe spojrzenia wszystkich mijanych osób. Bałam się tego, co zastanę po powrocie, ale niesłusznie. W domu rodziców wszystko było tak, jak powinno. Nie powiedziałam im, co się wydarzyło. Nigdy nikomu nie powiedziałam. Tak postanowiłam, gdy upewniłam się, że na pewno nigdy nie miałam córki, a w moim mieszkaniu nie było żadnych drzwi po lewej stronie. To była typowa kawalerka, salon połączony z kuchnią i łazienką. No i oczywiście korytarzyk. Mimo to wiem, że byłam w tym pokoju.

Od tamtej pory nie śpię w łóżku, korzystam tylko z materaca na podłodze. Nie mam też stołów, krzesel ani innych rzeczy, które mogą generować jakikolwiek cień. Zmieniło się jeszcze jedno. Nienawidzę powrotów do domu.

MAREK PIECZARA

NIKT NIE WOŁA

Krzywa, wyłożona granitową kostką ulica prowadziła w górę, wiła się między kolorowymi domami aż pod sam las, gdzie znikwała za zakrętem między gęstniejącymi drzewami i rzednącymi zabudowaniami. Nie zmieniła się ani trochę od momentu, gdy ostatni raz stąpał po niej jako jeden z jej mieszkańców. Jej mieszkańcem nie czuł się jednak już od dawna, tak dawna, że ciężko było mu przypomnieć sobie ostatni raz, kiedy widniejący w oddali pomarańczowy budynek ze spadzistym, czerwonym dachem nazwał domem. Odkąd wyjechał, słowo „dom” stało się dla niego zbyt abstrakcyjne, niemieszczące się w ramach życia, które wybrał i które wiódł już od tylu lat, że zdążył zapomnieć o tym ciepłym uczuciu, jakie daje świadomość posiadania własnego miejsca na ziemi. Wielokrotnie starał się znów to poczuć, zapuścić korzenie i żyć wspólnie z ziemią, do której przybył, czerpać z niej siłę i powoli stawać się z nią jednością. Próbował wnieść w swój dom choć odrobinę szczęścia i tego radosnego, rodzinnego chaosu, jednak nigdy mu się to nie udało. Tak mógł czuć się tylko tu i teraz, gdy poprawiając ciężki plecak, przekraczał granicę między asfaltową ulicą a granitowym brukiem. Brukiem, który pamiętał tak wiele jego kroków, tak wiele zdartych kolan i szaleńczych gonitw z dziećmi z sąsiedztwa. Dreszcz przeszył jego ciało. Odruchowo zaczął nasłuchiwać wołania przyjaciół, którzy przecież równie

dawno opuścili już to miejsce, a wspomnienia po nich zatarły się i ukryły w najgłębszych czeluściach pamięci. Teraz jednak wyszły na światło dzienne, silne i wyraźne niczym wypalone na skórze blizny.

Żwir na poboczu chrupał pod nogami i wpadał do butów. Jego pochodzenie od zawsze stanowiło nierozwiązaną zagadkę - skąd się brał, skoro nikt go tu nie rozrzucił? Rodzice tłumaczyli mu, że to gruz spływający z lasu wraz z ulewami, osadzający się na poboczach i następnie roznoszony przez samochody po całej ulicy. Jemu jednak drobne kamyczki wydawały się być ułożone zawsze dokładnie tak samo, niemal potrafił rozpoznać w głowie szaro-biało-czarną mozaikę, której, będąc dzieckiem, przyglądał się z taką ciekawością. Był przekonany, że układ szarych drobinek nie różnił się od tego, jaki obserwował dwadzieścia lat temu, że każdy kamyczek znajduje się dokładnie w tym samym miejscu, co wtedy. Bardzo chciał w to wierzyć, choć zdawał sobie sprawę ze swojej naiwności. Chciał wierzyć, że uliczny żwir czekał niewzruszony na jego powrót, że czas stanął w miejscu, a on za chwilę przekroczy próg bramy i wszystko będzie tak, jak kiedyś. Jakby nigdy nie wyjechał.

Stara brama otworzyła się z cichym skrzypnięciem, wpuszczając go na pusty podjazd pokryty kamiennym asfaltem i rosnącymi w jego pęknięciach kępami trawy. Od furtki całymi płatami odpadały stare powłoki różnokolorowych farb, które przez lata nagromadziły się warstwą tak grubą, że z pewnością dodawała bramie połowy jej wagi. Drzwi trzasnęły, a on wiedział, że nie odbiją się i nie otworzą ponownie, że zostaną na swoim miejscu - nie miał jednak pojęcia, co je tam zatrzymuje, bo zamek od zawsze był uszkodzony. Tym razem nie było inaczej - wiedział to bez oglądania się za siebie. Wiedział również, ile kroków dzieli go od drzwi wejściowych, bo

mimo iż nigdy nie robił tego świadomie, to zawsze je liczył. Minęło tyle czasu, a on wciąż doskonale pamiętał, która noga jako pierwsza przekroczy próg domu.

Zamek nie zardzewiał, klucz zadziałał niezawodnie, jakby wciąż codziennie wpuszczał mieszkańców na zimną, szarą klatkę schodową. Nie lubił tego miejsca. Ostre kanty schodów i trzęsąca się poręcz wywoływały w nim uczucie niepokoju, a korytarz jawił się jako ostatnia przeszkoda między nim a ciepłym mieszkaniem. Zrzucił buty i dotknął zmęczonymi stopami zimnej posadzki, lodowatej i odpychającej nawet podczas największych upałów. Dziś jednak uczucie chłodu było przyjemne i kojące, pomimo gromadzących się na zewnątrz gęstych, październikowych chmur, które stopniowo zaczynały uwalniać zgromadzony w sobie deszcz. Zdążył w ostatniej chwili, choć nie miałby nic przeciwko przemierzaniu okolicy nawet w czasie ulewy. Tu spadające z nieba krople były jakby inne, cieplejsze, mniej siekące nawet podczas wichury. Dom opiekował się mieszkańcami, być może również nad pogodą potrafił zapanować? Czuł, że to prawda, mocno w to wierzył.

Wnętrze pomieszczenia mieszkalnego nie zmieniło się w najmniejszym stopniu od momentu, w którym opuścił je po raz ostatni. Pikowane kurtki zwisały z krzywego wieszaka, od lat nieużywany telefon stacjonarny stał na stoliku, a w powietrzu unosił się zapach pieczonego ciasta. A może wcale się nie unosił, bo przecież piec stał beczynnym od tak dawna, że nawet najdrobniejsze okruszki zdążyły już zamienić się w kurz, ale słodki, cynamonowy zapach nadal wydawał się dominować pośród innych woni. Plecak spadł z głuchym hukiem na wydeptany dywan, a kurtka poleciała na wiklinowe oparcie krzesła. Mężczyzna opadł ciężko na siedzenie, rozkładając łokcie szeroko na blacie przykrytym ceratą

w paskudne, kolorowe wzory, po czym sięgnął wzrokiem za okno. Las na wzgórzu spoglądał na niego złowieszczo, czerń na tle szarych chmur. Czarny mur wydawał się być naznaczony gęsto rozrzuconymi plamami o jeszcze głębszym odcieniu ciemności, falującymi i tańczącymi w rytm przybierającego na sile wiatru. Zdawały się stale przemieszczać, nie mogły ustać w miejscu i wciąż to wspinały się w górę, to opadały w dół, by zaraz rozbiec się na boki. Mroczna gęstwina nie budziła w nim jednak niepokoju ani teraz, ani w dzieciństwie. Wręcz przeciwnie – dawała poczucie bezpieczeństwa.

W barku powinna być butelka wódki. Zawsze tam była, nawet jeśli ktoś ją wypił, to w jej miejsce zaraz pojawiała nowa, zapieczętowana. Jakim cudem? O to nikt nie pytał. Ważne, że była tam zawsze, nawet teraz. Światełko w barku odbiło się od lustrzanej ścianki i przeszło przez kryształ i butelki, nabierając kolorowej barwy. Pół litra żołądkowej. Więcej nie potrzebował.

Dzwonek do drzwi rozdarł ciszę przeraźliwym wrzaskiem, odbił się od ścian pustej klatki schodowej i brutalnie wdarł do mieszkania. Mężczyzna niemal wypuścił butelkę z rąk, zapomniał o tym przeklętym dźwięku. Zszedł po schodach i otworzył drzwi. Na zewnątrz już zmierzchało.

Cześć Andrzejku, więc to jednak prawda, że wracasz, właśnie tak mi się wydawało, że w oknie się świeci, to myślę – podejść, sprawdzę. Dzień dobry, panie Stasiu, no tak, pora była już wrócić, dwie godziny temu zajechałem. To dobrze, to dobrze, ktoś się domem w końcu zajmie, bo kręcą się tu dziwne typy, trzeba uważać. A masz może coś do picia? W gardle zaschło, a wieczór jeszcze młody, dawno cię nie widziałem, pogadamy. Jasne, panie Stasiu, chociaż w środku duszno i kurz, ale znalazłem pół litra. Stasiowi oczy rozbłysły.

Pan Stasiu nie zmienił się nic a nic, poruszał się tym samym krzywym krokiem co przed laty, jakby ścierpła mu jedna noga, na twarzy natomiast pojawiło się jedynie parę zmarszczek więcej, może ubyło trochę włosów. Skórę miał opaloną, jakby dopiero co wrócił z któregoś z południowych krajów, choć wiadomym było, że nigdy nie wyjeżdżał na wakacje. Andrzej wiedział, czemu starszy mężczyzna zawdzięcza tę karnację – słabość zdradzały również trzęsące się na widok butelki ręce. Rozlał alkohol do literatek, po czym usiedli naprzeciwko siebie. Rozmowa się nie kleiła, nigdy nie miał o czym rozmawiać z dawnym przyjacielem ojca. Ten wydawał się jednak cieszyć na widok znajomej twarzy, gadał żywo i nie pozwalał zadać pytania, jakby od dawna milczał i w końcu otrzymał możliwość wylania potoku słów, który kisł w nim latami. Andrzejowi to nie przeszkadzało. Sam niewiele miał do powiedzenia, a ciepły głos sąsiada hipnotyzował, przypominał czasy, gdy mężczyzna niemal codziennie odwiedzał ich dom, ku uciesze ojca i niezadowoleniu mamy. Rzadko bowiem zdarzało się, by z takiego spotkania oboje mogli wyjść na prostych nogach.

Andrzej raptem zorientował się, że wzrok, którym spogląda na niego sąsiad, nie ma już w sobie tej wyższości osoby dorosłej nad dzieckiem, nie ma w nim lekceważenia dla człowieka ledwo co odrosłego od ziemi. Patrzył na niego jak niegdyś na ojca, mówił tym samym tonem i o tych samych sprawach. O tym kto ostatnio zmarł, komu urodziło się dziecko, kto się wyprowadził, a gdzie zjechali przybysze. O tym, że stary spożywczak na zakręcie już nie wytrzymał konkurencji supermarketu i pani Gosia musiała zamknąć interes, a pan Franek, co chałupę miał pod lasem, powiesił się w tymże lesie zaraz po tym, jak spaliła mu się owa chałupa. Andrzej przyjmował

informacje ze spokojem i obojętnością. Kiedyś znał tych ludzi, ale teraz? Słuchał o ich perypetiach tak, jak słucha się audycji w radiu. Bo czy sam nie był dla tych ludzi teraz jedynie powracającym z przeszłości wspomnieniem?

Kiedy dopili ostatnią kroplę, było już zupełnie ciemno, a pan Staś na widok pustej butelki przeciągnął się z głośnym ziewnięciem, po czym orzekł, że na niego już pora, że stara nie da mu spokoju, jeśli znów wróci do domu w nocy. Andrzej widział jednak jego nerwowy wzrok, który skakał po kątach pomieszczenia w poszukiwaniu następnej butelki. Zaśmiał się w duchu, niemal żałując, że zarówno spotkanie jak i alkohol dobiegły końca. Nie dostrzegłszy jednak niczego, mężczyzna zwałół się z krzesła i ruszył schodami w dół. Dobrze cię widzieć, Andrzejku, wiesz, jutro wybieram się na cmentarz, jakbyś chciał, to możemy pójść razem, odwiedzimy rodziców. Dziękuję, panie Stasiu, może faktycznie to dobry pomysł. Drzwi trzasnęły, stalowa zasuwą szcęknęła głośno.

W nocy nie mógł spać. Prześcieradło było nieświeże, pachniało stęchlizną, a ze starej wersalki unosiły się chmury kurzu za każdym razem, kiedy obracał się na drugi bok. Męczyła go ta niezmacona najmniejszym szmerem cisza, ta bezdenna ciemność, której nie rozświetlała nawet jedna latarnia. Czuł się jak w trumnie, głęboko pod ziemią, z dala od światła i dźwięku, zapomniany pośród korzeni roślin i ryjących kretów. Co chwilę przebudzał się przekonany, że ktoś na niego patrzy, że w tym dużym, pustym pokoju nie jest sam. Za oknem wiatr targał wyłysiałymi konarami pobliskiej jabłoni, a on patrzył na te demoniczne szpony przekonany, że zaraz sięgną ściany budynku i wedrą się do środka, zerwą z niego kołdrę i złapią go za bosą stopę. Naciągał wtedy kołdrę wyżej, krztusił się kurzem.

Wstał razem z pierwszymi promieniami słońca, dochodząc do wniosku, że nie ma sensu dalej ciągnąć tej nierównej walki między sobą a nocnymi koszmarami. Zagotował wodę w blaszanym czajniku z gwizdkiem i znalazł resztkę zwietrzałej, sypanej kawy. W kredensie były też dwie puszki mielonki, o tak długiej dacie ważności, że mogłyby stać spokojnie jeszcze parę kolejnych lat. Zmielona mieszanka mięsa i wielu innych dodatków, których pochodzenia wołał się nie domyślać, wypełniła jego żołądek i dała poczucie sytości, a gorzka kawa wypłukała resztki snu. Na zewnątrz unosiła się mgła, sięgała jednak jedynie ceglanego obicia, którym zaczynała się elewacja domu. Wiatr ustał, a słońce rozlewało mleczną poświatę na całe podwórko, przedzierało się przez rzadkie sploty firanek i rzucało cętkowane cienie na podłogę, ściany, twarz Andrzeja. Dzień zapowiadał się chłodny, ale przyjemny. Ubrał się w puchowy bezrękawnik wiszący w przedpokoju, a na głowę założył stary, tweedowy kaszkiet – zestaw nie pasował do siebie w najmniejszym stopniu, ale nie miał zamiaru pokazywać się w nim ludziom. Chciał jedynie przespacerować się po podwórku, popatrzeć na drzewa i krzewy, które o tej porze dnia, skąpane w rosie i pierwszych promieniach słońca, wyglądały najpiękniej. Pamiętał to.

Otworzył drzwi i zachłysnął się zimnym, wilgotnym powietrzem, po czym wkroczył w blask wschodzącego słońca. Poczul, że kopnął coś, co stało oparte o ścianę, a co teraz spadało z donośnym stukotem po betonowych schodach. Zmrużył oczy, ale chwilę jeszcze trwało, nim źrenice przyzwyczyły się do natężenia światła. W końcu dostrzegł źródło zamieszania.

Siekiera. Z drewnianym trzonkiem i starym, zardzewiałym ostrzem, solidna i wysłużona, z klinem blokującym wbitym głęboko w drewno. Przyglądał jej się

z uwagą, próbując przypomnieć sobie, czy poprzedniego dnia też ją tu widział. Dałby sobie jednak głowę uciąć, że wchodząc po schodach, zauważyłby stare narzędzie, które znał tak dobrze i które służyło mu niezawodnie, kiedy dom ogrzewany był jeszcze piecem opałowym. Od dawna nie miał siekiery w rękach. Bez namysłu zszedł kilka schodów niżej i chwycił drewniane stylisko, mocno i pewnie, jak za dawnych czasów. Uśmiechnął się czując pod palcami znajomą, wyslizganą teksturę. Uniósł głowę i spojrzał przed siebie. Zbladł.

Pod siatką ogrodzenia, obok bramy wjazdowej, dostrzegł hałdę drewnianych pniaków, pociętych i ułożonych w wysoki kopiec, który zasłaniał ulicę. Tyle drzewa nie widział tu jeszcze nigdy! Na oko jakieś dwadzieścia kubików, ale mógł się mylić, dawno nie miał okazji szacować objętości wzrokiem. Z szeroko rozwartymi ustami, z dłonią położoną na mokrej poręczy ruszył w dół schodów i dalej, przez pokrytą rosą trawę, w kierunku góry drewna. Tego z pewnością nie było tu poprzedniego dnia. Jak to się stało? Jakim cudem nie słyszał ciężarówki, która musiała to jakoś rozładować, skoro w nocy i nad ranem praktycznie nie spał? I kto właściwie to zamówił? I po co? Dotknął chropowatej kory jednego z pniaków. No drewno, nie chciało być inaczej.

Zacisnął palce mocniej na mokrym od rosy, drewnianym stylisku, a w ramieniu poczuł prąd, rozlewające się ciepło, które swe źródło miało w dłoni i biegło ku górze, aż do obojczyka i ramion. Wiedział, co musi zrobić. Nie wiedział dlaczego i jaki miał być tego cel, ale było to teraz zupełnie bez znaczenia. Liczył się tylko on i stojąca przed nim góra drewna. Ciężka siekiera zwisająca wzdłuż ramienia.

Wziął obszerny zamach i trzasnął najbliższy pień, prosto w środek. Drewno pękło z przyjemnym dla ucha

trzaskiem, uwalniając zapach żywicy i zgniłych jabłek. Poczul satysfakcję i władzę. Z siekierą w dłoni widział siebie jako wściekłego, pogańskiego boga – ostrze stało się raptem halabardą spuszczaną na karki heretyków. Kolejne pniaki rozpadały się pod ostrzem siekiery, które cięło i rąbało na wszystkie strony, nieważne gdzie znajdował się cel. Nic nie umknęło przed bezbłędnym i surowym gniewem narzędzia.

Nie miał pojęcia, jak długo trwała ta furia, to szaleństwo pracy, któremu oddał się bez reszty i które wyrwało go z tego świata. Bo wiedział, że na chwilę udało mu się z niego uciec. Zostało jedynie jego ciało, które nie wiadomo skąd znalazło w sobie siłę, by godzinami wyżywać się na pociętych pniach drzew. Pamiętało jednak dokładnie każdy ruch, każdą zmianę ułożenia siekiery potrzebną do tego, by nie musieć poprawiać. By jednym, silnym uderzeniem rozbić pniak na pół, na ćwiartki, a te znów na pół... Dłonie pokryły się pęcherzami, a z jego ciała parował pot, lecz nie przeszkadzało mu to. Dyszał ciężko, kiedy w końcu odrzucił siekierę na bok i ze spokojem spojrzął na swoje dzieło.

Połowa pniaków leżała rozłupana, mieniać się w słońcu barwą zdrowego, jasnego drewna. W słońcu, które było już wysoko na niebie. Nie potrafił określić, jak długo pracował. Czy coś jadł w międzyczasie? Czy pił? Czy był tu pan Staś, z którym miał iść na cmentarz? Wspomnienia z ostatnich paru godzin rozlały się i zamazały, pozostawiając po sobie jedynie to przyjemne, ciepłe uczucie. Uczucie dobrze wykonanej roboty.

Zatoczył się, a przed oczami pociemniało mu nagle, jakby w głowę dostał obuchem swojej siekiery. W ostatnim momencie zamglonym wzrokiem wyszukał jeden z pozostałych w jednym kawałku pniaków i opadł na niego ciężko, cudem jedynie wyrывая się

ze szponów omdlenia. Zrobiło mu się niedobrze, a ręce zawisły jak odlane z ołowiu, nie miał siły nawet złapać się za żołądek. Siedział jedynie, głośno dysząc, czując, jak jego twarz zmienia kolory, a wzdłuż przetyku nieubłagane zbliża się zjedzone rano śniadanie. Udało mu się powstrzymać wymioty, ale długo jeszcze nie mógł dojść do siebie na tyle, by bez obaw wstać na równe nogi. *Co tu się właściwie stało?*

Zmusił się do ruchu i poczłapał w stronę schodów, pragnąc jedynie położyć się na łóżku i w końcu odpocząć. Oczy wciąż płatały mu figle, gwałtowne błyski i następujące po nich czarne plamy rozmazywały obraz. Szedł bardziej na pamięć niż za wzrokiem, z trudem powłócząc nogami i zataczając się na rosnące obok bukszpany. Uśmiechnął się, gdy dłoń dotknęła stalowej poręczy. Jeszcze tylko parę stopni i będzie w domu.

Zamarł w pół kroku, kiedy jego uszu dobiegło wyraźne gdakanie kur i pianie koguta. Powolnym ruchem odwrócił głowę, wypatrując źródła hałasu. Odgłosy folwarku dochodziły z lewej strony, ze starej szopy, która przylegała do domu niby przyrośnięta do ciała, niezdrowa narośl. Z początku nie dowierzał słuchowi – przecież zwierząt nie trzymali już od tak dawna! Sam ledwie sięgał pamięcią czasów, gdy jako małe dziecko biegał boso po kurniku i zagłądał kurom do gniazd. Nie mógł się jednak mylić – zwierzyńiec ujadał i wrzeszczał, nie pozwalając się ignorować. Niemal czuł drobne dzioby i kurze pazury, które drażniły zmysły, kłuły i drapały jego czaszkę od środka, atakowały bębenki uszu.

Drzwi do szopy były zamknięte jak zwykle. Jakim cudem zwierzęta się tam nie podusiły? Skąd miały jedzenie? Drżącą dłonią chwycił mosiężną klamkę, nacisnął ją, jednocześnie pchając drzwi lekko ku gorze, by nie przytrzeć o posadzkę. Gdakanie było coraz głośniejsze,

odbijało się od niewidzialnych ścian i napierało na niego ze wszystkich stron.

Drzwi otworzyły się, a dźwięki zamilkły nagle, jakby niewidzialna dłoń schwytała na raz wszystkie kurze gardła i mocno ścisnęła, odbierając im zarówno głos jak i oddech. W uszach pozostał jedynie głuchy pisk wszechobecnej ciszy. Andrzej wyteżył wzrok, by przebić się przez ciemność i wzburzone nagłym podmuchem wiatru chmury kurzu. Nie było tu zupełnie nikogo, ani żywej duszy. *Co to ma znaczyć do diabła?* Poczul zimny pot, który zbierał się na karku pomimo chłodu, a ciało przeszły drgawki. Po starym kurniku nie było ani śladu, szopa wyglądała dokładnie tak, jak przed jego wyjazdem – stała w niej stara, potężna szafa, stół ślusarski z zardzewiałym imadłem i parę rupieci, których za żadne skarby nie wolno było wyrzucić. Po kurach nie zostało już dawno ani jedno piórko.

Przełknął zalegającą w gardle gęstą ślinę i ostrożnym krokiem wycofał się z izby, wzrokiem wciąż próbując dostrzec w zatęchłym pomieszczeniu źródło hałasu. Bał się, że w końcu naprawdę coś dostrzeże. Zamknął drzwi, przekręcił klucz, po czym ruszył w stronę schodów. W połowie drogi do góry odgłosy z kurnika rozbrzmiały ponownie, jeszcze silniej i gwałtowniej, jakby ktoś włączył radio na pełen regulator. Złęknionym wzrokiem sięgnął ku szopie, jednak nie dostrzegł, by cokolwiek się zmieniło. *Co się ze mną dzieje?* – pomyślał, po czym ręką sprawdził temperaturę czoła. Było mokre od zimnego potu, ale ciepłe, stanowczo zbyt ciepłe. Musiał przemęczyć się przy rąbaniu drzewa, a teraz umysł płata mu figle. Chwiejnym krokiem wspiał się z powrotem po schodach, ciężko stawiając stopy na stopniach, ale uciążliwe gđakanie nie chciało ucichnąć. W przepocoy-nych ubraniach rzucił się na łóžko, przekonany, że czym

prędzej potrzebuje odpoczynku. Zamknął oczy i spróbował zasnąć. Kurza melodia nie dawała mu spokoju.

Spójrzcie tylko! Gospodarz wrócił na włości! Halo, mości gospodarzu, dlaczego leżysz, kiedy wokół tyle roboty? Przecież dach przecieka, na dole w oknie brakuje szyby, trafiona piorunem czereśnia wciąż nie została wycięta, a przez dziurę w płocie co noc zakradają się lisy i kuny. Naprawdę stać cię na to, by się tak beztrosko wylegiwać? Czy nie uważasz, że należy zadbać o to wszystko, co tyle lat stało odłogiem? Doczekałeś się przecież, przeżyłeś już całą swoją rodzinę i wróciłeś do swojego matecznika, tego zawsze chciałeś! Na nogi, synu marnotrawny! Zaraz przekonasz się, co to znaczy zadbać o spuściznę w samotności!

Budził się co chwilę targany koszmarami, a demoniczne gdakanie kur nie opuszczało go nawet podczas snu. Na nic zdało się zaciskanie poduszki na uszach, bo głos, który bez przerwy słyszał, nie pochodził z zewnątrz. Wyłaniające się z ciemności żółtawe oczy zaglądały mu w głąb duszy, ostre pazury drapały w stare, szklane szyby. Pościel była mokra od potu, a on sam czuł, jak trawi go gorączka, jak wprawia ciało w miarowe drżenie. Zaczął krzyczeć w ciemność, że nie wiedział, że przeprasza, że bardzo żałuje! Czego? Za co przepraszał? Tego sam nie potrafił sobie wytłumaczyć. Wiedział jedynie, że tak należało zrobić. Ciemność jednak milczała niewzruszona, niepomna na jego błagania i przeprosiny.

Gorączka nie ustąpiła, po przebudzeniu ciało wciąż dawało o sobie znać. Długo zwlekał z opuszczeniem łóżka, wiercił się i obracał, próbując znaleźć pozycję, w której mógł zaznać choć odrobiny odpoczynku, ale dudniące głosy w jego głowie nie dawały mu nawet chwili wytchnienia. Po raz kolejny wstał, będąc bardziej zmęczony niż poprzed-

niego dnia. Zbliżył się do okna balkonowego, chcąc ukoić skołatane nerwy widokiem ogrodu.

Odłonił firankę, po czym stanął jak wryty. Jakby ciało i świadomość nie godziły się z obrazem znajdującym się za oknem, jakby nie chciały mieć z nim nic wspólnego i wołały czym prędzej wycofać się z powrotem do bezpiecznego łóżka. Przetarł mocno oczy, błagając, by był to kolejny koszmarny sen. Na próżno.

Ogród wokół domu zamienił się w dziką dżunglę, gęstą i splątaną tak, że miejscami nie dało się dostrzec zieleni trawnika. Drzewa obrosły grubymi konarami, wijącymi się i rozciągającymi na nieprawdopodobne odległości, pełząc po ziemi aż do podnóży budynku. Zieleń zniknęła, liście nabrały szaroburej barwy zgnilizny i rozkładu, choć roślinność wyglądała nadzwyczaj zdrowo i bujnie.

Zamarł w bezruchu ze wzrokiem wbitym w falujący gąszcz, z każdą chwilą utwierdzając się w przekonaniu, że to wcale nie wiatr poruszał grubymi pędami i pokrzywionymi korzeniami wystającymi z ziemi. Wpatrywał się w nie uparcie, nie dowierzając własnym oczom, by po chwili nabrać pewności. Puszczą żyła, ale nie tak jak żyją wszystkie rośliny – ona poruszała się, przemieszczała i nacierała coraz mocniej na jego dom. Widział ostre szpony konarów, którymi drzewa sięgały w jego stronę, były coraz bliżej, już niemal szarpały styropian otulający budynek. Zerwał się z miejsca i ruszył biegiem na dół, na zewnątrz. Nie wiedział jeszcze jak, ale postanowił ratować swój dom.

W miejscu, w którym poprzedniego dnia stała siekiera, znajdowała się teraz stara, ręczna kosa. Wypadł na zewnątrz z takim impetem, że potknął się i razem z nią runął ze schodów, głośno przy tym klnąc i złorzecząc nie wiedzieć komu. Cudem tylko udało mu się nie przeciąć

ostrzem, które przeleciało obok niego, mijając twarz zaledwie o kilka centymetrów. Zerwał się na nogi i pochwycił narzędzie, którym pracować uczył się za dziecka, jednak tak krótko i niechętnie, że szczerze wątpił w swoje umiejętności. Przesunął wzrok po ostrzu, oklepanym i zużyтым, cienkim jak papier. Czy ten zabytek w ogóle nadawał się jeszcze do użytku? Nie miał wyboru, musiał spróbować. Rozprostował obolałe plecy, ściskając kosę w ręce, po czym spojrział na podjazd.

Droga od bramy wjazdowej aż po drzwi garażowe pokryta była grubą, wysoką na metr warstwą śniegu. Nie tylko zresztą droga – cały ogród po tej stronie domu malował się niczym polarny krajobraz, pokryty zaspami i spowity skrzącą się w słońcu bielą. Dopiero teraz poczuł, że za kołnierz wpadają mu płatki padającego śniegu, roztopiając się na karku i spływając po rozpalonej skórze zimnymi kroplami. *Boże... To jakiś koszmar. To nie może być prawda!* Jakim cudem po jednej stronie domu rośliny rosną tak, że aż strach do nich podejść, podczas gdy po drugiej stronie panuje trzaskająca zima? To wszystko nie miało sensu! Czy ktoś robi mu jakiś żart? Czy może chce go doprowadzić na granicę zdrowych zmysłów?

Postanowił najpierw zająć się szalejącą roślinnością. Pognał za dom i niemal w biegu natarł na grube łodygi i gęste krzaki, wkładając w każde cięcie całą siłę, która jeszcze pozostała w jego wątłym ciele. Szarpał się z pnączami i co chwilę uderzał ostrzem w twarde jak kamień pnie drzew, co przyprawiało go dzwoniem w uszach. Był przekonany, że niejednokrotnie grube korzenie podchodziły pod jego nogi i próbowały opleść się wokół kostek, jednak udawało mu się w porę uprzędzić ich atak cięciem kosy. Dyszał i warczał przy tym wściekle, dostrzegając znikome efekty katorżniczej pracy, która wyciskała z niego resztki życia, odbierała rozum.

Odrzucił na bok pokrzywioną kosę, której trzonek poranił mu dłonie grubymi drzazgami. To na nic. Spróbuje z drugiej strony.

Zaspy sięgały mu już niemal pasa, kiedy brnął przez nieprzebyte morze śniegu, pocąc się przy tym i szczękając zębami jednocześnie. Szufła do odśnieżania też tu była, wbita w gęsty puch wydawała się drwić z niego, wyśmiewać jego słabość i bezradność. Chwycił ją obolałymi rękami i zaczął odgarniać góry śniegu, nie wiedząc, gdzie właściwie znajdowała się asfaltowa droga. Spozrzegł stojące w oknach sąsiednich domów ludzkie postacie, nieruchome i wpatrujące się w niego pustym wzrokiem. Zatrzymał wzrok na jednej z nich, ale nie rozpoznał w gapiu sąsiadki, która mieszkała tam od lat i znana była z zamiłowania do obserwowania okolicy, nieraz tak ostentacyjnego, że zmuszającego do skrycia się w domowym zaciszu. Tym razem jednak to nie była ona.

W każdym oknie ktoś stał. Andrzej machnął żałośnie do wpatrzonych w niego gapiów, próbując wzbudzić jakąś reakcję, gotowość przyjscia z pomocą albo chociaż współczucie. Podłużne twarze pozostawały jednak bez ruchu, gładkie i blade, nieporuszone nawet przez drgnięcie powieki. Przeszył go dreszcz. Odwrócił wzrok od zimnych, osądających każdy jego ruch oblicz i skupił się na śniegu, który nie dawał za wygraną. Nie dawał się zepchnąć na bok drogi, padając coraz gęściej i zasypując raptem z tak wielkim trudem odgarnięte fragmenty asfaltu.

Szufła złamała się z głuchym trzaskiem, pozbawiając go podpory, a on runął jak długi w gęsty puch, trzymając w dłoniach jedynie ułamany trzonek. Śnieg zasypał mu usta i oczy, poczuł, że się dusi, a biała toń oplata jego ciało i wciąga w ciemne czeluści. Zerwał się ze wściekłym rykiem, otrzepując śnieg i rzucając pozostałość po szufli daleko przed siebie. Łapczywie łykał ostre, zimne powietrze, za nic mając

zapalenie płuc, którego tak łatwo mógł się nabawić. Było tego zbyt wiele. Nie miał szans samotnie stawić czoła dzikiemu naturcy sił natury, nie miał szans wygrać w tej z góry skazanej na przegraną walce. Omiótł wzrokiem podwórko, które z jednej strony tonęło pod białymi zaspami, a z drugiej pod oplatającymi dom korzeniami i łądygami. W dodatku zalegający pod ogrodzeniem stos drewna wydawał się teraz jeszcze większy, sięgał niemal ciągnących się od słupa telefonicznego do domu kabli, a po porąbanych pniakach nie było już ani śladu. Z pełnym łez wzrokiem obrócił się wokół siebie w poszukiwaniu jakiegokolwiek pomocy. Nic. Jedynie stojące bez ruchu, pozbawione życia ludzkie sylwetki.

Otworzył drzwi boczne z głośnym trzaskiem i wbiegł do domu, mając wrażenie, że zimowa zawierucha i żywa puszcza depczą mu po piętach. Nagle wszystko stało się jasne. Nie było dla niego powrotu. Nie po tak długim czasie, kiedy jego rodzina odeszła, a dom zdziczał i przestał go rozpoznawać. A może rozpoznawał go, tylko chciał wymierzyć mu karę za te wszystkie lata, podczas których niemal się go wyrzekł, zostawiając na pastwę żywiołów i czasu? W głowie słyszał wciąż prześmiewczy i pełen szyderstwa głos, który powtarzał to jedno słowo – „gospodarz”. Nie wytrzyma dłużej. To musiało się skończyć.

Na tym poziomie domu bywał bardzo rzadko. Był tu tylko jeden pokój i kuchnia oraz pomieszczenie, w którym mieścił się piec – już nie opałowy, do którego poprzedniego dnia tak zapamiętałe rąbał drzewo. Wbiegł do pokoju i mocno szarpnął wiszącą na środku sufitu lampę – stary, mosiężny żyrandol zwał się na ziemię z głośnym brzękiem. Spojrzał w górę. Został jedynie solidny, stalowy hak, wwiercony tak głęboko, że z łatwością mógł utrzymać ubitą, świńską tuszę. Tak przynajmniej zakładał Andrzej. Na to liczył.

Biegiem wrócił do garażu, gdzie znalazł starą smycz, sparciałą i śmierdzącą mokrą sierścią, ale wciąż zdatną do

użytku. Wspomnienie o dawnym przyjacielu wyparł jednak podążający za nim krok w krok nieznośny głos, który brzmiał teraz jak uwięziona między jego uszami chmara szarańczy. Czuł, jak niewidzialne imadło zaciska mu się na skroniach, powoli i stanowczo, niczym szczęki drapieznika. Zawył bezradnie i pobiegł z powrotem do pokoju.

Ciekawe czy pan Franek spod lasu byłby z niego zadowolony. Ciekawe czy pętla, miejsce i okoliczności były odpowiednie. Czy były w ogóle jakieś odpowiednie okoliczności? Coś, co zmusza człowieka do podjęcia takiej decyzji, z zasady nie może być odpowiednie. Chociaż może nie, może właśnie musi być – odpowiednią karą.

Wichura od strony podjazdu ustała, a nacierające zza domu rośliny zaczęły się wycofywać, podwijając grube pędy i zamykając kielichy kolorowych kwiatów. W jednym momencie wszystko ucichło, na podjeździe dało się słyszeć jedynie cichy szelest targanych wiatrem suchych liści i uderzające w dachówki krople deszczu, który nadszedł wraz z purpurowymi chmurami. Dom stał niewzruszony tak, jak stał przez lata, samotny i dumny, na przekór całemu światu. Tak miał stać jeszcze długo, niepomny na mijający czas i ludzi, którzy chcieli go przejąć, choć nie mieli do tego żadnego prawa. Ostatni prawowity dziedzic, powracający z daleka i pragnący ulitować się nad dorobkiem swej rodziny, wisiał na psiej smyczy i bujał się smętnie na boki. Ostatnim, co pojawiło się na krótką chwilę w jego głowie, było przeświadczenie, że porzucenie, którego się dopuścił, nigdy nie zostanie mu wybaczone. Pogodził się z tym i zrozumiał swoją winę, zarzuty wydały mu się jak najbardziej podstawne, a on ze spokojem w sercu poddał się karze. Tak skończył się jego powrót do miejsca, w którym nie znalazł stęsknionych ramion, cierpliwych i wytrwałych w oczekiwaniu na jego ponowne przybycie.

RAFAŁ PIETRZYK

ŻÓŁCI LUDZIE

– Czy wierzysz w żółtych ludzi?

– Ja wierzę.

Jestem starym człowiekiem. Dwojako starym. Metrykalnie nie jest jeszcze ze mną źle. Psychicznie gorzej. Wewnątrz czuję się zgniły.

Nie wychodzę z domu nazbyt często; w zasadzie wcale. Zakupy albo rachunki, czasami lekarz – na miesiąc będzie trzy razy.

Nie snuję się parkowymi alejkami w nadziei na spotkanie znajomego, bo trwałych znajomości nie nawiązałem. Nie wyładowuję frustracji na grających w piłkę dzieciakach, gadając, jak to kiedyś było lepiej. W tramwajach nie walczę o krzesła. Wolę stać z tyłu, przy szybie. Stojącego dużo trudniej okraść. Nie kupuję łąbędziej przyjaźni uschniętym chlebem.

Czasem, kiedy już wyjdę, pozwalam sobie na ciastko, ale zawsze proszę, by zapakować. A potem wracam i jemy. Ja i pies.

No właśnie. Pies.

Pies jest włochaty, wysoki. Ma długie uszy, którymi tak śmiesznie macha, kiedy mnie wita. Na brzuchu, rok jakoś będzie, jak mu się porobiły jakieś paskudztwa. Rany, które co dzień z wielką pasją zalizuje, tylko po to, by nazajutrz wszystko zaczynać od nowa. Ale się nie uskarża. To dobry pies. Nie budzi sąsiadów wyciem.

Psu na imię jest Pies i obu nam jest z tym dobrze. Znamy się długo. Dawno przeszliśmy na ty. Imiona są nam do niczego niepotrzebne.

Pokój, w którym mieszkamy, jest bardzo mały. Za kuchnię służy maszynka na jeden palnik i stara, zniszczona lodówka. Łazienka jest na końcu korytarza i chodzę do niej jedynie wtedy, gdy muszę. Nie lubię spotykać ludzi z naszego bloku, bo zawsze odruchowo czuję wstyd. Nie wiem czemu. Chyba za to wszystko wokół mnie. Poza tym słyszałem, jak kiedyś o mnie mówili. I o moim mieszkaniu, że w nim śmierdzi.

Może i tak.

Czasem zdarza mi się sikać do butelek.

Miałem także w domu telewizor. Mały, trzynaście cali. To znaczy, mam go nadal, ale około pół roku temu przestał odbierać. Włączałem, włączałem i nic. Pomyślałem, że może po prostu usnął. Że tylko śpi. Codziennie próbowałem go obudzić.

Miesiąc temu zamówiłem nawet elektronika, czy jak to się tam teraz mówi na tych fachowców? Miał być naza jutrz, ale dwukrotnie przekładał i pojawił się dopiero po tygodniu. Duży chłop. Prawdopodobnie przyjezdny.

Widziałem, jak bardzo się skrzywił, kiedy przestąpił próg, ale udałem, że nie rozumiem, o co chodzi. Bolało mnie tylko to, z jaką pogardą spojrział na mego psa. I że nie spytał, czy groźny.

W ogóle ten człowiek czuł się w obcym miejscu bardzo pewnie. Najpierw bezceremonialnie otworzył piwo. A potem postawił na stole torbę bez zapytania, nie dając mi nawet czasu, bym zwinął obrus. Na telewizor nawet nie rzucił okiem, mówiąc, że jest już późno i nie ma ze sobą narzędzi. Chciał brać do siebie na warsztat. Nie pozwoliłem.

Przecież gdyby odbiornik nagle się przebudził w obcym miejscu, mógłby się bać. Już lepiej niech stoi zepsuty, niż obce łapy mają przy nim grzebać. Tutaj, na czarnej szafce, ma swój dom.

To mu mniej więcej powiedziałem, pomijając ten fragment o obcych łapach. Puknął się w czoło, sądząc, że tego nie widzę.

– Co kto tam lubi – powiedział.

Potem zapytał, czy nie chcę opchnąć na części. Pokój mały. Po co trzymać w domu takiego grata? Dawał trzydzieści złotych, płacąc żywą gotówką. Kazałem wyjść.

Wtedy już się popukał oficjalnie i zazyczył sobie siedemdziesiąt złotych za diagnozę. Zupełnie jak jakiś lekarz.

Nie chciałem płacić, a on nie chciał ustąpić. Mówił, że droga benzyna, że cenny czas. Pchlim targiem ustaliliśmy czterdzieści pięć. Podałem mu pięćdziesięciotowy banknot, nie miał wydać. Jestem niedojdą. Trudno.

Gdy wyszedł, zostawiając na odchodne zawleczkę z piwa, od razu przekręciłem zasuwkę w drzwiach, a następnie się po prostu rozplakałem. Aż pies wyjrzał spod stołu.

Powiedziałem odbiornikowi, żeby się nie bał. Że go nie wyrzucę ani nie oddam na części, bo tutaj jest jego dom. Na koniec wytarłem z kurzu i sprawdziłem w zeszycie z prognozami, ile ten wydatek dla nas znaczy? Gdzie można nieco przykręcić, by jakoś żyć?

Znaczył dużo. Ciastka skreśliłem pierwsze.

Nazajutrz odruchowo nacisnąłem włącznik telewizora. Zadziałał za pierwszym razem i działał czternaście dni. Niech mi ktoś powie, że dobroć się nie opłaca.

Po dwóch równiutkich tygodniach zgasł na dobre. Tak, jakby chciał się pożegnać. Wiedziałem, że nigdy więcej nie zadziała. Wtedy dostrzegłem w odbiciu kineskopu dwóch żółtych ludzi. Stali na środku pokoju i się cieszyli.

Zamknąłem oczy, a gdy je ponownie otworzyłem, już ich nie było. Telewizor przykryłem chustą po mojej ciotce. Boję się odbić. Nie mam w domu lusterka.

żÓłCi Ludzie

Żółci ludzie są różni. Tak jak i my. Jedni bywają współczujący, inni nie. Wszyscy są strasznie płochliwi.

Nie są wysocy. A raczej, są bardzo niscy. Siedemdziesiąt, góra osiemdziesiąt centymetrów. Dostrzec ich można, patrząc w głębię jeziora albo w odbiciu bardzo starego szkła. Nie ma na ich temat żadnych książek.

Od dawna prowadzę zapiski o żółtych ludziach, ale to trudny temat i nie zapisałem nawet pół zeszytu. Najważniejsze podkreśliłem długopisem.

– Są mali i szczupli.

– Można ich dostrzec jedynie w odbiciu szyby. Ewentualnie bardzo starego szkła czy tafli wody.

– Ich twarze są zamazane i skryte pod kapturami żółtych kurtek.

– Pojawiają się zawsze, gdy coś bardzo ważnego ma się wydarzyć.

– Żółtych ludzi widzą tylko nieliczni.

Później o nich opowiem trochę więcej. Teraz chciałbym o sobie.

Pragnę powiedzieć trzy zdania o otoczeniu, w którym przyszło mi żyć. I o tej zimie bez śniegu, co jest w człowieku. Wspomnieć o swoim małym, prywatnym świecie. Nie jest rozległy.

A kiedy skończę, nałożę palto i wyjdę. Odwiedzę bank, kupię ciastka po drodze i pójdę dalej. Nie wiem, którądy i dokąd. Nie mam planu. Ten powstanie po

drodze. W domu jest bardzo cicho, bo nie mam radia. Nie ufam głosom bez twarzy.

Pies nie oddycha od wczoraj. Może śpi? Nie muszę jeść ciastek w domu.

Żółci ludzie tańczą w szklankach na stole.

mÓj ŚwIaT

Mój świat to metraż pokoju i szlak do kibla na piętrze. To schody, winda i chodnik. To tramwaj z numerem siedem. I mały sklep osiedlowy, który kupił mnie tym, że dobrze wydaje reszty.

To także kiosk nieopodal, w którym jeśli się nie pochylisz do okienka, możesz na zawsze pozostać anonimowy. To cukiernia.

I chyba tyle. Więcej ich nie pamiętam.

Za wszystkie serdecznie żałuję.

Wychodząc, zauważyłem na drzwiach, że napis K+M+B został zastąpiony napisem ÓWAGA ŻMIERDZI SZCZY-NAMI. Dwie dziewczynki zerkały z drzwi nieopodal, wystawiając głowy w ten sposób, że widziałem tylko połówki ich roześmianych twarzyczek. A może miały tylko połówki twarzy? Nieważne. Nawet mi się nie chciało tego ścierać.

Windą nie jeżdżę, odkąd wstawiono lustro na całą ścianę. Dwa poprzednie zbiłem na kawałeczki. Cztery piętra schodami. Taki los.

Za to na dworze niezbyt przyjemna wilgoć i zimno jak na Syberii, ale w nagrodę niemal puste ulice. Taki układ rzeczy mi odpowiadał.

Miałem już ruszać, kiedy dostrzegłem wysoką lampę bez abażuru, którą ktoś pozostawił pod zsyphem. Ciekawe czy jej obiecał, że zaraz wróci?

Poszedłem na tramwaj, bo do banku mam naprawdę spory kawał, ale w połowie drogi zawróciłem. Gdybym tego nie zrobił, gryzłoby mnie to i pewnie bym przejechał góra jeden przystanek i zaraz wysiadł. Wracając teraz, zaoszczędziłem cenny czas.

Nie jestem jednym z tych, co ciągną śmieci do domu, ale obojętny na cierpienie też nie jestem. A porzucony przedmiot to tak, jak przywiązany do drzewa pies. Krzyczy i cierpi podobnie. Trzeba tylko umieć się w to wsłuchać.

Przeniosłem lampę do siebie, płosząc kogoś spod drzwi, i zostawiłem razem z martwym psem. Po drodze ktoś za mną krzyknął, że jestem dziwak. Pięć minut później byłem już na przystanku. Tramwaj odjechał cztery minuty wcześniej.

Podsumowałem to wszystko we własnej głowie i szczerze się z siebie uśmiełem. Dwie nastolatki ominęły mnie łukiem, szerszym niż to konieczne. Ubrane stanowczo zbyt lekko jak na taką pogodę. Bez czapek. W rozpiętych kurtkach.

Trudno – pomyślałem. – *Niech sobie umrą.*

Tramwaj przyjechał piętnaście minut później. Jak zwykle poszedłem na koniec. W środku od czterech chłopców się dowiedziałem, że moje palto musi być bardzo drogie, bo waży pewnie dwa kilo. Nie do końca zrozumiałem, o co chodzi. Potem jeden z nich wskazał na odbiorniczek, co to noszę go w uchu, by lepiej słyszeć i spytał, czy nie mam tam może jakiegoś niezłego rapu. Następnie wymienił szybko ze trzy nazwiska. Jego koledzy pokładali się ze śmiechu.

W końcu wysiedli i poszli w swoim kierunku. Patrzyłem, czy aby nie staranuje ich przypadkiem ciężarówka. Niestety nie staranowała.

Żółci ludzie patrzyli na mnie z za szyb.

W banku mi powiedziano, że jeśli zdecyduję się na jednorazową wypłatę całej sumy, to stracę przeszło sto złotych.

W odpowiedzi spytałem siedzącą za ladą ciemnowłosą dziewczynę z żelastwem w nosie, czy grywa może w szachy albo kanastę. Zrobiła obrażoną minę, mówiąc, że nie ma najmniejszego powodu, by być niemiłym. Że tylko wykonuje obowiązki.

Czemu ludzie reagują tak panicznym lękiem na nieznaną?

Wyszedłem bogatszy o przeszło tysiąc osiemset polskich złotych i udałem się prosto do cukierni. Wcześniej, gdybym wybrał choćby połowę tej sumy, pewnie kazałbym się zawieźć taksówkarzowi pod sam blok. Nie z rozrzutności, tylko z obawy przed tym, że mnie okradną. Teraz jednak to nie miało znaczenia. Czuję się, jakby kroczący za mną ogień spopielał wszystko, nie pozwalając mi wrócić czy się zatrzymać. Nie spojrzałem ani razu za siebie z obawy, że go zobaczę.

Jego lub żółtych ludzi niosących za mną pochodnie.

W cukierni była Joanna, jedyna porządna dziewczyna, jaką znam. A może i jedyny dobry człowiek? Przywitała się ze mną serdecznie, pytając, co też tym razem? Na co mam dzisiaj chęć?

Wybrałem dwanaście ciastek. A ona spytała, czy ma je tak jak zwykle zapakować? Wtedy pękłem i przez łzy opowiedziałem jej o swoim psie. O tym, że zmarł. I że ja też umieram. Tak po prostu.

Gdy skończyłem, zapytała mnie o żółtych ludzi. O to, czy ponownie ich widziałem?

Myślę, że gdybym poprosił, zamknęłaby sklep i pozwoliła mi zostać, ile tylko bym chciał. Nie miałem jednak zamiaru narażać jej na kłopoty. Nie wiedzieć czemu, Joanna bardzo mnie lubiła, ale jej szefowa już tej sympatii nie podzielała.

Skinałem, że tak. Że widzę ich nawet teraz. Że łypią na mnie zza jarzeniowego światła i śmieją się z tortowych salaterek. Przyglądają mi się zza wystawowych szyb.

Mój wywód ją mocno przygnębił. Zmarkotniała. Potem położyła na ladzie małe, czarne pudełko, pytając, czy ma gdzieś zadzwonić. Po kogoś albo po coś. Chwilę milczałem, aż się zarumieniła. Chyba zrozumiała, że tym kimś jest ona.

Kiedy pakowała ciastka, milczała, wbijając wzrok w swój zgniłozielony sweter. Podziękowałem, położyłem na blacie czterysta złotych i wyszedłem. Wybiegła za mną, ale żółci ludzie mnie ukryli i tylko widziałem, jak rozrzuca swój piękny długi warkocz, machając głową na boki. Jak woła mnie po imieniu.

W końcu przemarzła i zrezygnowana powlokła się wolno z powrotem. Ja zaś poszedłem nad staw.

- Żółci ludzie nie grywają w karty, chińczyka oraz kości.
- Nie znają szachów i nie stawiają pasjansów.
- Nie interesuje ich nic, czego nie znają.
- A jedyne zasady, jakie wyznają, są ich własne.

Staw podkuty był lodem, ale nie skuty na amen. Oczyszciliśmy ze śniegu ławkę, która stała najbliżej wodnego oczka i usiadłem. Obok siebie położyłem smakołyki. Potem wyjąłem zeszyt o żółtych ludziach.

Na pierwszej wolnej stronie napisałem drukowanymi literami słowo SAŁD. Potem zacząłem gorączkowo rozmyślać, jedząc i ubierając swoje myśli w podpunkty. Po jakiejś godzinie nazbierałem ich dziewięć. Uznałem, że to wystarczy.

Dziewięć drobnych kroków – pomyślałem. – *Dziewięć kroków. Dziewięć.*

Potem zauważyłem, że mniej więcej tyle metrów dzieli mnie właśnie od stawu.

Jestem emerytowanym matematykiem teoretycznym i kabalistą. Zajmowałem się kiedyś chaosem liczb i ich wpływem na świat. Do dwutysięcznego miejsca po przecinku znam liczbę Pi. Dawniej też nałogowo grywałem w szachy.

Jedno wiem.

Żyjemy w dziwnym świecie, o którym tylko nam się wydaje, że coś wiemy. Nie jest to prawdą. Nie wiemy o nim nic.

Żółty człowiek siedzący na ławce obok mnie skinął głową. Nie przeszkadzało mi, że słyszy moje myśli, ponieważ się z nimi zgadzał.

SĄD

Każą się tytułować ludźmi, lecz to tylko człowieczki. Małe knypki. A żółci są z zazdrości, za swoją małość.

Wniosek, że są różnorakie, wysnuty błędnie. Nie ma ich różnorakich. Są tylko źli.

Odnaleźć ich można we wszystkich magicznych liczbach. W jedenastce, siódemce, trzynastce oraz trzech szóstkach. A królową tych wszystkich liczb jest dwadzieścia trzy.

Żółci ludzie naśmiewają się z tego, co o nich myślisz. Uważają się za lepszych. Kiedyś robili psoty, ale bycie chochlikami już im przestało wystarczać. Teraz są źli. Wrzucanie kociąt do ognisk daje im radość. Uwielbiają czynić występki obcymi dłońmi.

Przypuszczenie: Prowadzą do nich różnorakie drogi. Droga zbyt żarliwych modłów. Ucieczka w satanizm oraz stany poszerzające świadomość. Do tego wszelakie formy uzależnienia. A także nauki ścisłe. Matematyka. Biologia. Fizyka. Także chemia.

Ciekawostki: Rozdziel dwadzieścia trzy na człony. Podziel 2 na 3, a wyjdzie 0,666. Pod dwójką i trójką na klawiaturze jest W jak Wiktoria. A licząc od pierwszej

litery (Q) w prawą stronę, 23 literą będzie V jak Victory (zwycięstwo). $2 + 3 = 5$. Piątkę oznacza się Rzymską literą V. Symbolem zwycięstwa. Ludzie mają po 23 pary chromosomów.

Gasnące nagle światła. Dziwne wypadki. Zbiegi okoliczności. Telekineza. Większość tych zjawisk zachodzi właśnie od nich.

WNIOSEK NADRZĘDNY!!!

Pod żadnym pozorem nie należy ich poszukiwać w żadnej z dziedzin, bo... Nawiązać z nimi kontakt jest trudno, ale zmusić ich do odejścia już nie sposób. Działają podle i tylko wedle własnych upodobań. Niosą szkodę, żywiąc się całym spektrum negatywnych rozmyślań. Żadne znane modły ani egzorcyzmy nie są w stanie trwale ich odstraszyć. A nad krzywdę fizyczną przykładają umartwienie psychiczne, w czym są mistrzami. Nie należy wierzyć ich obietnicom ani w ogóle wchodzić z nimi w obcowanie. Opornych zmiękczają poprzez gnębienie najbliższych.

Nienawidzą domowych zwierząt, gdyż te je bezbłędnie wyczuwają. I w zemście za owo wyczucie, żółci nacinają im brzuchy. Potrafią się pobratać z otoczeniem i czerpać z elektryczności.

Teza, że śmierć jest od nich uwolnieniem – nieokreślona.

Epilog

Kobieta wstała akurat wtedy, gdy mężczyzna szedł już po taflę stawu. Najpierw pomyślała, że ma szczęście, iż w ogóle zdołała się obudzić. Przecież na takim mrozie to...

Nie lubiła składać fałszywych obietnic Bogu, więc nie przysięgła, że przestanie pić. Obiecała jednak przykładać większą uwagę do miejsc, w których będzie raczyła się

procentami. Wtedy przyjrzała się dokładniej idącemu, a zwłaszcza wianuszkowi dzieci, który mężczyznę otaczał.

Przetarła śniegiem twarz, sądząc, że to tylko wyjątkowo wredne delirium mąci jej w głowie. A potem jeszcze raz. I jeszcze. Nic z tego. Obraz przed oczyma się nie zmienił.

Dzieci było ponad dwadzieścioro. Większość szła za mężczyzną krok w krok, tworząc coś na wzór nawiasu odgradzającego go od brzegu. Dwójka zaś najwyraźniej ciągnęła człowieka za ręce, by szedł dalej. Nie wiedzieć w zasadzie po co, bo wyglądało na to, że wszedł on na lód dobrowolnie. Niemniej jednak, ręce miał wyciągnięte przed siebie pod dziwnym kątem, jakby go naprawdę coś ciągnęło. Ponownie przetarła śniegiem spuchniętą twarz.

W ogóle dzieciarnia była do siebie podobna, jak gdyby wszyscy byli z tej samej klasy. Ale to z kolei niemożliwe, bo dzieci były za małe nawet na pierwszoklasistów. Niskie, poniżej metra. I wszystkie w takich samych żółtych kurtkach z kapturami zaciągniętymi na głowy. Kapturami, spod których nie wystawały im twarze.

Potem się rozejrzała, dostrzegając coś jeszcze dziwniejszego. Ptaków były setki, ale wszystkie fruwały. Żaden nie siedział na drzewie.

Wtedy lód się załamał, zabierając idącego w mroźną toń. A dzieci po prostu zniknęły, jak gdyby porwał je wiatr. Natarła sobie twarz śniegiem kolejny raz.

Tym razem wzrok się wyostrzył i dostrzegła coś na pobliskiej ławce. Coś, co wyglądało jak pudełko z ciastkami. Pełna obaw, wciąż nie do końca trzeźwa, ale i zarazem pieruńsko głodna zbliżyła się i... Faktycznie, to były ciastka. Dziewięć sztuk. Kremówka, pączek, jagodzianka. A obok, matko jedyna, skórzany portfel.

Pochwyciła go, zupełnie zapominając o głodzie. I tak... Tak, jak w jej snach. W środku były pieniądze.

Tysiąc czterysta złotych i jakieś drobne. A jeszcze obok zeszyt oraz długopis.

Przekartkowała kajet, bo ludzie w nich bardzo często chowają kasę, ale pełen był tylko jakichś bazgrołów. W dodatku na niemal każdej stronie ktoś wyrysował jakieś matematyczne obliczenia. Już miała go rzucić w śnieg, lecz się wstrzymała.

Co, jeśli ten, który poszedł w wodę, odkrył jakiś system na totolotka? Nie wolno takiej szansy zaprzepaścić. Trzeba wziąć i pokazać wszystkemu Radosławowi. On się na matmie znał jak mało kto. A nawet, jeśli dobrze spała, sam ją kiedyś wykładał. Nie można tego wyrzucić. Trzeba wziąć. Jak otrzeźwieje, na pewno będzie chciał rzucić okiem. Nie można tego wyrzucić. Trzeba wziąć.

Od tych wszystkich nagłych zwrotów akcji zaparowały jej przeciwsłoneczne okulary, które ciągle miała jeszcze na nosie. Co prawda słońca nie było, ale ona zawsze je zakładała do alkoholu. Gdy chłała, puchła jej twarz, a nie chciała, by ludzie na nią patrzyli. A teraz te okulary zaparowały.

Ściągnęła je, chcąc wytrzeć w rękaw, i wtedy stało się coś, od czego stanęło jej serce. Poczuła ostre ukłucie i zakasłała, zraszając śnieg gęstą krwią.

W odbiciu okularów dostrzegła całą gromadę tych żółto ubranych dzieci. Otaczały ją kołem. I, mimo że wszystkie się śmiały, żadne nie miało twarzy.

Upadła w śnieg, ciągle ściskając portfel z ponad tysiącem czterystoma złotymi w środku. A mówiąc ściślej: tysiącem czterystoma dwudziestoma trzema złotymi.

Matematyczny zeszyt o żółtych ludziach upadł tuż obok niej.

– Czy wierzysz w żółtych ludzi?

– Ja wierzę.

PAULINA REZANOWICZ

WYPRAWA POLARNA BERNARDA MOREAU

– O, tak! Dużo wiem o wyprawie Barrowa. To było jakieś dwadzieścia lat temu – mówił mężczyzna, uderzając raz po raz kuflem o stół. – Szykowali się na nią wiele lat. Przyplływali i odpływali z Viku. Budowali tu sobie zaplecze. Zbierali fundusze, przekonywali sponsorów, uniwersytety, admiralicję, a nawet samego króla. Tak słyszałem. Aż w końcu wypłynęli, zabierając paru naszych. Taaak.

Zamyślił się i upił spory łyk piwa.

– Wiele lat temu – powtórzył i przymknął oczy, najpewniej próbując odgrzebać z pamięci odległe fakty.

– Panie Neville, niech mi pan opowie coś więcej, coś czego nie wiem – prosił dystyngowany mężczyzna o obcym akcencie.

Jego współrozmówca odwrócił swój kufel do góry nogami i wymownie wytrząsnął kilka ostatnich kropli na podłogę. Elegant skinął na dziewczynę z dzbankiem, żeby uzupełniła braki. Neville uśmiechnąwszy się, łapczywie zlizął piankę z brzegów kufła.

A tymczasem pewien młody chłopak nadstawił z ciekawością ucha.

– Co tu więcej mówić. Pojechali i przepadli. Słuch po nich zaginął. Nikt nie wrócił.

– Nikt? – powtórzył džentelmen, a młodzieniec usiłował odgadnąć, czy w jego głosie zabrzmiała radość, czy zawód.

– Prawie nikt. Ktoś powrócił, po wielu latach, gdy wszyscyśmy potracili nadzieję, a większość z nas to

nawet zapomniała o takiej wyprawie. Mój szwagier to był. Jonathan Grey. Porządny chłop i dobry marynarz. Zachciało mu się przygody i jakieś skarby obiecywali. Taa.

– I co? – ponaglał elegant.

– Wrócił w gorączce. Nie sam, Eskimosi znaleźli go Bóg wie gdzie. Wszędzie odmrożenia. Wdała się gangrena, bredził przez parę nocy, a potem wyciągnął kopyta. Ot co.

– A cóż takiego mówił? Pan był wtedy przy nim? Słyszał?

– Hmm... – Neville próbował wzmóc napięcie, widać nie pierwszy raz opowiadał tę historię. – Słyszeć słyszałem, a i pastor nasz słyszał, co do niego przed śmiercią przyszedł. Ale ten już nic wam nie zdradzi, bo sam zmarł niedługo potem.

– No to powie mi pan wreszcie?

– Ja niewiele zrozumiałem z tych bredni, ale pastor mówił, że to się nazywa... – zmarszczył czoło z wysiłku – herezja i że Jonathan w piekle się smażyć będzie.

Młodzieniec przysunął się jeszcze bliżej, ale w knajpie wywiązała się bójka. Neville zdążył jeszcze powiedzieć coś na ucho dzentelmenowi, po czym ruszył w kocioł walki. Obcy wybiegł na zewnątrz, a chłopak, niewiele myśląc, wymknął się za nim.

Dzentelmen rzucał się w oczy. Nie chodziło tylko o elegancki styl bycia i szykowną odzież. Buty na cienkich podszwach, tylko dwie warstwy ubrań, goła głowa. *Kolejny, który przepadnie w lodowym morzu* – pomyślał chłopak.

Elegant nie był pierwszym poszukiwaczem w tej okolicy, ale pierwszym od dwudziestu lat. Tacy jak on pojawiali się kiedyś często, przyplýwali na imponujących statkach z dalekich krajów, wyglądali dziwnie i wysła-

wiali się w sposób, który to śmieszył, to irytował miejscowych. Jednak chłopak sam nigdy wcześniej nie widział żadnego odkrywcy. Był za młody. O podróżnikach ze Starego Świata opowiadał mu ojciec, kiedy jeszcze żył.

Bastien Moreau wypływał wraz z nimi w mroźne odmęty arktycznego morza i nie raz ratował wyprawy przed tragedią. I to właśnie z jednej z takich ekspedycji przywiózł do Viku przyszłą matkę Bernarda. Po przyjeździe na świat syna, ojciec zajął się polowaniami na wieloryby, ale wciąż marzył o powrocie na niezbadane wody na północnym zachodzie. Nie udało mu się, zmarł przedwcześnie na gruźlicę. Jednak Bernard postanowił, że kiedyś powróci w tamte rejony w jego imieniu.

Niestety ten pierwszy od lat odkrywca zawiódł oczekiwania chłopaka. Niewiele wiedział o życiu na rubieżach. Tylko statek, na którym przybył, zachwycał. Przy nim to, na czym pływali wielorybnicy, wyglądało jak liche łajby.

Zbliżali się do portu.

– Bernard! – Głośne zawołanie rozcięło mroźne powietrze.

Dżentelmen odwrócił się i spojrzał na młodzieńca. Po chwili ruszył dalej. Tymczasem do chłopaka podeszła jego skośnooka matka.

– Bernardzie, cały wieczór cię szukam, wracaj natychmiast do domu.

– Ale...

– Żadnego ale.

Chłopak z żalem spojrzał na znikającego za zakrętem mężczyznę i grzecznie zawrócił. Nie musiał się martwić, że dżentelmen wypłynie niepostrzeżenie. Był dopiero kwiecień i całe morze na zachód od Viku pokrywał jeszcze gruby lód.

Bernard stał na nabrzeżu i zachwycił się trójmasztowcem, na którym przyплыnęli wczoraj Belgowie. Ogromny masywny kadłub, porządnie wysmołowane burty, wysokie, solidne maszty. Statek, ba, okręt, sprawiał wrażenie lepiej przygotowanego niż załoga.

– Widziałem cię już wczoraj, chłopcze. Czego chcesz? – Z zadumy wyrwał go głos dochodzący zza pleców. Dżentelmen z gospody.

– Podziwiam statek.

– O tak, to niezwykła maszyna. – Widać, że mężczyznę rozpierała duma. – Jak ci na imię?

– Bernard.

– Ja jestem kapitan de Germery. Znasz się na żeglowaniu?

– Polowałem trochę na wieloryby z ojcem. Kiedy jeszcze żył.

– Ach tak.

– Dlaczego nazywa pan swój statek maszyną, kaptanie?

– Chodź, pokażę ci coś.

De Germery wprowadził młodziaka na pokład. Przyjaźnie pachniało na nim solą, smołą, rybami i czymś jeszcze, czego Bernard nie potrafił zidentyfikować. Zbliżyli się do dziwnej konstrukcji, którą chłopak wypatrzył już z brzegu. Z solidnej drewnianej nadbudówki wychodziły w górę dwa metalowe kominy.

– Co to? – spytał.

– Tędy uchodzi para. Ale serce maszyny jest pod pokładem. Chodź, zobacz.

Kapitan wprowadził Bernarda do niskiego pomieszczenia wyładowanego po brzegi węglem. W rogu znajdował się ogromny piec. Młodzieniec otworzył usta ze zdziwienia.

– Słyszałeś o parowozach, chłopcze? – zapytał kapitan.

Tak. Bernard słyszał opowieści o pociągach napędzanych parą wodną i wydawały mu się niezwykle. Ale statki napędzane w taki sposób? Niewiarygodne!

– Ten silnik parowy został stworzony specjalnie dla nas w wytwórni lokomotyw w Londynie. Będzie napędzać jednostkę, kiedy zajdzie potrzeba, odsalać morską wodę i zamieniać ją w wodę pitną. A kiedy zrobi się naprawdę zimno, to nas jeszcze ogrzeje. To dopiero wynalazek! – zakrzyknął z dumą de Germery.

Oszołomiony Bernard nie był w stanie wypowiedzieć słowa. Wcześniej chciał popłynąć z Belgami na zachód, by iść śladami ojca. Teraz zapragnął jeszcze zobaczyć dzieło techniki w akcji.

– Zabierze mnie pan ze sobą na wyprawę, kapitanie? – wybąkał wreszcie.

De Germery spojrzał na niego surowo.

– Pięcioro z mojej załogi rozchorowało się i pozostanie w Viku. Muszę więc zatrudnić nowych ludzi. Wydajesz się zdrowy, silny i niegłupi... – myślał na głos kapitan. – Znasz tutejsze morza?

– Lepiej od waszej załogi, kapitanie – odparł buńczucznie.

– A co na to twoja matka?

– Poradzi sobie, kapitanie.

– Dobrze więc. Witamy pana w załodze, panie...

– Moreau – uśmiechnął się Bernard.

Choć była już późna noc, światło polarnego słońca przenikało w dół przez szczeliny między deskami pokładu. Gwar na statku dawno już ucichł. Bernard nie mógł zasnąć. Był podekscytowany. Wypływali na wody, których nie znał osobiście. Obok niego, w sąsiednim hamaku wiercił się kilka lat starszy, piegowaty Jules.

– Masz w sobie krew Cree? – zapytał szeptem sąsiad.

– Owszem – przyznał Bernard. Nie lubił się wypierać swojego pochodzenia, w Viku wielu było takich jak on, mieszaińców, i wszystkich traktowano z szacunkiem. Jednak slyszaił, że przyjezdny z Europy nie bardzo się to podobało. Mieli się za lepszych. Mimowolnie najeżył się.

– Mnie to nie przeszkadza – dorzucił szybko Jules, wyczuwszy nastrój współrozmówcy. – Chciałem się tylko czegoś o was dowiedzieć.

– Po co? – odburknął Bernard.

– Kapitana i oficerów interesuje tylko odnalezienie drogi morskiej na zachód. Doktora fascynują nowe lądy, a mnie ciekawią ludzie. Jacy są Cree?

– Jestem tylko pół-Cree – odparł, a po chwili postanowił kontynuować. – Moja matka jest Cree, ale opuściła swoją wioskę dawno temu, jeszcze zanim się urodziłem.

– A twój ojciec?

– Zamknijcie się wreszcie i dajcie spać! – upomniał ich ostro jakiś głos.

Bernard zanurzył się głębiej w swoim hamaku. Wyjął z kieszeni nóż, swoją najważniejszą pamiątkę po ojcu. Sztylet miał krótką rękojeść i nieco dłuższe ostrze z wycięciem w kształcie półksiężyca, i dzięki temu był niezwykle poręczny. Bastien zawsze miał go przy sobie i na morzu, i na lądzie. Przytuliwszy przedmiot do piersi, chłopak w końcu zasnął.

Była połowa lipca. Choć słońce stało wysoko na niebie, ostry ziaób przenikał wszystko. Bernard stał na pokładzie i wypatrywał zagrożeń dla statku. Morze usiłowało ich zatrzymać, rzucając o burtę kawały lodu najeżone ostrymi krawędziami, a te z okropnym chrzęstem rysowały kadłub jak

pazury morskich potworów. Ale statek był solidny, powoli i wytrwale sunął do przodu. Ktoś z bocianiego gniazda zakrzyknął, że zbliżają się do lądu. Bernard uśmiechnął się ironicznie. Jak rozpoznać, czy to ląd, czy morze skute lodem? Jednak faktycznie, gdzie nie spojrzeć, zmarzlina otaczała ich coraz ciasniej. Na zachód nie dało się już płynąć.

– Moreau, wzywa cię kapitan! – zawołał ktoś z załogi. – Jest w swojej kajucie, naradza się z oficerami.

Chłopak zapukał, po czym wszedł do środka. Wnikliwe oczy de Germery'ego natychmiast wbiły się w niego z pytaniem:

– Był pan kiedyś na tych wodach, Moreau?

– Nie, tak daleko na zachód nigdy nie płynęliśmy, kapitanie.

– A ktoś inny, jacyś wielorybnicy czy rybacy? Muszę wiedzieć, czy ląd, na który natrafiliśmy, to półwysep czy wyspa?

Bernard niepewnie pokręcił głową. Statek zatrzęsł się pod naporem nacierającego lodu. Kra pękła z głośnym trzaskiem.

– Proponuję płynąć na południe – odrzekł pierwszy oficer. – Jesteśmy za daleko na północ, stąd ten gruby lód. Na południe będzie go mniej, damy radę się tam przecisnąć.

– Pod warunkiem, że trafiliśmy na wyspę, oficerze Brut-fils. Ale jeśli to półwysep, będziemy musieli zawrócić! – wycedził przez zęby de Germery. – Naprawdę nic pan nie wie o tych wodach? A pańska matka, Eskimoska? – Z ostatnią nadzieją spojrział na chłopca.

Kapitan nie wyglądał najlepiej, oczy błyszczały mu od gorączki i ostry kaszel co chwila rozrywał płuca. Bernarda owionął smród jego oddechu.

– Moja matka, Cree, a nie Eskimoska, mówiła, że jej lud nigdy tu nie wpływa. Kiedyś dotarli daleko na północ, ale musieli zawrócić.

– Dlaczego? – przerwał mu oficer.

– Tabu. – Bezradnie rozłożył ręce Bernard. – Odnaleźli coś, o czym nie mogli mówić i zawrócili. Potem przenieśli się bardziej na południe. Znacznie później, na ziemiach, które opuścili Cree, osiedlili się Eskimosi. Ale oni nic nie wiedzą, polują tylko na foki i łowią ryby. Nie muszą po to pchać się bardziej na północ.

– Nie mam ochoty zawracać – westchnął kapitan. – Nie będę tego ryzykował.

– Płyńmy na północ – poparł kapitana doktor Spencer. Nieprzekonany oficer zmarszczył brwi.

– Pan, doktorze, najlepiej wie, że kapitan i duża część naszej załogi nie są w najlepszej kondycji, a mimo to nalega pan na bardziej ryzykowne rozwiązanie – oburzył się.

Doktor wzruszył ramionami.

– W imię nauki – odparł sucho, potem jednak zaproponował: – Jeśli zrobi się naprawdę zimno, uruchomimy silnik parowy.

– Opału starczy zaledwie na dwanaście dni – argumentował oficer Brutfils.

– To aż nadto – skomentował de Germery. – A pan co na to, panie Moreau?

Poślednio, że kapitan pyta o jego opinię, Bernard bez zastanowienia przychylił się do jego zdania:

– Opłynijmy ten ląd od północy.

– Tak będzie. Postanowione – zarządził de Germery ku uciesze doktora.

– Nie zgadzam się z tą decyzją. Proszę to odnotować w dzienniku pokładowym – wydusił pierwszy oficer.

Statek wciąż trzeszczał pod naporem lodu.

– Straciłeś rozum? – Jules z obrzydzeniem obserwował Bernarda odcinającego kawał surowego mięsa z ciepłej jeszcze foki. – Zjesz to? Na surowo?

Sam Jules i reszta załogi pałaszowała właśnie konserwy.

– A ja nie wierzę, że wam smakuje to coś – odrzekł, wskazując zaśnieżoną puszkę, po czym wpakował do ust czerwony kawałek świeżego mięsa.

Jules obrócił się wymownie. Bernard wzruszył ramionami i jadł dalej. Wszyscy w Viku wiedzieli że, oprócz karibu, to właśnie surowe mięso foki jest dla człowieka najlepsze. Fakt, że udało im się spotkać fokę tak daleko na północy, niezmiernie ucieszył Bernarda. Od tygodni nie natknęli się na żadne zwierzę, a pod lodem nie było już nawet ryb. Kiedy tylko dostrzegł zagubione zwierzę na lodzie, rzucił harpunem, trafiając za pierwszym razem, i wciągnął fokę na pokład. Zaciekawiona część załogi zebrała się wokół Bernarda. Wkrótce pojawił się nawet sam kapitan.

– Mamy obiad! – wykrzyknął Bernard, ale załoga nie podzielała jego ekscytacji. Na razie nie byli głodni, zapasów na statku było sporo. Tak naprawdę, węgla ubywało znacznie szybciej niż puszek z jedzeniem.

– Kto chce, może spróbować – oświadczył kapitan. – Ja pozostanę przy belgijskiej wołowinie.

Niewielu było chętnych na specjał Bernarda, a ci którzy się zdecydowali, poprosili kuka, żeby usmażył ich porcje. Jedyne doktor Spencer i oficer Brutfils przysiedli się do chłopaka i włożyli do ust zaoferowane przez niego, ociekające krwią i tłuszczem, surowe kawałki. Bernard zjadł, ile mógł, po czym pociął na mniejsze porcje pozostałą część mięsa, zawinął je w płótno i pozostawił na pokładzie do zamrożenia.

– Czy teraz przemówi do mnie duch foki i poradzi, jak płynąć? – spytał Spencer.

Bernarda zdziwiło, że doktor zna się na wierzeniach miejscowych ludów, ale ironia w jego głosie zirytowała chłopaka.

– Nie jest pan szamanem, doktorze.

– Może chociaż przemówi do pana, panie Moreau?

– Jestem chrześcijaninem – odparł Bernard.

– Obawiam się, że nie spotkamy Jezusa na tym zapomnianym przez Boga miejscu – zaśmiał się doktor.

– Przestań pan bluźnić – obruszył się oficer Bruttilfs. – Załoga wymiera. Nie potrafi nas pan wyleczyć, więc chociaż Boga powinien pan wezwać na pomoc!

– Wzywałem, stąd wiem, że go tu nie ma!

– Trafiliśmy do piekła – powiedział zamyślony oficer.

– Chciałbym – roześmiał się Spencer. – Tam jest przy najmniej ciepło!

Po wielu dniach statek w końcu wrócił na zachodni kurs, pozostawiając za sobą tajemniczy ląd. Niestety lato się kończyło i zapasy konserw także. Coraz więcej ludzi chorowało i popadało w obłąd. Prawie wszyscy pluli zębami, krwią i uskarżali się na bóle w trzewiach. Jednak zimno i szkorbut nie tłumaczyły większości objawów. Doktor Spencer winił bardziej utratę nadziei. Pewnej nocy Jules wstał i wyszedł na pokład. Nim ktokolwiek zdążył zareagować, rzucił się za burtę. Gdy go wyłowiono, już nie żył. Zapoczątkował falę samobójstw.

Bernard oceniał stan swojego zdrowia jako dobry, zważywszy na okoliczności. Już tylko on i doktor byli ciekawi, co znajduje się dalej, i cieszyli z kontynuacji wyprawy.

Kapitan dzielił nieszczęsny los większości załogi, dlatego dowództwo nad ekspedycją przejął oficer Bruttilfs.

Natomiast sam de Germery od wielu dni leżał w swojej kajucie. Bernard postanowił do niego zajrzeć.

Choć było przerażająco zimno, od kapitana buchało gorącem. Czoło pokrywały mu kropelki potu.

– Co panu powiedział ten człowiek w karczmie, kapitanie? – zapytał Bernard.

De Germery spojrział na niego półprzytomnie.

– Jaki człowiek? – wybełkotał.

– Stary Neville, szwagier ocalałego z ostatniej wyprawy. Chyba powiedział panu więcej niż nam w wiosce.

Oczy kapitana na chwilę oprzytomniały.

– Słyszałem pańską rozmowę z Nevillem w gospodzie. Słyszałem wszystko oprócz ostatniego zdania, które wyszeptał panu do ucha, gdy rozgorzała bójka.

– Tak. – Kapitan obrócił głowę w stronę Bernarda. – Na końcu udzielił mi rady.

Chłopak wpatrywał się w de Germery'ego ze skupieniem.

– Żebyśmy się nawzajem nie pozjadali.

Kapitan stracił przytomność.

– A więc interesuje pana wyprawa admirała Barrowa, panie Moreau. – Dobiegł go cichy głos zza pleców. Drgnął, ponieważ nie usłyszał wchodzącego doktora.

– Co pan o niej wie?

– Przejdźmy do mnie – zaproponował Spencer.

– A więc, doktorze? – ponaglał Bernard, gdy znaleźli się w kajucie.

Spencer usiadł przy biurku i wskazał chłopakowi krzesło po przeciwnej stronie. W świetle lampy młodzieniec dostrzegł, że twarz mężczyzny nabrała chorego, żółtawego odcienia. Oczy błyszczały mu od gorączki. Łóżko było rozkopane, pościel zmięta i pokryta plamami wydzielin. W kajucie unosił się smród potu i przetrawionego alkoholu.

– Nie dochodzą do was wieści ze Starego Świata, prawda?

– Rzadko – potwierdził Bernard.

– Siedemnaście lat temu, czyli trzy lata po tamtej wyprawie odnaleziono dziennik pokładowy z Klaudiusa.

– Ze statku Barrowa? – zdziwił się Bernard. – Jak to możliwe? Czyli odnaleziono statek?

– Klaudius dryfował pośród arktycznych lodów Norwegii. Kiedy wielorybnicy go dostrzegli, zaciekawieni weszli na pokład. Zabrali tylko dziennik z kajuty kapitana. Statek zostawili. De Germery próbował go później odszukać, ale Klaudius przepadł – tłumaczył doktor. Na jego skroni pojawił się pot.

– Dlaczego wielorybnicy nie sprowadzili statku do portu?

– Ze strachu. Spodziewali się znaleźć na statku zamrożone ciała, to się zdarza w Arktyce. Zamiast ciał zamrożonych lub chociażby w rozkładzie znaleźli tylko ludzkie kości. – Spencer przewrócił oczami i rozciągnął usta w szerokim uśmiechu. – Nie były to szkielety zachowane w całości, co sugerowałyby naturalną śmierć. Nie. Kości były porozrzucane w nieładzie, połamane, ze śladami zębów...

– Zębów... potwora?

– Można tak powiedzieć. Kości miały ślady ludzkich zębów, Moreau. Pozjadali się nawzajem, rozumiesz to? Schrupali się na kolację – zaśmiał się doktor. – Nas też to czeka. Utkniemy tu na zimę, wiesz o tym. Nie damy rady, nie przetrwamy tego. Ale ty wszystkich nas przeżyjesz, bo jesteś stąd. Pokroisz nas na kawałki jak swoją fokę. I zjesz.

Bernard wybiegł. Jeszcze za drzwiami dochodził do niego śmiech doktora. Bez wątpienia postradał zmysły. Chłopak wspiął się na pokład, gdzie momentalnie

owionął go mroźny wiatr. Zdołał się uspokoić. Wreszcie wrócił do Spencera, który tarzał się teraz po podłodze, tocząc pianę z ust.

– Co z dziennikiem, doktorze? – próbował się dowiedzieć. Spencer nie słyszał. Bernard uklęknął nad nim i złapał mocno za ramię. Doktor zwinął się i zaczął szlochać.

– Co było w tym dzienniku, Spencer? Słyszysz mnie? Odpowiedz!

Jednak doktor nie słyszał. Nie było sensu tracić na niego czasu. Bernard wyszedł poszukać pierwszego oficera.

Ten siedział w swojej kajucie, popijając coś z parującego kubka. Dopiero teraz Bernard uświadomił sobie, że od jakiegoś czasu dochodzi do niego jednostajne buczenie.

– Włączyliśmy silnik? Przecież kapitan ostrzegał, że to tylko w razie ostatecznej konieczności! – wykrzyczał.

– Czyli właśnie teraz – pewnym głosem odpowiedział Brutfils. – Utknęliśmy, panie Moreau. Nie możemy płynąć naprzód ani zawrócić. Statek, nawet napędzany parą, nie przebije się przez lody. Zima przyszła szybciej, niż sądziliśmy. Nacieszmy się więc ciepłem, póki jeszcze możemy – powiedział i upił kolejny gorący łyk.

– Słyszał pan o dzienniku Barrowa?

– Ba, czytałem go nawet.

– Co ich spotkało?

– A jak pan myśli, Moreau? To samo, co nas. Utknęli, a potem zmarli... Dlatego nie chciałem płynąć na północ. Barrow tak zrobił. To było głupie, powtarzać jego błędy... Ale kapitan myślał, że damy sobie radę, bo mamy silnik. – Oficer wznosił kubek w górę jak przy toaście. – Naiwność – dodał w zadumie i zamilkł.

– Co Barrow napisał w dzienniku przed śmiercią? – Bernard nie poddawał się.

Chwila ciszy.

– To były majaczenia chorego człowieka. Bredził. Napisał tylko jedną sensowną rzecz. Że przejścia na zachód nie ma i że wyprawa z góry była skazana na porażkę.

– A jednak de Germery mu nie uwierzył.

– Nie, nie uwierzył. Bo statek odnalazł się po drugiej stronie.

– Co oznacza, że przejście jednak jest.

– Ale nie dla żywego człowieka. – Oficer skrzywił się gorzko. – Tabu, Bernard, pamiętasz?

– A te majaczenia, oficerze?

– Barrow dostał oświecenia. Pisał, że w tej części świata, zapomnianej przez Boga, człowiek sam staje się bogiem. Twierdził, że nabrał mocy i odnalazł swoje królestwo niebieskie.

– Czy pisał o zjadaniu swoich towarzyszy?

– Nie, o tym nie wspominał – odparł oficer.

– Wrzesień w Arktyce ma jedną zaletę – oświadczył doktor. – Noc jest już naprawdę ciemna. W końcu można normalnie spać.

Były to jego pierwsze od dłuższego czasu słowa, które zabrzmiały normalnie i trzeźwo.

Przy życiu zostało ich już tylko trzech: oficer, doktor i Bernard. Siedzieli w kajucie kapitana, którego ciało usunięto stąd już dwa miesiące temu. Statek tkwił w lodzie, unieruchomiony od wielu tygodni.

– Musimy iść na południe, to nasza jedyna szansa – tłumaczył Bernard.

– Iść? – Ze zdziwieniem uniósł brwi oficer. – Szansa? Na co szansa?

– Może na szybszą śmierć? – dodał doktor z wisielczym humorem.

– Nie zaczynaj pan – przerwał Bernard, który wiedział, że Spencer podświadomie prowokuje makabrycznymi myślami swoje napady szaleństwa. – Nie przetrwamy zimy na statku.

– A poza statkiem? – zapytał Brutfils.

– Jonathan Grey zdołał powrócić do Viku. Przy odrobinie szczęścia też nam się uda. Zbudujemy sanie z resztek mebli, których jeszcze nie spaliliśmy, spakujemy to, co może się przydać i wyruszemy.

– Zamarzniemy – skomentował Spencer.

– Nie, weźmiemy ze sobą drewno, futra i koce. Zawsze możemy też budować igloo jak Eskimosi. Tutaj umrzemy z głodu lub... szaleństwa. – Bernard spojrział wymownie na doktora. Ten nie wyglądał na przekonanego.

– Kto wie, co znajdziemy na lądzie? – rzekł oficer. – Nikt nie zna tych ziem. Nawet Cree i Eskimosi.

Doktor spojrział uważnie na oficera. Słowa, które były wyrazem wątpliwości Brutfilsa, na doktora zadziałały motywująco.

– W końcu jesteśmy odkrywcami, oficerze Brutfils.

– Dobrze więc. Opuśćmy statek.

Wydawało im się, że pierwsza noc na lodzie była najtrudniejsza. Ziąb przenikał wszystko. Wiatr nie był silny, ale uporczywie wciskał się w każdą szparę w ubraniu. Światła gwiazd, jak mroźne sztylety, wbijały im się w ciała. Jednak przetrwali tę noc i kilka następných. Kryzys przyszedł dopiero po tygodniu. Siódmego wieczoru w głowie doktora znów obudziły się demony. Krzyczał, że zabrano go jako prowiant, tarzał się w śniegu.

Oficer i Bernard próbowali go przytrzymać, ale doktor odnalazł w swym szaleństwie jakieś nadludzkie siły. Wyrwał się swoim współtowarzyszom i rozsierzdony, a może przerażony do granic wytrzymałości, wpadł w końcu do ogniska. Zanim Bernard i Brutfils zdążyli wstać i ruszyć mu na pomoc, ubrania doktora zdążyły zająć się ogniem. Kiedy poczuł na sobie żar, tym razem świadomie rzucił się w śnieg. Ugasił ogień, ale skóra na plecach była już dotkliwie poparzona. Od swędu przypalonego ciała Bernardowi zaburczało w brzuchu. Oficer posłał mu przerażone spojrzenie. Słyszałem, zdawały się mówić jego oczy. Zawstydzony chłopak pobiegł na pomoc doktorowi.

– Nie wygląda to najgorzej – rzekł, obejrawszy rany w świetle dogasającego ogniska. Mimo to, doktor następnego dnia nie mógł iść o własnych siłach. Brutfils przepakował bagaż na saniach tak, że mogli ułożyć Spencera na szczycie. Odtąd ciągnęli doktora, chociaż to spowolniało ich marsz i znacznie obciążało siły. Doktor pojękiwał co chwila, lecz potem zasnął. Kiedy wieczorem zatrzymali się, aby rozbić obóz, okazało się, że Spencer zamarł.

– Pochowamy go tutaj? – spytał Bernard.

Brutfils otarł szron z twarzy.

– Może najpierw przygotujmy wszystko na noc – odrzekł.

Nim skończyli, pogoda znacznie się pogorszyła. Ostry wiatr z olbrzymią siłą nacierał na nich i sypał drobinami zmrożonego śniegu. Schronieni pod prowizorycznym namiotem przetrwali do rana. Wtedy wiatr znacznie się uspokoił. Kiedy wyszli spod futer, zobaczyli, że cały świat aż po horyzont pokryty jest warstwą świeżego, srebrzystego śniegu.

– Powiedziałbym, że całkiem tu pięknie – stwierdził oficer. Jego oczy jarzyły się gorączką.

– Co z doktorem?

– Myśli pan, że doktorowi spodobałoby się tutaj, panie Moreau? Chciałby spocząć na wieki w nieskończonej, mroźniej bieli?

– Prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby chciał być tu pochowany, ale raczej nie mamy innego wyjścia.

– Mamy, możemy wziąć jego ciało ze sobą.

– Po co? To nie ma sensu.

– Może się przydać – rzekł oficer, z zakłopotaniem wbijając wzrok w horyzont.

– Pan chyba nie myśli...

– Nie. Oczywiście, że nie. Nie możemy go tu zostawić, po prostu. Spencer sam mówił, że nie ma tu Boga.

– A pan? – spytał Brutfilsa. – Pan chciałby tu spocząć?

– Nie, panie Moreau. Ja chciałbym przeżyć.

– Pisuje pan jeszcze w dzienniku pokładowym? – spytał Bernard, kiedy szykowali się do noclegu.

– Nie, od kiedy kartki zaczęły wyglądać apetycznie.

– Ciekaw jestem, jak długo już wędrujemy. Straciłem rachubę. Od śmierci doktora każdy dzień wygląda tak samo.

– Nie liczę już upływu czasu.

Bernard studiował twarz oficera. Determinacja.

– Zjedźmy go – powiedział Brutfils, po czym zerwał się na równe nogi i doskoczył do sań.

– Pan oszalał! – wykrzyczał Bernard.

– Zaskakujące, ale wcale nie. Dopiero teraz zacząłem myśleć trzeźwo. Jestem z natury praktyczny. Nie mamy innego wyjścia – mówił, w pośpiechu rozcinając warstwy ubrań Spencera.

– Niech pan się wstrzyma, Brutfils. – Bernard położył mu rękę na ramieniu. – Widziałem ślady na śniegu.

Oficer znieruchomiał.

– Jakie ślady i kiedy? Ja niczego nie widziałem. Przecież się nie rozdzielamy.

– Myślę, że to były ślady. Prawie niewidoczne, przysypane już warstwą śniegu. Jutro pójdziemy tam, dokąd prowadzą.

– Nie, idziemy już teraz! Rozumie pan? Gdzie one są? Dlaczego nie powiedział pan od razu?! – wykrzyczał.

– Wiedziałem, że będzie pan chciał natychmiast wyruszyć. To stare ślady i prowadzą daleko. Jest już ciemno, nie chciałbym ich zgubić ani zdeptać. Poczekamy do jutra.

– A jeśli spadnie śnieg?

Bernard popatrzył w górę na czyste niebo.

– Nie spadnie – zapewnił.

Nazajutrz bez trudu odnaleźli delikatne wgłębienia, które przeoczył Brutfils. Przecinały w kierunku południowo-zachodnim ścieżkę, którą wydeptali wczoraj. Przed wieczorem ujrzeli na horyzoncie ciemny punkt.

– Pan też to widzi, Moreau?

– Tak, to chyba jakaś chata... lub szałas.

Bezwiednie przyspieszyli. Mimo to budynek przybliżał się bardzo wolno. Robiło się ciemniej z każdym krokiem.

– Porzućmy sanie – zaproponował Brutfils. – Wrócimy po nie później.

– Dobrze – zgodził się Bernard.

Teraz szło im się znacznie lepiej. Tym bardziej, że nikłe ślady zdołały przemienić się już w dość dobrze wydeptaną ścieżkę. Brutfils, większy i silniejszy od Bernarda, wysforował się na przód. Nie wiadomo kiedy zapadł

mrok. Mimo to w świetle gwiazd odbitym przez połacie śniegu chata wciąż czerniła się na horyzoncie. Robiła się większa i solidniejsza z każdym krokiem.

– Jesteśmy uratowani – wyszeptał Brutfils, a w chwilę później mroźne powietrze przeciął jego rozdzierający wrzask. Oficer upadł. Nim Bernard do niego dobiegł, Brutfils leżał już w czarnym kręgu swojej krwi jak ofiara składana starożytnym bóstwom. Jego noga tkwiła w żelaznych zębach wnyków, do połowy wkopanych w śnieg. Chłopak usiłował rozewrzeć żelastwo nożem, lecz nie dał rady. Brutfils darł się wniebogłosy i wił po śniegu, co nie ułatwiało zadania. Bernard odstąpił od oficera. Ten natychmiast uspokoił się, przeczuwając, co zaraz usłyszy.

– Nie dam rady sam. Pójdę do chaty po pomoc.

Przez chwilę widać było na twarzy Brutfilsa wahanie. Chciał prosić Bernarda, by go nie zostawiał, ale zdrowy rozsądek zwyciężył.

– Pospiesz się – wystękał.

Do budynku było teraz zdecydowanie bliżej niż do pozostawionych w śniegu sań. Bernard ruszył szybkim krokiem, ale pozostał przy tym czujny. Nie chciał podzielić losu oficera. Patrzył pod nogi, ale również na boki, na wypadek, gdyby lokator chaty pozostawiał inne pułapki na zwierzynę czy niechcianych gości. Okna budynku pozostawały ciemne, to nie wróżyło dobrze. Jego konstrukcja była obca Bernardowi. Eskimosi wzniesliby igloo, a Cree stawiali tylko szałas i namioty. *Nikogo tam nie ma* – pomyślał Bernard. W tej chwili jednak dostrzegł ciemną sylwetkę, kogoś, kto wyszedł mu na przeciw.

– Hej – zawołał. – Pomóż mi! Tam jest ranny człowiek! Hej! Słyszysz mnie?!

Postać nie odpowiedziała, ale pospieszyła w kierunku Bernarda. Będąc u skraju sił, chłopak upadł na śnieg,

oczekując wybawienia. Musiał zemdleć lub zasnąć wyczerpany, bo choć wydawało mu się, że zamknął oczy tylko na krótką chwilę, gdy je otworzył, mężczyzna już nachylał się nad nim z zaciekawieniem.

– Pomóż mu, został tam z tyłu, proszę – wyszeptał Bernard.

– Och, oficerem Brutfilsem już się zająłem – uśmiechnął się mężczyzna. – Teraz pora na ciebie.

Obcy zarzucił sobie Bernarda na plecy i ruszył w kierunku chaty. Była znacznie dalej niż wydawało się chłopakowi i droga zdawała się nie mieć końca. Chłopak stracił też kilka razy przytomność. Kiedy w końcu znaleźli się na miejscu, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Chata okazała się być solidną budowlą, znacznie większą niż domy w Viku. Jeśli miałby ją z czymś porównać, przypominała raczej kościół. Tym razem z okien wydobywało się światło. Mężczyzna wprowadził Bernarda do środka. Jedyнным wyposażeniem wewnętrznej sali był ogromny stół pośrodku pomieszczenia. Widać było, że zbito go z różnych drewnianych desek z odzysku. Pod ścianą natomiast, na wprost drzwi wejściowych stało krzesło, niemal identyczne z tym, jakie posiadał w swej kajucie kapitan de Germery.

– Kim jesteś? – spytał Bernard.

– Rozpaliłem ogień w kominku. ja go nie potrzebuję, ale ty powinieneś się ogrzać, Bernardzie Moreau – odrzekł nieznajomy łagodnym, cichym głosem z nienagannym akcentem angielskich wyższych sfer.

Bernard przyjrzał się mężczyźnie. Był wysoki i dobrze zbudowany. Jasnobrązowe włosy łagodnie okalały pociągłą twarz. Czoło przecinała głęboka, pionowa zmarszczka, ale nie nadawało mu to groźnego wyrazu. Miał gładkie dłonie i długie palce. Nie wyglądał na więcej niż czterdzieści lat.

– Kim jesteś? – zapytał jeszcze raz Bernard.

Mężczyzna rozłożył ręce w geście zakłopotania.

– No cóż, jeszcze nie wybrałem swojego imienia. Chciałbyś coś wypić lub zjeść? Och, po co ja pytam? Oczywiście, że tak.

Nieznajomy zniknął za drzwiami, a po chwili wrócił do głównego pomieszczenia, niosąc na metalowym talerzu parujący, rumiany stek, cynowy kubek i butelkę whisky.

– Czym chata bogata.

Na chwilę chłopak zapomniał o wszystkim i skupił się na jedzeniu i piciu. Jedno i drugie było wyborne. Zasnął tam, gdzie jadł, z głową na stole.

Gdy otworzył oczy, słońce rozświetlało już wnętrze sali swoimi lichymi o tej porze roku promieniami. Mężczyzny nie było. Bernard rozejrzał się wokół i powoli wstał. Czuł się wyśmienicie. Wyszedł na zewnątrz. W obejściu stały jego sanie z bagażem, ale ciało doktora zniknęło. Obszedł budynek dookoła. Po przeciwnej stronie od wejścia stała niewielka przybudówka, a jej drzwi zamknięto na kłódkę. Bernard zrobił siku na śnieg i wrócił do chaty. Nieznajomy był już w środku, a na stole stało śniadanie. Gorąca czarna herbata i kolejny stek.

– Mam jeszcze trochę zapasów – wytłumaczył się mężczyzna, podając Bernardowi parujący kubek. Chłopak zauważył, że z jego własnych rąk zniknęły odmrożenia.

– Gdzie jest oficer Brutfils?

– Razem ze Spencerem.

– To znaczy, że nie przeżył?

Mężczyzna nie odpowiedział

– Co z nimi zrobiłeś? – Zaniepokoił się nagle Bernard.

– Odrobinę szacunku.

– Że co?

– Na początek wystarczy: panie.

Bernard uniósł brwi.

– Coz nimi zrobiłeś, panie – odpowiedział mężczyzna. – Tak powinieneś zapytać. Są razem w przybudówce.

– Skąd się wzięłeś na tym pustkowiu... Panie – dodał Bernard po chwili wahania.

– Przypląnąłem. Jak ty.

Chłopakowi wszystko zaczęło się układać w głowie.

– Na Klaudiusie?

– Owszem. Kiedyś zwano mnie kapitan Barrow...

– To niemożliwe. Ma mnie pan za głupka? Kapitan Barrow byłby teraz od pana znacznie starszy. Nie może pan wyglądać tak... jakby się pan nic nie postarzał. Minęło dwadzieścia lat!

– Teraz jestem bogiem.

Bernard zaniemówił.

– I potrzebuję wyznawcy, Bernardzie... – kontynuował nieznajomy – i ofiary. Muszę nabrać sił, chłopcze. Jesteś miejscowy, prawda? Lubię miejscowych, miałem jednego miejscowego wyznawcę, sprawował się dobrze, póki... Musiałem go wypędzić z mojego raju... wiesz Bernardzie, ukarać. – Ze smutkiem zwiesił głowę

– Czym zawinił?

Nagle nastrój uległ zmianie. Mężczyzna się wzburzył. Zaczął krążyć wokół stołu. A potem przysiadł na krześle i zamarł bez ruchu. Zmarszczka między brwiami się pogłębiła. Ogień w kominku znacznie przygasł. Chłopak cierpliwie czekał

– Powiem ci ważną prawdę, Bernardzie Moreau. Bogowie się zmieniają, ale podstawowe zasady nie.

– Jakie zasady?

– Jonathan Grey musiał odejść, ponieważ sięgnął po zakazany owoc!

Gniew minął. Barrow spokojnie zwrócił się do Bernarda:

– Brutfilsa znajdziesz w komórce. Jeszcze żyje. Kłódka jest już otwarta. Złóż mi go w ofierze, a nabiorę wystarczającej mocy, aby cię uszczęśliwić, Bernardzie. Dam ci, co zechcesz.

– Co z ciebie za bóg, skoro żądasz, abym zabił swojego towarzysza? – Bernard wyrzucił z siebie. – Jesteś chorym sukinsynem, Barrow. Pomieszało ci się w głowie.

Ogień zgasł zupełnie, w pomieszczeniu zapadł półmrok. Chłodne powietrze wibrowało przyspieszonym rytmem.

– Będziesz mógł wrócić do domu, do swojej matki, która tak bardzo się o ciebie martwi – powiedział miękkiem głosem mężczyzna. – Albo przeniosę cię w jakikolwiek zakątek na ziemi. Będziesz mógł zwiedzić cały świat, obaj wiemy, jak bardzo jesteś go ciekawy. A może dam ci kobietę? Nie miałeś jeszcze kobiety, poczujesz pod sobą jej gorące ciało, jej miękkość i wilgoć. Wszystko, czego pragniesz, Bernardzie. Ale nie ma nic za darmo. Musisz we mnie uwierzyć. Uwierzyć na tyle, żeby coś dla mnie poświęcić.

Bernard miał mętlik w głowie. Barrow przetrwał na lodowym pustkowiu przez dwadzieścia lat. Wybudował swoją świątynię. Serwował jedzenie i picie. I nie postarzał się. Coś w tym było. Miał moc, której Bernard nie rozumiał. Czy był bogiem, czy upiorem? A może to Bernard oszalał? A może dawno już umarł i trafił do piekła?

– Spraw cud, żebym w ciebie uwierzył. Jak Jezus.

Barrow roześmiał się.

– Już go sprawiłem. Nakarmiłem cię, czyż nie?

– Wielka mi rzecz. Nie jestem głupi. Wiem, czym mnie nakarmiłeś. To było ludzkie mięso. Kawałki Spencera.

Dobry humor Barrowa zniknął w okamgnieniu. Jak furia zerwał się z krzesła i, nim Bernard się zorientował,

już był przy nim. Złapał jego ramiona żelaznym uściskiem. Wydał się nagle ogromny, jakby urósł pod sam sufit. Uniósł powoli chłopaka i przybliżył go do swojej twarzy.

– Idioto! Mały, marny człowieczku! Wypędziłem Greya, bo stał się ludożercą. Bogowie karmią tylko swoim ciałem i poją swoją krew!

Puścił Bernarda, a ten upadł na podłogę. Samozwańczy bóg wrócił do normalnych rozmiarów, po czym podciągnął nogawkę spodni. W łydce mężczyzny Bernard ujrzał ogromną dziurę, we wnętrzu której białała kość. Rana była żywo czerwona, ale nie tryskała z niej krew.

– Teraz mi wierzysz?

Chłopak wybiegł ze świątyni i zwymiotował na śnieg.

Na zewnątrz panowała cisza i spokój. Klęcząc, Bernard przykładał rozpalone czoło do śniegu. Żołądek przestał się buntować. Oddech się uspokoił. Powoli nadchodził zmierzch. W powietrzu unosił się zapach burzy, choć niebo było bezchmurne. Księżyc w nowiu pozostawał niewidzialny. Bernard odwrócił się na plecy. Na niebie zaczęły się pojawiać pojedyncze pasma aurory. Chłód powoli wkradał się pod ubranie i rozprzestrzenił po całym ciele. Coś boleśnie uwierało go w bok. Odsunął warstwy ubrań i odnalazł nóż, wyszczerbiony i pokrzywiony od czasu, gdy próbował wydostać nogę Brutfilsa z wnyków. Blask zorzy pobłyskiwał w ostrzu posepną zielenią.

Bernard wstał i podszedł do przybudówki. Nóż ziębił go w palce, wsunął go więc z powrotem do kieszeni. Drzwi były otwarte, w środku panował mrok.

– Brutfils? Jesteś tam? To ja, Bernard. Żyjesz?

– Przyjacielu! Tak, jestem w środku.

Bernard wszedł głębiej do pomieszczenia. Powoli jego wzrok przyzwyczajał się do ciemności. Przy samych drzwiach leżały zwłoki Spencera. Chłopak przystanął przy nich na chwilę. Ciało było zamrożone na kość i wyglądało na nietknięte. Kolejny dowód na to, że Barrow mówił prawdę.

– Tutaj! – Doszedł do niego głos z wnętrza.

W głębi dostrzegł łóżko, a na nim leżącą postać.

– Nie mogę wstać. Moja noga... – tłumaczył Brutfils.

Bernard poczuł ciężar noża w kieszeni. Byłoby tak łatwo spełnić wolę nowego boga. Oficer nie mógł się bronić. Do ust powrócił kwaśny smak wymiocin. Bernard podjął decyzję. Wyjął nóż z kieszeni i odłożył na łóżko Brutfilsa. Nie zamierzał go użyć.

– Nic się nie martw. Wyprowadzę nas stąd – powiedział. – Pokaż nogę.

Brutfils odrzucił futro, którym był przykryty, a Bernard nachylił się nad nim, aby lepiej przyjrzeć się ranie. Nagle poczuł dotkliwy ból w podbrzuszu. Osunął się powoli na leżące w łóżku Brutfilsa. Oficer z wysiłkiem wyczołgał się spod chłopaka.

– Co ty wyprawiasz? – wyszeptał z wysiłkiem Bernard. Próbował wstać, ale Brutfils przygwoździł go swoim ciężarem. Ponownie wbił w trzewia Bernarda jego własny nóż.

– Usiłuję przeżyć – odpowiedział oficer, ale Bernard już go nie usłyszał.

Ofiara została spełniona.

WYONA SEREJ

WRACAJĄC DO DOMU

Wątle ognisko kryło się w małym zagłębieniu. Młoda kobieta kucnęła przed nim i szturchnęła je gałęzią, powołując do tańca setki iskierek. Westchnęła, przyglądając się, jak wychudzone ciało zająca powoli zaczyna zmieniać kolor.

– Wlepianie w niego wzroku nie sprawi, że upiecze się szybciej – mruknęła postać siedząca naprzeciwko niej.

Była jej idealną kopią – dość wysoka, szczupła, o niemal chłopięcej sylwetce i włosach w kolorze węgla, które spływały jej na ramiona. Różniły się jedynie kolorem oczu – podczas gdy dziewczyna siedzącą przy ognisku miała karmazynowe, płonące tęczówki, spojrzenie jej bliźniaczki było lodowatym błękitem.

– Jestem głodna – warknęła czerwonoooka. Objęła rękami brzuch, jakby to mogło uspokoić coraz głośniejsze burczenie żołądka.

– Jak chcesz, Asuka. Ale to twoja wina, mogliśmy zatrzymać się na postój wcześniej.

Odpowiedziało jej jedynie marszczenie brwi i niezrozumiałe burknięcie. Yone wstała i przeciągnęła się. Rozejrzała się uważnie, ale nie dostrzegła niczego niepokojącego. Te same karłowate drzewa o ubogim listowiu, którym towarzyszyły smętne krzaki, rzadko wydające owoce. Mimo południa po niebie sunęły ciężkie chmury, które przyniosły za sobą półmrok.

Obie zamarły, gdy do ich uszu dotarł upiorny wrzask. Spojrzały po sobie, a chwilę później Asuka już biegła w tamtą stronę.

– Nie! To zbyt ryzykowne, znowu ściągniesz na nas kłopoty! – krzyknęła Yone, ale pobiegła za siostrą.

Krwistooka bliźniaczka zatrzymała się raptownie pośród drzew. Spojrzała na boki, ale nie dostrzegła niczego, co pomogłoby jej znowu złapać trop. Uśmiechnęła się szeroko, gdy dotarły do niej kolejne agonalne jęki. Pochylona zaczęła przemykać pomiędzy powykręcany konarami.

Skryła się za powalonym, gęsto porośniętym mchem drzewem. Przykucnęła po zawietrznej, licząc, że wiatr nie zdradzi jej obecności.

– Zgłupiałaś! – fuknęła na nią Yone, która dołączyła do niej chwilę później.

– Ciiii...

Umilkły, a wraz z nimi ucichły krzyki ofiar.

Olbrzym, mierzący co najmniej trzy metry, właśnie skończył się posilać. Ziemia wokół rozmokła od krwi, a szczątki ubrań i ciał znaczyły jego ścieżkę. Gdzieś za nim dostrzegły resztki wozu i truchło konia.

– Ale paskudny z niego okaz – szepnęła Asuka, patrząc na stwora. Przygryzła wargi, na których wciąż błąkał się uśmiech.

Bestia, jakby przywołana jej głosem, uniosła rogaty łeb i zaczęła intensywnie węszyć. Chrapy długiego i spłaszczonego nosa energicznie poruszały się, aż w końcu znieruchomiały, a stwór spojrzał w ich stronę.

– I nienasycony – mruknęła kwaśno Yone. Wyprostowała i odsunęła się od siostry, a następnie z założonymi rękami oparła się o pień. – Sama na siebie to ściągnęłaś, więc teraz sobie radź.

– Jesteś ponurakiem, wiesz?

Asuka podniosła się, otrzepała szatę i przez chwilę mierzyła stwora wzrokiem.

– Co, nieprzyzwyczajony do tego, że nie uciekam? Jeszcze nas nie wyrznięliście. – Strzeliła palcami, a następnie je rozmasowała.

Olbrzym ruszył na nią.

Jej oczy zapłonęły, gdy zebrała moc. Płynne ruchy dłoni przywołały ogień, którym się otoczyła. Choć początkowo rządził nim chaos, ciche słowa i szybkie palce nadały mu formę płomiennego byka, który zaszarżował na stwora.

Ziemią zatrzęsło, a bestia zawyła. Zrobiła krok w tył, jednak płomienie były nieustępliwe. Lizały ciało kawałek po kawałku, aż zamieniły je w olbrzymią pochodnię. Skowyt pełen złości pomieszanej z bólem urwał się gwałtownie, a spopielone zwłoki runęły w tył.

– Ha!

– Masz więcej szczęścia niż rozumu, Asuka – powiedziała Yone, przyglądając się jej z założonymi rękami. – Gdyby to był jeden ze skalnych, twój ogień nic by nie działał.

– Ale nie był. – Uśmiechnęła się zadowolona. – Poza tym, wtedy po prostu przejęłabyś pałeczkę.

– Jesteś zbyt nieostrożna. Za dużo przez ciebie ryzykujemy...

Asuka zaczęła się oddalać, całkowicie ignorując tyradę. Słyszała ją już wiele razy. Choć nigdy się nie zastosowała do oczekiwań siostry, to ta uparcie próbowała do niej dotrzeć.

Kucnęła w pobliżu zwłok, przypatrując się rdzawym rozbryzgom na skałach. Przez chwilę jedynie się przyglądała, a następnie musnęła palcem jeszcze niezaschnięte plamy. Powąchała krew na dłoni, następnie musnęła ją końcem języka.

– Hmm... Mężczyzna w kwiecie wieku, prawdopodobnie z zachodu. – Przesunęła się kilka kroków dalej i ponownie posmakowała krwi. – To chyba jego żona, choć, co ciekawe, ona ma w sobie więcej z rysnyków.

Podniosła się i metodycznie zaczęła sprawdzać resztki obozowiska, odtwarzając krok po kroku całe zdarzenie.

– Musieli być w podróży od jakiegoś czasu. Wybrali dobre miejsce, rozstawili totemy, ale mieli pecha. Olbrzymy nie układają się z nikim. – Asuka po raz ostatni przemknęła wzrokiem po pobojowisku, upewniając się, że niczego nie pominęła. Zamarła, gdy dostrzegła ruch w szczątkach połamanego wozu.

Dała znak siostrze, a prawą dłonią sięgnęła po długi sztylet wiszący u pasa i powoli wysunęła go z pochwy. Czujna, podeszła bliżej i wiedziała już, że się nie pomyliła. Ktoś lub coś kryło się za strzaskanym drewnem.

– Wyłaż, wiem, że tam jesteś! – zawołała Asuka. – Nie będę prosić dwa razy. Po prostu podpalę całą stertę, a ty spłoniesz żywcem. To straszna śmierć.

Gdy nie dostała odpowiedzi, ponownie wezwała ogień. Wstrzymała się jednak, widząc ruch wśród połamanych desek. Spomiędzy nich wyczołgała się przeraźliwie chuda, brudna postać.

Chłopiec na oko dziesięcio-, może dwunastoletni, uniósł puste, niemal obojętne oczy.

– Musiał wszystko widzieć – mruknęła Yone.

Asuka przekrzywiła głowę i przez chwilę przyglądała mu się badawczo.

– Ciekawe. Jakim cudem... – Urwała i pociągnęła nosem. – Ach, rozumiem. Jesteś jednym z tych, którzy nie mają zapachu.

Kucnęła.

– Wykorzystałeś to, że zjadał resztę twojej rodziny i się ukryłeś. Mądrze. Może uda ci się przeżyć.

– To nie była moja prawdziwa rodzina – wyszeptał. – Ale ich też rozszarpał demon.

– Olbrzym.

Wyprostowała się. Zlustrowała miejsce rzezi, ale nie dostrzegła niczego wartego zabrania.

– Cóż, radzę ci się stąd szybko zwijać. Padlinożercy wyczują krew z daleka.

Dopilnowała, aby podeszwy jej butów były wolne od czerwonej posoki, po czym żwawym krokiem ruszyła z powrotem w kierunku własnego obozowiska. Yone dołączyła do niej po chwili.

– To było okrutne – skomentowała błękitnooka bliźniaczka.

– Nie mamy czasu na niańczenie dzieciaka, który i tak pewnie wkrótce umrze.

– Wiem. Ale przeraża mnie, że przychodzi nam to tak łatwo.

Asuka spojrzała na siostrę, ale nie potrafiła wyczytać nic z jej twarzy.

– Mamy własne sprawy do zamknięcia. Obie mamy dość, nie możemy dłużej zwlekać.

Yone westchnęła, ale kiwnęła głową.

– Poszedł za nami – skomentowała Yone.

Asuka uniosła wzrok, ale niczego nie zobaczyła. Uśmiechnęła się kwaśno. Miała świetny węch, ale nie mogła równać się z siostrą, która potrafiła dostrzec zagrożenie z odległości kilkuset metrów.

– Nie dziwię się, na jego miejscu zrobiłabym to samo. – Wgryzła się w nadpaloną łapę zająca i zaczęła intensywnie przeżuwać. Dokładnie obgryzione kości lądowały w wykopanym wcześniej dołku, który zamierzała zasypać ziemią tak jak i ślady po ognisku.

– Robimy coś z tym?

– Jak chce, to niech idzie, ratować go w razie czego i tak nie zamierzam.

– Uparty jest – skwitowała Asuka, zerkając przez ramię na chłopca, który szedł za nimi w odległości zaledwie stu kroków.

Potrzebował trzech dni, aby przestać się skradać. Podążał za nimi, choć ani go nie karmiły, ani nie dzieliły się z nim wodą. Dzieciak nie był jednak głupi. Uważnie je obserwował i gdzie mógł, kopiował ich zachowania. Spędziły noc wysoko na drzewie? On również. Zdecydowały się zjeść czarne owoce z krzaka o białych gałęziach? Z dużą ostrożnością, ale i on ich spróbował.

Obróciła się jeszcze raz.

– Może powinniśmy go jednak zatrzymać? Miło by było pogadać z kimś, kto nie jest wiecznie naburmuszony. – Wyszczrzyła zęby, ale Yone jedynie spojrzała z wyższością.

– Ktoś robi się na starość miękkiej. Uważaj, bo się przywiążesz i będzie problem, gdy trzeba będzie go zostawić.

Asuka prychnęła.

– To nie ja mam tu problem z zostawianiem ludzi po drodze.

Milczały przez dłuższą chwilę, aż w końcu Yone westchnęła.

– Jak chcesz – powiedziała w końcu. – Może z nami podróżować, tyle możemy zrobić. Ale powinniśmy go zostawić w pierwszej napotkanej wiosce. Nie będę go ciągać za sobą. Nie potrzebuję kolejnej bezsensownej śmierci na sumieniu.

– Wiedziałam, że się zgodzisz!

Krwistooka bliźniaczka podskoczyła, po czym obróciła się i popatrzyła na chłopca. Ten zamarł w pół kroku, znieruchomiał i odwzajemnił spojrzenie. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Chodź, zanim zmienię zdanie! – krzyknęła do niego Asuka.

– Nas się boi? – Yone skrzyżowała ramiona na piersi. – Widział, jak jego rodzinę pożarł olbrzym. Może jednak nic z tego nie będzie.

– Cicho, ignorowałyśmy go przez kilka dni. To jak najbardziej zdrowy odruch.

Dzieciak wciąż stał w miejscu, wyraźnie niezdecydowany. W końcu, zaciskając ręce na długim kiju, który znalazł po drodze, powoli ruszył w ich stronę. Zatrzymał się w odległości około dwudziestu kroków. Milczał.

– Małomówny, co? A liczyłam na jakieś bardziej rozgadane towarzystwo. – Asuka przechyliła głowę i oparła dłonie na biodrach.

– Dlaczego? – wychrypiął.

– Nie wiem – powiedziała po chwili. – Bo taki mam kaprys? Skoro i tak za nami idziesz, równie dobrze możemy podróżować razem, ale ostrzegam, nie będziemy cię niańczyć.

– Nami? Słyszałem i widziałem, że z kimś rozmawiasz, ale... tu nikogo nie ma. Jesteś szalona?

Asuka parsknęła na to szczere pytanie, które mogło paść jedynie z ust dziecka.

– No tak... Rozmawiam z moją siostrą bliźniaczką, Yone. I ona jest jak najbardziej prawdziwa, przynajmniej jej dusza.

Chłopiec zmarszczył brwi wyraźnie nieprzekonany. Przeszło mu jednak przez myśl, że szalona wiedźma jest i tak bezpieczniejszą opcją niż podróż w pojedynkę.

– Chyba muszę się sama przedstawić – prychnęła Yone, po czym podeszła do siostry i mocno pchnęła. Ciało na moment zastygło, a oczy zaszyły bielmem, by po chwili przybrać barwę lodowatego błękitu.

Pochyliła się nad chłopcem, którego jedyną reakcją były na wpół otwarte usta.

– Dwie dusze w jednym ciele. Jestem Yone, a ta złośliwa szuja o czerwonych oczach, która przed chwilą tu była, to Asuka.

Dzieciak przełknął ślinę. Próbował zebrać myśli. Choć świat zamieszkiwały demony, olbrzymy i inne bestie żerujące na ludziach, to nigdy nie spotkał się z czymś takim.

– Jesteś... jesteście spętane z demonem?

– Nie. Chyba nie. – Wyprostowała się. – Przynajmniej nie bezpośrednio.

Otworzył usta, chcąc jeszcze o coś zapytać, ale zaraz je zamknął.

– Chodźmy, to nie jest dobre miejsce na postój.

Kiwnął głową.

Przez kilka minut szli w milczeniu.

– Idziesz w jakieś konkretne miejsce? Jakaś rodzina lub sprzymierzona wioska, która cię przyjmie?

Pokręcił głową w odpowiedzi.

– No dobrze, to powiedz nam chociaż, jak masz na imię.

– Jin.

Znowu umilkli.

– A wy dokąd idziecie?

Yone zerknęła na niego, po czym ponownie spojrzała przed siebie. Zastanawiała się, czy powinna powiedzieć prawdę, ale nie widziała sensu w kłamstwie.

– Do domu. Wracamy do domu.

Spojrzał na nią pytająco, więc rozwinęła.

– Do wioski, w której się wychowałyśmy. Choć teraz to pewnie ruiny i pogorzelisko.

– Czemu więc tam idziecie?

– Bo jedna z nas tam umarła. Nie wiemy tylko, która. Niewiele pamiętamy, ale obie wiemy, że znajdziemy tam trupa jednej z nas.

Jin potknął się, ale machinalnie złapała go za ramię i podtrzymała. Mruknął do niej kilka niezrozumiałych słów i szybko się odsunął.

– Rozumiem... to znaczy nie rozumiem. Ale to ma sens. Że tam idziecie. Ale... ale nie boicie się, że to co zabiło, dalej tam jest?

– Musimy poznać prawdę. Nas dwie... to zbyt wiele. Przez długi czas próbowałyśmy jakoś funkcjonować, ale jedna z nas musi opuścić to ciało.

– Jest zdecydowanie zbyt spokojnie – mruknęła Yone, zwijając sfatygowany koc kilka dni później. Do wytartego plecaka wrzuciła powyginany rondel, kubek i resztki kolacji zawinięte w przybrudzoną szmatkę.

– *Myślisz, że wkroczyliśmy na czyjeś terytorium?*

– Jeśli miałabym zgadywać, to tak. Zbliża się zmierzch Równonocy. To kiepski moment, aby kręcić się po obcych terytoriach. Nie, gdy nadszedł czas ofiar dla demonów. Zawsze lepiej poświęcić kilku nieznanym.

– *Może trafiłyśmy na wioskę, która nie ugadała się z piekielnymi?*

– Nie ma takich, wiesz przecież. Albo paktujesz z demonem, który chroni cię przed innymi, ofiaruje moc, albo prędeziej czy później coś przedrze się przez mur.

– *Wolę myśleć, że gdzieś tam jest miejsce na tyle silne, że nie musi się zaprzedać, aby przetrwać.* – Asuka posłała siostrze uśmiech, doskonale wiedząc, że do bólu roztropna Yone nie podziela jej nadziei. Ale ona w coś musiała wierzyć.

Jin przysłuchiwał się konwersacji, choć z jego perspektywy Yone rozmawiała sama ze sobą. Przez kilka minionych dni widział jednak wystarczająco wiele przeskoków

osobowości, aby oswoić się z myślą, że faktycznie jest ich dwie. Nie uwierzyłyby, gdyby nie ich oczy. Były tak diametralnie różne, patrzyły w tak odmienny sposób, że nie mogła za nimi kryć się jedna osoba.

– Pozwól mi dzisiaj przejąć ciało. Mam czulszy węch. Wyczuję ottarze z daleka, o tej porze muszą być skąpane we krwi.

– Zawsze tak mówisz. – Yone westchnęła. – A potem pakujesz nas w walkę z czymś o wiele za silnym. Zostało nam tylko to jedno ciało.

– *Będę grzeczna, obiecuję.*

– Niech będzie.

Około południa wkroczyli na bagna. Podmokłe, zdradliwe ścieżki, robactwo i brak zwierzyny łownej do zmierzchu zdążyły zepsuć im i tak wisielcze nastroje. Asuka, której zwykle nie zamykały się usta, z zaciętą miną wbijała wzrok w gęste poszycie. Choć dotychczas nie wyczuła niczego podejrzanego, to uporczywe mrowienie, które falami ciągnęło się od dłoni aż po same uszy, sprawiało, że co jakiś czas drżała. Instynkt, który uratował im wielokrotnie życie, wręcz krzyczał, że powinny stąd uciekać, że coś niebezpiecznego kryje się w tym lesie.

– Hm... dziwne. Mam déjà vu. – Yone stanęła naprzeciw samotnej skały, sterczącej z ziemi niczym ułamany ząb. Dotknęła żłobień, których musiała dokonać ręka człowieka. – Choć to niemożliwe. Nie znam tych okolic.

Asuka zerknęła na nią przelotnie, ale wzruszyła ramionami.

– Idziesz? – Zatrzymała się kawałek dalej i zerknęła na wciąż zadumaną postać. – Bo jeżeli po prostu chcesz się poddać i oddać mi ciało, to mogłaś zrobić to dawno temu.

Yone jedynie pokręciła głową w odpowiedzi. Zmusiła się do odejścia, ale uporczywe wrażenie nie dawało jej spokoju.

Zmierzchało, gdy do Asuki, która kontrolowała ciało, dotarło, jak duży popełniły błąd. Powinny były nadłożyć drogi i wycofać się. Posłuchać instynktu. Niecierpliwosc i chęć zakończenia ich żmudnej podróży wzięły jednak górę i uspiły jej czujność. Bo Yone ją ostrzegęła, ale oczywiście nie posłuchała. Nigdy tego nie robiła.

Niemal nadziali się na krąg ofiarny, a dostrzegli go tylko dzięki gorejącym zielenią ogniskom, które posyłały w niebo kłęby stalowoszarego dymu.

– Niech to – warknęła Asuka, kucając za grubym konarem.

Jin padł na ziemię obok niej, doczołgał się do korzeni, po czym wyrzął. Dojrzeli w oddali kilka postaci, które klęczały wokół wytyczonego krwią kręgu.

– Powinam ich wyczuć z daleka.

– *Różne demony ofiarują różne dary swoim wyznawcom. Może ten pozbawił ich zapachu? Albo pozwolił go ukrywać? Może to sam krąg? Zakłęcie?*

– Tak czy inaczej mamy kłopoty. I nawet nie zaczynaj kolejnej tyrady! – ostrzegęła bliźniaczkę, widząc, że ta ponownie otwiera usta. – Tak, powinniśmy zawrócić. Miałaś rację! Zadowolona? A teraz pomóż mi wymyślić, jak się z tego wykaraskać.

Yone westchnęła i zamknęła usta. Obróciła się w stronę ogniska, a na jej czole pojawiła się pionowa zmarszczka.

– *Naprawdę nie wiem. Już zaczęli rytuał przyzwania, nie zdążymy się oddalić na tyle, aby demon nas nie wyczuł. Jedyne nasze nadzieje to zostanie tu, gdzie jesteśmy i liczenie, że cokolwiek niweluje ich zapach, ukryje i nasz.*

Asuka sapnęła i przygryzła wargi. Ponownie wyrząła zza drzewa, ale zaraz się wycofała, widząc, jak jadeitowe światło staje się coraz intensywniejsze.

Jin skulił się obok niej i patrzył na nią rozszerzonymi oczami. Widziała, jak blednie, a ciało zaczyna drżeć. Była pewna, że na nowo przeżywa każde spotkanie z bestiami. Niewielu dożywało momentu, w którym faktycznie mogło wracać do takich wspomnień.

– *Prowadzą ofiarę* – szepnęła Yone. Jako jedyna nie musiała się kryć. Stała nieco z przodu i relacjonowała przebieg wydarzeń. – *To jeszcze dziecko*. – Głos jej zadrżał, choć bardzo próbowała pozostać obojętna. Odchrząknęła.

Asuka spojrzała na nią, ale nie była w stanie dostrzec wyrazu jej twarzy. Przymknęła oczy i oparła głowę o pień. Zmusiła się do powolnego, miarowego oddechu, który stopniowo przynosił jej spokój.

Jesteś płomieniem, który nie zna strachu – pomyślała, recytując w głowie starą modlitwę, której kiedyś nauczyła jej matka.

Jesteś zniszczeniem i pożodze się nie poddasz. Drgnęła, gdy niebo rozdarł wrzask przerażenia. Asuka otworzyła oczy i ponownie spojrzała na siostrę. Yone milczała, ale nienaturalnie wyprostowane plecy zdradzały napięcie.

Nosisz w sobie krew... – urwała, gdy dotarły do niej szept bliźniaczki.

– *Szamotała się, więc poranili jej łydki. Jej krew... jej krew łączy się z kręgiem i płonie. Asuka, to nie jest poślednie monstrum!* – Ich spojrzenia spotkały się w nagłej pewności, że właśnie tutaj może zakończyć ich podróż. Władały nad mocą i choć pomniejsze bestie nie stanowiły dla nich wyzwania, pełnoprawny demon mógł ich zabić strzepnięciem palca.

Ziemia pod ich stopami zatrzęsa się, a do ich uszu dotarł cichy, lecz doskonale słyszalny dźwięk przypominający trzask łamanych kosteczek, wymieszany z powolnie prutym materiałem. Zrrr. Zrrr. Zrrr. Coś z trudem przebijało się do ich świata i złożona ofiara była

niczym latarnia wskazująca drogę marynarzom. Z tą różnicą, że wskazywała potworowi szlak do ich świata.

Yone cofnęła się gwałtownie, gdy ujrzała jak ze stworzonej rozpadliny wystrzeliła ogromna ręka, poprzetykana plamami płonącego jadeitu. Zaraz za nią wyłoniła się jajowata głowa, której czubek stanowiło rogate i zakrzywione gniazdo, a z jego centrum unosił się dym. Długi, chudy tułów. Dwie pary mackowatych rąk zakończonych szponami. I ogon, łuskowaty, obleśny i najeżony kolcami. Żmijopodobny demon wyłonił się w całej swojej postaci, a jego akolici padli na kolana i przywarli czołami do ziemi.

Bestia uniosła łeb, otworzyła paszczę i wysunęła rozdwojony język. Przez chwilę smakowała powietrze przesycone zapachem krwi, ludzkiego mięsa i strachem.

Któryś ze śmiertelników nieśmiało przemówił, nie unosząc nawet głowy. Byli jednak za daleko, aby usłyszeć dokładne słowa. Demon jedną ręką chwycił zakrwawioną dziewczynkę za szyję i uniósł. Jego język owinął się wokół tydek i zaczął zlizywać krew z głębokich, wciąż broczących ran.

Yone spojrzała na drobną postać w uścisku bestii i nagle uderzyło w nią upiorne poczucie, że sama przeżyła coś podobnego. Świat zbladł, wyszarzał, a ona zachłysnęła się. Serce w jej piersi waliło tak mocno, jakby próbowało siłą wydostać się spomiędzy żeber. Tyle że nie mogła czuć serca, bo to Asuka kontrolowała ciało.

Yone! Yone, niech to szlag... co?! Asuka?!

W ich umyśle zapanował chaos, gdy dwie dusze ścieśniły się w jednym, śmiertelnym ciele. To upadło, wygięło się w łuk i zaczęło szamotać się w niekontrolowanych drgawkach.

Przed ich oczami stanęła krew. Ściekała po ścianach, po kamiennym podwyższeniu, po nich. Obraz się zmienił i ujrzały przed sobą rozsierzdzoną matkę rwącą

sobie włosy z głowy. Rodzicielkę, która w furii wymierzała im kolejne ciosy, gdy potulnie klęczały obok siebie na zimnym klepisku.

– Wy... wy! Gdybym mogła, wyrwałabym was ze swojego łona, zanim urosłybyście na tyle, aby żyć poza nim.

Słyszały jej ciężkie dyszenie, a później szloch. Witki, którymi je okładała, upadły z plaśnięciem na klepisko, gdy osunęła się po ścianie.

– Gdybym wiedziała – szeptwała – oszczędziłabym nam tego wszystkiego i zabiła nas. Gdybym tylko mogła...

Krew ponownie zalała wszystko wokół.

Mrok rozświetlała pojedyncza świeca – ogromne marnotrawstwo, ale tej jednej nocy w roku nikt nie chciał czuć w ciemności. Miały zaledwie sześć lat. Skulone w kącie, mocno się do siebie tuliły. Obie drżały. Jedna patrzyła na drugą, na taki sam knebel w ustach. Podskoczyły, gdy dotarł do nich wrzask przerażenia. Matka, która stała wyprostowana w oknie, spojrzała na nie przez ramię.

– To dla waszego dobra. Nie chcecie przyciągać ich uwagi. Jeszcze nie.

Ponownie zerknęła na krąg ofiarny, który był doskonale widoczny z jej chaty. Lekko przechyliła głowę, gdy kobiece krzyki przybrały na sile.

– Nie żałuję jej. Tak jak i ona mnie nie żałowała...

Znowu krew.

Tym razem wspomnienie było dużo świeższe, miały jakieś czternaście lat. Biegły przez wioskę, ściskając swoje dłonie. Wszędzie wokół kwitł bez.

– Szybciej, Yone, zanim matka się zorientuje!

Z jękiem rozpaczy zatrzymały się, gdy rosły strażnik zagroził im drogę.

– Musimy wyjść! Teraz! Z drogi! – krzyknęła Asuka.

Mężczyzna zupełnie niewzruszony nie ruszył się z miejsca. Założył ręce na piersi i spojrzał na nie z pogardą.

– Przejścia nie ma. Opuszczanie wioski jest zabronione, rozkaz Starszego – wycedził.

– Ale dlaczego?!

– Zwiadowcy dostrzegli grupę pomniejszych piekielnych na wschodzie. Nie zaatakują wioski, ale ewidentnie czają się i polują w okolicy. Więc jazda mi stąd.

Zerknęły na siebie. Yone przygryzła wargę, ale odciągnęła Asukę, która najwyraźniej zamierzała dalej wyklócać się ze strażnikiem.

– Pieczęcie słabną. Starsi muszą złożyć ofiarę, aby demon ponownie oddał im część mocy. To ochroni wioskę i przepędzi te słabsze, które grasują w okolicy – szepnęła Yone.

Obraz zalała krew, a następnie pochłonęła je ciemność. Nie trwała ona jednak długo – z oddali zaczął docierać do nich czyjś uporczywy głos.

– Asuka! Yone! – Jin w pół leżąc, trzymał je za ramię i gorączkowo szeptał ich imiona. – Niech któraś z was się odezwie?!

Jin próbował powstrzymać szarpiające się ciało, był jednak zbyt słaby. Przerażony obserwował, jak oczy w szaleńczej migawce nieustannie zmieniają kolor. Jak błękit walczy ze szkarłatem.

Gdy z ust potoczyła się piana, Jin zrezygnował. Odsunął się i kucnął obok. Ukrył twarz w dłoniach, po czym zaczął kołysać się w przód i w tył. Mamrotał coś niezrozumiale do samego siebie, świadom, że zrobili zbyt wiele hałasu.

Nagle ciało bliźniaczek znieruchomiało. Chłopiec, cały zapłakany i zasmarkany, podniósł głowę.

– Asuka? Yone?

– Jestem.

Czerwone oczy spojrzały na niego przelotnie. Dziewczyna z trudem uniosła się na łokciu i wyjrzała zza drzewa.

– Musimy uciekać – powiedziała cicho i spokojnie.

Wzięła głęboki oddech, po czym zerwała się. Potykając się, wyciągnęła rękę do Jina, a gdy ją chwycił, ruszyli do przodu. Stała po zaledwie kilkunastu krokach.

– Yone?!

– *Asuka... coś jest bardzo nie tak. To... to wszystko się nie łączy.*

Niebieskooka bliźniaczka siedziała na ziemi. Nogi rozrzucone miała jak szmaciana laleczka, a ręce uniesione. Wpatrywała się w swoje dłonie.

– Gównu mnie to teraz obchodzi. Rusz się albo zdechniesz tu i teraz. Nie mogę oddalić się bez twojego leniwego dupska, więc wstawaj!

– *Może i tak będzie lepiej, ja... prawie sobie przypominałam.*

– Yone! Nie waż się mnie teraz zostawiać. Przeszłam z tobą pół świata, potrzebuję cię. Sama nie dam rady, jak chcesz umrzeć, to proszę bardzo, ale nie każ mi umierać z tobą!

Ostatnie słowa dotarły. Błękitnooka uniosła oczy i nieco przytomniej się rozejrzała, jakby dopiero doszło do niej, gdzie się znajduje. Dziewczyna podniosła się i dołączyła do siostry.

– *Asu, ja...*

– Później.

Pobiegli. Yone wyforsowała się na przód. Wytoczyła im szlak. Przeskakiwali korzenie. Schylali się pod gałęziami. Ciężko dysząc, parli do przodu.

– *Dogania nas.*

Asuka syknęła, ale nawet nie obróciła głowy.

– Czyli... tylko... walka?

– *Tak. Przed nami jest polana i trochę skał. Chłopak będzie mógł się schronić, a ciebie nic nie zajdzie od pleców.*

Po kilkunastu oddechach wbiegli na miejsce, które wskazała im Yone. Krwistooka bliźniaczka puściła Jina

przodem, a sama stanęła niedaleko. Upiła łyk z bukłaka i próbowała uspokoić oddech. Uniosła głowę i spojrziała wprost na żmija, który chwilę później wyłonił się pomiędzy drzew.

– To ciekawe, śmiertelnicy rzadko śmia patrzyć mi w twarz. Szczególnie, gdy wiedzą, że zaraz się nimi posilę.

Jego paszcza pełna ostrych kłów rozszerzyła się w coś na kształt uśmiechu.

– Cóż, nieraz mówili mi, że mam więcej odwagi niż rozumu. Może zdradzisz mi swoje imię? Skoro lada moment zacieśnimy stosunki. Tak, abym wiedziała, z czyich rąk zginęłam.

Stanęła pewnie na lekko ugiętych nogach i nie spuszczała wzroku z demona. Ten, zaskoczony jej impertynencją, zatrzymał się, ale nie zaatakował.

– Masz mnie za głupca, dziewczyno? Imię zdradzam tylko swoim wyznawcom. Ty nim nie jesteś, więc pożerając cię, nie łamię paktu.

Asuka wzruszyła ramionami.

– Warto było spróbować. Ale dobrze, że nie jestem bezbronna...

Zanim jednak zdążyła uwolnić moc, bliźniaczka wypchnęła ją z ciała. Zaskoczona spojrziała za nią z wyrzutem.

– Bestii zrodzonej z ognia nie zwalczysz ogniem – szepnęła i posłała jej smutny uśmiech.

Yone ugryzła się w lewy nadgarstek. Zaciskała zęby, aż nie poczuła strużki ciepłej krwi spływającej jej do gardła. Oczy zapłonęły turkusem, a temperatura wokół zaczęła gwałtownie spadać. Ziemia pod stopami pokryła się lodem, który zaczął rozlewać się wokół niej. Wspinał się po drzewach. Szronił drobne liście. Obił dodatkową powłoką skały.

Gdy uniosła dłonie, zimne fragmenty odrywały się od swych ofiar i formowały długie włócznie.

Demon ryknął rozsierdzony i skoczył do przodu. Znieruchomiał jednak, zanim śmiertelniczka zdążyła posłać ku niemu lodowe pociski. Uniósł się na swoim węzowatym cielsku i zmierzył ją wzrokiem. Wysunął długi jęzor z paszczy i zaczął smakować powietrze. Zamarł na moment. A później bez słowa odszedł. Przez chwilę cała trójka obserwowała, jak jego ogon znika metr po metrze.

– Co do... – szepnęła i obróciła się ku siostrze. – Nie rozumiem? Dlaczego... – Asuka równie zaskoczona pokręciła głową i ponownie spojrzała w las.

Yone wyjęła z torby kawałek materiału i owinęła go sobie wokół nadgarstka. Robiła to powolnymi, precyzyjnymi ruchami. Marszczyła brwi, usilnie próbując zrozumieć, co się właściwie stało. Dopiero chrobot kamyków wytrącił ją z zamyślenia. Jin powoli schodził po kamieniach, jednak coś w jego ruchach zaniepokoiło ją, jeszcze zanim zobaczyła nóż w jego dłoni. Nóż, który same mu dały.

Cofnęła się o kilka kroków i naprężyła.

– *Nie. Nie rób tego, proszę.*

– Idzie na mnie z bronią, co twoim zdaniem niby zamierza z nią zrobić? – syknęła do siostry, a jej prawa ręka pokryła się lodem. – Jin?

Chłopiec nie zareagował. Szedł ze spuszczoneym wzrokiem, a ona cofała się, jednocześnie kręcąc głową.

– Niech to, Asuka. Tak kończy się zabieranie ludzi po drodze. Będę musiała go za...

Nie dokończyła, tym razem to ona została wypchnięta z ciała. Oczy zasły bielmem, a dwa oddechy później błękit zastąpił szkarłat. Dziewczyna zachwiała się.

– *Ty idiotko. Teraz nawet on nie będzie miał problemu, aby wbić nam nóż w brzuch.* – Głos Yone był zimny, ale spokojny. Usiadła na ziemi i roztarła palcami skronie. Nagle zaczęła się śmiać, a jej postacią wstrząsały niepoahamowane spazmy.

Asuka zignorowała siostrę. Ledwo stojąc, cofała się. Kolejna tak szybka zmiana osłabiła ciało. Poczowała mdłości, gdy świat wokół zaczął niebezpiecznie wirować.

Chłopiec rzucił się na nią, ale chwyciła go za nadgarstek i wytrąciła broń. Rzuciła nim o ziemię i stopą kopnęła nóż. Miała szczęście, że nikt nie nauczył go walczyć. Gdzieś w jej głowie pojawiła się myśl, że podobno to z łukiem radził sobie lepiej.

– Jin, co w ciebie wstąpiło?!

Zwinął się w kokon i mocno objął ramionami. Asuka obeszła go dookoła tak, aby widzieć jego twarz, ale zachowała bezpieczną odległość. Dzieciak tępo wpatrywał się w swoje nogi.

– Jin, co jest?

Odpowiedział dopiero po chwili.

– Mówiłyście, że nie jesteście spętane z żadnym demonem. Że nie sprzedałyście się... – szepnął, nie unosząc wzroku. – Ale demon odchodzi od ofiary tylko, gdy ta należy do innego, silniejszego.

Otworzyły usta, chcąc coś odpowiedzieć, ale żadna nie wypowiedziała ani słowa. Spojrzały na siebie w nagłym zrozumieniu.

– Nie, to niemożliwe. Pamiętałybyśmy coś takiego. Mylisz się. Yone musiała go przepędzić... Nie... Pakt z demonem zostawia ślady...

Urwała. Oparła się o drzewo i osunęła na ziemię.

– Yone... jak długo już wędrujemy? Bo... bo ja nie mogę sobie przypomnieć. Tego i wielu rzeczy.

Druga z sióstr pokręciła głową.

– Pamiętam matkę. Wioskę. Ale... wszystko jest takie zamazane. Ta wędrownka... nie wiem, jak się zaczęła, ale wiem, że wracamy do domu. Do domu.

Milczały. Yone podeszła do siostry i usiadła obok. Bardzo chciała się do niej przytulić, ale kolejna zamiana byłaby zbyt kosztowna.

– *Ostatnie co pamiętam to kwitnący bez. Rósł wokół całej wioski i kwitł akurat w okolicę naszych urodzin. Bez i krew.*

– Bez skąpany we krwi.

Spojrzały na siebie. Wyciągnęły dłonie w swoim kierunku tak, że dzieliła je zaledwie szerokość palca.

– *Tak niewiele. A jednak między nami jest śmierć.*

– Wracanie tam to zły pomysł. Ale jednak...

– ...nie mamy wyboru. Coś tam się wydarzyło...

– ...i chcę wiedzieć co. Chcę wiedzieć, kto i dlaczego zabił jedną z nas.

– Odszedł. – Asuka stanęła nad miejscem, gdzie jeszcze wczoraj zostawiła zwiniętego w kulkę chłopca. Westchnęła i kątem oka zerknęła na siostrę.

– *Przykro mi. Pozwoliłam mu odejść, skoro taką podjął decyzję* – powiedziała Yone.

Druga z sióstr pokiwała głową i spojrzała na pochmurne niebo, na którym dawno nie widziała słońca. Przelknęła ślinę i wzięła kilka głębszych oddechów.

– Miałam nadzieję, że choć raz to my odejdziemy od kogoś – rzekła, po czym wykrzywiła usta w karykaturalnym uśmiechu.

– *Chodźmy. To już niedaleko, jeszcze kilka dni.*

Świtało, gdy w oddali zobaczyły ruiny. Nie odezwały się słowem, a jedynie wymieniły spojrzenia. Obie miały złe przeczucia, ale zaszły zbyt daleko, aby mogły zawrócić. Musiały poznać prawdę.

Tuż przed resztkami spalonej palisady Asuka prze-rwała milczenie.

– Gdybym mogła, wzięłabym cię teraz za rękę. Tak jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi i wiedziałyśmy, że matka wpadnie w szal.

Uśmiechnęły się smutno.

Wkroczyły do wioski. Ścieżka już dawno zarosła, a powalone kamienne ściany gęsto pokrył mech. Mimo to rozpoznały większość budynków. Kuźnia. Chata zielarki. Spichlerz. Zbrojownia. Chata Starszego. Drobne urywki wspomnień wracały do nich, wraz z twarzami ludzi, których kiedyś znały. Żadna nie wzbudziła jednak emocji. Tak jakby wszyscy byli im obojętni.

– *Pamiętam, że prawie osiągnęłyśmy dorosłość. Znałyśmy ich, ale mimo to... ?*

– Odór śmierci i trupów dalej się tu unosi. Tylko demony zostawiają po sobie coś tak charakterystycznego.

– *Musieli... musieliśmy komuś służyć. Upomniałby się o nas.*

– Chyba że jest przywiązany do kręgu i to jego jedyna brama do naszego świata. – Asuka parsknęła. – A my same pchamy mu się w łapy.

– *Nadal nie rozumiem. Z demonami pęta się tylko starszyzna, bierze na siebie ciężar. Taki pakt zostawia ślady. Znaczą na całe życie, a nasze ciało go nie nosi. A jednak... tamta bestia zrezygnowała z walki. Nie byłybyśmy w stanie go pokonać.*

Umilkły. Yone obejrzała się za siebie, w kierunku, z którego przyszły. Przez krótki moment chciała przekonać bliźniaczkę, aby odeszły, uciekły jak najdalej i nigdy nie wracały. Nie mogły jednak dłużej żyć ze świadomością, że jedna z nich jest martwa i odbiera życie tej drugiej.

– Gotowa?

– *Cokolwiek się wydarzy, wiedz, że byłaś najlepszą siostrą, jaką mogłam mieć.*

– Wiem. Ty też.

Długo szukały kręgu. Zaczęły od obrzeży, ale ku ich zaskoczeniu miejsce ofiary znajdowało się w samym środku wioski. Nie pamiętały tego.

Na kamiennych, równo ułożonych płytach pewna ręka wyryła runy. Czas zdawał się nie wpływać na ten konkretny obszar, nawet brunatne plamy, które pokrywały podłoże, wydawały się dość świeże.

Asukę oblał zimny pot, a serce w piersi zaczęło bić jak szalone. Próbowała uspokoić oddech. Wrzasnęła, gdy przed jej oczami na moment stanęło bestialsko rozszarpane ciało matki.

– *Wiem...* – drążącym głosem szepnęła Yone. – *Też to zobaczyłam.*

Krwistooka wyciągnęła dłoń do siostry.

– Razem?

– *Razem.*

Podbiegły do kręgu i złapały się za ręce zaledwie ułamek sekundy przed jego przekroczeniem. Obie zamknęły oczy.

Gdy je otworzyły, powitało je piekło.

Szkarłatne niebo przetykały czarne chmury i kłęby dymu unoszące się z płonących chat. Wrzaski. Jęki. Odgłos łamanych kości. I śmiech. Skrzekliwy, upiorny. ŚMIECH.

Otumaniona Asuka spojrzała na dłonie tonące we krwi. Trzęsa się, wszystko wokół wirowało. Dopiero po chwili obraz wyostrzył się i zobaczyła, że klęczy przy ciele.

Wrzasnęła, wzywając martwą siostrę.

– *A więc to byłam ja. To zawsze byłam ja* – szeptał cichy, że ledwie słyszalny. Yone stała po drugiej stronie, zaledwie metr od własnego ciała. Rozszerzone źrenice niemal pożarły turkus tęczęwek. Wpatrywała się we własną twarz, na której zastygł grymas bólu i przera-

żenia. Patrzyła na ogromny, wystający z brzucha skalny odłamek, który przebił organy wewnętrzne. W końcu sobie przypomniała.

– To moja wina, to moja wina, tomojawina! – Asuka zawyla i uniosła głowę. – To miałam być ja! To ja nie chciałam uciekać! To moja głupota nas zgubiła!

Yone pokręciła głową i przyklękła przy niej. Ujęła jej twarz w dłonie i pozwoliła ich czołom się zetknąć.

– *To nigdy nie była twoja wina. Było nam to pisane, urodziłyśmy się z wyrokiem śmierci. Asuko, przypomnij sobie. To nie jest pierwszy raz, to nawet nie jest setny raz. Odtwarzamy moją śmierć po wielokroć, zawsze w tej samej pętli. I ta pętla zawsze kończy się tak samo.*

Śmiertelniczka wyprostowała się gwałtownie, gdy i do niej zaczęły wracać wspomnienia. Wspomnienia tysiąca i jednej pętli, którą odtworzyły.

– Dzieci zrodzone z krwi demonów – szepnęła, a siostra zachęciła ją skinieniem głowy.

– *Głębiej, Asuko, szukaj głębiej. Musisz sobie przypomnieć, inaczej w końcu nas złamią.*

Przed oczami mignęło jej kolejne utracone wspomnienie. Mrok nocy, skrzypiące łóżko. Drżące ciało matki pochylające się nad nią. I błysk ostrza. Szloch niemocy.

Przycisnęła pięść do ust.

– Oni... Złożyli ją w ofierze. Tego roku padło na n... na nią. Zamiast ją pożreć i w zamian zostawić moc dla spętanych, zrobił jej coś o wiele straszniejszego. On... oni.

Urwała i przymknęła na moment oczy.

– Nie... nie krzyczała, nawet tego nie potrafiła. Złamali ją. Zostawili z czymś plugawym. I przez prawie dwadzieścia lat musiała na to patrzeć. I pamiętać.

Ukryła twarz w dłoniach.

– Dwa bękarty noszące w sobie krew demonów – wyszeptała.

– Dwa naczynia. Bo im potężniejszy demon, tym krócej może przebywać w naszym świecie. Chyba że ma powłokę ze swojej tkanki, której nie zniszczy, gdy przejmie kontrolę.

Zacisnęła powieki, próbując opanować emocje. Mocno przygryzła wargi, ale nic to nie dało. Zawyla, oplakując je obie.

– Coś poszło nie tak, żadna z nas nie miała umrzeć...

– ...ale dopóki dwie dusze zamieszkują to ciało, jest poza zasięgiem demonów. To... – spojrzała z obrzydzeniem na dłonie – nie przyjmie więcej.

Gdzieś w oddali z hukiem zawalił się budynek.

Jęki i krzyki ucichły, nawet trzask płomieni liżących kolejne konstrukcje zdawał się dochodzić z daleka. Zrobiło się zimno i gorąco jednocześnie.

– Wymazują nam pamięć, zostawiają poszarpane urywki i świadomość, że jedna z nas nie żyje. Pchają nas do miejsca, gdzie to wszystko się zaczęło. Liczą, że...

– Że w końcu pozwolę ci odejść. A wtedy będę zdana na ich łaskę.

Yone pokiwała głową. Spróbowała się uśmiechnąć, ale drżące usta nie posłuchały.

– Tym razem niemal udało się nam uwolnić Jina. Jeszcze pętla lub dwie, a być może...

Asuka uniosła głowę. Zacisnęła pięści i syknęła.

– Byłyśmy na to skazane od dnia poczęcia – wycedziła. – Ale on... on... jest niewinny. Uwięziony. Skazany na odgrywanie w kółko tego samego tylko dlatego, że...

Wydała z siebie wrzask pełen złości. I bezsilności.

– Dlatego, że... – zmusiła się do powiedzenia tego na głos – że się przywiązałam. Do jego jedyne go przez te wszystkie pętla.

Yone obróciła głowę. Nasłuchiwała.

– Nadchodzą.

Asuka wstała i wyciągnęła rękę do siostry. Spojrzały na siebie. Ich oczy zapłonęły. Jedną dłoń oblekł lód, wokół drugiej wybuchł ogień. Spomiędzy ich złączonych palców eksplodowały iskry.

– Nigdy nie dostaną tego ciała.

EWA STYKOWSKA

SAMOTNIA

Życie zwykło oszczędzać mi niespodzianek. Jednak tego poranka obudziłem się z nieoczekiwaną i całkowicie mi obcą ochotą na kawę. Podążając za impulsem, zwlokłem się z barłogu i swoje kroki skierowałem w stronę kuchni kaflowej, w której dogasał ogień. Dorzuciłem szufle węgla i pożółkłą gazetę. Nie potrafiłem sobie przypomnieć, skąd się u mnie wzięła. Nie czytam gazet. Świat wraz z jego nowinami od dawna przestał mnie dotyczyć. Skojarzyłem, że ekspedientka musiała coś w nią zawinąć podczas mojej ostatniej wizyty w sklepie. Zanurzyłem palce w gęstwinie siwiejących włosów i podrapałem się po głowie.

Stałem przez chwilę nad fajerką wpatrzony w sadzę, która osiadła na wierzchniej części paleniska. W czajniku była jeszcze woda, więc postawiłem go na kuchence i sięgnąłem do jednej z górnych szafek, gdzie w jej najdalszy kąt wciśnięta była puszka zwietrzałej kawy. Z uwagi na to, że jak wspomniałem, kawy nie pijam, nie miałem pojęcia, jakie proporcje zastosować. Do blaszanego kubka sypnąłem trzy łyżeczki. Chwilę dumałem nad dodaniem cukru, ale stwierdziłem, że szkoda go marnować na taki niepewny eksperyment jak kawa. Gwizdek w czajniku świsnął cicho, oznajmiając mi, że woda się zagotowała. Nienawidzę gwizdu gotującej się wody. Zwykle stoję nad kuchnią i bacznie obserwuję czajnik, a kiedy tylko dostrzegę lekko unoszący się pod wpływem pary gwizdek, dopadam do niego i czym

prędzej zdejmuję. Wciąż mam poparzone palce. Ale poparzone palce to nic w porównaniu z wbijającym się w moją czaszkę dźwiękiem, któremu po raz kolejny udało mi się zapobiec. Mógłbym mieć czajnik bez gwizdka albo czajnik elektryczny, ale boję się pożaru. Bardzo się boję, że mój dom spłonie. Ja spłonę w moim domu.

Palce zmoczyłem w wiadrze z zimną wodą prosto ze studni. Skąd w ogóle umyśliłem sobie tę kawę?

Chciałbym powiedzieć, że w chwili zalania proszku wrzątkiem po izbie rozszedł się przyjemny aromat, który pieścił moje nozdrza, ale tak nie było. Zwietrzała kawa dawała stęchlizną. Postanowiłem jednak wypić.

Z kubkiem w dłoni podszedłem do okna. Mój dom stoi na sporym podwyższeniu. Sam usypałem skarpeę. Dach niemal zrównuje się z koronami otaczających go drzew.

Poranek był widny, mimo iż słońce z trudem przedzierało się przez chmury. Zagajnik i mój dom umieszczony jest w rozległej górskiej dolinie i otaczające go szczyty nie ułatwiają słońcu sprawy.

Stwierdziłem, że tej nocy nie spadło dużo śniegu. Czy w ogóle padał? Wyteżyłem wzrok, by zza szyby oszacować warstwę bieli. Wtedy to dostrzegłem. Ślady! Ni mniej nie więcej, w nocy lub nad ranem, gdy jeszcze spałem, ktoś grasował pod moim domem. Być nie może! Kto by się tu zapuszczał? Kto ominął wnyki? Zacisnąłem palce dłoni na parapecie, aż poczułem w nich drętwienie.

Mój najbliższy sąsiad mieszkał trzy kilometry dalej, licząc w linii prostej. Była nim stara kobieta. Dobiegała setki i nie kojarzyła połowy rzeczy, które działy się dokoła niej. Kiedyś miała syna, lecz ten zaginął w lesie lata temu. Podążając tą linią dalej w kierunku zachodnim, za następne dwa kilometry można było natrafić na siedlisko trzech domów. Nie pamiętam, kto w nich mieszka. A za następne pięć kilometrów trafiało się do praw-

dziwej metropolii w mikroskali: wioseczki składającej się z kilkunastu domków, sklepu i kościoła. Szkoły nie było, bo nie było i dzieci. Wybrałem sobie na siedlisko tak odludne miejsce jak to tylko możliwe, a mimo to w styczniowy poranek przed swoją chatą dostrzegłem ślady dwunożnego stworzenia. Być nie może!

Nie zwlekając ani chwili, napędzany paniką, w samych kalesonach i podkoszulce pobiegłem do sieni. W biegu nie pomyślałem o narzuceniu na siebie kurtki czy przyodzianiu butów. Wziąłem natomiast strzelbę. Pierwsze kroki, które postawiłem na werandzie, jeszcze nie ostudziły mojego zapału, dopiero gdy wełniane skarpety zatopiły się w mokrym śniegu, poczułem, że trochę mnie poniosło. Zamiast jednak wrócić do domu i naprawić swój błąd, ja już wpatrywałem się w ślady. Jak się okazało, zaczynały się tuż za moimi schodami, a więc intruz podlaźł niemal pod drzwi wejściowe. Gdy objąłem wzrokiem większą przestrzeń, okazało się, że to nie koniec niespodzianek. Intruz nie był sam. Przyjrzałem się bliżej rozszanym po terenie podwójnym śladom. Były niewielkie, dziecięce, ale dość głębokie. Wyglądało to tak, jakby grupa dzieciaków bawiła się tu w berka. Ilu ich mogło być, nie potrafiłem oszacować. Atakująca mój narząd wzroku jaśniejąca biel, szok spowodowany odkryciem i lodowaty chłód przenikający do moich trzewi uniemożliwił mi sprawną kalkulację. Jeszcze raz omiotłem wzrokiem teren wokół domu i postanowiłem wrócić do środka. Nie była to dla mnie łatwa decyzja. Moja natura nakazywała mi wysledzenie natrętów i rozstrzelania ich w tej chwili, w tym momencie, nie bacząc na zimno.

Zmarzłem. Wracałem ze zwieszoną głową, nadal nie wierząc własnym zmysłom. W domu dopiłem kawę, nie czując już nawet smaku. Przemoczone kalesony i skarpety wywiesiłem na sznurku nad kuchenką i począłem przygotowania do zbadania zagadki.

Kiedy się tu sprowadziłem, a było to lata temu, jednym z moich pierwszych nabytków była lornetka. Chwilowy kaprys. Nie wiem, co miałem wtedy w głowie. Teraz miałem użyć jej po raz pierwszy. Założyłem też ocieplane wojskowe spodnie, zmechacony sweter i parkę, gdyż stwierdziłem, że kozuch może ograniczać mi ruchy. Gdy stałem już u drzwi wyjściowych, obleciał mnie strach. Nie wiedziałem, z czym mam do czynienia, a przygotowania do wyjścia dały mi czas na rozważania.

Stałem tak przez chwilę, zaciskając i rozluźniając wolną dłoń, aż w końcu zdecydowanym ruchem otworzyłem drzwi. Ślady nadal tam były. Postanowiłem podążyć za tymi, które należały do najodważniejszego intruza, tego, który podszedł pod same schody. Szedłem, tropiłem.

W pewnym punkcie wszystkie tropy zaczynały się mieszać, zapętlać, a ja nie byłem już w stanie wyłonić z tego mrowia tej jednej pary. Obszedłem całą okolicę domu. Dzieciaki wyraźnie biegały wokół niego, a wszystkie pozostawione przez nie ślady urywały się na początku lasu. Teraz, stojąc przed nim, miałem wrażenie, że jest znacznie ciemniejszy i gęstszy, niż mi się wydawało, gdy obserwowałem go z okna. Chwilę wpatrywałem się w mroczną ścianę stworzoną z pni, która zdawała się być zdolna wchłonąć sobą wszystko, co przekroczy linię drzew. Nie chciałem jej przekraczać, mimo iż zdawałem sobie sprawę z tego, że zagrożenie, które czai się wokół mojego domu, przybyło właśnie stamtąd. Lornetki nawet nie podniosłem do oczu. Niewiele brakowało, a w złości cisnąłbym nią w zaspę.

Gdy wróciłem do domu, była już pora obiadowa. Nie zjadłem nawet śniadania. Trzy dni temu nagotowałem gulaszu z zająca, który wpadł w moje wnyki, i także dziś miał mi on posłużyć za posiłek. Zasiadając do jedzenia, planowałem swoją strategię obrony. Postanowiłem, że tej

nocy nie położę się spać. Usiądę na fotelu na wprost okna ze strzelbą na podorędziu i jeśli tylko zobaczę choćby jednego gówniarza, który kręci się koło mojej chałupy, to będę strzelać w to małe dupsko aż strach! Na myśl o tym poczułem przyjemne mrowienie w dłoni. Lubiłem strzelby i noże. Mój świętej pamięci dziadek, niech skurwysyna piekło pochłonie, zawsze powtarzał, że karabiny są dla tchórzy. Nie chciałem się z tym zgodzić, choć podświadomie wiedziałem, że miał rację.

Przed wieczorem wypilem jeszcze butelczynę piwa własnej roboty. Było lekko kwaśne, ale ten fakt mi specjalnie nie przeszkadzał. Czułem podniecenie związane z wieczorną wartą. Tak, byłem wkurwiony tą nową i niejasną sytuacją, ale też stałem w obliczu wyzwania. Miałem bronić swojej twierdzy. Chyba po raz pierwszy. Nie licząc incydentu z niedźwiedziem sprzed paru laty. Olbrzymi zwierz gdzieś w okolicy kwietnia podlaźł pod moją szopę, mały budynek przytulony do chaty. Wypatrzyłem go z okna. Zamarłem ze strachu. Niedźwiedź stanął na dwóch łapach i zaczął węszyć, podnosząc łeb ku górze. W końcu opadł na cztery łapy i zaczął całym ciężarem cielska ocierać futro o drewniane deski szopy. Znaczył teren, zostawiał swój zapach. Było dla mnie coś upokarzającego w tym zdarzeniu. Nie dlatego, że byłem przerażony, lecz dlatego, że z owym strachem nawet nie spróbowałem się zmierzyć. Na szczęście bachory to nie niedźwiedź. Dam sobie radę.

Zastanawiałem się, czy nie sięgnąć po następną butelkę, ale stwierdziłem, że trzeźwy umysł to to, czego będę mógł potrzebować. Nie chciałem chybić. Postrzelę gnoja, a ten dotoczy się do domu i znowu będzie afera, że strzelam do ludzi.

O tej porze roku zmrok zapada szybko. W przypadku doliny, w której mieszkam, zapada jeszcze szybciej.

Krótko po piętnastej jest już całkowicie ciemno. Intruzi mogą zjawić się w każdej chwili.

Była dwudziesta pierwsza, gdy podniecenie zaczęło ustępować miejsca znużeniu i senności. Ściągnąłem parkę, zwlokłem buciory i w końcu też spodnie. Głowa opadała mi na ramię. Zerknąłem w mrok nocy z półprzymkniętych powiek. Wtedy to się stało. Najpierw ich usłyszałem, dopiero później zobaczyłem. Trzy dziewczynki i jeden chłopczyk. Układ sił dobrze mi znany z własnego dzieciństwa. Mały ciągnął za sobą sanki, co wskazywało na to, że na ten wieczór lepiej przygotowali się do zabawy. Posłyszałem ich śmiech i to on wybudził mnie z letargu. Przycisnąwszy nos do szyby, dostrzegłem moich intruzów. Dziewczynki biegały wesoło po śniegu, ale chłopiec przystanął. Zadał głowę i patrzył prosto w moje okno. Jak ten wężący niedźwiedź. Miał zieloną wełnianą czapkę i czerwony płaszczyk. Miałem wrażenie, że uśmiecha się do mnie w pozdrowieniu. Tego było już za dużo. Znowu to zrobiłem. Wybiegłem na dwór w samych kalesonach i skarpetach. Strzelbę przeładowałem w biegu. Wskoczyłem na ganek i wymierzyłem w mrok. Mógłbym stwierdzić, że po dzieciakach nie było śladu, ale nie byłaby to prawda. Ślady były, ale dzieciaków nie. Nie ostudziło to mojego animuszu. Wiedziałem, że nie spierdoliłyby tak szybko. Biegając, krzychałem:

– Wypierdalać, wypierdalać mi stąd!

Oddałem trzy strzały w głuchą przestrzeń. Echo poniosło się znacznie dalej niż pociski. Krążyłem wokół posesji, strzelając i przeładowując. Już nie krzychałem, bo od krzyku zachryplem. Szybko zrobiło mi się zimno, a gdy adrenalina nieco opadła, poczułem lodowaty chłód graniczący z bólem. Jeszcze raz spojrzełem na linie drzew i powróciłem do swojego domu. Usiadłem na tapczanie, ciężko dysząc. Po chwili leżałem, a jeszcze parę minut później już spałem.

Rankiem obudziłem się przemarznięty na kość. Ogień na kuchni dogasł, ja poległem w mokrych kalesonach i skarpetach. Bałem się, że przez takie akcje kiedyś zachoruję i umrę. Zdążę zgnić, nim ktoś znajdzie moje zwłoki. Wiedziałem, że ten kto zjawiłby się tu przypadkiem i zastał mojego trupa, pewnością by mnie okradł. Zabrałby gramofon i płyty Louisa. Z rozmysłem schowałem swoje pieniądze w jedynym garniturze, jaki mam i w którym pewnie zostałbym pochowany. O ile komuś chciałoby się owlekać w niego zgniłe truchło. Ten który by zechciał to zrobić, znalazłby w kieszeniach mój cały dobytek. Nie obraziłbym, się gdyby go wziął. Jeśli ozdobiłby moje zwłoki odświętnym ubraniem, zapewne mogę podejrzewać, że byłby to człowiek o sprawiedliwym sercu, dlatego też część znalezionych pieniędzy przeznaczyłby na mój godny pochówek. Tak to sobie umyśliłem. Dobrze, nie?

Skostniały nie miałem siły wstać i choćby rozprostować przemarznięte gnaty. Wiedziałem, że jeśli nie ruszę dupy i nie napalę w piecu, plan związany z odświętnym garniturem rychle wejdzie w życie. Podniosłem się więc, zdjąłem ubranie, które zdążyło i tak na mnie przeschnąć, i owinąłem się kocem. Wpół roznegliżowany podszedłem do kuchenki i zacząłem dorzucać węgiel i odrobinę drewna. Szczęśliwie ogień szybko zapłonął na nowo, a ja przysiadłszy na ławce obok, mogłem na powrót poczuć krążenie krwi w kończynach.

Wraz z krążeniem powróciła do mnie zdolność myślenia. Przypomniałem sobie o wczorajszym niefortownym wieczorze. O bezczelnym chłopcu, który gapił się w moje okno i o własnej głupocie, która sprawiła, że pogałem na mróz niczym szarżujący dzik. Nieśmiało zerknąłem za okno, gdy chodzenie przestało już być tak bolesną czynno-

ścią. Padał śnieg, na tyle gęsty by utrudnić mi widoczność i tym samym przekreślić szanse na spostrzeżenie nowych dowodów zbrodni wokół mego domu.

Dalszy czas upłynął mi we względnym spokoju ducha. Cały ranek słuchałem płyt Louisa i zastanawiałem się, czy nie napisać czegoś w rodzaju testamentu do szczęśliwego znalazcy moich zwłok. Chyba wypadałoby się przedstawić, a nie leżeć bezimiennym trupem. Nie chciałbym kojarzyć się mojemu znalazcy tylko z fetorem rozkładającego się mięsa. Chciałbym zaprezentować się nieco lepiej w oczach ostatniej osoby, z jaką będę mieć styczność, jakkolwiek to brzmi.

Po południu zakasałem rękawy i posilony kaszą z okrasą przystąpiłem do przygotowania zapasów drewna. Machanie siekierą mnie odprężało. Odnotowałem w głowie, że nie robiłem tego od trzech dni, może stąd w moim ciele rosnące napięcie. Gromadzenie zapasów opału dawało mi poczucie celowości. W tym chujowym położeniu myśl o zagrożeniu mogły zagłuszyć tylko razy wymierzone ostrym narzędziem, a później widok równiutkiego stosu polan. Rytmicznym uderzeniom towarzyszył odgłos echa i nieregularne stuknięcia dochodzące z południowej części lasu. To dziękić wykonywał swoją pracę. Pracowaliśmy więc razem, w porozumieniu. Miałem jeszcze zamiar przed zmierzchem odwiedzić zastawione na drobną zwierzynę pułapki, ale zbyt zapamiętałem się w poprzednim zajęciu. Spojrzałem w niebo, nad korony drzew i drobne płatki śniegu znaczące przestrzeń ponad moją głową. Czas kończyć.

Wieczorem zasiadłem do obserwacji w pełnym uzbrojeniu. Nie w galotach z piwkim w dłoni, ale z drugą już w ciągu dwóch dni kawą, w spodniach, butach i z parką zarzuconą na oparcie fotela. Broń rzecz jasna też miałem. Nie odczuwałem jak dotąd żadnych skutków wczoraj-

szych wojaży, więc na jakiś czas odsunąłem od siebie myśli o gnijących zwłokach. Stęchła kawa chyba nawet zaczęła mi smakować. Humor miałem całkiem dobry jak na okoliczności. Gdy znudziło mi się słuchanie płyt, włączyłem radio. Łapało jedną, góra dwie stacje, w zależności od pogody. Na jednej ciągle się modlili i dociekali, czy dostąpią królestwa niebieskiego. Na drugim mówili o polityce i zbrodniach. Czyli w sumie o jednym. Pierwszą stację uważałem za zabawniejszą. Czasem dzwoniли do nich słuchacze. Głównie starsze kobiety, im było najpilniej do królestwa niebieskiego. Słuchałem radia i planowałem. Postanowiłem wziąć intruzów podstępem. Znowu czaiłem się w oknie, ale tym razem nie zamierzałem wybiec z chałupy na wariata, w akompaniamencie wulgaryzmów i nieludzkich okrzyków. Zamierzałem wyjść cichaczem. Wiedziałem, że będę musiał zwalczyć narastające wkurwienie, gdy pojawią się dzieciaki, bo tylko w ten sposób mogę wcielić plan w życie.

Starałem się wyciszyć, gdy z wybiciem godziny dwudziestej pierwszej posłyszałem pukanie do drzwi. Radio zaszemrało i zawiesiło swoje usługi. Wzdrygnąłem się na fotelu. Być nie może! Sami przyszli się poddać? A może to ten wścibski strażnik leśny. Usłyszał wczoraj strzały, więc przyszedł na wieczorną kontrolę, psia mać. To głównie z myślą o nim zawsze trzymałem u siebie zwietrzałą kawę. W ten sposób mogłem zachować pozory normalności. Siadam z gościem przy stole i podaję kawę, jak dobry gospodarz. Bywał u mnie średnio raz na kwartał. Chyba, że coś się wydarzyło.

Usłyszałem w sumie trzy stuknięcia w drzwi. Dopiero przy trzecim podniosłem się z fotela. Strzelbę wsparłem o jego oparcie i zakryłem parką. Jeśli to strażnik, lepiej by nie widział broni. Zawahałem się jednak, bo jeśli to intruz, to wręcz przeciwnie, powinien ją widzieć, a nawet

poczuć. Podszedłem do drzwi i zapaliłem światło na ganku, by mój gość kimkolwiek był, nie stał w ciemności.

Stałem przed drzwiami i już miałem zadać sakramentalne pytanie: kto tam?, ale coś mnie powstrzymało. Zamiast tego po prostu otworzyłem drzwi.

Moim oczom ukazała się blada twarz młodzika. Młodzik był mniej więcej mojego wzrostu, ale w porównaniu ze mną wydawał się dużo mniejszy, że tak powiem, objętościowo. Był bardzo chudy. Granatowy płaszcz wisiał na nim, a chude ciało ugięło się pod jego ciężarem. Oczy miał jakieś zamglone, o bardzo jasnym kolorze, włosy w odcieniu słomy i najważniejsze, był cały mokry, jakby zebrał ze sobą cały marznący deszcz, jaki spadł tej zimy.

Patrzyłem na niego wyczekująco, zastanawiając się, czy da głos, czy tak będzie tak stał.

– No? – ponagliłem go.

– Przepraszam, psze pana, czy mógłbym schronić się przed śniegiem?

Przyjrzałem się przestrzeni za jego plecami i zabijcie mnie, ale nie dostrzegłem ani płatka lecącego z nieba.

– Przecież nie pada śnieg – stwierdziłem rzeczowo, nadal wpatrując się w mojego dziwnego gościa.

Młodzik zadygotał. Nie wiem, czy to z zimna, czy ze strachu, ale i mnie przeszył dreszcz, gdy tak na niego patrzyłem. Nie potrafiłem oprzeć się wrażeniu, że skądś znam tego człowieka, jednak on zachowywał się, jakby trafił tu zupełnie przypadkiem.

– Czy mogę schronić się przed śniegiem? – powiedział jeszcze wyraźniej i jakby dobitniej. Był w jego tonie jakiś tragizm. – MOGĘ?

– Właż, skoro musisz – powiedziałem w końcu, choć nie nazwałbym tego świadomą decyzją.

Gdy mężczyzna wchodził do sieni, ja rozejrzałem się po posesji. Noc przyszła niepostrzeżenie i było już całkiem

ciemno. Nie było wiatru, a mimo to usłyszałem szelest w pobliskich drzewach. Jakby zduszoną konwersację, zakończoną „Ciiiiii”. Jakby jedna osoba uciszała drugą. Już miałem ruszyć w tamtym kierunku, kiedy przypomniałem sobie, że mam w domu gościa. Nie mogę go zostawić, aby spenetrować krzaki. Majątku w domu nie trzymałem, ale kto wie? Może zajebałby mi płyty? Zamknąłem za sobą drzwi, gasząc światło na ganku. Odwróciłem się w kierunku mojego przybysza. Zdążył przejść może cztery kroki od drzwi. Stał w izbie i gapił się w okno. Nie wyteżał wzroku, tak jakby patrzył w ciemność nie sprawiało mu żadnego kłopotu. Jakby coś tam widział i to wyraźnie. Ruszyłem w głąb domu. Minąłem jęgomocia i stanąłem przy fotelu, o który oparta była strzelba. Wziąłem ją w obie dłonie. Trzymałem ją przez chwilę oburącz, licząc, że facet obróci się i spojrzy na mnie. Chciałem, żeby dokładnie zobaczył, jaki jestem uzbrojony i groźny, żeby wiedział, że nie będę łatwą ofiarą. Nie zrobił tego jednak. Zniechęcony odkładałem broń na miejsce, gdy ten się wreszcie odezwał:

– Masz dzieci? – Nie odrywał wzroku od okna.

– Nie, nie mam nikogo – odrzekłem.

Chyba był usatysfakcjonowany taką odpowiedzią, bo przysiadł na drewnianym taborecie.

– Chcesz piwa? – spytałem siląc się na gościnność. – Grzane, dobre – dodałem.

– Dziękuję bardzo, poproszę – odpowiedział uprzejmie. Mówiąc to, nie patrzył jednak na mnie, tylko jakby na przestrzeń tuż za moimi plecami. To było dość dziwne i nie spodobało mi się.

– Co za popieprzony... – Nalałem do kubka chmielowego napoju. Spojrzałem na przybysza. Myślałem, że jakoś ustosunkuje się do mojej wypowiedzi, ale on tylko uprzejmie uśmiechał się do ściany na moimi plecami.

Podałem mu piwo. Chwycił je oburącz. Już chciał się napić, ale odstawił je na blat obok siebie, jakby nagle sobie przypomniał, że jest abstynentem. Siedział tak i patrzył to na jedną, to na drugą ścianę. Ja stałem wsparty o futrynę, przygnieciony niezręcznością tej sytuacji.

– A ty? – wystrzeliłem z siebie pytanie.

– Co ja? – spytał całkowicie zasadnie.

– Czy masz dzieci, się pytam – zamruczałem pod nosem.

– Nie. Ja też nie mam nikogo – odpowiedział

– Racja. Młody jesteś, po co ci to – ciągnąłem, porażony siłą mojej nagłej elokwencji.

– Nie jestem młody, psze pana. Tylko tak wyglądam – odpowiedział, patrząc na swoje zsiniałe od zimna ręce.

Na dworze zerwał się wicher. Świstało z taką mocą, z jaką świstać potrafi tylko górski niespokojny wiatr. Niespodziewanie odżyło moje radio i zainwokowało „Ojciec Nasz”. Mężczyzna w moim domu popatrzył na mnie smutno.

– Czas bym się zbierał. Bardzo panu dziękuję. – Podniósł się z taboretu. W jego ruchach było coś niesamowicie ociążałego.

– Taaa... – mruknąłem tylko. Wiem, że wypadałoby go zatrzymać. Zaproponować nocleg czy coś. Ale, prawdę mówiąc, nie było mi na rękę, by tu został. Co, mieliśmy spać na jednym tapczanie, przytuleni do siebie jak dwa kocięta? A może w nocy by mnie okradł. Albo zabił? Nie wiedziałem, kim był ani skąd przyszedł.

Zarzucił na głowę kaptur. Odprowadziłem go do drzwi. Zatrzymał się na moment, w tym czasie zapaliłem światło na ganku.

– Psze pana – zaczął.

– Taa?

– Psze pana, nie powinien pan tu nikogo wpuszczać – powiedział powoli i wyraźnie. – To nie jest dobry

czas – dodał, przechodząc przez próg na ganek, po czym uśmiechnął się i zszedł po schodach. Miałem mu powiedzieć, żeby uważał na wnyki, ale z jakiegoś powodu wydało mi się to bezzasadne. Żarówka w lampionie zaczęła mrugać niespokojnie. Skupiłem się na niej, a tym czasem mój dziwny przybysz odszedł. Gdy znowu na niego spojrzałem, był już przy linii drzew. Wtedy to spostrzegłem: po swoich krokach nie pozostawiał śladów.

Czekała mnie długa i dziwna noc. Nie byłem idiotą, więc zacząłem dość szybko podejrzewać, że tajemnicze znaleziska i wieczór w osobliwym towarzystwie mogą mieć ze sobą coś wspólnego. Dreptałem niespokojnie po izbie, trzymając w ręku strzelbę. Była ciężka, więc ponownie odstawiłem ją na jej miejsce przy fotelu. Podeszedłem do blatu tuż przy oknie, w które wpatrywał się mój gość. Spojrzałem przez szybę, po czym mój wzrok skierował się na żeliwny kubek, w którym podałem piwo swemu towarzyszowi. Był pusty. Kiedy on to wypił? Nie widziałem, żeby pił. Sam wypilem? Czy ja do reszty już zdurniałem? Zacisnąłem pięści na blacie. Postanowiłem odkapslować kolejną butelkę i przygotować sobie grzańca. Zastanowiłem się jednak chwilę nad tym pomysłem. Powinienem raczej wypić kolejną kawę, żeby nie zasnąć. Muszę czuwać, a nie popijać piwko, jak na jakimś pikniku. W końcu wyjąłem piwo z drewnianej skrzyni, gdzie zwykle je wstawiać, odkapslowałem i wypilem zimne. Z kawą nie ma co przeginać. Znowu pomyślałem o moim truchle. Umarłem na zawał po przedawkowaniu stęchłej kawy.

Co tu robić? Po „Ojczy Nasz” radio znowu umilkło. Otaczała mnie niewygodna cisza. Pierwszy raz wydała mi się niewygodna. Nastawiłem więc gramofon z płytą

Armstronga. Jego optymizm i zachwyty nad światem był dla mnie drzazgą w ucho, a mimo to lubiłem go słuchać. W końcu facet miał nieciekawą życie, szczególnie młodość. Matka dziwka, siostra dziwka... Nie rozumiałem jak ktoś może śpiewać, że świat jest piękny, kiedy jest, no, chujowy.

Słuchałem jednak tych kłamstw. Całe życie nic tylko słuchałem kłamstw. Kłamali moi rodzice, gdy zmarł dziadek. Mówili, że był dobry, ale on nie był dobry. Kłamały kobiety, kiedy mówiły: *to nic, następnym razem się uda*. Kłamali ci, którzy mówili, że wszystko zależy od ciebie i ci, którzy mówili, że wszystko jest w rękach Boga.

Ja też umiem kłamać. O tak... „*Mamusiu, tatusiu, to naprawdę nie ja zabrałem zdjęcie. Nie dosięgam na półkę z albumami. Mam za krótkie nóżki*”.

Jak już człowiek raz zacznie kłamać, to nie potrafi przestać. Dlatego jestem tu. Sam. Samiutki, żeby nie musiał nikogo okłamywać i żeby nikt nie okłamywał mnie.

Osuszywszy butelkę, trwałem w bezruchu na swoim fotelu. Z letargu wyrwał mnie śmiech. Ale jaki śmiech! Jakby całą przestrzeń wokół mnie wypełniał dźwięk radosnego śmiechu dzieci. Śmiały się prosto w moje biedne uszy. Zagłuszyły Louisa. Zagłuszyły wiatr. Szyby w oknach trzęsły się od siły natężenia dźwięku. Odgłos rozchodził się falami, jakby od wnętrza mnie, i swobodnie rozchodził się po otaczającej mnie przestrzeni. Rozchodził się jak kręgi na wodzie, gdy do stawu wrzuci się kamień. Na początku są wyraźne i skoncentrowane wokół miejsca spoczynku kamienia, z czasem zataczają się coraz dalej, aż w końcu znikają. Pozostaje tylko gładka, niewzruszona tafla wody.

Cisza. W końcu nadeszła cisza. Zerwałem się w fotela, na ślepo wymacałem strzelbę i wybiegłem przed dom. Krzyknąłem:

– Wypierdalać! Wypierdalać z mojego domu!

Strzelałem na oślep w las. Echo niesło odgłos kolejnych wystrzałów. Czułem, jak w mojej głowie pulsuje ból. Chciało mi się płakać, ale bardziej chciałem krzyżeć. Więc krzychałem, aż znowu ochrypłem.

Stałem tuż przed lasem i dyszałem ciężko. Usłyszałem huk sowy i wtedy znowu zaczął padać śnieg. Nieco ostudził on mój zapal do wystrzelania niewidzialnych wrogów. Poczulem przejmujący chłód. Spojrzałem na stopy. Kalesony, w których dziś występowałem przed śmiejącą się publicznością, miały mokre nogawki. Stopy całkiem zapadły się w śnieg. Zimno jak cholera. Kiedy zdążyłem się rozebrać? Przecież byłem gotowy, cały czas gotowy. A teraz znowu mokre kalesony, mokre skarpetki i zimno. Zimno.

Wróciłem do domu chwiejnym krokiem. Czułem straszną niemoc. Ociężałość. Jakbym kogoś niósł na plecach. Z hukiem zatrzasnąłem za sobą drzwi. Dopełzłem do fotela i opadłem na niego jak drętwe zwłoki wrzucone do dołu przez grabarza.

Zasnąłem. Chyba zasnąłem, albo straciłem przytomność. Dobrze, że w przerwie między podejmowaniem gościa a lataniem z gołą dupą po posesji dołożyłem do pieca. Zamarzyłbym pewnikiem na śmierć. Nadal nie przygotowałem wiadomości dla szczęśliwego znalazcy mojego truchła.

Obudziłem się o wschodzie słońca. Przez chwilę siedziałem nieruchomo. Muszę najpierw pomyśleć, zanim zrobię coś głupiego. Chyba się bałem. Tych dziwnych zdarzeń i swojej reakcji na nie. Zawsze byłem impulsywny. Nikt nie wiedział, czego się po mnie spodziewać.

Gdy wpadałem w szal, szedłem jak taran. Rozjuszony, duże chłopisko, które nie potrafi nacisnąć hamulca.

W końcu usiadłem wyprostowany. Nasłuchiwałem. Zerknąłem niepewnie w stronę okna. Trzeba je będzie zabić deskami. Może to coś da. Dźwignąłem się ciężko z fotela. Bolały mnie plecy i kark. Od ubiegłego wieczora przybyło mi chyba z dziesięć lat. Byłem nieprzytomnie głodny. Nie miałem już zajęcy na stanie. Tylko konserwę i resztkę chleba. Dobrze, że nie przyszło mi do głowy częstować żarciem mojego gościa. Na dokładkę teraz bym jeszcze głodował. Niechętnie rozejrzałem się po prawie pustej szafce, gdzie trzymałem coś na ząb. W lodówce nie było lepiej. Będę musiał iść do sklepu. Westchnąłem ciężko i powąchałem bluzkę, którą miałem na sobie. Jeszcze nie śmierdzą, mogę iść między ludzi. Zagryzłem resztki żarcia i zacząłem się przygotowywać.

Zebranie się w sobie do opuszczenia domu zajęło mi wybitnie dużo czasu. Umyłem twarz, zaczesłem włosy, włożyłem czyste kalesony, stare przetarte bojówki i czapkę z zajęczego futra. Staranną toaletę odbyłem przed maleńkim, zaśnieżonym lustrem. Moja babcia nosiła je w torebce. Jakoś potrafiłem zaakceptować swój wizerunek odzwierciedlony w tym małym przedmiocie. Widziałem ogorzałą twarz, przekrwione oczy, siwiejące włosy. Prawie przypominałem w nim człowieka. Nigdy jednak nie przyglądałem się sobie zbyt długo. Chyba w obawie przed tym, że w którymś momencie zobaczę coś więcej. Środek, wnętrze. Gnijącego trupa, który zamieszkiwał moje trzewia. Coś zepsutego i ohydneho. Prawdziwego.

Zarzuciłem jeszcze płaszcz, plecak i wyruszyłem. Rozwahałem wzięcie strzelby, ale ludzie jakoś dziwnie na nią reagują. Ograniczyłem się więc do noża. Wyciągnąłem z garnituru trochę pieniędzy.

Szedłem swoim zwyczajem wzdłuż linii wysokiego napięcia. Miałem spory kawałek do przejścia, zanim druty napotkają polną drogę prowadzącą do osady, gdzie mieścił się sklep, i biegnącą dalej, wylaną asfaltem, aż do najbliższego miasteczka. Poranek był dość ładny. Świeciło słońce, mróz był spory, ale za to wiatr spokojny i prawie nieodczuwalny. Tu w górach pogoda potrafi się jednak zmieniać bardzo szybko.

Nie chciałem myśleć o przykrych wydarzeniach. Chciałem poudawać pustogłowego turystę podziwiającego widoki. Nic z tego. Cały czas kołatała mi się myśl, co mogę zrobić, aby rozwikłać tę zagadkę. Po pierwsze. Dzieci. Skąd w dolinie wzięły się dzieci? Wiem, jak się to odbywa gdzie indziej, ale w wiosce nikt owego cudu stworzenia nie dokonał od dekad. Odkąd tu zawitałem, żadnego przekłętego bachora w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Pomyślałem o ziemi, którą próbowałem uprawiać, o małym ogródku za szopą oznaczoną przez niedźwiedzia. Kopałem, pielilem, obsiewałem. Wszystko na nic. Ziemia nie rodziła. Nic z moich starań nie wykiełkowało. Była bezpłodna, jak te kobiety we wsi. *Tu nie można mieć dzieci.* Takie słowa usłyszałem od Starej Wariatki, mojej najbliższej sąsiadki. Ona miała syna i przepadł, bo nigdy nie powinno go tu być. Śnieg po niego przyszedł, zszedł z gór i go zabrał. Gdy się tu osiedliłem, syn wariatki był już tylko wspomnieniem, któremu paliła gromnice w oknie. Może zobaczy światło i wróci do matuli. Nie wrócił. Może nie chciał, może nie mógł. Różnie ludzie mówili, a im więcej czasu mijało, opowieści toczone pod sklepem stawały się coraz dziwniejsze. Czasami ociągałem się trochę zbyt długo przy zakupach. Przystawałem między półkami a lodówką i przysłuchiwałem się rozmowom. Nie wiem po co, ludzie i ich sprawy dawno przestały mnie obchodzić. W końcu odchodziłem, żegnały mnie wrogie

spojrzenia sklepowych tubylców. Najchętniej przegoniłoby mnie, obrzucili butelkami, ale wina szkoda. Dla nich byłem dziwakiem z lasu. Niebezpiecznym kłusownikiem, co rozstawia wnyki wokół domu i milcząco się uśmiecha, gdy jakiś turysta w nie wpadnie. Był tu kiedyś jeden turysta, a później go już nie było. Przepadł. Akurat ustrześliłem wtedy dzika. Mięso było twarde i żylaste, bo stary był. Pod sklepem mówili, że to ja, że ja zabiłem turystę. Został po nim tylko namiot w górach, który znalazł wścibski strażnik leśny. Była zima, kto zimą obozuje w lesie? Śmierci szukał, to ją znalazł. A dzika zakopałem za szopą. Do użyźnienia gleby też się nie nadał.

Nie uznałbym mojego marszu za przyjemny, ale w życiu nie chodzi o przyjemności, tylko o konieczności. W oddali słyszałem krakanie kuka. Te ptaszyska wiją gniazda naprawdę wysoko. Żeby patrzeć na wszystko z góry i strzec wszystkich tajemnic. Dostrzegłem coś pocieszającego w tym krakaniu. Przypomniało mi się, jak stawiałem mój dom. Pomagał mi w tym jeden, nie młody, nie stary. Przybył tu Bóg wie kiedy i został Bóg wie po co. Wielkie, jeszcze większe ode mnie chłopisko. We wsi miał łatkę przygłupa. Może to przez zdeformowaną czaszkę. Mnie wcale nie wydawał się głupi, bo umiał heblować deski, słuchał, co się do niego mówi, za to sam nie gadał bez potrzeby. Z większością prac poradziłem sobie sam, ale Przygłup był pomocny i jakimś dziwnym trafem pojawiał się zawsze, kiedy był potrzebny. Po prostu przychodził, siadał na pieńku i patrzył, co robię. W końcu przyłączał się do roboty. Kiedy mój dom już stał, wypiliśmy z Przygłupem samogon, który kupił na targu, wymieniając za zająca. Zając był rzecz jasna mój, więc można powiedzieć, że samogon też. Popiliśmy. Wtedy dopiero morda mu się otworzyła. Zaczęło się od kruka. Przyznał, że boi się kruków i ptaków w ogóle. Tego co mogą zoba-

czyć, patrząc z góry, i co takiego już widziały. Zadumałem się wtedy nad jego słowami i już byłem pewny, że nie jest przygłupem. Im bardziej plątał mu się język, tym bardziej przyziemne tematy zaczynał poruszać. Opowiedział mi to i owo o wsi i jej mieszkańcach. Osada w dolinie była przesiąknięta zabobonem. Ludzie żyli tu, jakby rzeczywistość ich nie dotyczyła. Wojna przeszła obok, a miejscowi posłyszeli tylko jej echa. To w czasie wojny urodziło się tu ostatnie dziecko. Syn starej wariatki. Mojego rozmówcę nie zajmowały dociekania, dlaczego? Co było przyczyną tak nienormalnego stanu rzeczy. Czy słyszałem coś więcej na ten temat w ciągu wielu lat egzystowania na marginesie tej społeczności? Ano słyszałem. Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie, ale między Bogiem a prawdą niewiele mnie to interesowało. Wtedy, teraz wiele bym dał za możliwość zweryfikowania nawet najbardziej absurdalnych pogłosek. Tylko po to by upewnić się, że nie zwariowałem. Kruk znowu zakrakał gdzieś w oddali, jakby odpowiadał na moje myśli.

W końcu dotarłem do cywilizacji. Wszedłem z leśnej ścieżki na drogę. Minąłem te dwa domy, które miałem do minięcia, zatrzymując się na chwilę przy tym drugim. Popatrzyłem na zasypane obejście i samotnego psa śpiącego na schodach przy drzwiach. Pewnie zaraz go wpuszczą do domu. Nie zostawią tak przecież. A może zostawią? Wszystko jedno.

Sklep wyglądał jak chata z piernika, śnieg był lukrem, a nabrzmiałe wilgocią belki ścian tabliczkami czekolady. Ciężko postawiłem stopy na progu, by otrzepać buty ze śniegu. Miałem litość nad sfatygowanym linoleum, którym wyłożona była podłoga. Wszedłem do sklepu, a tam sklepowa stoi przy ladzie i płacze. Spojrzała na mnie, gdy stanąłem tuż przed nią. Pociągnęła nosem i dalej patrzyła. Wyczekująco.

– Pięć kilo mąki, trzy tuziny jaj, pięć konserw, tych co zawsze, tuzin zapalek i ten, nooo... tytoń do fajki – wyplułem z siebie listę zakupów, wpatrując się w czarne grochy na fartuchu sklepowej.

Sklepowa w milczeniu podawała produkty. Wyceśniła usługę, odruchowo chciała pomóc przy pakowaniu, ale chyba przypomniała sobie, że nie podoba mi się ten zwyczaj. Kupiłem, to moje, niech sobie maca to, co stoi na półkach. Zarzuciłem ciężki plecak i już miałem wychodzić.

– Ta, eee... starsza pani, co to tu mieszka, to nadal tu mieszka? – powiedziałem, ja, mistrz składni. Na te słowa sklepowa zaczęła się dusić płaczem. Rozszłochała się na dobre. Z zaplecza wyłonił się jej małżonek. Objął żonę i skierował w stronę, z której sam przyszedł.

– Stara zmarła – powiedział krótko. – Coś jeszcze?

– Nie, dziękuję. Już wszystko mam.

I wyszedłem. Tym czasem pod sklepem zebrała się grupa pijaczków. Mróz im nie straszny. Zawzięcie konwersowali o ostatnich nowinach. O śmierci Starej Wariatki. Ją też zabrał dziwny śnieg. Zmarła w swoim łóżku na zawał, alb, o jak woleli podsłuchani przeze mnie pijaczkowie, ze strachu. Sklepowa zastukała do niej, gdy nie dostrzegła wieczorem gromnicznego światła w oknie. Okazało się, że Stara nie musiała już zapalać światła. Syn przyszedł i ją zabrał. Wysłuchałem opowieści pijaczków, nabijając fajkę. Jakbym się tak zastanowił, to nie paliłem już od miesiąca. Nie paliłem dużo, bo nie lubiłem nałogów.

Wracając, zorientowałem się, że pogoda zaczyna się zmieniać. Ciążył mi plecak i wieści o śmierci Starej Wariatki. Normalnie nie przejąłbym się tym zgonem, ale w mojej głowie to wydarzenie dołączyło do szeregu nieprzyjemnych zdarzeń ostatnich dni. Coś kazało mi połączyć te kropki.

Do domu miałem jeszcze z osiem kilometrów, do zachodu słońca przynajmniej dwie godziny. Nie

powinno być źle. Szarość zasnęła niebo. Góry, wcześniej tak przyjemne dla oka, teraz zaczęły wydawać się posępne i groźne. Ich szczyty niknęły w kłębowisku wciąż obniżających się chmur. Szedłem drogą, myśląc o tym, że muszę zdążyć przed zamiecią, gdy zerwał się porywisty wiatr, a z nieba runął gęsty śnieg. Nie padał normalnie, tylko jakby osuwał się na świat gęsta białą zasłoną. To był śnieg, którego należało się bać. Chcąc iść coraz szybciej, w rzeczywistości szedłem coraz wolniej. Myślałem o byciu zasypanym i o tym, że jak zasypie mnie na drodze, to przynajmniej ktoś znajdzie moje zwłoki. Jeśli z niej zejść, wchodząc na ostatnią prostą do domu i wtedy mnie przysypie, nie znajdą mnie do wiosny. Z desperacją myślałem o robakach i o dzikich zwierzętach pożywiających się moim truchłem. Cały misterny plan pochówku w garniturze pójdzie w pizdu.

Zatrzymałem się na chwilę, by poprawić palto. Po mojej lewej stał przedostatni dom na trasie. Następny to dom Starej, która, jak twierdzili pijaczkowie i sklepowa, zdążyła się wymeldować. Nie pamiętam, kto tu mieszka. Wiatr utrudniał nie tylko stawianie kolejnych kroków, ale teraz nawet i oddychanie. Normalnie pewnie nie zrobiłoby to na mnie wrażenia, ale ostatecznie wydarzenia sprawiły, że zrobiłem się wrażliwszy.

Wiatr wzrzągał się, a ja zdecydowałem, że rezygnuję z dalszej podróży. Zboczyłem z drogi i udałem się w kierunku domu po lewej. W oknie paliło się światło. *Jest nadzieja* – pomyślałem. Gdy wszedłem na schody i zapukałem, światło w oknie zgasło. *Kurwa, jacy sympatyczni ludzie* – przebiegło mi po głowie. Nie dam się tak łatwo zbyć, postanowiłem i dalej waliłem do drzwi. Nic? Nic. No to spróbujemy w okno. Walnąłem pięścią w szybę, aż ta się za trzęsła. Dudnienie miało całkiem zadowalającą intensywność. Teraz szczur będzie musiał zareagować.

Ktoś podszedł do okna. Starszy, siwy mężczyzna. W rękę dzierżył świecę i patrzył na mnie, jakby za chwilę miał wydać ostatnie tchnienie.

– Halo, dzień dobry – powiedziałem. Stary zamrugał, odsunął firankę i uchylił okno.

– Czego? – zapytał z niekłamaną uprzejmością

– Czy mogę schronić się przed śniegiem? – powiedziałem donośnym głosem, a mój oddech prawie zgasił płomień świecy. Stary jeszcze bardziej wybałuszył oczy. Miały smutny wyraz i wodnisto-niebieski kolor. Chyba wszyscy starzy ludzie mają wodnisto-niebieskie oczy. Mój dziadek też takie miał. Starzec wpatrywał się we mnie, osłaniając dłonią drogocenny płomień. Po namyśle powoli przecząco pokręcił głową.

– Mogę? – powtórzyłem, bagatelizują wymowny gest.

– Nie mogę nikogo wpuszczać – powiedział cichutętno stary.

– Panie, bądź pan człowiekiem, do domu mam jeszcze hektar, a w tę zawieję nie dojdę.

Znowu pokręcił głową. Wpatrywał się we mnie. Myślałem, że rozważa, czy mnie jednak nie wpuścić, a on rzecze:

– Czy ktoś u pana był?

– Co? – Szczerze się zdziwiłem.

– Czy przyszły dzieci? – mówił cicho, a i tak słyszałem, że głos mu się łamie.

– No i co? – Moja pięść zacisnęła się sama.

Teraz dla odmiany pokiwał głową.

– Pan też nie powinien nikogo wpuszczać – powiedział z powagą.

– Taaa, już to słyszałem. – Gdy to mówiłem, wkurwiony już do bólu, w moim mózgu nastąpiło spięcie. Jakby coś wskoczyło na swoje miejsce. Stary chyba zobaczył strach w moich oczach.

– Nie mogę ci pomóc, chłopcze. – Po prostu zamknął okno.

Stałem tak, nie wierząc własnym uszom. W mojej głowie rozległ się odgłos stukania do drzwi. Moich drzwi, które otworzyłem ubiegłego wieczoru.

Nie pozostało mi nic innego, jak dalej iść. Ale dokąd? Do mojego domu, w którym teraz grasowało coś, czego wszyscy panicznie się boją?

Myślałem nad zawróceniem w stronę osady, ale to też był głupi pomysł. Nikt i tak by mi nie pomógł, nie udzielił schronienia. Może faktycznie są powody do zmartwień? Wiedziałem tylko, że nie zanosi się na nic dobrego. Ciekawe, co by się stało, gdyby stary jednak mnie wpuścił. Pewnie dzieci przyszły by do niego. Nękałyby go, a on być może zareagowałby na to jeszcze gorzej niż ja. Ja jestem jeszcze młody i silny, jak sędzę. Mogę się wziąć z tym czymś za bary. Nie mam, co prawda, na podorędziu gromnicy, ale mam nóż i strzelbę.

Zdecydowałem. Ruszam do domu. Do mojej ostoji, mojej samotni.

Kupiłem działkę ze spadku po rodzicach, w najbardziej odległym zakątku gór. Turystyka raczej tu nie kwitnie. Jest zbyt niebezpiecznie. Inwestorzy się boją. Żyją tu tylko ci, którzy tu utknęli. I ja, pomyłony typ, który gardzi życiem społecznym, który nie potrafi się odnaleźć nawet w gromadzie odszczepieńców niewiele normalniejszych od niego. Wybrałem sobie takie życie. I nie chodzi o to, że nie próbowałem inaczej. Próbowałem. Gdy w wieku osiemnastu lat poszedłem do wojska, chciałem być żołnierzem. Nie przeszedłem jednak testów potrzebnych, by przejść na zawodowstwo. Odpadłem

razem z takim jednym, któremu powiedziano, że zamiast zabić wroga, on by się godzinę zastanawiał. Mnie nie powiedziano nic. Może dlatego że nie zapytałem. A nie zapytałem, bo dobrze wiedziałem, jaka jest przyczyna. Tam też nie pasowałem. Poszedłem na studia. Na inżynierię. Chciałbym powiedzieć, że skończyłem je z wyróżnieniem, ale nie skończyłem ich wcale. Nie chcę o tym mówić. Nie chcę o tym myśleć.

Miałem wrażenie, że zamieć nieco zelżała, albo po prostu przywykłem do wiatru i śniegu chlastającego mnie po twarzy. To tu. Tu linia wysokiego napięcia rozwidła się i to tu muszę skręcić, by dojść do domu. Zrobiło się już ciemno, gdy wchodziłem między leśną gęstwinę.

Odgłosy lasu nigdy mnie nie przerażały. Były dla mnie czymś całkowicie naturalnym. Jednak zimą nie śpiewają słowiki. Część zwierzyny zapada w sen. Zazdrościłem im. Ja też chciałbym okresowo zapadać w sen. Kiedy warunki nie są sprzyjające do życia, ja układam się w mojej jamie i odpływam w błogi niebyt. Brnąłem przez wciąż rosnące zasy i myślałem o moim życiu, o ludziach, których spotkałem. O rodzinie i o dziadku. O tych, którzy wychodzili z mojego życia jak z kibla, a ja zostawałem po uszy w gównie.

Najwięcej myślałem o dziadku. To zawsze powracało do mnie z intensywną uporczywością w chwilach kryzysu. Jakby moja podświadomość chciała mi jeszcze dołożyć.

Las jeszcze bardziej zgęstniał. Nagie krzewy wychodziły mi na spotkanie, chlostały gałęziami po twarzy. Przedzierałem się dzielnie, mimo iż plecak bardzo mi ciążył. Czułem pot na skórze, szczypała mnie twarz. Muszę, muszę odpocząć. Zatrzymałem się. Spojrzałem w górę. Kurwa. Gdzie są druty? Gdzie są słupy? Szedłem dość długo ze spuszczoną głową, zasłaniając twarz przed gałęziami. Straciłem z oczu moją Nić Ariadny. Rozej-

rzałem się. Zrobiłem dwa kroki w tył, po dwa w każdy bok. Nic. Nie ma. Znikły, wyparowały. Ile lat już chodzę tą samą drogą? Dużo. I nigdy nie zdarzyło mi się pobłądzić. Po prawdzie nie chodziłem po lesie o zmierzchu, ale mimo wszystko mam jakiś instynkt, orientację w terenie, a teraz to wszystko całkowicie zawiodło.

Spojrzałem za siebie. Tak daleko, jak sięgał mój wzrok. Ślady. Gdzie są moje ślady? Zasypane. Nie będę mógł wrócić po nich do drogi. Powinienem powiedzieć, że zachciało mi się płakać, ale to nie było to. To było znowu narastające wkurwienie. W moim systemie uczuć nie było miejsca na smutek. Była tylko przestronna otchłań, w której nie było nic poza regularnie wzbierającym gniewem.

Skoro i tak nie wiem, dokąd iść, udam się w stronę, gdzie drzewa są najrzadsze. Tam sobie przycupnę, odpocznę, pomyślę. Doszedłem do pnia rozłożystego kasztanowca. Z trudem ściągnąłem mój pięćdziesięciolitrowy plecak i siadając, umieściłem go między kolanami. Gdy tylko moja dupa zetknęła się z glebą, wiedziałem że popełniłem błąd. Już nie wstanę. Nie dam rady. Wciąż padający śnieg zaczął tworzyć zasy u moich stóp. Wiatr był silnie zmotywowany, by nawalić na mnie jak najwięcej białego puchu. Im wyżej sięgał śnieg, tym bardziej podobała mi się ta biała kołderka. Śnieg był czysty, bez śladu wilgoci. Całkiem przyjemnie się siedziało. Dupa zesztyniała z zimna i chłód bijący od siedziska przestał mnie obchodzić. Gdy byłem dzieckiem, bardzo lubiłem śnieg. W przemysłowym fabrykanckim mieście nigdy nie leżał zbyt długo, jakimś sposobem zawsze znikał i zostawiał wilgotną okładzinę na wyasfaltowanych ulicach. Lubiłem patrzeć na morką pośniegową ulicę. Kojarzyła mi się z wielkim akwariem, albo lepiej ciemnym dnem oceanu, po którym sunęły snopy światła podwodnych okrętów. Zatapiałem się powoli w padającym śniegu. I myślałem o rudej suce, która zamarzła w budzie.

Dziadek miał takiego psa. Wesolutka była, choć psi los nie dawał jej wiele powodów do radości. W końcu, którejś nocy zamarzła. Nie skomlała, nie wyła, nie szczekała, o ratunek nie prosiła. Dziadek nawet by się nie połapał, że zdechła, bo budę zasypało szczelnie śniegiem i w sumie chyba stary zdążył zapomnieć, że tam jest. Znalazły ją moje siostry. Babcia powiedziała im wtedy, że Ruda nic nie czuła i że gdy się zamarza, tak naprawdę robi się bardzo ciepło i przyjemnie. Wszystko sprowadziła do tego, że suka miała wspaniałą, wręcz wymarzoną śmierć. Taka właśnie była, ta moja babcia, wszystko potrafiła odwrócić. Obsypać dramat cukrem pudrem i podać na deser. Ulubionym deserem babci był słodki dziadzius. Nigdy nie przyznałaby, że jest skurwilem, kurwem ludzkim, sadystą i czubkiem. Dałbym sobie odjąć rękę za to, że o mnie powiedziałyby to samo. Że jestem dobrym chłopcem, bardzo dobrym chłopcem, tylko mi się nie wiedzie. Jeszcze by mnie za to wszystko po głowie pogłaskała, policzki uszczypnęła w pieścizocie. „*Nic to, zdarza się, nie płacz*”.

Czemu o tym myślę, czemu ja o tym myślę. Myślenie to najgorsze, co może się człowiekowi przydarzyć. Pamięć to sprytny demon i potrafi niepostrzeżenie podsuwać nam to, o czym najbardziej nie chcemy pamiętać. Czekałem na tę przyjemną śmierć, ale chyba nie zamierzała przychodzić. Może była zajęta kimś innym. Może siedziała przy budzie jakiegoś kundla i miała mnie w dupie. A propos dupy, to czułem w niej mrowienie. Wiedziałem już, że umieranie tu na tym śnieżnym pustkowiu nie będzie taką łatwą sprawą. Powiedziałem do siebie: wstań. I wstałem. Silna wola to jedyna cecha charakteru z jakiej byłem dumny. Rozejrzałem się dokoła. Nic tylko ciemność. Zamazana, bo oczy łzawiły mi od mrozu i wiatru. Pnie drzew podejrzanie jaśniały na tle mroku. Wiedziałem,

że to osiadający na nich śnieg tworzy takie iluzoryczne wrażenie, ale mimo to czułem, jakbym nie przebywał już na tym świecie. Zacząłem iść aleją jaśniejszych drzew. Biel pulsowała, a osnuta nią ziemia falowała mi pod stopami.

Kiedy szedłem w obranym kierunku, coś mignęło mi przed oczyma. Coś czerwonego. Śmignęło z punktu a do punktu b, na tyle szybko, że nie zdążyłem rozpoznać kształtu. To było coś niedużego. *Dziecko* – pomyślałem. Cholerne dziecko, przekłety bachor. „*Przekłety chłopiec, dobry chłopiec*” – odpowiedział mi wiatr wdzierający się do uszu. Paradoksalnie niesamowicie mnie to ucieszyło. Bo gdzie łążą dzieci? Pod twój dom, stary pierdoło! Ruszyłem szybciej, by nie stracić małego czerwonego punktu z oczu. Czerwony punkt, jak wtedy na poligonie. „*Przymierzam się do strzału*”.

Mój oddech był coraz bardziej świszczący. Dotarłem na niewielką polankę, zaraz za nią znowu zaczynała się gęstwina. Gdzieś przed sobą słyszałem odgłos szurania i skrzypienia. Kiedy stanąłem na środku polany, dostrzegłem dzieciaka już całkiem wyraźnie. Chłopiec w czerwonej kurteczce stał pomiędzy dwiema dorodnymi sosnami, trzymając w ręku sznurek, do którego przywiązane były ciężkie, żeliwne sanki. Gdy zbliżałem się do niego, on oddalał się, ciągnąc je za sobą. Nie widziałem jego twarzy, ale byłem pewien, że się uśmiecha. Przyspieszanie kroku nie miało sensu, jak szybko się zorientowałem, gdyż mały cały czas utrzymywał pomiędzy nam ten sam dystans. „*Przekłety bachor. Dobry chłopiec, który doprowadzi cię do domu*” – szeptał wiatr.

Nie wiem, jak długo za nim podążałem. Miałem wrażenie, że przeszedłem setki kilometrów, a uczucie zmęczenia powoli zmieniało się w poczucie, że maleję i znikam. Wszędzie biel. Czy biel może być mroczna? Ta była, nich mnie szlag, była!

W oddali dostrzegłem światło. Niziutko przy ziemi. Początkowo łudziłem się, że to światła mojego domu, ale niby kto miał je zapalić? Znalazłem się na kolejnej niewielkiej polanie, pośrodku której piętrzył się niewielki pagórek. Nie, to nie był pagórek, to był całkowicie otulony śniegiem stary namiot. Mimo smagającego go wiatru i ciężaru śniegu nie zapadał się, a tuż przy nim żarzyło się niewielkie ognisko. Dzielne, małe płomyki walczyły z wiatrem i śnieżycą jak tylko mogły.

Podszedłem bliżej. Nie zwróciłem szczególnej uwagi na to, że mój przewodnik w kusej kurteczce gdzieś wyparował. Przycupnąłem przy ogniu. Właściwie to zwałem się na kolana, gwoli ścisłości. Wyciągnąłem w stronę ognia zgrabiałe dłonie, a on zgasł. Zgasł! Tak jakby siła, z jaką wyciągnąłem dłonie, przeważyła nad siłą dogorywających płomieni. Ogień walczący z wiatrem poddał się w najmniej odpowiednim momencie. Wyciągnąłem zapalki i próbowałem wskrzesić ognisko, ale na nic były moje starania.

Wtedy po raz pierwszy na serio pomyślałem o tym, że jestem przeklęty. Taka myśl kołatała się w mojej głowie praktycznie przez całe me życie, ale teraz uderzyła mnie z niespotykanym impetem. *Przeklęty bachor! Jesteś przeklętym bachorem* – usłyszałem gdzieś z tyłu głowy. Poza sobą, a może jednak w sobie. Nieufnie spojrzałem w stronę namiotu. Jakoś nie przyszło mi do głowy, że ktoś znajduje się w środku. Nachyliłem się nad miejscem, gdzie znajdował się suwak, i wtedy to usłyszałem. Głosik. Cienki, piskliwy. Mógł należeć zarówno do chłopca, jak i do dziewczynki. Ja jednak wiedziałem, że to chłopczyk. Mały, przerażony chłopczyk, nie żaden przeklęty bachor, *dobry chłopiec*.

– Nie zostawiaj mnie tu, proszę, otwórz, proszę, otwórz, nie zostawiaj mnie tu! – wyrzucił z siebie potok słów i zalał się płaczem. Dźwięki były jednak stłumione. Dzieliła nas niewielka odległość i wcale nie najgrubszy

materiał, z którego zrobiony był namiot, a jednak miałem wrażenie, że głos dochodzi z innej galaktyki. Wrażenie to dość szybko uległo zmianie. Łkanie dziecka przemieściło się do wnętrza mojej głowy. Dźwięk był teraz jak kręgi na wodzie, rozchodził się ze mnie, na przestrzeń mnie otaczającą. Nie chciałem czekać, aż umilknie, chciałem pomóc chłopcu. Oświadczyć mu, że może nasze położenie nie jest zbyt zajebiste, ale teraz mamy siebie i ja zamierzam go stąd zabrać.

Jednym ruchem pociągnąłem za suwak. Wiatr gwałtownie wdarł się do środka, odchylając materiał namiotu. Co żem ujrzał w środku? Początkowo nie byłem pewien. Mały chłopczyk w poszarzałej koszulce i równie szarych majtkach siedział wtulony w ścianę. Twarz miał schowaną w kolanach. Podniósł na mnie wodnisto-niebieskie oczy. Padłem do tyłu jak rażony piorunem. Wierzgnąłem nogami, próbując się cofnąć. Wówczas chłopiec wyciągnął do mnie siną rączkę.

Miał oczy mojego dziadka, miał moje oczy, miał oczy starca ze świecą, miał oczy chłopaka, który przybył do mnie wieczorem. Był mną i nimi jednocześnie. W dłoni trzymał coś, co wzięłem za zwykły kawałek kartonika.

– Przepraszam, że je zabrałem. – Powiedział, a jego mała rączka trzymała zdjęcie. Wyciągał je w moją stronę. Już ja wiem, co tam jest, już ja wiem nie chcę tego oglądać.

Wierzgnąłem nogami jeszcze mocniej. Wzburzona fala śniegu uderzyła do wnętrza namiotu, wprost na chłopaczka. Czołgałem się do tyłu, aż natrafiwszy dłonią na rozżarzone jeszcze palenisko, gwałtownie podniosłem się na równe nogi. Syknąłem z bólu. Chłopiec zaczął sunąć powoli w stronę wyjścia z namiotu, jego ciało drżało. Piąstka zaciskała się na zdjęciu.

– Teraz je spalę. Spalę je, dobrze? – mówił, próbując podnieść na mnie wzrok. Mrużył oczy atakowane przez

wiatr i śnieg. Wyczołgał się na czworakach. Patrzyłem, jak chude kolanka zatapiają się w bieli, a rączka ze zdjęciem sięga ku wygasłemu ognisku. – Jeśli je spalę, to już nie ma powrotu.

Nie mogłem tam zostać. Gdy się odwróciłem, poczułem na karku ogień. Iskry buchnęły mi zza pleców. Nie wiem, skąd miałem siłę, żeby biec. Wyładowany plecak zgubiłem, sam nie wiem kiedy. Pędziłem przez las, to w górę, to w dół, a śnieg i gałęzie drzew znów smagały moją twarz. Gdzieś w tyle pozostawiłem sięgający nieba słup ognia. Widziałem tylko mrok i biel, która była jasnością i mrokiem jednocześnie. Tak rozpędzony dotarłem do celu, o którym już zdołałem zapomnieć.

Mój dom, moje schronienie, moja samotnia, wyłonił się przede mną. W jednym oknie, tym w sieni, paliło się światło. *TO jest w środku* – pomyślałem i pędem rzuciłem się ku schodom.

Tam też zostałem. I zostanę chyba na zawsze. Wpatrzony w swoje małe stópki, odziany w czerwoną kurteczkę, będę wpatrywał się w dom, którego nigdy nie wybudowałem. Natomiast ja, którego nie ma, rosły chmurny dziad, co jakiś czas wyjrzy ze zdziwieniem na ślady u podnóży schodów. Później przyjdzie młodzieniec, który rozbił namiot w górach i poblądził gdzieś, szukając suchego drewna. Ale to wszystko jedno, bo on i tak nie chciał wracać do domu. Ja to wiem, i oni to wiedzą. Wszyscy to wiemy.

ALEKSANDRA WOŹNIAK

TRZECIE PIĘTRO, MIESZKANIE 27

Marcin zeskoczył ze stopnia. Odgłos podeszew uderzających o grunt wygłuszyła warstwa śniegu skrzącego się w świetle latarni. Drzwi autobusu zamknęły się, pojazd ruszył z warkotem silnika. Było już ciemno, jak zwykle po dziewiętnastej o tej porze roku. I pusto, jak o każdej porze roku wieczorem na tym osiedlu. Połyskująca biała warstwa rozlewająca się na chodnikach i ulicach nadała krajobrazowi nierealistyczną, wręcz baśniową aurę. Chociaż pomalowane na pastelowe kolory bloki robiły w tej scenerii niepokojące wrażenie. W ciemności rozpraszanej tylko żółtawym światłem żarówek były tylko jednakowymi, szarymi bryłami. Wznosiły się nad przyprószoną bielą ziemią i patrzyły w mrok rzędami czarnych okien. Marcin zarzucił plecak na ramię i ruszył w dół ulicy.

Pięć minut później stał już przed drzwiami klatki i naciskał zardzewiały klawisz dzwonka. Z domofonu odrywały się płaty łuszczącej się farby, szybki z nazwiskami pożółkły z upływem lat.

A kiedy byłem mały, to był najbardziej nowoczesny blok na osiedlu – przeszło mu przez myśl. W głośniku zazgrzytał głos:

– Halo?

– To ja, mamó.

Brzęknął zamek, Marcin wszedł na ciemną klatkę. Do włącznika światła miał równe pięć kroków. Pamiętał to

z dzieciństwa: nerwowy bieg do przycisku, byle zdążyć, zanim zatrzasną się za nim drzwi i mdła strużka światła ulicznych latarni, sączącego się z zewnątrz, zupełnie rozpuści się w mroku. Dziś był już dorosły, ale wciąż czuł znajomy niepokój na myśl o całkowitej ciemności na klatce schodowej w jego bloku. Wdrapał się na drugie piętro.

Mama przytuliła go na powitanie i jak zwykle poleciła umyc ręce i siadać do stołu. Rzucił plecak w kąt i pognął do łazienki. Zgłodniał przez te kilka godzin podróży. Na niewielkim kuchennym stole stał już talerz parującej pomidorowej. Usiadł i zabrał się do jedzenia.

– A gdzie Ewa? – spytał pomiędzy kolejnymi łykami zupy. Matka na moment zastygła z łyżką w ręku, zawisła nad bulgoczącym na gazie garnkiem.

– Na studiach przecież – odpowiedziała po chwili niepewnie. Marcin rzucił jej zdziwione spojrzenie. Przecież to niemożliwe. To on wracał teraz ze studiów w Krakowie. Ewa jest młodsza o pięć lat. Chodzi do liceum.

– Jakich studiach? – spytał zdezorientowany, nie wiedząc, czy matce coś się pomyliło, czy robi sobie z niego żarty. Zatrzymała się w pół ruchu i zamarła na chwilę, mrugając nerwowo.

– Faktycznie, przecież jak tu mieszkaliśmy to jeszcze nie wyjechała... Dopiero po przeprowadzce do tamtego mieszkania, wróciła wtedy na weekend...

Marcin rzucił jej zdezorientowane spojrzenie. Odwróciła się do niego i uśmiechnęła szeroko.

– Lepiej szybko zjedz i idź spać. Jutro wstajesz do szkoły.

– Do szkoły? – zaśmiał się nerwowo. – Przecież ja jestem na studiach, mam. Na drugim roku już.

Matka rzuciła mu znudzone spojrzenie, jakby znów był niegrzecznym dzieciakiem z podstawówki, który próbuje wyciągnąć od niej zwolnienie z lekcji, podpie-rając się głupią wymówką.

– Nie gadaj bzdur. Jutro masz na ósmą. Idź się położyć.

Zdecydował tym razem już nie dyskutować z matką. Westchnął, szorując łyżką po dnie prawie pustego talerza. Zmarszczył brwi, puścił ją i uniósł dłoń do oczu. Coś dziwnego się działo z jego palcami.

Po prostu jestem zmęczony, jutro wszystko będzie wyglądało inaczej – przeszło mu przez myśl.

Odsunął talerz, wstał i ruszył w kierunku swojego pokoju.

Marcin otworzył oczy, gwałtownie wybudzony. Tym, co wyrwało go ze snu była wesoła, acz przez lata znienawidzona melodyjka budzika. Plastikowy królik ściskający w czułych objęciach marchewkę stał na stoliku nocnym i dalej wygrywał swoją codzienną pieśń.

Zaraz, przecież miałem ze sobą telefon – pomyślał Marcin, ale ciąg jego myśli szybko przerwał głos matki, która z impetem otworzyła drzwi do pokoju.

– No wstawaj, spóźnisz się – rzuciła trochę wesołym, trochę karcącym tonem. – Śniadanie już na stole.

Dźwignął się ciężko z łóżka i na wpół rozespany zaczął grzebać w plecaku. Wyciągnął lekko pognieciony golf i rozejrzał się za wczorajszymi dzinsami. Gdy przeżuwał tosty z serem, matka kręciła się po kuchni, jak gdyby nie zamierzała wychodzić do pracy. A jeśli on musiał iść do szkoły, to przecież musiała się tam wybierać.

– Mamo, jaki dziś dzień? – spytał pomiędzy kęsami.

– Wtorek – odpowiedziała szybko, nie odwracając wzroku od wycieranego właśnie talerza. – Zawsze jest wtorek.

– To nie idziesz do pracy?

Talerz gwałtownie wylądował na blacie, aż zawibrował od uderzenia.

– Nigdzie nie idę. Tutaj zawsze będzie wtorek, rozumiesz? Musimy tu zostać, bo wydarzy się coś strasznego. W tym mieszkaniu. Nie będziesz miał nowego pokoju. Ani Ewa. A ojciec nie może wrócić z delegacji. Nie może dostać awansu. Tu jesteśmy bezpieczni. Nie możemy mieszkać tam. To było moje marzenie, ale nie możemy.

– Mamo, o czym ty mówisz w ogóle?

– Musimy tu zostać – powiedziała z naciskiem i znów wzięła w rękę ścierkę do naczyń. – Idź już.

Pół godziny później stał na skrzyżowaniu ulic, ze szkolnym plecakiem przewieszonym przez ramię. Przed nim wznosiła się szara, toporna bryła tysiącletki. Znał ją. Spędził tu tyle lat. Podstawówka, później przerobiona na gimnazjum, potem liceum w tym samym budynku... Ale teraz? Czy na pewno jest we właściwym miejscu? Chyba ją skończył i wyjechał na studia... A może jednak nie? Może tylko spędził weekend u Michała w Krakowie, w końcu Michał był od niego dwa lata starszy, wcześniej zdał maturę i wyjechał. Poimprezowali, popili, zapalili, później miał jakieś dziwne sny z niedospania i przyjętych używek.

Ruszył w kierunku schodów. Zajrzał przez szklane drzwi, ale w środku nie było zwykłego o tej porze gwaru. Tak jakby lekcje już się zaczęły. Czyżby się spóźnił? Mama była pewna, że ma na ósmą. Chociaż w tym wieku nie powinien już zdawać się na matkę... Ten weekend u Michała chyba naprawdę go zniszczył. Wszedł do środka.

Na ciemnym, wyłożonym linoleum korytarzu unosił się charakterystyczny, znany zapach. Z pomalowanych na paskudny musztardowy kolor ścian odchodził tynk. Mimo to Marcin poczuł się pewniej. Oto zapach nostalgii.

Ten, który witał go codziennie rano i po południu odprowadzał do domu. Wzerający się w ubrania, książki, włosy. Zapach dzieciństwa.

Na ścianie naprzeciw okna zobaczył oprawiony w drewnianą ramę i umieszczony za szkłem plan lekcji. Podszedł do niego powoli. Gdzie ma zajęcia? Do jakiej klasy w ogóle chodził? To była chyba D, 2D. Czyli geografia, sala numer 5. W piwnicy, koło szatni. Zawrócił, by odnaleźć schody. Prawie wzdrygał się na dźwięk swoich własnych kroków na pustym korytarzu. Szkoła wyglądała na opuszczoną. A przecież za drzwiami klas musiały odbywać się lekcje, dziesiątki lekcji, w końcu było tu i gimnazjum, i liceum.

Zbiegł po schodach na niższy poziom. Gdy był w podstawówce, szatnie między lekcjami trochę go przerażały. Druciane boksy jak w więzieniu ustawione po obu stronach korytarza wypełnionego ciemnością, rozpraszaną jedynie przez wątlą smugę słonecznego światła. Szedł, zerkając niepewnie na boki. To miejsce, gdy było puste, zawsze kojarzyło mu się z opuszczonym więzieniem. W gimnazjum często żartowali z kolegami, że w sumie wszystko się zgadza, bo szkoła to więzienie nawiedzane przez duchy upierdliwych nauczycielek, gderających sprzątaczek i woźnego, który snuł się po nim jak potępiony. Marcin dotarł na koniec korytarza, zapukał w białe drzwi z czarną piątką i wszedł, nie czekając na odpowiedź.

W rzędach ławek siedzieli znużeni uczniowie i uczennice o mętym, nieprzytomnym wzroku. Nie rozpoznawał żadnego z nich, chociaż w twarzach było coś znajomego. Może to nie jego klasa? Może znowu coś pomylił?

– O proszę, Marcin zaszczycił nas swoją obecnością. – Spojrzył w kierunku, z którego dochodził głos. Kobieta w czarnej garsonce i butach na niskim obcasie wpatrywała się z niego

zza rogowych oprawek wzrokiem pełnym dezaprobaty. W prawej dłoni obracała kredę, którą musiała przed chwilą szkicować schematy powstawania pasatów. Ją poznawał. Elżbieta Banaszyk, jego wychowawczyni. Konkretna, ambitna, ale też surowa i nieszczędząca złości.

– Przepraszam za spóźnienie – wyrecytował pokornie.

Wychowawczyni rzuciła mu jedno więcej spojrzenie pełne potępienia i machnęła ręką w stronę ławek. Z kim siedział na tej lekcji? Chyba nie ma sensu się zastanawiać. Opadł na krzesło obok przyszczonego, ciemnowłosego nastolatka w czarnym, wyciągniętym swetrze. Kolejne minuty dłużyły mu się niemiłosiernie. Nagle poczuł wibracje na udzie. Wyjął telefon. Na wyświetlaczu widniało imię „Ewa”. Zanim nacisnął jakikolwiek przycisk, wyrosła nad nim nauczycielka.

– Oddaj telefon, Marcin. – Pani Banaszyk wyciągnęła dłoń i spojrzała na niego wyczekująco.

Nie widział sensu w stawianiu oporu. Oddał urządzenie, a resztę lekcji spędził, błędząc nieobecny wzrokiem po rozrysowanych na tablicy pasatach. W pewnym momencie zatrzymał wzrok na dłoniach, bezgłośnie wygrywających na pomazanym długopisem blacie ławki takt, zapewne piosenki, jaką usłyszał rano w radio. Coś było z nimi nie tak. Tylko co? Wymamrotał pod nosem przekleństwo. Siedzący obok niego chłopak zawzięcie rysował coś w zeszycie, ale nie odezwał się ani słowem.

– Odda mi pani telefon? – spytał.

Banaszyk odchyliła się na oparciu krzesła i utkwiała w nim spojrzenie pełne surowej nagany.

– Na pewno nie teraz.

– Dlaczego?

Uniosła brwi w najbardziej nauczycielskim z gestów. Wyciągnęła przed siebie dłoń i wyprostowała kciuk.

– Spóźniasz się, i to po raz kolejny. – Teraz wyprostował się wskazujący. – Przychodzisz na lekcję nieprzygotowany, nie masz podręcznika ani zeszytu. – Dołączyła środkowy. – Bawisz się telefonem na lekcji. Muszę porozmawiać z twoimi rodzicami. Najlepiej już, zaraz. Idź do domu i powiedz mamie, żeby do mnie zadzwoniła.

– Ale teraz? – Tym razem to brwi Marcina powędrowały w górę. – Przecież jest w pracy.

Banaszyk westchnęła.

– Przecież to ostatnia lekcja. Jest już po szesnastej, zaraz skończy i będzie w domu. Co się w ogóle z tobą dzieje? Wyglądasz też jakoś tak... Sypiasz w ogóle? No, idź już. Bo obawiam się, że twoja postawa z ostatnich tygodni może poważnie wpłynąć na ocenę z zachowania.

Marcin zamrugał kilka razy, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Pierwsze piętro pokonał, przeskakując po dwa schodki naraz. Na półpiętrze złapała go zadyszka. Oparł dłonie na udach i oddychał ciężko. Chyba kiedyś wbiegał na samą górę bez żadnych przystanków. Kiedyś, czyli jak był nastolatkiem. Ale skoro chodzi do szkoły, to chyba nadal jest... Może po prostu był już zmęczony. Dzisiaj chyba piątek, więc jutro przynajmniej się wyśpi. Nie, niemożliwe. W piątek przyjechał, przecież zaraz po zajęciach wsiadł w autobus. *Nieważne* – pomyślał – *zastanowię się nad tym później*. W tej chwili marzył już tylko o pójściu spać. Nacisnął dzwonek. Po chwili po drugiej stronie drzwi rozległy się głosy, damski i męski, a potem szuranie kapci. Zgrzytnął zamek, drzwi uchyliły się. Ze szpary wychynęła głowa na oko trzydziestopięcioletniego mężczyzny w okularach i z kilkudniowym zarostem.

– Słucham? – rzucił, podnosząc brwi.

– Ja... przepraszam, chyba się pomyliłem – bąknął Marcin, robiąc krok do tyłu. Mężczyzna już brał wdych, żeby powiedzieć, że nie szkodzi i zatrzasnął drzwi, gdy Marcin odwrócił się gwałtownie, by spojrzeć na numer mieszkania naprzeciwko. – Zaraz, zgadza się! To numer 27, prawda?

Mężczyzna kiwnął głową.

– Czyli to jednak moje mieszkanie – zakończył Marcin triumfująco. – Pan jest znajomym mojej mamy?

Facet popatrzył na niego z mieszaniną podejrzliwości i zniecierpliwienia.

– Słuchaj pan, ja tu mieszkam od kilkunastu lat. Na czwartym mieszka jakaś staruszka, może to tam się pan wybierałeś. Nie wiem, o co chodzi, ale jest środek nocy, więc może wrócimy do tematu rano, jak pan wytrzeźwiesz czy coś. – Zamknął drzwi z głośnym trzaśnięciem, po którym rozległ się zgrzyt zamykanego zamka. Marcin stał przed drzwiami i wpatrywał się w wypisaną złotymi cyframi liczbę 27.

Było już po zmierzchu, gdy przedzierał się przez dawny plac 3 maja. Nie pamiętał tego miejsca. Nie w tej formie. Czy pod jego nieobecność wszystko się zmieniło? Musiało go długo nie być w domu. Kiedyś przesiadywał tu z kolegami z podstawówki. A potem z gimnazjum. Siadywali na ławkach i gadali, jeździli na desce, albo po prostu włóczyli się po okolicy. Chyba, że jednak coś mu się pomyliło i znowu był w Krakowie? Gwar głosów unosił się niczym bzyczenie stada pszczoł. Drewniane, ale stylowe budki plenerowych knajpek kusiły promocjami niczym z modnych wielkomiejskich hipsterni. Aperol 23 złote. Piwo kraftowe 12 złotych. Szybko

się ściemniło, może jednak było już po dwudziestej? Na to by wyglądało. W końcu tłum klientów złożony z dziewczyn w letnich sukienkach i facetów w koszulkach z krótkim rękawem jednoznacznie wskazywał, że nadeszło już lato. Ani śladu po wczorajszym śniegu. Ani pokrytym sfatygowanym asfaltem boisku, na którym tak lubił przesiadywać. Po takim ciężkim dniu należy mu się piwo, stwierdził. Wybrał najtańszą knajpę i, przekrzykując rozweselone już alkoholem głosy wesolej klienteli, poprosił o duże jasne.

– Ogromny ruch jak na to miasto – rzucił niezobowiązująco do kelnera, przykładając kartę do terminala. Zmrużył oczy. Przemknęło mu przez myśl, że coś jest nie tak z jego dłonią. Tylko co?

– Oj tak, tak będzie dopiero za jakieś piętnaście lat – odpowiedział barman, odrywając zgrabnym ruchem paragon. – Na razie to tylko trzy knajpy w rynku, żadnych turystów, a miejscowi siedzą w domu. Póki co to ludziom się źle kojarzy to miejsce, no wie pan pewnie, po tym pożarze sześć lat temu. Potwierdzenie drukować?

– Nie ma opcji. Wszystko zajęte. – Wąsaty kierowca busa wzruszył ramionami. – Na dworcu pan kupi albo przez internet.

Marcin westchnął. Już którąś godzinę, a może i dzień z kolei krążył w okolicach dworca autobusowego. Każdy autobus i bus, który przyjeżdżał, był wypchany po brzegi. Owszem, to się zdarzało, ale żeby za każdym razem? Drzwi dworca były zamknięte na głucho, niezależnie od tego, czy był dzień czy noc. Całkowicie stracił zresztą poczucie czasu. Słońce wisiało nisko nad horyzontem, ale czy to było przedpołudnie, czy może już

pod wieczór? Wczoraj chyba padał śnieg. Przysnął na ławce i obudził się zziębnięty. Nie mógł nawet ogrzać się w budynku. Teraz było całkiem ciepło, ale kto wie, co będzie za godzinę? A jak bez telefonu kupić bilet? Dokądkolwiek. Może wróci do Krakowa, chyba wynajmował tam mieszkanie na studiach. Albo do Michała. Michał na pewno tam mieszkał. A może do Ewy? Matka mówiła, że studiuje. Tylko gdzie?

– Może chociaż na najbliższy przystanek? – spytał Marcin z nadzieją. Gdziekolwiek. Wyjedzie stąd i wszystko wróci do normy. Wszystko sobie przypomni i poukłada. Zadzzwoni do kogoś z rodziny, spyta, co tu się w ogóle dzieje.

Facet pokręcił głową.

– Przecież mówię, że wszystko pozajmowane. Pan poczeka, kasę na pewno otworzą.

– Kiedy? – spytał Marcin bez cienia nadziei w głosie.

Kierowca wzruszył ramionami.

– No ja nie stąd, ale jak jest dworzec, to musi być i kasa, nie? Dobra, jechać muszę. Powodzenia życzę.

Zamknął masywne drzwi i uruchomił silnik. Srebrny bus z tajemniczo zaciemnianymi szybami powoli ruszył. Marcin obserwował, jak znika za rogami. Odwrócił się, by rzucić kolejne spojrzenie w kierunku dworca. Nawet nie zdziwiło go zbytnio, że budynku już tam nie było.

To chyba była niedziela. Albo sobota, bo przez park prze-wijało się sporo ludzi.

Ale mama powiedziała, że zawsze jest wtorek – przeszło Marcinowi przez myśl. Może po prostu wszyscy wylegli rozkoszować się pogodą, mimo że jest dzień roboczy?

A więc wiosenne popołudnie. A może jednak jesienne? Przynajmniej tyle, że słońce grzało. Marcin rozłożył się na ławce i wystawił twarz do ciepłych promieni.

– Marcin? – usłyszał nagle. Podniósł wzrok. Przed nim stał mężczyzna pod pięćdziesiątkę, z czupryną szpakowatych włosów i siwiejącym zarostem. Uniósł brwi w niemym pytaniu.

– No kopę lat, chłopie. Wieki cię tu nie widziałem. Co u ciebie? – kontynuował tamten. Wydawało się, że go zna.

– A przyjechałem na weekend – zaczął ostrożnie.

Przez twarz faceta przebiegł cień.

– Powiem ci, że nie spodziewałem się – powiedział poważnym tonem. – Chyba od liceum cię tu nie widziałem. Zresztą nie dziwię się, po tym, no wiesz, co się stało z twoją rodziną i w ogóle... Przepraszam, że poruszyłem ten temat, idiota ze mnie. – Spuścił wzrok. – Słuchaj, ja się spieszę teraz, ale jakbyś miał ochotę pogadać czy coś, to zadzwoń. Skoro już wróciłeś... No wiesz, zawsze byłeś dla mnie dobrym kumplem, chociaż wiem, że wtedy nie stanąłem na wysokości zadania...

Marcin patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

– Co takiego?! O czym ty mówisz? Jak to do liceum? Przecież ja chodzę do liceum! – wyrzucił z siebie pytanie za pytaniem. Facet już miał odchodzić, ale zamarł w pół kroku. W jego spojrzeniu coś zaczęło się zmieniać. Patrzył teraz z mieszaniną smutku, współczucia i niepokoju.

– Do liceum chodziliśmy razem, ponad dwadzieścia lat temu – zaczął wolno, wypowiadając wyraźnie każdą głoskę, jakby tłumaczył dziecku. – Ja jestem Adam, Adam Kopański. Byliśmy w jednej klasie.

Marcin spojrział na niego niewidzącym wzrokiem. On, licealista, rówieśnikiem tego dorosłego, siwiejącego faceta?

– Dobrze się czujesz? – spytał Adam łagodnym głosem. – Pamiętasz, jaki dziś jest dzień?

Oczywiście, że wiedział. W końcu ta jedna rzecz się nie zmieniała. Lata mijały, a potem znowu wracały, pory roku następowały jedna po drugiej, chociaż niekoniecznie w tej samej kolejności, miasto się zmieniało. Raz błyskało witrynami sklepów w galeriach handlowych, innym razem znów witało betonową szarością lat 90. Ale to jedno się nie zmieniało, dzień tygodnia.

Adam zrobił krok w jego stronę i wyciągnął rękę. Marcin spojrzał na jego dłoń i znów przypomniał sobie o tym dziwnym uczuciu, które nawiedzało go za każdym razem, gdy patrzył na własną. Jakby coś mu umykało. Uniósł dłonie do oczu. To nie były ręce nastolatka. Zniszczone, suche, pomarszczone, z połamanymi paznokciami. Już wiedział, czemu nie mógł opuścić miasta. Był na zawsze uwięziony we wtorku.

KLAUDIA ZACHARSKA

OBIECAŁEŚ

1

– Przestańcie! – wrzasnął, rozglądając się z przerażeniem. – Opamiętajcie się, to szaleństwo! Przecież nie możecie...

Urwał, a jego oczy rozszerzyły się, gdy zza domu wyszedł Robert. W dłoni trzymał płonąca pochodnię. Na jej widok Marek potrząsnął głową.

– To szaleństwo – powtórzył ochryple, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. W ten wyraz nienawiści, obrzydzenia i fanatycznej determinacji, które dostrzegał na otaczających go twarzach. Na obliczach tych, których znał, wśród których dorastał.

Przecież byli rodziną! Robert był starszym bratem ich matki, ich wujem, ich...

– Marek – usłyszał szept tuż obok siebie i zerknął na siostrę. Po jej policzkach płynęły łzy wielkości grochu, ale spojrzenie miała spokojne. Jakby akceptowała, gorzej, jakby rozumiała to, co zamierzali jej zrobić. – Idź. Zostaw mnie.

– Nigdy – wycedził z wściekłością wycelowaną nie w nią, ale w tych, których kiedyś uważał za swoich bliskich. Przez kilka długich chwil patrzył w jej lśniące oczy, w których odbijał się blask pochodni. Potem rozejrzał się dokoła. – Jesteśmy waszą rodziną! Błagam, opamiętajcie się! Nie możecie...

– Możemy – przerwała mu lodowatym tonem Ola, jedna z jego dalszych kuzynek. Stała najbliżej, w otoczeniu męża i synów. Wszyscy byli wyżsi i potężniejsi od niej, ale to jej osoba emanowała najmocniej gniewem i żądzą krwi. – Ona zabiła moją córkę.

– To był wypadek! Bawiły się, Milena nie chciała... Na Boga, to było piętnaście lat temu!

– To nie był wypadek. To była twoja przeklęta siostra, od zawsze równie zła, od dziecka.

– Zwariowałaś! One miały wtedy...

– Zuzia nie była jedyna – przerwał mu Robert, który zbliżył się do Oli i odsłonił zęby w grymasie nienawiści. – Ona zawsze sprowadzała nieszczęścia na członków rodziny. Ty jeden byłeś wyjątkiem, ale my... każdy z nas odczuł na własnej skórze, czym ona jest.

Powiódł wzrokiem po otaczającej go gromadce, a wszystkie głowy kiwały twierdząco. Każdy z nich, wszystkie kobiety i mężczyźni, wszyscy krewni, z których najmłodszy był siedemnastoletni Adam, a najstarsza osiemdziesięciosześcioletnia Luiza, mieli na twarzy dokładnie ten sam wyraz.

– To chore. – Marek znowu potrząsnął głową. – Nie mogę w to uwierzyć, przecież to nie średniowiecze! Jak możecie?

– Twoja siostra jest wcieleniem zła. Zawsze była, każdy z nas wiedział to od dnia, gdy zrzuciła psa z mostu.

– Miała cztery lata, nie wiedziała, co robi!

– Wiedziała. Tak samo później. Za każdym razem wiedziała. Ty jeden niczego nie zauważałeś, ale ona... – Urwał i spojrzał z obrzydzeniem na Milenę. Obejmujący ją brat poczuł, jak zadrżała. – Wiedziałaś.

Marek spojrzał na nią. Widział blade oblicze poznacone smugami łez, które w świetle pochodni zdawały się strumykami płynnego ognia. Widział drżenie warg. Jej strach.

A jednak milczała, zbyt przerażona, by się bronić, by odeprzeć oskarżenia. Nie zarzekała się, że wypominane jej czyny były wypadkami, chociaż nie mogły być niczym innym. Każdy z nich. Owszem, zepchnęła tego nieszczęsnego szczeniaka z mostu, ale była tylko małym dzieckiem, nie mogła wiedzieć, że robi coś tak bardzo złego.

A Zuzia? Zuzia spadła z drzewa, kiedy sześciolatka Milena chwyciła ją za kostkę, ale nie zrobiła tego, żeby ją skrzywdzić, po prostu usiłowała wspiąć się wyżej, tam gdzie kuzynka.

– Idź, Marek – powtórzyła dygocząca w jego ramionach siostra. – Nie chcę, żeby stała ci się krzywda.

– Nie zostawię cię – warknął, a potem krzyknął: – Słyszycie?! Nie zostawię jej! Nie zabijecie nas obojga!

– Każdy podejmuje własne decyzje – odpowiedziała mu Luiza, jej zgrzytliwy głos uniósł się ponad gniewne pomruki. – Jesteś wolny i niewinny. Możesz odejść i nikt cię nie zatrzyma, ale ona tu zostanie.

– Powariowaliście! Nie! – wrzasnął, widząc, jak Robert postępuje krok naprzód, otoczył ściślej ramionami Milenę i słup, do którego ją przywiązano; suche drewno zatrzęszczało pod jego stopami. – Nie zbliżaj się!

– Marek – odezwała się nagle Paulina, a jej głos zdradzał największe zdenerwowanie. Wiedział dlaczego. Nie chciała, by stała mu się krzywda, z całej rodziny ich dwoje zawsze łączyła najbliższa przyjaźń. – Zejdz stamtąd. Wcale nie musisz...

– Zamknij się! Zamierzacie zamordować moją siostrę! Paulina, jesteś lekarką! Przysięgałaś leczyć ludzi, nigdy ich nie krzywdzić, jak możesz na to pozwolić?!

– Nie mam wyjścia. Twoja siostra jest zła.

– To wy jesteście źli!

– Nie, Marek. To ona. Myślisz, że dlaczego poroniłam w ubiegłym roku?

– Chyba sobie żartujesz.

– Była zazdrosna. Milena była zazdrosna, że mi pomagasz, że poświęcasz mi tak wiele czasu. Nie chciała, żebyś...

– Nie mogę w to uwierzyć – sapnął. Spojrzał na siostrę. – Powiedz coś! Powiedz im, że to nie tak! Że nigdy nic nie zrobiłaś!

– To nic nie da – odpowiedziała z ponurą akceptacją, która sprawiła, że żyły Marka wypełnił ogień. To oni jej to robili, oni ją krzywdzili! Zrzucali na nią winy za tragedie, na które nie miała wpływu, składali ją w ofierze parszywemu losowi w bzdurnej, nieracjonalnej nadziei, że go odmienia.

– Będziecie musieli zabić nas oboje!

– Marek, nie musisz tego robić.

– Nie! Nie pozwolę, żebyś... Nie będziesz sama!

Spojrzał wyzywająco na Roberta, potem na Olę.

– Obyście smażyli się w piekle!

Grupa czternastu osób wymieniła spojrzenia, pokiwali głowami z fanatyczną zgodnością. Oddech Marka przyspieszył, z jego gardła wydobył się świst. Oni nie żartowali! Rzeczywiście zamierzali spalić ją na stosie, jak w jakimś chorym filmie! Obwiniali ją o serię nieszczęść, które dotknęły ich rodzinę, o każdą śmierć, każdy wypadek, bo dziwnym trafem Milena rzeczywiście uczestniczyła w wielu z nich. Miała potwornego pecha, ale przecież to nie była jej wina! Nic z tego nie było jej winą!

Szczeniak zepchnięty z mostu. Zuzia. Nieuleczalny rak ciotki Laury, opiekującej się nimi po śmierci ojca. Złamane zebro wuja Artura, który uczył Milenę jeździć samochodem, ale który nigdy nie panował nad temperamentem i nawrzeszczał na nią, gdy zarysowała jego starego forda. Dziwna wysypka, jakiej dostawał ich najmłodszy kuzyn, Maciek, ilekroć spotykał się z Mileną. Tylko wtedy, a przecież dzieciak był zawsze okazem zdrowia. Konie, które płoszyły się i szczyrzyły zęby, kiedy tylko się do nich zbliżyła.

Ale to były bzdury, to było niemożliwe! Milena była zwykłą dziewczyną, była jedynie...

– Liczyliśmy, że do tego nie dojdzie – przyznał Robert, przekładając pochodnię z jednej ręki do drugiej; płomień zabarwił jego oczy na żółto. – Gdy wyjechała, mieliśmy nadzieję...

– Dlaczego ją tu przywiozłeś? – zapytała łamiącym się głosem Paulina. – Nie doszłoby do tego, gdybyś jej tu nie przywiózł.

– Jak możesz tak mówić? Tu był nasz dom! Zresztą sama mnie tu zapraszałaś, chciałaś, żebym był na twojej rocznicy!

– Ty. Nie ona.

Pokręcił głową, wpatrując się w jej twarz. Wciąż nie mógł w to uwierzyć. Wiedział, że oni wszyscy żywią głęboką niechęć do Mileny, przecież właśnie dlatego tak długo tu nie wracała, ale on liczył... liczył, że uda im się to przepracować. Że jeśli przywiezie ją ze sobą na to święto, w którym uczestniczyła cała rodzina, zdołają odbudować most między Mileną i nimi wszystkimi.

– Wiesz, że Maciek jest chory? Odkąd przyjechała tu rano, on leży w łóżku obsypany tymi krostami, obolały, nie może wstać, nie ma siły.

– I to jej wina?!

– Gdzie są ptaki? Przez cały dzień w ogrodzie nie pojawił się nawet jeden ptak!

– Więc to też jej wina? Że w ogrodzie nie ma ptaków? Czy ty siebie słyszysz?

– Posłuchaj tego! – krzyknął nagle ojciec Pauliny, Rafał. Wskazał palcem stajnię znajdującą się po prawej stronie, skąd od rana dobiegał łoskot i głośne rzenie. – Dwa z nich mają złamane nogi, tak rozpaczliwie próbowały uciec z boksów! Wpadły w panikę, kiedy tylko pojawiliście się w pobliżu, kiedy ona się tu pojawiła! Milena jest złem, Marek, przecież musisz to widzieć!

Kilka osób poparło go pomrukami, wszyscy kiwali głowami.

– To wy jesteście źli!

– Jesteś głupcem! – zawołał jeden z jego kuzynów, stojący w cieniu rozłożystej jabłoni, najdalej od reszty. – Jesteś naiwnym głupcem, skoro nie widzisz...

W tej chwili powiał gwałtowny wiatr, który zatrzęsł gałęziami drzewa. Najniższy z konarów odłamał się z przenikliwym trzaskiem i upadł prosto na głowę mówiącego. Tłum zafalował, zakrzyczał gniewnie.

– To ona! Pozabija nas, jeśli czegoś nie zrobimy!

– Ostatnia szansa, Marek – warknął Robert. – Zejdź nam z drogi.

– Nigdy! Nie odważycie się zabić nas obojga!

Robert spojrział na Luizę. Jego barki unosił gwałtowny oddech, twarz wykrzywił ból, ale mina była nieprzejednana.

– Marek, zejdź stamtąd! – krzyknęła Paulina przez łązy. – Opamiętaj się!

– Ja?! Spójrzcie na siebie!

– Przykro mi, chłopcze – mruknął wuj. A potem pochodnia, którą trzymał, upadła na stertę słomy otaczającą pał, przy którym stało rodzeństwo. W powietrze uniósł się słup ognia, a wraz z nim gęsta chmura dymu. Marek zakaszłał, jego oczy wypełniły się łzami.

Płomienie otoczyły ich w ułamku sekundy, trawiąc błyskawicznie suche siano, a potem zaczęły pożerać stertę drewna, na której stali brat i siostra. Mężczyzna poczuł rosnącą temperaturę, na jego skórze zaperliły się krople potu.

– Marek... – usłyszał ochrypły głos i spojrział na Milenę. Zobaczył jej łązy i dygoczące usta. – Przepraszam.

– Nie. Ja przepraszam, bo powinienem był cię ochronić – powiedział, a z każdym słowem mówił

głośniej, bo zbliżające się płomienie parzyły coraz bardziej. – Zostanę z tobą, obiecuję. Będziemy razem do końca. Nie chcę, żebyś była sama!

Ostatnie zdanie wykrzyczał, bo w ten sposób mógł ulżyć sobie w bólu. A potem wrzasnął nieartykułowanie, gdy jęzor ognia przeskoczył na jego spodnie. Poczul pieczenie i machnął rozpaczliwie nogą.

Po drugiej stronie ściany dymu niewyraźne sylwetki dorzuciły drewno do płomieni.

Marek spojrzął w dół. Odślonięte nogi Mileny pokryły się bąblami, skóra pękała i topiła się. I wiedział, że to samo dzieje się z nim, żar pełził w górę, atakował ich coraz gwałtowniej, a on miał coraz większe trudności z zachowaniem kontroli. Nie mógł oddychać, jego płuca zdawały się wypełnione kwasem, każdy oddech palił, gardło piekło, gdy kaszłał coraz przeraźliwiej. Ale to było nic w porównaniu ze straszliwym bólem stóp i łydek, dokoła których płomienie igrały coraz gwałtowniej.

Nie wytrzymał. Wrzasnął z bólu, zawył jak potępieniec. Nie potrafił się powstrzymać, spodziewał się, że udusi się dymem, ale to... ten ból, ten ogień...

Spojrzał na Milenę. Nie krzyczała. Po jej policzkach wciąż staczały się krople wilgoci, usta miała spierzchnięte i popękane i wciąż spoglądała na niego. Szukała w nim siły, szukała w nim oparcia, ale on...

Z jego gardła znowu wydobył się ryk przypominający – nawet jemu – skowyt rannego zwierzęcia.

Czuł, że jeszcze chwila i ugną się pod nim nogi. Że nie wytrzyma, że spadnie twarzą, ciałem w te płomienie, a wtedy będzie jeszcze gorzej. Jego siostra stała przytrzymywana sznurami, ale on...

Potrząsnął głową. Widział ogień pełzający po jego spodniach, czuł, jak topi jego skórę, jak wgryza się w ciało, jak...

Już wiedział. Wiedział, że nie da rady, że nie wytrzyma...

Posłał Milenie kolejne spojrzenie. Zdało mu się, że wyraz jej twarzy się zmienił, że widzi w nim teraz gniew, ale nie był pewny, bo ból odbierał mu zmysły.

A potem oderwał się od niej i skoczył. Przez płomienie, w czerń po ich drugiej stronie.

W chłód nocy.

Upadł na ziemię i natychmiast otoczyli go ludzie. Owinięto go kocem, ugaszono ogień. Twarz polano chłodną wodą, a gdy wilgoć wlała się w wysuszone na wiór gardło, stracił przytomność.

2

Pierwszym, co do niego dotarło po przebudzeniu, był ogłupiający, oszałamiający ból. Nie stóp czy piszczeli, bo tych zdawał się już wcale nie mieć, ale przede wszystkim kolan i ud. Czuł, jakby polewano mu nogi wrzątkiem i z jego gardła wydobył się krzyk.

W tej chwili coś chłodnego dotknęło jego czoła, po skroni ściekł strumyk wilgoci.

– Przepraszam, przepraszam – usłyszał. – Zaraz zacznie działać, wytrzymaj.

Rozpoznał ten głos. Chciał coś odpowiedzieć, zapytać o siostrę, upewnić się, że koszmar, który śnił, już odszedł, ale...

Ale ból w dole jego ciała był zbyt paraliżujący. Marek z trudnością łapał oddech, a jego gardło paliło niemiłosiernie. Gdy tylko o tym pomyślał, poczuł na ustach wąski przedmiot. Rozpoznał go, chwycił suchymi wargami i pociągnął kilka łyków wody. Po jego policzkach pociekły łzy ulgi, bo w tej chwili ból nóg też zaczął słabnąć. Jednocześnie zmysły mężczyzny stały się jakby

otępieła, ale to nie miało znaczenia; najważniejsze, że ugaszono ten pożar, który płonął pod jego skórą.

Zamrugął i potoczył wzrokiem po suficie. Zobaczył żyrandol z dmuchanego szkła, a zaraz potem twarz pochylającej się nad nim Pauliny.

– Marek – wyszeptała; jej twarz była mokra od łez. – Chryste, jak dobrze, że się obudziłeś.

– Gdzie... Milena?

Jej oczy rozszerzyły się, uciekła spojrzeniem. Marek zamrugął szybko i powtórzył:

– Gdzie... gdzie jest Milena?

– Nie pamiętasz? – zapytała w odpowiedzi. – Musieliśmy...

– Co?!

– Marek, ona nas krzywdziła. Każdy z nas czuł jej wpływ na swoje życie, tyle istnień odebrała, tyle nieszczęść...

– Nie! To bzdury, ona nie była niczemu winna!

– Tylko ciebie oszczędziła. – Głos Pauliny dygotał. – Bo byłeś jej bratem. Dlatego nie rozumiesz, ale nas... Ona nas nienawidziła. Każdego z nas.

– Nie wierzę... Wy ją... spaliliście!

Ostatnie słowo wykrzyczał na całe gardło i chciał poderwać się z łóżka, ale przy pierwszej próbie zakręciło mu się w głowie, więc opadł na poduszkę. Nie czuł nic od pasa w dół, a na domiar złego leki, które mu podano, otumaniały go dokumentnie.

Leki, które mu podano, by złagodzić ból. Ból spalonych stóp.

– Dlaczego nie jestem w szpitalu? – wychrypiał.

– Nie mogliśmy, Marek, zadawałoby pytania. Ale ja się tobą zaopiekuję, nie musisz się martwić. Wyleczę to najlepiej, jak potrafię.

Jego klatka piersiowa była teraz cięższa niż kiedykolwiek. Czuł przerażenie, ale zdołał unieść się na łokciach

i spojrzął na swoje nogi. Były tam, przykryte opatrunkami, ale wcale ich nie czuł. Pokręcił głową i chciał podnieść się wyżej, chyba coś krzyknął, ale środek podany mu przez Paulinę otepliał jego zmysły. Świat wirował coraz szybciej.

Wkrótce potem znowu pochłonęła go ciemność.

3

Gdy obudził się po raz drugi, był sam. I pamiętał, co się wydarzyło. Pamiętał każdy szczegół, każde słowo i każde oskarżenie. A także ból, gdy po jego nogach pełgał ogień. Ból tak potężny, że nie wytrzymał. Złamał obietnicę.

Uciekł.

Nie wiedział, ile czasu minęło od tamtych wydarzeń. Z pewnością więcej niż dzień. Nie jadł od tamtej pory, ale czuł, że jeśli spróbowałby przełknąć choćby mały kęs, zwróciłby wszystko w ułamku sekundy. Bo chociaż nie miał w ustach nic od tak dawna, jego żołądek był pełen. Pełen wyrzutów sumienia, poczucia winy. Nienawiści nie tylko do tych, którzy zamordowali jego siostrę, ale także do samego siebie.

Za to, że uciekł.

Zostawił ją, chociaż przecież obiecywał, że nie będzie sama.

4

Znał pokój, w którym go umieszczono. Była to sypialnia gościnna w domu Pauliny, rozpoznał meble, wystrój. Minimalistyczny, bo jego kuzynka zawsze preferowała tego rodzaju wnętrza. Podobnie jak on.

Ich gusta były prawie identyczne. Czytali te same książki, oglądali te same filmy. Oboje stronili od głośnej muzyki, woleli ciszę. Oboje przedkładali dania makaronowe nad pizzę.

A jednak była między nimi pewna różnica. Zasadnicza różnica.

Ona była morderczynią.

Wciąż wracali do niego wydarzenia tamtej nocy. Przeżywał je znowu i znowu, leżąc całymi godzinami w łóżku, czując ból nóg i wywołane wcześniejszymi przeżyciami mdłości. Wpatrywał się w żyrandol z dmuchanego szkła i jego cień wędrujący po suficie, wskazujący upływ czasu.

Nikt do niego nie przyszedł. Koło łóżka stała szklanka z wodą i wetkniętą w nią słomką – sięgnął po nią kilkakrotnie, ale nie mógł pić, bo gardło ścisnął mu żal. Więc po prostu leżał. Kisił się w nienawiści, bólu i wyrzutach sumienia, a tymczasem cień żyrandola został pożarty przez ciemność.

Noc nie przyniosła mu ukojenia. Nie przyniosła snu. Wciąż leżał, pogrążony w spirali negatywnych emocji. Cierpiał.

5

Z otchłani ponurych przemysłów wyrwał go cichy szum. Dziwny szum, jakby przyłożył muszlę do ucha, zdawał się wypełniać jego głowę. I nie był to jedyny dźwięk, bo oprócz niego Marek usłyszał również ciche pulsowanie. Jakby bicie serca, tylko wolniejsze. Stonowane.

Podniósł się na łokciach, rozejrzył po mrocznym wnętrzu. I zaczerpnął gwałtownie tchu, gdy zobaczył stojącą przy oknie postać. Jej blada twarz zdawała się świecić w ciemności, a spojrzenie wyrażało pogardę.

– Milena... – wyszeptał. – Przeżyłaś. Wyciągnęli cię stamtąd?

Zacisnęła wargi i pokręciła głową. Marek poczuł, że drży, jakby temperatura w pokoju spadła nagle o kilkanaście stopni. Z jego rozchylonych ust wydobył się obłok pary.

– Co... co się stało?

Podeszła ku niemu, nie odrywając spojrzenia od jego twarzy. Było w niej coś przerażającego, coś... nie wiedział co, przecież znał tę twarz, kochał tę twarz, to była jego siostra, jego Milena.

– Ja nie... Nie rozumiem.

– Zostawiłeś mnie – powiedziała zgrzytliwie. – Obiecałeś, że nie będę sama.

– Milena... – jęknął i wcisnął głowę w poduszkę, gdy wreszcie zrozumiał, co go tak przeraża, jaki szczegół, z pozoru nieistotny, wywołuje galop jego serca. Szeroko otwarte oczy siostry wpatrywały się w niego bezustannie. Jej powieki były absolutnie nieruchome, wcale nie mrugała, a on nigdy wcześniej nie zdawał sobie sprawy z tego, jak niepokojący może być brak czegoś tak błahego jak mruganie.

– Uratowałam cię – powiedziała. – Nie pozwoliłabym cię skrzywdzić, ale ty uciekłeś. Wyrzekłeś się mnie.

– Ja nie... Paulina!

Nie wiedział, czemu ją zawołał, ale nie chciał być sam. Chciał, by ktoś wyjaśnił mu, co się dzieje, a Paulina zawsze była jego przyjaciółką, więc...

– Nie przyjdzie. Nikt nie przyjdzie. Wszyscy są ciężko chorzy.

– Chorzy?

– Wszyscy kaszlą i plują krwią – warknęła, a jej usta rozciągnął uśmiech. – Do rana umrą.

– Milena...

– Ty byś przeżył. Gdybyś mnie nie zostawił. Jesteś moim bratem, nie pozwoliłabym, by cię skrzywdzili. Ale uciekłeś.

Sekundę później Marek podskoczył z przerażenia, gdy drzwi sypialni otworzyły się. Wpadła przez nie Paulina, ale tuż za progiem upadła na kolana. Jej brodę,

szyję, dekolt pokrywała czerwień. Kaszłała gwałtownie, związała się z bólu, a każdy ruch powodował, że z jej ust wypływał kolejny strumień krwi.

– Paulina!

– Marek – wycharczała. – Powstrzymaj ją! Milena, proszę...

Zgięła się i wypluła na podłogę strugę czerwieni. Jej ramiona dygotały.

Spojrzał na siostrę i zobaczył na jej twarzy obojętność.

– Nie rób tego – poprosił. – Milena, przestań!

– Przestań? Oni spalili mnie na stosie. Dlaczego miałabym przestać?

– Przecież nie jesteś... taka! Taka, jak mówili!

– Jestem. Zawsze byłam, ty jeden tego nie widziałeś. Kochałeś mnie i chciałam cię chronić, ale... uciekłeś.

– To nasza rodzina!

– Zasłużyli na to.

– Proszę, Milena...

– Nie proś. Ciebie też chcieli zamordować.

Potrząsnęła głową z przerażeniem. Potem spojrzał na Paulinę, która już nie klęczała, ale leżała na boku zwinęta w kłębek, wciąż wstrząsana kaszlem.

– Nie zabijaj ich... Błagam cię... Przepraszam, że uciekłem, ale... nie rób tego.

Skrzywiła się gniewnie. A potem, ku jego zaskoczeniu, kiwnęła głową.

– Niech będzie. Ale ty za to zapłacisz.

Zadygotał ze strachu.

– Jak?

– Złamałeś obietnicę. Zostawiłeś mnie, żebym tam spłonęła, żebym cierpiała. Ty też będziesz cierpieł. Każdy, do kogo się przywiążesz, umrze. Dopilnuję tego. Każda ukochana, przyjaciel, dziecko, jeśli się takie pojawi. Każde z nich odczuje na własnej skórze ciężar twojej zdrady.

– Milena...

– A ty będziesz żył. Zadbam o to, żebyś ty żył. Będę w pobliżu.

– Proszę cię...

Uśmiechnęła się. Potem powiodła wzrokiem po jego sylwetce, spojrzała na poparzone bryły, które zastąpiły jego nogi.

– Do zobaczenia – wymruczała, a wówczas w dolnej części jego ciała doszło do eksplozji bólu. Zawył na całe gardło, ale nie trwało to długo. Wkrótce stracił przytomność.

6

Obudził go śpiew ptaków. I słup słonecznego światła, które padało prosto na jego twarz.

Zamrugął i rozejrzał się. Był sam. W pokoju Pauliny, lecz jej tu nie było. Brakowało również plamy krwi, która rozlewała się na podłodze w miejscu, gdzie leżała minionej nocy. Ale nie tylko to się zmieniło. Było coś jeszcze.

Usiadł gwałtownie i sapnął zdumiony.

Bezużyteczne resztki, którymi jeszcze wczoraj kończyły się jego nogi, zostały zastąpione przez zupełnie zdrowe stopy. Nie było na nich żadnych śladów spotkania z płomieniami, nie miał nawet spalonych włosów na skórze. Nic mu nie było, nic go nie bolało.

Westchnął i spróbował wstać. I poczuł, że wszystko jest dobrze. Nie miał zawrotów głowy, żadnych dolegliwości. Był zdrowy.

Ruszył pospiesznie w stronę drzwi. Po chwili wpadł do kuchni i zamarł na widok Pauliny, jej męża i syna siedzących przy stole. Uśmiechnęli się na jego widok.

– Wreszcie – powiedziała kobieta z szerokim uśmiechem. – Baliśmy się, że nigdy nie wstaniesz.

– Ja nie... – Marek wciąż oddychał szybko, oszołomiony i wytrącony z równowagi. – Dobrze się czujecie?

Ściągnęła brwi, zerknęła odruchowo na dziecko i pokiwała głową.

– Czemu mielibyśmy czuć się źle?

– A... Milena?

– Kto?

Nie tego się spodziewał. Twarze jego rodziny mówiły wprost, że nie mają pojęcia, kim jest Milena. Ale przecież...

– Moja siostra.

– Siostra?

– Następnym razem trzymaj się z dala od lokalnych produktów – zaśmiał się siedzący przy stole mężczyzna. – Masz za słabą głowę na nasze alkohole.

– Marek, wszystko w porządku? – zapytała Paulina z troską, a on cofnął się o krok, nie wiedząc, co odpowiedzieć. – Jaka siostra? Przecież nie masz siostry.

– Kac gigant – skwitował jej mąż, ale ona się nie uśmiechała. Wpatrywała się w kuzyna z niepokojem, a Marek potarł twarz dłonią.

Czy to możliwe? Nie... Pamiętał wciąż dzieciństwo z Mileną, pamiętał dorastanie z młodszą siostrą, śmierć matki, która odeszła, rodząc córkę, wspólne opłakiwanie ojca, gdy zmarł kilka lat później.

Pamiętał stos. I ból spalonych nóg, tak dotkliwy, że nie mógł go sobie wyobrazić.

– Marek?

Uniosł głowę, jego wzrok padł na okno. I zadrżał, widząc stojącą za nim postać.

Milena wpatrywała się w niego z szerokim uśmiechem. Uniosła palec do ust, a on zrozumiał, że jest tylko jeden sposób, by ocalić Paulinę przed gniewem jego siostry.

– Muszę jechać – powiedział i ruszył do drzwi. Nie miał bagażu, nie miał samochodu, ale to było bez znaczenia.

Musiał odejść stąd jak najprędzej, bo przecież Paulina była mu bliska. A każdy, kto był mu bliski, miał umrzeć.

Wypadł na zewnątrz i zmrużył oczy w słońcu.

– Jeśli chcesz ich ocalić, nie wracaj tu nigdy – usłyszał w uchu szept Mileny. Rozejrzał się w panice, ale nigdzie jej nie widział. A potem...

Była tam. Stała w cieniu jabłoni, tuż obok złamanego konara, który spadł, kiedy...

Obrócił się. I znowu ją zobaczył. Uśmiechała się do niego zza zaparkowanego nieopodal samochodu.

A potem dostrzegł ją w oknie komórki na narzędzia.

Na końcu podjazdu.

Na skraju lasu.

– Marek. – Poczł dotyk na ramieniu i odwrócił się, odskakując w tył. Zobaczył stężoną w wyrazie troski twarz kuzynki.

I Milenę stojącą tuż za nią.

– Powinieneś stąd iść – powiedziała. Paulina drgnęła, obejrzała się, ale nic nie dostrzegła, bo zaraz znowu na niego spojrzała.

– Marek...

Potrząsnął głową. Potem poderwał się na nogi i ruszył wzdłuż szosy, ignorując nawoływanie Pauliny. Minął ogrodzenie jej domu, a potem potężny dąb rosnący przy drodze.

Za nim stała Milena. Nie przestawała się uśmiechać.

– Razem do końca.

EWA ZWOLIŃSKA

POWRÓT

Zdarzyło się to w poniedziałek rano, dokładnie dwieście pięćdziesiąt dni od rozpoczęcia Piątej Wielkiej Izolacji. Jak co tydzień zebraliśmy się całą rodziną w salonie, czekając na powrót taty. Odkąd zaostrzono przepisy, to ojciec był naszym głównym łącznikiem ze światem – w Internecie pełno było fejków na temat obecnej sytuacji, a telewizora pozbyliśmy się po tym, jak babcia stwierdziła, że jeszcze jedno wydanie wieczornego dziennika i dostanie zawału. Babcia dobrze gotowała i zajmowała się dziećmi, kiedy mama musiała pracować, więc gdyby nagle kopnęła w kalendarz, byłoby raczej nieciekawie. W tej sytuacji poświęcenie telewizora było konieczną, choć przykrą dla nas decyzją.

Zerknąłem na wyświetlacz telefonu. Dochodziła dziewiąta. Zwykle o tej porze ojciec już dawno był w domu. Wychodził do sklepu wcześniej rano, żeby uniknąć tłumów i zdobyć wszystko, co potrzeba, zanim ubiegną go sąsiedzi, a potem jadł z nami świeży chleb na śniadanie. Tym razem jednak coś go zatrzymało.

Zastanawiałem się, co takiego mogło mu przeszkodzić. Wyjątkowo długa kolejka? Niespodziewany nalot Służb Sanitarnych? A może napadli go złodzieje papieru toaletowego...?

Zaniepokoiła mnie ta myśl. Papierodzieje byli, zaraz obok przemydlników i drożdżerców, największym postrachem naszych ulic w tamtych trudnych czasach.

Ci współcześni robinhoodowie zasadzali się na bogaczy w pobliżu sklepów, atakowali ich znienacka i zabierali papier, by przekazać go potrzebującym (czyli najczęściej samym sobie). Jak ujawniła ostatnio ABW, co bardziej przedsiębiorczy organizowali się w gangi i sprzedawali część skradzionych rolek na czarnym rynku. Byli przy tym brutalni, bezwzględni i nieustępliwi w cenowych negocjacjach. W starciu z takimi zbirami mój ojciec-informatyk nie miałby żadnych szans...

Z tych niewesołych rozmyślań wyrwał mnie szcęk otwieranych drzwi. W jednej chwili Tosia i Antek oderwali się od gry w *Wirusy kontra zombie*, mama wyłączyła swoją wideokonferencję, a babcia przerwała przegląd najnowszych teorii spiskowych w Internecie. Wszyscy zamarliśmy w nerwowym oczekiwaniu.

W drzwiach stanął wysoki, zamaskowany człowiek. Oddychał ciężko, niczym Darth Vader. W osłoniętych rękawicami dłoniach trzymał dwie ogromne siatki z logo pobliskiego marketu.

Patrzyłem na niego z podziwem. Pomyślałem sobie, że gdyby miał jeszcze pelerynę, wyglądałby jak prawdziwy heros. Po chwili stwierdziłem jednak, że tata wcale nie potrzebuje peleryny – dla mnie już był bohaterem.

Pozbywszy się ostatniego elementu swojej warstwy ochronnej, ojciec wziął głęboki oddech, po czym triumfalnie oznajmił:

– Wróciłem!

Bardziej niż oczywisty fakt ojcowskiego powrotu interesował nas raport z przebiegu jego misji, więc tuż po wkroczeniu taty na terytorium domu rozpoczęło się – zgodnie z cotygodniową tradycją – zwyczajowe przesłuchanie.

– No, co tak długo? – zaczęła babcia.

– Masz jakieś batony? – pisała Tosia.

– A batelie do mojego tlaktolka? – chciał wiedzieć Antek.

– I makaron? – dodałem. Co prawda akurat makaron nieszczególnie mnie obchodził, ale nie chciałem odstawać od reszty. Tradycja to tradycja.

Ojciec dzielnie znosił wszystkie wycelowane w niego pytania, cierpliwie odhaczając kolejne pozycje z listy zakupów. Szło mu naprawdę świetnie, nawet się nie zająknął – do czasu, aż głos zabrała mama.

– Papier też kupiłeś, prawda?

Tata zamilkł i pobladł, a na jego twarzy pojawił się wyraz najwyższego skupienia. Znałem go na tyle dobrze, by wiedzieć, co to znaczy: że, po pierwsze, przez najbliższy tydzień będziemy skazani na chusteczki do nosa, i że, po drugie, algorytm w głowie ojca właśnie próbuje znaleźć lepsze usprawiedliwienie niż „zapomniałem”.

– E... No, wiecie, jak to jest... Poszedłem do sklepu i jak już stamtąd wyszedłem, to...

Biedaczek tylko się pogrążał. Czułem, że muszę mu pomóc. Tylko jak...?

Nagle doznałem olśnienia.

– Papierodzieje! – wykrzyknąłem.

W jednej chwili spojrzenia całej rodziny skupiły się na mnie. Rzadko zabierałem głos bez okazji, a jeszcze rzadziej przerywałem starszym, toteż mój spontaniczny okrzyk wywołał niemałą sensację.

– Dziecko, o czym ty mówisz? Jacy papierodzieje? – zdziwiła się mama.

– Ja wiem, kto to! – ucieszył się Antek. – Ci panowie, co kładną papiel! Pławda, Tosia?

Tosia była jednak zbyt zajęta szukaniem batonów, by móc się odnieść do tej sprawy, więc babcia postanowiła ją w tym wyręczyć.

– W Internecie piszą, że to bzdury. Rząd wymyślił tych złodziei papieru tylko po to, żebyśmy się bali i nie wychodzili z domów, ot co! – stwierdziła z przekonaniem.

Ależ się wpakowałem... Nie miałem jednak wyjścia – musiałem bronić honoru taty. Nasza rodzina potrzebowała ojca-bohatera, a nie kogoś, kto zapomina o tak podstawowej rzeczy jak paczka papieru.

– Papierodzieje naprawdę istnieją – powiedziałem powoli, jednocześnie próbując ułożyć w głowie sensowną historyjkę, która potwierdziłaby moją wersję zdarzeń. – Maciek mi opowiadał, że ostatnio w drodze ze sklepu dorwali go tacy dwaj i zabrali mu całą paczkę. Dobrze, że drugą miał schowaną w plecaku, bo inaczej ją też by stracił.

– Straszne! – wzdrygnęła się mama. – Że też tacy ludzie kręcą się po takiej porządnej okolicy...

– To nie tylko u Maćka – dodałem szybko, czując, że przynęta chwyciła. – Słyszałem, że w naszej dzielnicy też już są. I to pewnie oni tak ojca załatwili. Prawda, tato? – Spojrzałem na niego wymownie, w nadziei, że wie, co dalej robić.

– E... no... więc... – wydukał, najwyraźniej próbując rozszyfrować moją wiadomość. Raptem twarz mu pojaśniała i wyraźnie się ożywił. – Tak, tak, dokładnie. Dorwali mnie pod blokiem i zabrali papier – wytłumaczył pospiesznie.

– I co zrobiłeś? – zainteresowała się nagle Tosia, która właśnie kończyła drugiego batona.

Na to pytanie tata nie był przygotowany.

– No, jak to co? Wróciłem do was, do domu.

– To nie walczyłeś z nimi ani nic...? – zdziwiła się moja młodsza siostra.

Westchnąłem. Ojciec może i był świetnym programistą, ale zupełnie nie znał się na opowiadaniu historii. Postanowiłem ponownie wkroczyć do akcji.

– Pewnie, że walczył! – powiedziałem z przekonaniem, gorączkowo szukając czegoś na poparcie swoich słów. Nagle mój wzrok padł na przemoczone opakowanie jajek i doznałem olśnienia. – Bronił się tą reklamówką. To dlatego jajka się zbiły. – Wskazałem tryumfalnie na torbę. Dostrzegłszy poniesione straty, mama jęknęła.

– Och, musiałeś użyć akurat tej siatki? Z czego ja teraz placek upiekę...? – biadoliła, załamując ręce. – Nie dość, że straciliśmy papier, to jeszcze jajka do wyrzucenia. No, pięknie.

Powoli zaczynała mnie męczyć rola adwokata ojca. Musiałem jednak jakoś załagodzić sytuację. W końcu jeśli nie ja, to kto?

– W momencie zagrożenia życia i, eee, mienia nie myśli się o takich rzeczach! – odparłem. – Najważniejsze, że tata wrócił cały i zdrowy. No i że reszty zakupów nam nie zabrali – dodałem, czekając na reakcję domowników. Modliłem się w duchu, żeby to wystarczyło. Miałem już dość ich ciągłych pytań i pretensji.

I wtedy odezwał się Antek.

– Dzisiaj w ladiu mówili, że tseba się cieszyć, że jesteśmy telas wsycy lazem. Więc ja się cieszę, że tata do nas włącił. A placek można złobić kiedy indziej. Ja i tak wolę batony – stwierdził ze stoickim spokojem.

Zaniemówiliśmy. Nigdy wcześniej mój brat nie skonstruował tak długiej i mądrej wypowiedzi.

– Syneczku, jak ty to pięknie powiedziałaś! – Wzruszona mama pochyliła się w stronę Antka i pocałowała go w czoło, po czym zwróciła się do ojca, wyraźnie zakłopotana. – Przepraszam, kochanie, to przez te nerwy...

Spojrzałem na brata z wdzięcznością. *Jeszcze będą z niego ludzie* – pomyślałem z dumą.

Czego, niestety, nie mogłem powiedzieć o swojej siostrze. Kiedy już wydawało się, że kryzys został zażegnany, Tośka wystrzeliła z kolejnym pytaniem:

– Ale skoro nie mamy papieru, to czego teraz będziemy używać?

– Przecież mamy jeszcze chusteczki – zauważyła mama.

Tosia pobladła, spuściła wzrok i zagryzła wargi. Wyglądała na przestraszoną.

– Tak? Bo... jak ostatnio robiłam pracę na plastykę, wiesz, tę o zimie, to... trochę ich zużyłam...

– Ale chyba nie wszystkie, prawda? – powiedziała spokojnie mama, choć mina jej trochę zrzędała.

Tosia bez słowa podeszła do szafki, w której trzymaliśmy zapasy. Kiedy otworzyła drzwi, naszym oczom ukazał się przerażający widok.

Z całego promocyjnego opakowania została już tylko jedna, napoczęta paczka chusteczek.

Wtedy rozpętało się piekło. Mama zaczęła krzyczeć na Tośkę, Tośka niechący wpadła na Antka, Antek upadł i się rozplakał, babcia rzuciła mu się na ratunek, jednocześnie krytykując metody wychowawcze mojej mamy, a tata... tata gdzieś zniknął.

Zdenerwowałem się. Jak mógł się ulotnić w takiej chwili?

– Tato, gdzie jesteś?! – zawołałem zdesperowany.

– Tutaj.

Odwróciłem się. Ojciec stał w drzwiach. W rękach trzymał autentyczną, śnieżnobiałą, a co najważniejsze – całutką rolkę papieru toaletowego. Patrzyliśmy na nią jak zaczarowani.

– Jak...? Skąd...? – wydukała mama.

Tata uśmiechnął się triumfalnie.

– W zeszłym tygodniu naprawiłem komputer Nowakowi z naprzeciwka. Nie miał mi jak zapłacić, więc obiecał się odwdzięczyć jakąś przysługą w przyszłości. Pomyślałem sobie, że to dobry moment, żeby się o nią upomnieć.

Odetchnąłem z ulgą. Więc jednak. Mój tata *naprawdę* był bohaterem.

Kowalski odetchnął z ulgą, zdejmując z głowy ciężki elektroniczny hełm. Demonstracja przygotowywanego produktu nigdy nie sprawiała mu szczególnej przyjemności. Zazwyczaj nie przepadał za wycieczkami w głąb wirtualnych światów i dziwił się, że tylu ludzi jest skłonnych wyłożyć realne pieniądze, by spędzać tam całe godziny.

Jednak tym razem było inaczej. Mimo początkowych oporów wizyta we własnej symulacji całkiem mu się spodobała. Może dlatego, że był to pierwszy od dawna projekt, w który włożył tyle serca...

Przestępując nerwowo z nogi na nogę, z niepokojem czekał na reakcję zgromadzonych. W końcu nie wytrzymał.

– No i co sądzicie, będzie coś z tego? – zapytał, zwracając się do zebranych.

Członkowie zespołu wymienili wymowne spojrzenia. Żaden z nich nie kwapił się do zabrania głosu. Choć Kowalski pracował w VR PROJECT od lat i zdążył zauważyć, że jego współpracownicy nie należą do rozmownych, wisząca w powietrzu cisza nie zwiastowała niczego dobrego.

– E... ewentualnie można by jeszcze dorzucić jakieś mikropłatności... – dodał z nadzieją w głosie. Wzmianka o mikropłatnościach w grze zawsze ratowała go z opresji, kiedy jeszcze projektował dla Electronic Crafts. – A-albo możliwość progresji, tak żeby odpowiednia liczba rolek papieru przenosiła gracza na wyższy level...

– Właśnie, o co w ogóle chodzi z tym papierem? Kompletnie nie czaję tego elementu gry – odezwał się Felix, stażysta z działu reżyserii rozgrywki.

Kowalski przyjrzał mu się krytycznie. Chłopak był za młody, by dobrze pamiętać czas pandemii – nie wyglądał na więcej niż dwadzieścia lat.

Właśnie tyle skończy w tym roku jego Antek.

Potrząsnął głową, jak gdyby chciał z niej wyrzucić tę natrętną myśl. O wiele bardziej wolał pamiętać syna jako sepleniącego pięciolatka niż poważnego robotyka, który chętniej rozmawiał z automatami niż z własnym ojcem.

– Wtedy, w latach Wielkiej Izolacji to był towar deficytowy – wyjaśnił programista, siląc się na spokojny ton. – Ilość posiadanego papieru stała się wyznacznikiem statusu. Więcej rolek zapewniało większe poważanie i przywileje.

– A co z narratorem? – wtrąciła się Rebeka, konsultantka do spraw równości i różnorodności. – Czemu to akurat ten chłopak? Czy nie powinniśmy dać graczom możliwości wyboru postaci?

– To kto inny miałby opowiadać tę historię? Babcia? Matka? A może dziesięcioletnia dziewczynka lub przedszkolak? – zakpił Felix. – Przypominam, że naszym targetem jest młodzież.

– No właśnie: młodzież! – podchwycił Standhall z działu realizmu i wiarygodności. – A ja tymczasem w ogóle nie widzę tutaj ani języka, ani perspektywy młodego człowieka. Przecież normalne dzieciaki w tym wieku uważają swoich ojców za frajerów, a nie bohaterów.

Pozostali parsknęli śmiechem. Kowalski poczuł, że trzęsą mu się ręce. Szybko zacisnął palce na krawędzi stołu, by ukryć swoje zdenerwowanie przed kolegami.

– Do tego gra jest masakrycznie zabugowana i ma sporo glitchy – kontynuował kontroler wiarygodności, uruchamiając holograficzny zapis rozgrywki pośrodku stołu. – Możesz mi na przykład wytłumaczyć, co wyrabia

ten NPC? – Standhall wskazał na cyfrową wersję Nowaka, który niestrudzenie parł przed siebie, próbując sforsować stojącą mu na drodze ścianę.

Kowalski miał ochotę zapaść się pod ziemię.

– To błąd AI... Wszystko jest jeszcze w fazie implementacji – próbował się tłumaczyć, wyraźnie zawstydzony. Tak bardzo skupił się na doskonaleniu wirtualnych kopii swoich bliskich, że kompletnie zapomniał zając się sztuczną inteligencją sąsiadów. – To się oczywiście poprawi, a po premierze i tak rzucimy patchem. Dajcie mi tylko jeszcze trochę czasu... – zakończył błagalnym tonem, kierując pełne nadziei spojrzenie w stronę szefa projektu, Marka Saltzberga.

Z Markiem znali się jeszcze z czasów polibudy; razem narzekali na sesję, szukali szczęścia w startupach i podrywali dziewczyny. To właśnie dzięki Saltzbergowi wyłądował w VR PROJECT, kiedy z EC przestało mu się układać. Kibicował Markowi, gdy ten stopniowo piął się na szczyt firmowej drabiny i oblewał z nim kolejne sukcesy.

Niestety, od tamtej pory jego relacje z Saltzbergiem bardzo się zmieniły.

– Kowal, o co ty mnie prosisz? Przecież temu październikowi już nic nie pomoże! – wybuchnął czerwony na twarzy CEO, uderzając pięścią w stół. Pozostali popatrzyli na niego oniemiałi. Rzadko widywali swojego szefa w takim stanie.

– Dałem ci wolną rękę! Zaufałem! Wydłużałem ci deadline do oporu! Miałeś motion capture, face-scany, dostęp do danych z epoki, a przychodzisz do mnie z... z *tym czymś*?! – krzyczał, miotając się po sali. – Na litość boską, chłopie! Przecież *ViRus Inc.* to miała być poważna gra surwiwalowa, a nie jakaś pieprzony gniot narracyjny bez żadnej rozgrywki...! Czy ciebie już całkiem Bóg opuścił?!

Urwał, gdy przypomniał sobie, że w pokoju konferencyjnym są więcej niż dwie osoby.

– Koniec demonstracji. Wracajcie do swoich boxów – powiedział już nieco spokojniej.

Nie musiał ich do tego specjalnie zachęcać. Wszyscy z ulgą ruszyli do wyjścia, spiesząc do porzuconych obowiązków.

Wszyscy – poza Kowalskim.

Nadal tkwił w tym samym miejscu co podczas prezentacji, nieporuszony i milczący, ze wzrokiem wbitym w blat stołu. Za wszelką cenę starał się nie patrzeć na przyjaciela.

Saltzberg wziął głęboki wdech. Zrobił krok do przodu, ale zaraz się cofnął. Zaklął i przesunął ręką po twarzy, zirytowany własnym niezdecydowaniem. Po dłuższej chwili walki z samym sobą postanowił wreszcie podejść do Kowalskiego. Ostrożnie położył dłoń na ramieniu kolegi, obawiając się jego reakcji. Ten jednak ani drgnął.

– Słuchaj, Jasiek... – zaczął niepewnie Saltzberg. – Ja... przepraszam za tamto, poniosło mnie trochę. Wiem, że starasz się jak możesz i naprawdę to doceniam. Ale od czasu tego rozwodu, no... chyba sam widzisz, że nie jesteś w najlepszej formie. Nie jestem pewien, czy dalsza realizacja takiego projektu ma... – urwał, ponownie sprawdzając reakcję kolegi.

Kowalski nadal się nie poruszył. Saltzberg westchnął.

– Uch, no dobra. Masz jeszcze miesiąc, żeby się wykazać. Ale tym razem zrobisz to tak, żeby się inwestorom spodobało, jasne? A potem oderwij się na trochę od roboty i wykorzystaj ten zaległy urlop. Wyjedź gdzieś, rozerwij się, odpocznij. To ci dobrze zrobi. Co myślisz?

Jan powoli pokiwał głową. Sprawiał wrażenie nieobecnego.

– Myślę, że masz rację...

Zadowolony z udanej interwencji Marek uśmiechnął się szeroko i poklepał przyjaciela po ramieniu.

– Pewnie, że tak. Zawsze mam. Inaczej nie byłbym tutaj CEO – rzucił ze śmiechem, wychodząc.

Trzask zamykanych drzwi wybudził Jana z letargu, uświadamiając mu, co właśnie zaszło. Ze zgrozą zdał sobie sprawę z powagi sytuacji. Oto projekt jego życia diabli wzięli, a na zbudowanie nowej symulacji od podstaw miał zaledwie miesiąc. Jeśli nie zdąży, tym razem w końcu straci tę pracę. Tak samo, jak kiedyś stracił matkę, a potem miłość żony i szacunek dzieci.

Nie, uzmysłowił sobie nagle, ściskając trzymane w dłoniach urządzenie, wcale ich nie stracił. Przecież nadal są tuż obok, na wyciągnięcie ręki. Wystarczy, że założy hełm, włączy odpowiedni program, uruchomi tryb całodobowy i ustawi najwyższy poziom immersji. Od teraz każdego dnia będzie widywać mamę, Judytę, Tomka, Tosię i Antka. Zrobi dla nich zakupy, zdobędzie trudno dostępne produkty, Judyta go przeprosi, a Tomek będzie z niego dumny. I znowu wszystko będzie jak kiedyś. Jak za dawnych, dobrych czasów...

Kowalski uśmiechnął się do siebie. Skoro w tym świecie się nie udało, w innym powinno mu pójść znacznie lepiej. Zwłaszcza jeśli to świat, który sam zaprojektował.

Czym prędzej zmienił ustawienia, założył hełm, włączył symulację i już po chwili ponownie otwierał wirtualne drzwi swojego dawnego mieszkania. Powitał go zapach syntetycznego rosołu i szczekanie cyfrowego Azora. Zgromadzona w salonie cyberrodzina wpatrywała się w niego w pełnym elektrycznego napięcia oczekiwaniu. Nie ma jak w domu, przemknęło Janowi przez głowę, gdy kolejny raz tego dnia podziwiał ich idealnie renderowane twarze. Nie ma jak w domu.

– Wróciłem – oznajmił uroczyście, zamykając za sobą drzwi. – Tym razem już na stałe.

SPIS TREŚCI

Aleksandra Bednarska TAMTEN RAZ W KENTINGU	4
Jarosław Dobrowolski APOKALIPSA WEDŁUG ŚWIĘTEGO BOROWEGO	29
Sylwester Gdela WIECZNE WSPOMNIENIE	49
Lidia Gręda TEATR ŻYCIA, MUZEUM POWROTÓW	65
Adrian Iwaniak KREW ZA KREW	91
Paulina Kajoch FESTIWAL SŁONECZYCH ŻAGLI	115
Adam Loraj ODWIEDZINY	139
Jakub Luberda PORTAL	164
Krzysztof Marciński CZEKAJĄC NA QEUCATZOATLA	188
Kornel Mikołajczyk CYBERSERK	214

Agnieszka Mohylowska W OGRODZIE BOGA	246
Sara Osiecka POTWÓR POD ŁÓŻKIEM	262
Marek Pieczara NIKT NIE WOŁA	269
Rafał Pietrzyk ŻÓŁCI LUDZIE	286
Paulina Rezanowicz WYPRAWA POLARNA BERNARDA MOREAU	298
Iwona Serej WRACAJĄC DO DOMU	323
Ewa Stykowska SAMOTNIA	348
Aleksandra Woźniak TRZECIE PIĘTRO, MIESZKANIE 27	378
Klaudia Zacharska OBIECAŁEŚ	390
Ewa Zwolińska POVRÓT	406